

Paukšta Eugeniusz

Spod Szczęśliwej Gwiazdy

Opowiadania

Wydanie 3

Wydawnictwo „Śląsk” • Katowice 1974

Okładkę i obwolutę projektowała Halina Niemiec

Redaktor Wiesława Szczepanowsk. Redaktor techniczny Maria Dziubowa Korektor
Władysław Erber

KARP CIAROCHA

Zakląłem w duszy najserdeczniej jak mogłem, przystając nad brzegiem w poczuciu kompletnego zawodu. Pogoda zapowiadała dobry połów, chmurzyska zwartym wałem ciągnęły tuż nad taflą zmarszczoną leciutkim powiewem, ale wszystko to nie zda się na nic. Pomost był dzisiaj zajęty.

Trudno wymarzyć lepsze stanowisko. Wysunięty daleko W wodę przy wrzynającym się w toń, rozrostłym paśmie trzciny, u przedproża głębiny, w miejscu, gdzie niemrawy nurt starej odnogi wlewał się muliście w jezioro, pomost był zbudowany solidnie, z mocnych bali, obitych od góry deskami. Nie zabrakło nawet ławeczki do siedzenia i blaszanego daszku dla osłony przed wiatrem czy deszczem. Od czasu mego przybycia w nadodrzańskie strony nikt z wędkarzy nie zakłócał spokoju tego miejsca i zaanektowałem je jako bezsporną swą własność. Nęcona systematycznie ryba chętnie przyplýwała na zgubne dla niej żerowisko. Połowy miewałem nadzwyczajne, przynajmniej w porównaniu z moimi dotychczasowymi sukcesami.

Każdego dnia, rankami i popołudniami, spędzałem na tym' pomoście długie godziny. Niedaleką drogę od domu gospodarza, który mnie przyjął w swe progi, przebywałem krokiem o narastającym przyspieszeniu. Poganiała mnie emocja rybacka. Każda stracona minuta rozciągała się w nieskończoność.

Cóż dziwnego, że stojąc teraz z zawiedzioną miną na brzegu, przyzywałem na pamięć najgorsze wyzwiska, darząc nimi nieznanego wędkarza na moim pomoście. Zapatrzony w płasanie pławików, nawet się nie obejrzał do tyłu, cóż innego mogło go obchodzić poza podniecającym oczekiwaniem na zdobycz, muskającą kędyś przy gruncie przynętę.

Ciężkie, nalane szarzyzną chmurzyska dalej się snuły leniwie po niebie, stapiając się na horyzoncie ze spłachciami rozlewisk wodnych. Łagodne podmuchy wiatru niosły ze sobą rześkawy rozkurz mżawki. Zupełnie blisko, przy gęstwie pałki wodnej, czujnie wartowała czapla, nie strwożona ludzką obecnością.

Piekielny intruz poderwał wędzisko. Wygięło się łukiem, smagało powietrze, węzowymi płasami chybotąło na strony. Niedobra zawiść ogarniała mnie bez reszty. Już nie tyle widziałem, co słyszałem potężnego leszcza, desperacko bijącego o wodę. Nieznajomy sprawnie, musiałem to przyznać, przewrócił rybę na płask, by nie wypłaszać łowiska. Wędzisko wciąż rozcinało chmury wygiętym łukiem. Aż w pewnej chwili odprężyło się z nagłą. Głucho pacnięcie, zaraz po nim gwizd pełnego satysfakcji zachwytu.

Kaszlnąłem drwiąco i zarazem ostrzegawczo. Wędkarz obejrzał się spokojnie, to jego opanowanie jeszcze bardziej mnie rozzłościło. Na jego miejscu na pewno bym zareagował gwałtowniej.

Spotykały się nasze wejrzenia. W swoim starałem się skoncentrować całą niechęć i niemal nienawiść. Najwidoczniej nie potrafił odczytać tych uczuć. Ogarnął wzrokiem moją postać, rybacki strój, wędki trzymane bezradnie w ręku, dopiero wtedy usłyszałem jego chropawy, choć miły w brzmieniu głos.

— Dzień dobry... Pogoda, że lepszej nie czekać. Chodź pan, to dobre miejsce, zmieścimy się łatwo...

Gniewnie mruknąłem coś w odpowiedzi. Tkwiłem w miejscu, miotany sprzecznościami. Kusił pomost, choćby już dzielony we dwójkę. Wzbierała zarazem jakaś urażona duma, ambicja, aby nie skorzystać z łaskawości nieznanego wędkarza. Mało, że zagarnął mój pomost, jeszcze raczy mnie darzyć jakimiś względami.

Nie wiem, czym by się to skończyło, ale pogodziła nas ryba.

Na wędce zaczęły się wyprawiać jakieś dziwy. Nieznajomy schylił się, łapiąc w ostatniej niemal chwili umykające z pomostu wędzisko. Przyhamowane, odpowiedziało głuchym warkotem dobrze już spracowanego, bo coraz to zacinającego się kołowrotka. Linka ze szpuli wysnuwała się błyskawicznie, ryba parła ku środkowi jeziora.

Emocja stawała się zbyt duża, aby można było dalej zabawiać się w sondowania wewnętrzne, wymierzające proporcje między urażoną ambicją a pragnieniem znalezienia się na pomoście.

— Hamuj pan, to karp, hamuj, człowieku!

Krzycząc tak, dosłownie wyrzaskując każde z tych słów, cisnąłem swym sprzętem o ziemię i, omal nóg nie łamiąc, pędziłem skokami ku borykającemu się z kołowrotkiem nieznanemu.

Próbował przyhamować wirującą tarczę, palce, jak od noża, zaczerwieniły mu się krwią, nie zwrócił na to uwagi, nadal za wszelką cenę starając się nie dopuścić do wysnucia przez rybę całego zapasu linki. Wtedy szansę wygrania batalii z karpem zmalełyby od razu do zera.

Wędzisko cudem tylko nie trzasło, szarpnięte gwałtownie, ale terkot kołowrotka ucichł, nastał moment zaskakującej ciszy.

— Ciągnie? — Rozszerzonymi gorączką oczyma patrzyłem na wędzisko, na znieruchomiałą linkę, pytając zaś, świetnie zdawałem sobie sprawę, co tutaj się stało. Karp! Najpewniej jeden z olbrzymów, o których w okolicy kursowały legendy, waga zaś rosła w tych opowieściach do nieprawdopodobnych rozmiarów. Karp, o którym co dnia z cicha

marzyłem, zarzucając specjalnie mocno spreparowaną wędkę i nęcąc go ziemniakami. Tymczasem taki intruz wdzierając się nie proszony na cudze stanowisko i od razu pierwszego dnia sprzyja mu wariackie szczęście. Fala niechęci i goryczy rozlała się we mnie piekącą żółcią. Ze złośliwym uśmiechem spojrzałem na bezwładnie zwisającą z pomostu linkę. Nieznajomy musiał zrozumieć sens tego uśmiechu. Minę miał już od paru chwil mocno niewyraźną. Bez cienia nadziei, nawykowo tylko, podciągnął wędzisko. Nic nie drgnęło, linka nie naprężyła się. Jakiś grymas zarysował się koło ust mego sąsiada.

— Zeszedł, pierona.

— A zeszedł — potwierdziłem z satysfakcją. Jeśli mnie karp nie trafił się przez dwa blisko tygodnie ślęczenia, czemuż miałby od razu stać się łupem byle przybysza? Musi być jakaś sprawiedliwość także na tym odcinku. — Zeszedł, boś pan spartaczył. Kto widział tak się zabawiać z karpem, tutaj są sztuki po paręnaście kilo. Trzeba dobrze wiedzieć, jak zabierać się do nich...

Nie oponował, nie zamierzał się sprzeczać. Nazbyt był zmartwiony niepowodzeniem. Jak u małego dziecka, dolna warga obwisła mu bezsilnie. Gapił się niepewny na wędzisko, na spokojnie zwieszając się z niego linkę. I nagle...

Nagle zaczęło się wszystko od nowa. Jakby ktoś trzasnął mnie w głowę. Dopiero pokpiwałem, jeszcze chciałem sobie używać, gdy okazało się, że i ze mnie rybak jak, za przeproszeniem, z koziego kupra trąba. Karp nadal tkwił pięknie na haku, tyle tylko, że uznał za wskazane zrobić chwilową przerwę w holowaniu go na środek wodnego roztocza. Teraz za to ze zdwojoną energią przystąpił do dzieła.

Nieznajomy był w tej chwili spokojniejszy, ruchy miał bardziej zdecydowane i pewne. Ja natomiast, już nie pamiętając, kto holował tego karpia na haku, kto komu podebrał stanowisko nad wodą, zachowywałem się zgoła jak wariat. Machałem rękami, podskakiwałem, aż pomost cały, mocny przecież, niebezpiecznie chybotął, wykrzykiwałem różne rady, wreszcie złapałem za wędzisko i tak już we dwójkę próbowaliśmy holować walczącą rybę.

Bo też to i była emocja. Karp w pewnym momencie wysnuł z kołowrotka linkę na całą jej długość. Zdawało się, że pęknie lada sekunda, ale znów udało się nam zdobyć nieco zapasu. Ryby nie widzieliśmy, raz tylko fajtnęła ogonem nad wodą. I tylko powierzchnia rozlewiska kłębiła się, woda pstrzyła się płatami piany, dudniło tam i grzmiało. W momentach, gdy na krótko ustawało rwanie karpia na głębiej, próbowaliśmy z wysiłkiem nawijać linkę. Cóż z tego, gdy w następnej sekundzie korbka z szalonym warkotem wirowała w przeciwną stronę. Czas mijał, byliśmy już solidnie zmęczeni, serca z emocji pracowały jak przy największym

wysiłku, aż wreszcie szala zaczęła przechylać się na naszą stronę. Powoli, bardzo powoli coraz to więcej zwojów linki układało się na szpuli, coraz to bliższe, a już słabsze stawały się wybryzgi wody nad powierzchnią jeziora. Karp najwidoczniej tracił siły.

Zmienialiśmy się, przekazując sobie wędzisko z rąk do rąk. Bolały palce, poobijane i poprzecinane do krwi, opuchłe, każdy obrót korbki ponawiał i mnożył ten ból, poprzednio w największym napięciu emocji nieodczuwalny, obecnie dotkliwie dający znać o sobie. Ryba przybliżyła się do pomostu, oglądaliśmy się za podbierakiem. W pewnej chwili wspaniały, rzeczywiście okazowy karp wychynął nad lustro wody, zakołował, machnął ogonem, znów zafurczała linka, mknąc za rybą w głębinę. Ale ten zryw był krótki, ostatni akt desperackiej rozpacz. Teraz już holowaliśmy karpia z nie mniejszym wysiłkiem, ale niemal spokojnie. Coraz częściej zielonkawy grzbiet ukazywał się przy powierzchni, połyskiwał białozłocisty brzuch, rozwierała się paszcza.

Trzymałem wędzisko jedną dłonią, drugą kurczowo zaciskając na kołowrotku. Każdy obrót korbki był sukcesem. ' Spuchnięte, skrwawione palce jakby mniej teraz bolały, a tylko rozdygotane napięciem serce wyczuwalnie podchodziło do gardła. Sąsiad mój dyszał ciężko, choć w porównaniu z moim jego zachowanie nadal stanowiło szczyt opanowania, co zresztą uświadomiłem sobie znacznie później. Wtedy nie było dla mnie nic ważniejszego nad tego karpia-lustrzenia. Jeszcze jeden obrót korbki i jeszcze, ryba trzyma się blisko powierzchni, widać wielkie, obłe cielsko, któremu daleko do gracji tułowia lina. Karp próbuje oporu prostopadłym ustawianiem ogona, czasem trzepnie nim tak, że bryzgi biegną daleko, daleko, ale jest najwyraźniej zmęczony.

Bliżej, wciąż bliżej, dłoń zaczyna przyśpieszać obroty korbki, kątem oka zerkam, czy mój towarzysz czeka, gotów podbierakiem zagarnąć rybę. Karp coraz to wysuwa się na bok, ma wielką jak łeb cielaka gębę, widzę jego oczy z ogromniałe w pełnym grozy wytrzeszczu. Te oczy już widzą nas, przechylonych na pomoście ku wodzie, ku wolno sunącej zdobyczy. Wiem, że źle czynię, zmieniając tempo obrotów korbki, że trzeba nadal spokojnie, powoli, ale mówże ślepemu o kolorach, gdy serce już chyba nie w gardle, ale wypełzło na wargi, kolana dygocą, cały jesteś skoncentrowany w walce, zwyciężasz, jesteś górą. Więc kręcę coraz to szybciej, mój towarzysz coś woła, nie dociera to do mnie, bo oto wytrzeszczone karpie oczy, jakieś niespokojne drgnienie ogona, bo... Tak, to było w końcu do przewidzenia. Przegrałem sprawę. Na pół już usniętego karpia rozdrażniło przyśpieszenie holu, wzbudziło ostatni zryw oporu. Woda trysnęła gejzerem, zabulgotało, zaszypiało, osypały nas krople, ryba runęła w głąb, wygięło się wędzisko, niebezpiecznie zachrypiał kołowrotek, linka werżnęła mi się w palce. A ja? Najbardziej nieprzepisowo, jak partacz, jak fuszer, miał korbkę popuścić, niech

się linka rozwija od nowa, niech furczy w powietrzu, ja kurczowo, zachłannie, całą garścią usiłowałem przyhamować ostatni, desperacki zryw ryby. Trzasnęła mnie linka ostro jak biczem po twarzy, jakże, krechę czerwoną tydzień dobry nosiłem, jeszcze gdzieś u dna zakotłowała się woda i uspokoiło się, uciszyło, tylko ten leciutki powiew wiatru wraz z wzmagającą się mżawką i łomot serca, głośny jak dudnienie batalionu podkutych butów na miejskim bruku.

Zerwana linka ocalałym skrawkiem smętnie zwisała ku wodzie.

W moje osłupienie, rozpacz, żal i postępujące zgnębienie wpadł spokojny głos sąsiada z pomostu:

— Proszę, zakurcie...

Poklepałem się po kieszeni. Jak zawsze, tkwiła tam niewielka płaska butelka z palącym napojem; trudno, ma się już pewne przyzwyczajenia, na rybackiej wyprawie taki łyk jeden i drugi zawsze świetnie robi. Wyciągnąłem flaszkę ku sąsiadowi, pamiętam, oczy opuściłem w dół, ku czubkom gumowych butów, wstyd mi było mojego partactwa.

— Ja teraz nie pijam, ale dzisiaj skorzystam... Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Co za ryba...

I zaraz wyciągnął rękę:

— Ciaroch jestem... A tego karpia nie ma co żałować, niech sobie żyje. Najważniejsza była ta walka, gdy się nie wie, kto będzie na końcu górą...

Wybąkałem swoje nazwisko, podniosłem wzrok ku nieznanemu. Uśmiechnął się pogodnie, naprawdę wcale, ale to wcale nie urażony. Mnie zaś już nie żal było zagarniętego przez niego pomostu. Świetnie, zmieścimy się na nim we dwójkę.

I naprawdę mieściliśmy się. Przez długie jeszcze dni, a kilkakroć i noce, na węgorzowych zasiadkach. W te noce zwłaszcza mogłem przyjrzeć się bliżej, choć w zestawieniu z mrokiem pod ciągnącymi niebem zwałami chmurzysk śmiesznie to brzmi, ale właśnie mogłem się przyjrzeć Ciarochowi.

Nieprawdą byłoby, gdybym rzekł, że nie przyglądałem mu się także przy słońcu. Chociażby już następnego dnia po nieszczęsnej historii z karpem, gdy znów spotkaliśmy się na naszym pomoście. Bez tej wczorajszej nienawiści, ale i bez wielkiej z mej strony ochoty na wspólne przesiadywanie. Zawsze wołałem być na rybach sam. Teraz wszakże innej rady nie było. W paru dostępniejszych miejscach daleko w toń sięgała znacząca się żółtawym odcieniem tafli mielizna, wszędzie indziej namokłe, z rzadka porośnięte olszą zdradliwe

torfowiska, z dodatkowym pasmem szuwarów i trzciny, stanowiły nieprzebytą zaporę dla najbardziej nawet zawziętego wędkarza. Zostawał ten jeden pomost...

Przywitaliśmy się, parę zdawkowych słów, sfrunęły pławiki na wodę, można się było w nie wgapić bez bliższego interesowania się sąsiadem. Ciaroch miał już sporządzoną nową wędkę na karpie, z linką grubo solidniejszą niż przedtem. Uśmiechnąłem się do siebie na taką naiwność: olbrzymich karpi niewiele musiało zostawać w jeziorze, z rzadka spławiały się czasem pojedyncze sztuki. Branie zdarza się raz pewnie na tysiąc...

Jezioro stało spokojne, niebieściuteńkie, z rzadkimi, gdzieniegdzie ciemniejszymi smugami. I jasno wokoło, piekielnie jasno, jakby słońce światłem chciało odpłacić za niedawną szarzyznę i mrok.

Pławiki leżały nieruchome, nawet drobnica nie próbowała podskubywać przynęty. Od wczesnego ranka narastał żar, nie łagodzony żadnym powiewem znad wody. Najgłupsza dla wędkarza pogoda.

— Ani drgnie — ze zniechęceniem mruknąłem ni to do siebie, ni to do towarzysza.

— Ano ja — przytaknął.

I znowu nic. Jakiś krąplik złakomił się wreszcie, paskudztwo, chwast rybi, ze złością zdejmowałem z haczyka płaską, upstrzoną czarnymi plamkami sztukę. Niewielkie pasmo cienia, rzucając na wodę przez trzciny, malało wraz ze wznoszeniem się słońca. Dalej jezioro jaśniało, srebro splatało się na nim z bielą, toń przed nami nabierała przejrzystości; wyrażały kształty harującego opodal ochoczo stadka uklei. Pławiki zastygły w desperackim bezruchu.

Ziewając z nudy — zasiedziałem się minionego wieczora przy kartach — z braku innego zajęcia zacząłem przyglądać się Ciarochowi. Uderzyło mnie, że jest znacznie starszy, niż mi się to wczoraj zdawało. Musiał mieć dobrze pod pięćdziesiątkę. Oczy wyprane z koloru, coś tam migotało resztkami błękitu, patrzyły na toń spokojnie, z zastygłym w nich znużeniem. Policzki i czoło rozcinały nie zmarszczki, ale ostre bruzdy, tym wyraźniejsze przy wychudzonej twarzy. Na domiar Ciaroch prawie nie miał brwi. Nie to, że. były jasne i nie kontrastowały z tonacją skóry, ale że sterczało na ich miejscu parę mizernych kłaczek, nic więcej. Powieki za to, gdy je przymrużał, rysowały się tak ostro w swej czerni, złożonej z dziesiątków punkcików, jak u aktora na scenie.

Mimo swych osobliwych cech oblicze Ciarocha nie odbiegało od jakiejś przeciętnej; podobnych w typie twarzy wiele się mija na co dzień, nie zapadają w pamięć.

-Musiał dostrzec moje niezbyt taktowne, natrętne zainteresowanie jego osobą. Raz i drugi musnął mnie przelotnym, ale uważnym wejrzeniem. Potem wyciągnął wędkę z wody,

poprawił na haczyku przynętę, zarzucił i, nie patrząc na pławik, jakby pewny, że nadal będzie tkwił nieruchomo, obrócił się w moją stronę.

— Nie bierze.

Wyciągnął paczkę z papierosami.

— Proszę, zakurcie...

Przyjąłem papierosa, Ciaroch też zapalił i już nie zwracał na mnie uwagi, wpatrzony w nieruchome pławiki. Słońce wywlekało się wysoko na niebo, spiekota, zupełna beznadzieja. Już lepiej było wracać, razem z innymi powlec się na plażę u przeciwległego krańca jeziora. Z osobliwą satysfakcją zacząłem zwijać wędki, chichocząc w duchu, że stary Ślązak nadal będzie marnotrawił czas. Życzliwie tylko skinął mi dłonią i znów się wpatrzył w swe pławiki.

Tak było przez szereg dni, wtedy nawet, gdy pogoda bardziej sprzyjała i ryba, leszcze zwłaszcza, a czasami i tłusty, solidny lin, łakomiły się na przynętę. Bo na karpia nie mieliśmy nadziei, te wędki zawsze beznadziejnie zwiślały z pomostu. Nie-wieleśmy ze sobą mówili, nie wiedzieliśmy nic właściwie o sobie. Taki stosunek odpowiadał nam obu. Ciaroch również musiał lubić samotność. W końcu i mnie już w niczym nie przeszkadzała jego obecność na pomoście. Nie wykluczała samotności obcowania z przyrodą, tak doskonale przywracającej wewnętrzny spokój.

Któregoś dnia zdarzyła się nawet rzecz osobliwa. Oto gdy nie zastałem Ciarocha na pomoście, zaczął mnie ogarniać coraz to narastający niepokój, niczym przecież niewytłumaczony. Byłem na moim pomoście sam, liny brały ładnie jak rzadko, pluskało ich coś ze sześć w siatce, wszystkie kłopoty zostawiłem za sobą, czegoż można pragnąć więcej? Tymczasem wierciłem się, oglądałem na strony, nasłuchiwałem bezwiednie, czy nie usłyszę ciężkich, zmęczonych kroków Ślązaka. Spaskudziłem przez to ładne branie, nie w porę podciąłem, urwała się solidna sztuka.

Czas mijał, a Ciarocha ciągle nie było. Aż wreszcie nadszedł bardzo cicho, zgoła nieoczekiwanie. Natarłem na niego nieuprzejmie, czemu się spóźnił. Na mojej twarzy musiał być wyraźnie wypisany wyrzut, nie usprawiedliwiona pretensja, bo towarzysz, zrazu nie odpowiadając, niby to zajęty rozwijaniem wędek, ciągle mi się przypatrywał z rosnącym zaciekawieniem, wreszcie po swojemu, wolniutko, powiedział:

— A wtedy, pierwszy raz, tobyś mnie, synku, był utopił, gdyby można było? Co?

Pierwszy raz od naszego poznania nie uśmiechnął się, ale zaśmiał głośno, bardzo serdecznie.

Odpowiedziałem śmiechem. Ale jeszcze nie wywiązała się między nami bardziej bezpośrednia wymiana zdań. Ciaroch zakończył rozmowę zwykłym stereotypem, wyciągając dłoń z papierosami:

— Zakurczcie sobie.

I już patrzył na swoje pławiki.

Te dni nie wniosły nic bliższego w naszą znajomość. Spotykaliśmy się na pomoście tak, jak znani sobie z twarzy, co ranka mijający się na ulicy przechodnie.

Węgorzowy sezon zaczął się z opóźnieniem. Zbyt długo trwał okres pięknej, słonecznej pogody, za jasne były noce, nazbyt męcząca cisza unieruchamiała powietrze. Tego wszystkiego węgorz nie lubi.

Dopiero z nagłą bałwanilo się wszystko. Od tego dnia, parnego bardziej niż wszystkie inne, już nie cichego, ale zastygłego w martwocie powietrza, niepokojącego wylaniającymi się zza horyzontu i potem znów niespodziewanie ginącymi zwałami chmur, jakimś zaaferowaniem ptactwa i przyspieszeniem ludzkiego oddechu. Ciaroch długo wtedy wodził spłóviałymi oczyma po płaszczyźnie jeziornej, po zwałach osaczającej je wkoło trzciny, po szczytach drzew zastygłych jak kamienie przy drodze.

— Na burzę idzie. Węgorz zacznie brać.

Burza przeminęła dalekimi stronami, przytłumione tylko, huczące nadbiegały z wiatrem pogłosy szalejącej gdzieś nawałnicy. Potem i wiatr ustał, powietrze stało gęste, nasycone parnym podnieceniem oczekiwania. Chmury ołowianą ławą przygniotły niebo i ziemię, widzialność gasła w promieniu wyciągniętej dłoni. Od wody nie nadbiegały żadne lśnienia, nie było zwykłych migotań. Ciemność spleciona z harmonii ołowiu z granatem zastygła wokoło nas, bliżej siebie niżeli zwykle, w czasie dziennego czuwania nad pławikiem, przysiadłych teraz na deskach pomostu.

Ciaroch grzebał w kieszeni watowanej kurtki, przywdzianej na nocną wyprawę, szeroko rozpiętej. W nasyconą ciemność wdarł się zolbrzymiały blask zapalonej zapalki. Jak w jakimś potężnym fajerwerku, jasno zarysowała się twarz górnika, z tymi samymi bruzdami, z zapadłymi policzkami, z wargami leciutko przygiętymi do dołu. Wzdrygnąłem się na ten rozblask światła, tak był niespodziewany, ale zaraz uspokoił mnie wyraz twarzy towarzysza nocnej wyprawy. Był pogodny, pełen spokoju i jakiejś dziecięcej, szczerej radości. Takim Ciarocha dotąd nie widziałem.

Palił, ogieniek papierosa rozżarzał się mocniej, to znów przygasał, małały lub rosły na przemian cienie osaczających pomost trzciny, dzwoneczki przy szczytówkach wędek nadal milczały, ja zaś myślałem, jak mało wiemy z mym towarzyszem o sobie. Tyle dni już

spędzonych wspólnie, niemało wędkarskich doznań i nic właściwie ponadto. Cóż wiedziałem? Że jest górnikiem w Gliwicach, że mówi gwara, momentami niezrozumiałą, charkotliwą, to znów zaskakującą urodą polszczyzny. Jeszcze to, że ulokował się tutaj niedaleko, pod Pszczewem, w rodzinie dawnych swoich znajomych... To było sporo, ale to było zarazem nic. Bo jakże z tym łączyć albo jak oddzielać ten wyraz pogody, ujawniony z nagłą na twarzy w ostrym rozbłysku zapalki.

— Radziście? — spytałem.

-- Ja.

I nic więcej, tylko silniej rozżarzył się ogieniek papierosa, mocniej uwypukliły łodygi najbliższych trzciny. Zmroziła mnie ta odpowiedź, pomyślałem, że są w końcu ciekawsze sprawy w tej zastygłej w oczekiwaniu ciszy niż sondowanie mrukliwego Ślązaka. Przyciągnąłem dłonią najbliższą kiść trzciny, przygryzłem zębami i ssałem podłużny liść o ostrym, gorzkawym smaku. Niewidoczna, wyczuwalna dzięki poszumowi skrzydeł, przeleciała opodal nas kania. Zawodziła piskliwie, co jakoby zwiastować ma rychły deszcz. Na mrocznej toni rzuciła się ryba z gwałtownym pluskiem. Z przeciwległego brzegu zawtórowało temu jęklive, jakby dziecięce, pełne przerażenia wołanie. Pewnie młody zajaczek duszony przez sowę.

Ogieniek papierosa Ciarocha zaszypiał rzucony na wodę, zgasł, ciemność zwarła się, jeszcze bardziej nieprzenikniona, tyle tylko, że przybierająca jak gdyby odcień intensywnego granatu. Drażniąca nerwy cisza trwała teraz niczym nie przerywana.

I nagle cieniutki, miękki pobrzęk dzwoneczka u wędki. Obydwaj ujęliśmy za wędziska. Napięte wyczekiwanie. A zaraz polem cała melodia dźwięków i ostre, równoległe z dwóch stron, szarpnięcie. Ciaroch już się mocował z niewidocznym węgorzem. Gwałtownie zapaliłem latarkę, chwyciłem leżący między nami podbierak. Sprawnie to poszło; w siatce, mażąc ją śluzem, wił się niewielki węgorz. Haczyka nie można było wyciągnąć, połknięty został głęboko wraz ze zdradliwą rosówką. Należało wymienić przypon.

Słyszałem, jak Ciaroch śmiał się, nie chichotał, ale śmiał się cichutko. Śmiech ten wydał mi się raptem bardzo potrzebny, uzupełniający to nasze nocne czuwanie, przerywane z rzadka pogłosami nieznanego, wodno-leśnego życia. Chciałem powiedzieć mu o tym swoim odczuciu, ale tym razem u mojej wędki zabręczały dzwoneczki.

Zaczynało się wielkie branie. Już podcinałem, holowałem, błyskało światelko Ciarochowej latarki, drgał w jego dłoniach lśniący śluzem podbierak.

Trwało tak chyba z pół godziny, dobry był czas, udana wyprawa. W siatce przytroczonej u brzegu pomostu wiły się ciemnym kłębem węgorze, przy intensywnym popatrywaniu czasem jedynie na moment uwidaczniało się w jakimś skrócie białe podbrzusze.

A potem urwało się wszystko, umilkły dzwoneczki u wędek, w zamian rozdzwoniła się jeszcze chyba intensywniejsza niż przedtem cisza. Sięgnąłem po płaską manierkę. Towarzysz mój, z wahaniem, bąknął coś o chorobie, nie wymówił się jednak od poczęstunku, tyle tylko, że poprzestał na jednej miareczce. Sobie nie musiałem udzielać żadnej dyspensy ani odmierzać ilości. Alkohol okazał się potrzebny. Duszna, parna noc nasiąkała zarazem wilgocią, wciskającą się pod ubranie. Krew, zmuszona do szybszego obiegu, usuwała intruza, pulsowała rozleniwiającym ciepłem.

Paliliśmy, tytoń w takich chwilach ma osobliwy, urzekający smak. Milczenie wędek harmonizowało z kamienną ciszą jeziora i lasu. Jakby bojąc się to nasze zafascynowanie naturą naruszyć, a chcąc zarazem dać upust pragnieniu rozmowy, Ciaroch z nagłą zaszeptał. Dziwnie brzmiał ten szept: i rozbijał aurę tej nocy, i jakby ją jednocześnie dopełniał.

— Pytaliście, czym rad... Po prawdzie to bardzom rad. Na tej wodzie odżyłem...

Powściągliwy był ten szept, słowa specjalnie dobrane nie zdradzały nic z uczuć, kryjących się pod pozornie suchą relacją.

Towarzysz mój czuł się niemal szczęśliwy, jednak odczuciem szczęścia hamowanym przez niepokój, by stanu tego nie zauroczyć, nie ocknąć się w pewnej chwili z nawrotem dawnych bólów. Ciaroch od dłuższego już czasu chorował, jakieś zawile żołądkowe bóleści, gaszone lekarsstwami, pomniejszane ograniczeniami w jedzeniu, niemniej ciągle narastające, zatruwające każdą chwilę i pogłębiające lęk o najbliższą przyszłość. Ostatnio, mimo opieki lekarskiej, nie pamiętał dnia bez nawrotu bólów. Było mu coraz ciężej, ze strachem zjeżdżał na każdą szychtë, zęby zaciskał, by inni nie zobaczyli, jak coraz bardziej męczy go praca, jak zimny, złowieszczy pot osiada na czole i wciąż pogłębiają się bruzdy na twarzy... Na urlop jechał niespokojny, proponowano mu wszakże sanatorium, bał się go. nie chciał, wybierał ryzyko. I oto pomogło. Od dwóch tygodni nie zaznał bólów, czuł się coraz mocniejszy, jakby mu nawet i gęba nieco się wygładziła. Dlatego taki jest rad, nie trzeba będzie kryć się ze swoim cierpieniem, można będzie spokojnie zjeżdżać na szychtë, tak jak spokojnie siedzi się teraz nad wodą, marząc o wielkim karpniu i nasłuchując pobrzęku oznajmiającego branie węgorza...

Gdy właśnie w tej partii Ciarochowej relacji znów zaświergolił dzwoneczek, odczułem to jak najmniej potrzebny wtřęć, przymusową przerwę w zwierzeniu. Relacja była prosta, niemal pospolita, ale w ustach towarzysza wędkarskiej doli stawała się ciekawa, w określeniach jego

nabierała nowych barw, odsłaniała wyraźnie określony obraz człowieka... Odczułem zadowolenie, gdy węgorz zerwał się tym razem, prędko uciszyło się na pomoście.

Ogieniek tuż przy mnie rozbłysnął wesoło, trochę mocniejszy, jakby nabrzmiały większą pewnością siebie, popłynął nad wodą szept opowieści Ciarocha.

Doktorzy kiwali nad nim głowami, radzili przejście do łżejszej roboty. Wtedy to zaczął lekarzy unikać... Kiwali głowami, ani wiedząc, że już kiedyś przechodził podobne bóle. I też minęło, choć tam, w koncentracyjnym lagrze, właśnie się mogło utrwalić...

— Obóz? Jaki? — przerwałem.

— Dachau... Tam nas wszystkich zabrali z Gliwic. I tych z Pyskowic takż... — wyjaśnił bez entuzjazmu i zamilkł, nierad najwyraźniej, że mu przerwałem ten jego szeptany monolog.

W powietrzu zachodziła zmiana. Ustępowała parność, nadciągał rześki chłód, zagadały trzciny, wytracone z martwoty leciutkim powiewem, zapluskala woda, na niebie zanikał granat chmur, stawały się jakieś spłowiale, miejscami odsłoniły się popstrzone gwiazdami partie błękitu. Ciaroch zasluchał się i zapatrzył w to wszystko, na jaśniejszym teraz tle widziałem jego głowę spokojnie się zwracającą to w jedną, to w drugą stronę. Papierosa odrzucił, pełniejszym oddechem łapał w płuca wzmagający się powiew wiatru. Był w tym swoim skupieniu nad przemianami nocy jakiś bardzo ludzko serdeczny.

Z dalszych partii jeziora dobiegł odgłos kilku mocnych pluśnieć. Ryby zaczynały się spławiać, jakby rade z przesilenia się w przyrodzie nastroju dziwaczego misterium.

Wtedy właśnie usłyszałem inną Ciarochową opowieść, mniej już oszczędną w słowach. Jakby zachwycenie jakieś nie zezwalało mu na uprzednią kontrolę nad uczuciami. Górnik, tak zdawało się zżyty z szarzyzną miasta, z nasiąkła oliwą czernią lin wyciągowych, z pyłem węglowym, znajdował niesłychaną rozmaitość określeń barwy, miał rzadkie wyczucie piękna natury, jakąś umiejętność wtopienia się w nią i współprzeżywania... Na Śląsku nie ma takich okolic, jak tutaj. Był kiedyś w tych stronach, po latach je znów odwiedza i teraz zawsze będzie tutaj przyjeżdżał, na każdy urlop, bo na stałe się nie przeniesie, jakże odejść z Wójtowej Wsi, od swoich, nie o dom chodzi, syn młodszy odziedziczy, uszanuje dorobek ojcowski, ten, który też robi w kopalni, bo starszy się uczy na inżyniera, kto by myślał, że będzie w Gliwicach polska Politechnika, że oni będą tam kształcić swoje dzieci. Żal może tylko, że tak wielu od zawodu odpływa, a górnictwo to jak ziemia, trzeba w nie wchodzić przez pokolenia, wtedy dopiero czuje się ten węgiel...

Zasluchałem się, koczyły mnie sprawy nie dopowiedziane do końca, ale nie śmiałem przerywać, zresztą Ciaroch, mówiąc na pozór nieskładnie, ujmował swoje sprawy przedziwnie pięknie. Może było zresztą inaczej, może to moja wyobraźnia dodawała urody

jego suchym słowom, ujmowała je w mieniające się barwą obrazy. Noc zmieniająca się w nastroju, ożywające w przedświcie jezioro, ten pomost, który nas złączył, wszystko to wpływało na odbiór Ciarochowej relacji, poszerzało ją i omotywało migotliwą pajęczynką swoistego patosu. Czułem się z tym dobrze, Ciaroch stawał się bardzo serdecznie bliski, pomost bez niego byłby obcy i martwy, tak jak teraz stanowił symbol spójni i zrozumienia.

Węgorze nie brały już więcej tej nocy, raz jeszcze zaterkotał dzwoneczek, niewielki leszcz złakomił się na zastawioną na innych rosówkę, ze zdumieniem zakręcił dwa koła przy pomoście, gdy z nagłą uzyskał wolność.

Tkwiliśmy wszakże nad wędkami uparcie, także wtedy, gdy z narastającym brzaskiem Ciaroch, jakby zawstydzony ujawnieniem swojej słabości, znów umilkł, wpełzając w normalną skorupę zaprzysięgłego mruka. Chwile nas tylko dzieliły od świtu, gdy znużeni, bogatsi o niejedno przeżycie, wkleiliśmy się niemrawym krokiem do swoich domów.

Osobliwa była ta nasza znajomość, więcej nawet, szczególnego rodzaju przyjaźń. Czy łączyło nas jedynie wędkarstwo? Bo właściwie spotykaliśmy się wyłącznie na tym pomoście, zapatrzenie w pławiki stwarzało płaszczyznę współzycia i zrozumienia. W tym pierwszym roku poznania i potem, następnego lata.

Z nowym sezonem pogłębiło się zbliżenie. Częściej też wybieraliśmy się na nocne wyprawy, rok był obfity w węgorze, leszcz też się nocami łakomił, wyciągaliśmy sztuki potężne jak łopaty, płaskie, niezgrabnie szerokie na powierzchni, a tak zwinne pod wodą. Dnie mijały podobnie jak i uprzednio. Mało słów było trzeba, by tkwić obok siebie, drzeć z chłodu ciągnącego rankami od wody czy oblewać się potem w godzinach przybliżających południe. Wystarczała nam wzajemna obecność. Dopiero gdy któryś się zawieruszył, nie pojawił na czas na pomoście, drugi czuł się wyraźnie nieswojo, najlepszy połów w części nie przynosił normalnej satysfakcji.

A noce? I te, straszące deszczem, zagęszczone chmurami, i inne, o rozgwieżdżonym punktami gwiazd niebie albo zastygłe w niepojętej ciszy. Wtedy Ciaroch stawał się jakby innym, pełniejszym człowiekiem. Zwierzał się, może tylko wspominał, głośno dzielił się własnymi myślami, nie wiem, jednego jestem pewien, że byłem mu w tych momentach nieodzownie potrzebny, że dopiero moja obecność wyzwalała w nim szczerość. Słowo przeważnie bywało chropawe, relacja każda powściągliwa, mnie to wszakże w wypadku Ciarocha wystarczało najzupełniej. Nauczyłem się, słuchając, od razu pomnażać jego wypowiedź o dodatkową głębię, zaostrzać perspektywę, uzupełniać fakturę. Nie chodziło o wzbogacenie realiów, skądże miałem je znać poza zwierzeniami towarzysza wędkarskich zasiadek? Narastała tylko motywacja wewnętrzna zjawisk. Ciaroch przystawał mi do

wyobrażonych sobie bardzo konkretnych już sytuacji, więcej, mimowolnie zaczynał się stawać ich bohaterem. Dopelniał się w mej wyobraźni kształt jego osobowości, rysował coraz dokładniejszy jej wizerunek. Prosty, skromny w szczegółach, przebogaty w odcieniach. Choćby ten stosunek do Polski — ani przesublimowany, dojrzewający na romantyce niezdrowych uniesień, ani znów jęklonie wyrzekający, abnegacko cyniczny. Bardzo prosty, przyjmujący fakty tylko za fakty, liczący się z konkretem, z jednoczesnym odczuciem dumy, że jednak mimo wszystko jest tak, jak jest, że skóra warta na pewno wyprawy. Z rzadka nawiązywał Ciaroch do wspomnień z lat przedwojennych, jeśli zaś o nich mówił, to jakoś aż przesadnie bezosobowo, ciągle o innych, najbardziej anonimowo. Nie musiałem dodawać sam sobie, że ten ton przywiązania, wyrozumiałej pokory i surowości osądu to właśnie wytwór tamtych trudnych lat, coś, co wypastowane zostało w tęsknocie i niełatwym marzeniu. Niełatwym, bo jakże można było nawet w wizjach swoich obalać wszelkie dzielące od niego granice...

Był taki okres, nie wiodło mi się w pracy, zwierzyłem się towarzyszowi raz czy drugi ze swej niechęci, z zadawanego sobie przymusu, zgoła antypatii do własnej roboty. Słuchał niezmiernie zdziwiony, wiedziałem, że nie pojmował. On sam kochał swoją robotę, nie umiałby na nią kląć ani wyrzekać nawet w chwilach, gdy przyczyniała największych zgrzytów. Daleki był zarazem od uznawania jej za świętość, od przydawania jej wagi relikwii. Praca stanowiła dla niego po prostu nieodzowną treść, wypełnienie życia, jakże można było okazywać jej lekceważenie czy choćby niechęć?

Jak dwa ptaki, wracające na stare łęgi, ściągaliśmy obaj na dawne nasze łowisko. Pewnie, umawialiśmy się przy rozstaniu w pierwszym roku zadzierzgniętej przyjaźni, wiele wszakże się mogło zmienić; mocniejszy jednak okazał się przymus wewnętrzny, nie nazwane, kołające gdzieś wspomnienie pełni oddechu, odseparowania się od codziennych spraw, może także i potrzeba wzajemnej bliskości. I znów, jak przy tym karpiu, który nas wystrychnął na dudków, ale zawiązał naszą znajomość, jak przy węgorzowym nocnym połowie, znów splatały się godziny wspólnego czuwania nad pławikami, myśli i odczucia. Wróciło wszystko takie samo jak przed rokiem.

Mylilem się wszakże przy tym znaku równania. Niejedno stało się inne. Zewnętrznie Ciaroch bardzo się zmienił. Pogłębiły się bruzdy na jeszcze mocniej zapadłej, przeraźliwie chudej już twarzy, znów niżej opadły kąciki ust, do cna, zdawało się, wypłówiały źrenice. I ten kaszel, chrapliwy, wydzierający się gdzieś z bardzo głęboka, stłamszony dziwacznie, charkotliwy... Jakby się wstydził tego kaszlu. Narzekał nieudolnie, że to pewnie od wody chłód ciągnie, drapie za gardło. Bo przecież często przy takich pokaszliwaniach chwycił się

dłonią za brzuch, by przyciśnięciem uśmierzyć jego pulsowanie, pobudzone kaszlem i zdradzające atak bólu. Nie ulegał już więcej złudzeniom, jak minionego lata, ten nawrót choroby był znacznie ostrzejszy aniżeli poprzednie. Łykał białe, podłużne pigułki, zarzucił papierosy, mówił, jak łatwo to przyszło, kopał wszak od wczesnej młodości. Godził się już na wyjazd do sanatorium, niech go tam trochę podlecza, musi sobie jeszcze z niejednym filarem poradzić, na niejednej ścianie wypróbować swą siłę. Ale mówiąc tak, bywało, milkł nagle, posmutniały wpatrywał się w pławik, przy leciutkiej fali frywolnie igrający na wodzie, a źrenice zaciągały się chmurką smutku zrodzonego z rezygnacji.

Pod koniec tego drugiego pobytu poweselał jednakże górnik, jakby nawet mniej pokaszliwał, nabrał od nowa otuchy. Żegnając się, wymieniając adresy, obiecywaliśmy sobie na trzeci, przyszły sezon dodatkowe wędkarskie emocje. Zbudujemy nowe pomosty, może się wystaramy o łódkę, nudnawo przecie ślęczyć ciągle na jednym miejscu...

Pokieroszowały się moje plany. Lato mijało, wciąż tkwiłem w mieście i tylko w rzadkich swobodnych chwilach żałośnie myślałem o pomoście nad wodą, o poszumie trzciny, w nagłych przechyłach muskających po twarzy, tęskniłem też do Ciarocha. Czy już przyjechał, czy, siedząc na podmurszałych deskach pomostu, nie ogląda się za mną, nie nasłuchuje mych kroków od ścieżki wiodącej przez las. Niewiele miałem wieści od niego w minionych miesiącach. Wymieniliśmy życzenia bożonarodzeniowe, jeszcze przedtem nadeszła z sanatorium króciutka kartka z pozdrowieniami. Znamienne, poza tym naszym jeziorem, poza intymnymi nad nim zbliżeniami, nie odczuwałem żadnej potrzeby towarzystwa starego górnika. I nie odczuwałem też większych skrupułów, gdy zaraz po Nowym Roku, bawiąc w Gliwicach, miałem wolną godzinę i odrzuciłem, na rzecz drzemki w nieprzytulnym hoteliku myśl odwiedzenia Ciarocha w jego Wójtowej Wsi, przedmieściu pracowitego miasta. Ciaroch dopiero na pomoście i tylko tam stawał się nieodzowny, jako dopełnienie obrazu własnych przeżyć nad jeziorną roztoczą.

Gdy jednak któregoś wieczoru zabrałem się do przeglądania sprzętu wędkarskiego przed czekającą mnie o świcie podróżą, pamięć Ciarocha odżyła tak silnie, że nie mogłem się opędzić od myśli o nim. Jakbym już czuł go obok siebie na naszym pomoście, jakbym gorączkowo łapał wyslizgany uchwyt podbieraka, by zagarnąć weń miotającą się na haczyku rybę, jakby ten nocny jego szept, dopowiadany mi wyobraźnią, był czymś najbardziej ważnym.

Podróż minęła w gorączkowym podnieceniu. Nie umiałem się nigdy od niego wyzwolić w wielu sytuacjach życiowych, zachowywałem się wtedy szczeniacko, nieopanowanie, po prostu śmiesznie. Tym razem zemocjonowany byłem bardziej niż kiedykolwiek. Nie umiałem

wyjaśnić sobie, czy bardziej czekającymi mnie emocjami wędkarskimi, wielki karp jawił mi się ciągle przed oczyma jak żywy, czy też spotkaniem z Ciarochem, którego obecność przy mnie stała się nagle konieczna, tak jak konieczne jest powietrze dla płuc, jak zielona barwa dla zmęczonych oczu.

A potem, śpiesząc pośród pni rozrosłych, potężnych buków, ocierając się o kolczaste drutowiny jeżyn i grzęznąc w paprociach, przez które sadiłem, by skrócić drogę, tak byłem pewien, że zobaczę niepozorną, zgarbioną sylwetkę towarzysza na naszym pomoście, że gdy nagle jej tam zabrakło, stanąłem jak wryty, z poczuciem straszliwego, fizycznie po prostu bolesnego zawodu. Jezioro straciło z nagłą większość swojego uroku. Przez długą chwilę stałem bezradny jakoś w tym samym miejscu, z którego ujrzałem Ciarocha po raz pierwszy, wtedy, gdy przepelniała mnie zawiść i niechęć do osobnika zajmującego moje miejsce. Teraz gotów byłem nieomal płakać za dawnym intruzem.

Zmieniło się nad jeziorem. Wysoki poziom wody tej zimy i nagłe skoki temperatury sprawiły, że pomost, już nadwątlony czasem, nie wytrzymał, przegnił w części, a w części zwałił się pod naporem mocniejszej wichury, miotającej falami. Na wystającą jeszcze nad jeziorem zbitkę desek od brzegu nie sposób było teraz dotrzeć, żerdzie przegniły, zapadły się w głębie, jedna tylko z nich wystawała smętnie z mułu.

Ciarocha, wiedziałem już na pewno, nie ma w tym roku w osiedlu pod Pszczewem. Na pewno dawno by już naprawił pomost... Nie zabawiłem tym razem długo nad wodą, jakby z obowiązku spróbowałem tu i ówdzie dotrzeć wędką do czystej wody, zazdrośnie osłanianej szeroką warstwą wybijanej trzciny. Za najważniejsze uznałem wywiedzenie się, co się stało z Ciarochem.

Pierwszy raz byłem w domostwie, w którym zazwyczaj się zatrzymywałem. Przez minione dwa lata ani razuśmy się nie odwiedzili, jakby potrzebni sobie wyłącznie nad wodą, na łączącym nas przy niej pomoście.

Pytałem o Ciarocha, patrząc prosząco na gospodarza domostwa, by nie dopowiedział tej złej nowiny, którą już znałem, której byłem najbardziej pewien, choć nikt mi o niej nie mówił. Cóż mogło pomóc moje błagalne wejrzenie? Ciaroch nie żył, zmarł wczesną wiosną, nic już nie mogło zaleczyć ostrej gruźlicy żołądka, ostatnie stadium było galopujące, zmarł w ciężkich boleściach. Pochowano go na cmentarzu w jego Wójtowej Wsi. Kapela górnicza grała na pogrzebie, ładny podobno był ten pochówek, żona starego pisała dokładnie. Chcę może przeczytać? Nie, nie, po co mi te detale potrzebne, nasze stosunki z Ciarochem obydwały się zawsze bez szczegółów, tak było lepiej i właśnie pełniej, samemu można było

zabudowywać luki, poszerzać obraz, jak konturami znaczony skąpo odmierzanymi słowami już nie istniejącego człowieka.

Stanowczo nie chciałem żadnych dalszych wiadomości, zgrzytem byłoby teraz jakiegokolwiek uzupełnienie życiorysu Ciarocha. Dla mnie pozostawał już pełny, nic by się w nim więcej nie mogło zmieścić. Gospodarz był na pewno zdziwiony, gdy raptownie go pożegnałem i zawróciłem z powrotem jak mogłem najszybciej, w wyraźnym lęku, by coś nie zamąciło mi tej atmosfery wspomnień, w której umieściłem Ciarocha.

Pomost jednak odbudowałem. Trzy dni go kleciłem niezdarnie, ściągałem żerdzie, łączyłem je gwoździami. Nie był nazbyt pewny, chybotał, gdy się po nim stapało, ale tyle mi wystarczało. Dwa dalsze dni przesiedziałem nad wędką. Leszcze brały i liny, któregoś nadwieczera żarłoczną zgrają nadpłynęły srebrne wzdregi o karmazynowych skrzelach, wkrótce mieniła się nimi cała siatka. Tylko wędkę na karpie tkwiła nieporuszona, choć widziałem i świtaniami, i krótko przed zmrokiem, jak się spławiwały w pobliżu.

Następnego dnia nadeszła depesza wzywająca mnie nagle do powrotu. Dzień był piękny jak rzadko, cieniutka mgiełka zawisała nad wodą, trzciny szumiały cichuteńko, dyskretnie. Pociąg odchodził dopiero około północy, cały dzień miałem zatem przed sobą. Zawahałem się wszakże przez chwilę, czy znowu ruszyć na pomost. Bo mimo ostatnich sukcesów nie było mi dobrze na tych tak znanych deskach, wypolerowanych przez fale i deszcze. Nieswojo się na nich czułem, ciągle mi się zdawało, że obok zarzuca swe wędkę Ciaroch, że śledzi pławiki spojrzeniem wyblakłych oczu, dobiegał mnie jego spokojny głos, zniżany do szeptu, by nie zakłócił nocnej godziny, coraz to zadrą bolesną wyłaniała się świadomość, że to już tylko wspomnienie, przeszłość.

Odruch przyzwyczajenia okazał się silniejszy nad te wzdragania, znów ugięły się podę mną niewprawnie umocowane żerdzie, gdy przesuwałem się po nich na pomost. Tym razem ryba stroniła od haczyka z przynętą. Czasem tylko mizerna jakaś płotka dawała się skusić. Na wędkę karpiową w ogóle nie zwracałem uwagi.

Do zachodu słońca nie brakowało wiele, słońce czerwieniejąc zapadało w las. Wtedy ten karp połknął przynętę. Tak nagle i wściekle zafurczał kołowrotek, że zaledwie zdołałem uchwycić wędzisko. Walka trwała długo, mordercza zarówno dla ryby, jak i dla mnie. A potem oczom niemal nie mogłem uwierzyć, przyglądając się potężnemu, ponad metrowej długości cielsku olbrzyma. Rzadkie, wielkie łuski lustrzenia lśniły złotymi ognikami. Byłem zmęczony, ale i dumny.

Podczas holu ryby nie pomyślałem o Ciarochu ani przez moment. Dopiero później, już po podróży koleją, gdy z potężnego pakunku wydobyłem w domu rybę i znów delektowałem się

jej widokiem, coś mnie zastanowiło w wargach lustrzenia. Jedna z nich była zgrubiała, wystawała wyraźnie do przodu. Jakież było moje zdumienie, gdy po małej operacji nożem wydobyłem z tego miejsca, zasklepiony nieszkodliwie, obrosły mięsem, solidny, szwedzki haczyk. Taki, jakich używał Ciaroch. To był ten jego karp, który nas zbliżył do siebie...

Nie zdarzyło mi się wrócić już więcej nad tamtą wodę, choć nieraz o niej myślałem. Zawsze się wszystko układało inaczej, tkwiłem nad dziesiątkami jezior, nad setkami strumieni i rzek, ale w okolicy Pszczewa już nie trafiłem. Jakby złowienie tamtego karpia miało już na zawsze zamykać ten rozdział, który się wiązał z Ciarochem.

Czy jednak zamykało naprawdę?

W gabinecie moim, obok szczupaczych trofeów, wisi spreparowana głowa wielkiego lustrzenia. To karp Ciarocha. Patrząc często na ogromny łeb ryby i myślę nie o niej, ale o górniku z głębokimi bruzdami na twarzy. Niekiedy się zdarza, że czyjaś obecność jest komuś w pewnym okresie życia nieodzownie potrzebna, zostawia swój ślad na zawsze. I nie zawsze nawet wiadomo, dlaczego. Myślę, że nie zawsze też warto tych przyczyn dociekać.

WILCZY POMIOT

Deszcz zacinał z ukosa, zaganiany przenikliwym wiatrem. Pułap szarego nieba zwiślał nisko, przesłaniając wierzchołki rosnących po przeciwległej stronie szosy topoli. Pod jedną z nich z przechylonym łbem stała krowa, rozpaczliwie śledząc wybałuszonymi ślepiami strugi wody, od dwóch dni nieustannie, spływającej z niebios. Bardziej na lewo, gdzie otwierała się luka wśród drzew i krzewów, pozwalająca zazwyczaj dostrzec błękitną płaszczyznę jeziora, teraz nie było ani błękitu, ani jeziora, wszystko, ziemia, chmury, woda, zlewało się w przybrudzoną warstwę ołowiu.

W taką pogodę nie chciało się nawet rozmawiać. Obiecywaliśmy sobie z profesorem wrócić do zaczętej dyskusji, ale beznadziejna nuda, wiejąca zza okien, nie usposabiała żadnego z nas do podjęcia tematu. Nuda wyganiała nas z pokoików na górcę gospodarskiego domu, gdzie zetknęliśmy się na naszych wędkarskich wakacjach, nuda odpychała od książki, nie zezwalała nawet na sen, który w końcu również ma swoje granice. Od niechcenia rzucona przez kogoś z nas propozycja wypadu samochodowego do Chojnic albo Człuchowa — od Jeziora Charzykowskiego równie blisko było do obu tych miejscowości — również nie znalazła uznania. Na domiar złego obaj nie grywaliśmy w brydża.

Szosa, przy której mieścił się dom będący w tym okresie naszym mieszkaniem, drażniła ciemną szarością mokrego asfaltu. Wpatrywaliśmy się w nią obydwaj z nie uświadamianym sobie pragnieniem, by coś się na niej działo, coś co przerwie choć na moment melancholię ogarniającą nas coraz silniej za każdym mocniejszym uderzeniem gnanych wiatrem kropli o szybę. Ale na szosie było spokojnie i cicho. Dawno temu, wizgocząc na zakręcie oponami, przesunął się star, później przebiegł jakiś chłopak, kryjąc głowę w narzuconą na nią marynarkę, nic więcej.

Napotkałem nieszczery uśmiech profesora. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi również nieszczercze.

— Mam na górcze szereg sprawozdań, wyniki kilku lat pracy nad próbką krzyżowania siei z sielawą w głębinowych wodach mazurskich... Trzeba się przymusić i zasiać do tej roboty.

Podniósł się z krzesła. Uczyniłem to samo, myśląc o korekcie książki, która dopędziła mnie i tutaj, w czas wakacyjnego wytchnienia. Może naprawdę lepiej będzie znaleźć sobie konkretne zajęcie, nie zostawiać go na dzień, który zabyłnie piękną pogodą.

Przez siekaninę ulewy dobiegł od szosy warkot motocykla. Profesor odruchowo spojrzął w okno, zauważyłem, że nagle drgnął i przycisnął twarz do szyby, śledząc wyłaniającą się wolniutko zza zakrętu maszynę. Zastanowiło mnie zachowanie towarzysza, wpatrzyłem się również w motor, pragnąc dociec przyczyny szczególnego nim zainteresowania. Była to

zwykła WFM-ka, identyczna jak tysiące jej rówieśniczek. Prowadził ją podeszły już wiekiem człowiek, zdradzały to choćby siwe włosy, wylaniające się spod naciśniętej na czoło czapki. Twarz chuda, w niej wyraz jakiegoś napięcia, może to zresztą chłód i deszcz ściągnęły tak rysy.

Motocyklista dodał gazu, maszyna zerwała się do szybszego biegu, malała w oddaleniu, roztopiając się w dookolnej szarzyźnie.

Profesor usiadł, jakby rezygnując z zamiaru udania się na górkę do swoich sprawozdań. Te zaś nawet tematem nie ciekawiły, jako że i sieja, i sielawa odżywiają się planktonem, zatem dla wędkarza nie przedstawiają żadnej realnej wartości. To tak jakby się czytało rozprawę o wielorybach. Byłem nieco zdziwiony zachowaniem mego towarzysza, ale i to zdziwienie słabło w atmosferze tej straszliwej deszczowej nudy.

— Któż to był, profesorze, że zainteresował pana tak bardzo? — rzuciłem zdawkowo.

Przez ułamek sekundy zawahał się z odpowiedzią, potem z niespodziewaną energią przeciął powietrze dłonią.

— Chyba opowiem to panu... Kto to był? Mój najlepszy uczeń. Z pierwszej grupy absolwentów, jaką wypuścił wydział rybacki naszej uczelni w Kortowie.

— Przecież to stary człowiek — zaoponowałem.

— Jest znacznie, znacznie młodszy, niż można by było sądzić... Niedługo przestanie budzić pana zdziwienie jego obecny wygląd... Powtórzę, co wiem z tej całej historii, a tak się złożyło, że wiem sporo. Któregoś dnia może pan pojechać do tego człowieka, oczywiście nie zdradzając się, że zna pan jego dzieje. Byłoby to dla pana arcyciekawe studium psychologiczne...

W pierwszej chwili nie nazbyt entuzjastycznie usposobiony do zapowiedzi profesora — nawet ochotę słuchania gasiła ta piekielna szaruga — po dostrzeżeniu błysków podniecenia w oczach mego zawsze zrównoważonego rozmówcy nabrałem ochoty poznania losów człowieka, który minął nasze okna na swoim sfatygowanym motorze.

Rozsiadłem się wygodniej, podałem towarzyszowi ognia, sam zapaliłem. Zza kłębow dymu poczęła się wyłamać osobliwa opowieść. Zapładniała mą wyobraźnię, dodając jej nowych barw i kształtów, w niczym jednak nie naruszając głównej osnowy, nazbyt samej w sobie już dramatycznej, by coś jeszcze w niej uzupełniać.

Można by było z grubsza zamknąć ten teren wyznacznikami miast Bobolic, Szczecinka i Miastka. Określają go zwarte kompleksy leśne, nieliczne osady, oddalenie od większych szlaków, nade wszystko zaś niemała ilość torfowisk i bagien, niezliczonych jezior i oczek wodnych, w przemyślny sposób związanych ze sobą siecią strumyków i rzeczek, z których

może tylko zdążająca do Kołobrzegu Parsęta mogła, przez swą nazwę, utkwic głębiej w pamięci.

Rybakówka Bejnarowicza przysiadła u przesmyku łączącego ciąg kilku niewielkich jezior. Podłużny, niski budynek, wsparty o kamienną podmurówkę, przylegał jak wrośnięty do krajobrazu. Do domostwa przylegała inna budowla nazywana przesadnie wylęgarnią, zupełnie prymitywna, odziedziczona po Niemcach i nie doinwestowywana z uwagi na nieopłacalność dalszej rozbudowy. Na przesmyku o stosunkowo silnym spadzie czerniała wysokim okapem stawiana z dużych bierwion węgornia. Przy tym wszystkim skrawek uprawnej ziemi, zarośla trzciny i wszędobylskiego sitowia, niosąca się wieczorami, zmieszana z zapachem żywicy sosnowej, woń tartaku, tu i ówdzie ciemniejsze zielenią spłachcie kwaśnej łąki.

Tyle topografii Bejnarowiczowego królestwa, złotej żyły, jak mawiali zawistni w okolicy. Mawiać zresztą zaczęli dopiero po latach, nie wtedy, gdy z pierwszą falą osiedleńców spłynęli Bejnarowiczowie na to odludzie. Wówczas można było co najwyżej znacząco popukać się w głowę na taki wybór, gdy i domostwa, i gospodarki w pobliżu nęciły zamożnością i dalszymi perspektywami.

Bejnarowiczowi jakoś to wystarczało. Były podśmiechy z ciemnego dziada, który najpewniej przybył z jeszcze większych błot i bezludzi, więc mu się zdaje, że dopiero tu trafił do szerokiego świata. Wszakże na początku w łapciach łąził z łykowej kory, długo trwało, nim je zmienił na wygodniejsze gumiaki.

Potem przyzwyczaili się wszyscy do siebie. Do Bejnarowicza może najłatwiej. Daleki był, obcy sprawom gromady; zanurzony w tych swoich błotach i wodach, przesiąkł nawet rybim zapachem; usuwał się wszystkim z drogi, cichy i niezwyczajnie spokojny. Że zaś spode łba patrzył na ludzi, to w końcu nie grzech, każdy patrzy tak, jak mu wygodniej.

Z brygadą rybacką z pobliskiej wioski tyle miał wspólnego, że zimą razem mordowali się przeciąganiem niewodu pod lodem. Latem pilnował Bejnarowicz węgorni, godzinami tkwił w wylęgarni, gdzie w wielkich słojach wirowała szczupacza ikra, jeszcze stawków odchowowych doglądał, rybę zaś sam odławiał na stawne sieci, syn mu później pomagał, gdy trochę chłopak odrósł od ziemi.

Ta samotność na pewno wychodziła mu na zdrowie. Gdzieżby inaczej potrafił kto tyle pracować, uwijać się od szarego świtu do ciemnej nocy, a i wtedy jeszcze widać było nieraz kręczone się po obejściu światło latarni. Już przy niewielkim dynamku, dającym prąd konieczny dla wylęgarni, ciągle psującym się, wiele było roboty. A przy stawikach, przy węgorni, nie mówiąc o gospodarce; gdzie indziej i trzech by nie dało rady.

Bejnarowicz w pojedynkę sprawiał się z tym wszystkim. Niewielki, sękaty, rozrosły w barach, z krótko strzyżonymi włosami, nisko zarośniętym czołem, z nosem szerokim, z tym swoim spojrzeniem spode łba, radził sobie z robotą tak, że furczała mu tylko w żyłastych, mocnych nad podziw rękach. Już po paru latach było na co wyślepiać oczy w tej rybakówce. Rozrosły się topole, zaraz po przyjeździe sadzone, sad wiśniowy i śliwkowy, inne bowiem drzewa słabiej przyjmowały się na tej glebie; opłotowania porządne, w poszerzonym chlewie coraz więcej żywego dobytku.

Sam głównie o wszystko się troszczył. Żona też pracowita, krzątała się po gospodarce jak mogła, ale sił brakowało kobiecie, to pewne. Taka była, jakby ją życie uderzyło zbyt mocno; tkwi w nim, zastraszona i skulona, jak gdyby w obawie przed nowymi ciosami.

Go kilka dni odstawiał Bejnarowicz skrzynie z rybą do magazynu zespołowej brygady, przesmykiem przebijał się na pomniejsze, zarośnięte jeziora, kołował rzeczulką, aż wywijał na wielką wodę i wtedy furczało, gdy zagarniał wodę wiosłami. Zdarzało się, z magazynierem czy innymi wypijał kilka kieliszków, z honorem, sam stawiał na równi, twarz mu czerwieniała w takich momentach, ale językiem nie mełł zbyt wiele, spokojnie odmierzał słowa. Umiał rybę podchodzić, wiedział, gdzie żaki stawiać, a gdzie grodzić przepusty więcierzem, won-tony topił na wodzie w przemyślnych zaporach, zawsze musiała ryba w nie wejść, drgawicami nieomylnie otaczał te pasma trzciny, w których najchętniej pluskał się obły lin czy przyczajało się na południowe godziny stado leszczowe. Przy rozliczeniach Bejnarowiczowi przypadały największe wypłaty, nawet wtedy, gdy rybę szacowano niezmiernie tanio i trudno było grosz z niej wycisnąć. Węgorze z odłowni na przesmyku szły na rachunek całej brygady, było to wspólne dobro, jakąś tylko sumę za nadzór zespół Bejnarowiczowi wypłacał.

— Co się tak szarpiesz, jakbyś majątek zbierał — dziwili się przy kieliszku kumple z rybackiej doli. — Starczy wam, zdrowia byś lepiej, człowieku, żałował, wyschniesz na wiór.

Spoglądał spode łba, czoło mu się marszczyło, mała jeszcze wolna od owłosienia przestrzeń między brwiami a czołem.

— Dzieci na inny los chciałbym wychować, temu moje starania — dukał, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Przytakiwali. Prawda, czego to człowiek dla dzieci swoich nie zrobi. Nigdy nie dość zakasywania rąk.

— No to siup — stukali się szklaneczkami. — Niechże ci się dobrze chowają.

Dwoje ich miał. Chłopaka troszkę już podrosłego i dziewczynisko, małe, ledwie to po ziemi łąziło. Chuchali na nie obydwójce, Bejnarowiczowa z jakąś serdeczną czułością,

rozpieszczając nie wiejskim zwyczajem, przygarniając do siebie, całując i tuląc. Gdy wybierała się do miasta, wracała z naręczem zabawek i wszelkich słodczy. A potem, jak nastroszona kwoka wodziła za nimi spojrzeniem, coś sobie tam myśląc.

On też nie spuszczał ich z oka, jeżeli czas mu na to pozwalał. Nie pieścił się, jak matka, ostrzejszy był i bardziej surowy. Nie uśmiechał się do dzieci, podobnie jak do nikogo, taką już miał naturę. Tyle tylko, że z każdym spojrzeniem na dziewczynkę czy na podrastającego chłopaka jakby mu energii przybywało i sił.

Bo też i szczęściło się mu jak rzadko. Wiodło mu się, mnożyło, pięć krów pasło się na okolicznych bezpańskich łąkach, koń się pojawił sposobny do orki i cięższych robót, owiec cała czereda. Niemały grosz płynął też z odchowowych stawów, coraz więcej młodego szczupaka zabierano z wylęgarni w specjalnych kadziach, by go potem wypuszczać w okoliczne jeziora. A jeszcze węgornia, skrzynki doborowej ryby, odstawiane do magazynu, potem zaś plantacja wikliny.

To była rzecz, która zrodziła jakąś niechęć w okolicy do pracowitego Bejnarowicza. Parę hektarów tego było, wydzierżawionych za grosze, bo przecież na nieużytkach. Dwa lata mordował się z podmokłym, turzycą i wikszą zarosłym terenem, oczyszczał, popielił, przekopywał rydlem, chuchał na młode sadzonki. Ledwie za powrotem z połowu łódź dobiła do brzegu, biegł do z lekka czerwonych, smukłych gałęzi, przycinał, okopywał, podsycił mokry grunt nawozową mieszanką. Wtedy płacono za ten towar każdą nieomal cenę, dopiero powstawały wielkie plantacje państwowe. Zjeżdżali do Bejnarowicza kupcy, zakupując wiklinę jeszcze na pniu, sami ją potem odbierali, taplały się ciężarówki w błocie z trudem przedzierając się aż do rybakówki, wracały załadowane po brzegi. Bejnarowicz zliczał banknoty, a potem żona jego jechała do miasta, składając je na książeczki oszczędnościowe, wystawione na imię dzieci.

Te pieniądze drażniły niejednych. Ale Bejnarowicz i na zawiść znalazł sposób. Namawiał, by inni również brali się za wiklinę, dawał sadzonki, nie skąpił rady. Utrwaliła się w końcu opinia, że trudno o lepszego, spokojniejszego człowieka, a że zwariowany na punkcie dzieci, to tylko dodatkowo dobrze o nim świadczy.

Chłopak jeździł już z ojcem na rybę, wprawił się, na sieciach znał się tak dobrze jak stary, była z niego pomoc, a czasem nawet wyręka, gdy brakło czasu pojechać na kontrolę żaków czy węćierzy zastawionych na bagnistych płycznach, ulubionych przez lina. Do szkoły tylko temu Edkowi nie bardzo się chciało latać, ale ojciec był tutaj nieustępliwy. Za jakiś zły stopień sprął chłopca, pierwszy raz w życiu, ten przez tydzień nie wiedział, gdzie ma się podziać. Poskutkowało, świadectwa stawały się coraz lepsze.

Dziewczynka więcej trzymała się matki, rozpieszczana jak tylko można. Może Bejnarowicz niechętnie nawet to widział, ale słowem nie wypomniał nic żonie. W ogóle dziwny był między tym dwojgiem stosunek. Niby sobie najbliżsi, a mogło się zdawać, że się mijają bokami. Kobieta spoglądała niekiedy na męża jakoś tak osobliwie, jakby się czemuś bardzo dziwiła. Nerwowa była. Byle hałas niespodziewany, przyjazd kogoś nieznanego budziły w niej lęk; przygarniała wtedy dziewczynkę do siebie, długo trwało, nim potrafiła ochłonąć.

Nikt się nie dziwił, gdy Bejnarowicz po podstawówce posłał syna na naukę do Technikum Rybackiego. Jeszcze dwóch z okolicy to samo zrobiło. Niechaj uczą się fachu, poznają go lepiej niżeli ojcowie. Dopiero grom strzelił, gdy młody Edek zdał egzamin do Olsztyna na wydział rybacki tamtejszej wyższej uczelni rolniczej. Zazdrość i pośmieszki zlały się w jedno. Pokpiwano z Bejnarowiczowych ambicji. Sam się ledwie potrafi podpisać, a syna pcha na inżyniera od ryb. Córkę też oddał do internatu w Szczecinku, żeby tam liceum kończyła. Zwariował z tą nauką swych dzieci.

Uspokoiło się gadanie, gdy Bejnarowicza odumarała żona. Zgasła spokojnie, z dnia na dzień. Marniała od dawna, ale tego jakoś się nie zauważa, dopiero później można sobie to i tamto przypomnieć.

— Ona zawsze na pół żywa chodziła, nic ją zdawało się nie obchodzić, jedynie te dzieci. W tym się dobrali jak w korcu maku...

— Zapchał kobietę w błota i wody, gdzie ani człowieka, tylko komary i żaby, nie dziw, że dzieci cały świat jej zastępowały.

Gadali tak, przyglądali się Bejnarowiczowi, jak go ta śmierć żony obeszła. Bo dzieci mocno płakały. Edek — kończył już swoją naukę — rosił ziemię cmentarną łzami, jak czternastolatek. Bejnarowicz, tylko pozostawał taki, jak zawsze. Nic się nie zmienił. Spokojny, jedynie grdyka mu trochę chodziła jak przy wielkim wzruszeniu.

Może też więcej zaczął się garnąć do ludzi. Nie było przyjazdu do magazynu z rybami, by wódki nie postawił, nie posiedział dłużej nad musztardówką. Ale mówił mało, wtedy się tylko ożywiał, gdy mowa była o dzieciach. Cieszył się, że Edek kończy już naukę, że córka po liceum pójdzie na dalsze studia. Fach będą mieli, tłumaczył, wspomną ojca, że wyznaczył im w życiu łatwiejszą drogę niżeli sobie.

Przytakiwali, ale nie wszystkim to trafiło do przekonania. Już choćby dziewczynę po co aż tyle uczyć? Bejnarowicz bogaty, złakomią się chłopcy, dobrze wyda się dziewczyna za mąż i okaże się wtedy, że na nic nie zdała się nauka; jak inne bez tych mądrości, będzie tak

samo dzieci rodzić i garnków pilnować. Z Edkiem też cudów nie ma. To co, że ichtiologiem zostanie? Jest takich paru w Zespole w Szczecinku, a jeszcze więcej w Wałczu.

Z nich jakaś korzyść może i jest, ale oni sami co mają? Nie zarobią więcej niż pracowity rybak, gdy mu się jeszcze trochę poszczęści. Czy warto więc tyle lat, pieniędzy i wysiłku marnować?

Bejnarowicz słuchał pogwarzeń, ani zaprzeczał, ani przytwierdzał. Co najwyżej ucinał czasem rozmowę, wyciągając grosz na dalsze pół litra. A potem wracał do rybakówki i orał niezmiennie, jak dawniej.

Po odejściu kobiety pędzej się jakby zestarzał. Szpakiem obrósł, chód teraz miał cięższy, bardziej spode łba zdawał się spoglądać wokoło. Mało kto zwracał na to uwagę, dość miał każdy swoich własnych kłopotów. I tak czas pędził, ani się mogło za nim nadążyć...

Nawet odznaczenie Bejnarowicza nie uczyniło większego wrażenia. Należało mu się, ktoś inny był tak pracowity, jak on, w Zespole też dobre oko mają. Nawet zmartwili się poniekąd, że właśnie wtedy Bejnarowicz zachorował, gdy trzeba było jechać na uroczystość dekoracji.

Ciemna, bezgwiezdna noc, za oknami pociągu, monotonnie postukującego na spojeniach szyn, szerniały mat. W przedziale duszno, powietrze gęste od parujących okryć, od znużonych ludzkich oddechów. Lampa u sufitu pali się przeraźliwie mocno, nie pomaga przekręcanie kontaktu, jakiś defekt musi być w instalacji. To światło męczy zamiast uspokajać, podnieca, zwiększa jeszcze bardziej niepokój. Drażni siedząca naprzeciw ładna dziewczyna, jej nieustanne próby nawiązania rozmowy, dosyć wyraźnie okazywane zainteresowanie jego osobą.

Wstaje, przepycha się pa korytarz. Jeszcze godzina jazdy, narasta napięcie, mnożą się pytania. Dłoń dotyka marynarki, w wewnętrznej kieszeni szeleści papier. Przebłysk chęci sięgnięcia po złowrózby skrawek papieru, zaraz refleksje, właściwe po co? Zna te słowa na pamięć, krótkie, niewiele wyjaśniające, tym bardziej groźne. „Przyjeżdżaj natychmiast. Z ojcem nieszczęście. Konieczny ratunek. Ewa.”

Przed oczyma płaczą się niekształtne litery, pasek krzywo nalepiony na blankiet telegraficzny jeszcze i tym burzy porządek i ład.

Edward uśmiecha się melancholijnie. Zawsze go dręczyło poczucie jakiegoś zagrożenia, zwłaszcza zaś wtedy, gdy sprawy jego układały się dobrze. Pomyślnie zaś układały się właściwie przez całe życie. Dzięki ojcu, do którego teraz śpieszy wezwany przez siostrę, a którego spotkało jakieś nieszczęście. Jakie? Czemu Ewa nic więcej nie napisała? Może

należało zabrać ze sobą lekarza, może leki jakieś są nieodzownie potrzebne. Bo cóż może znaczyć nieszczęście? Choroba, wypadek, na wodzie o to nietrudno.

Niepokój, uczucie zagrożenia. To prawda, kiełkowało gdzieś skryte niedostrzegalnie w codziennym dniu, wyraźniej objawiające się w momentach szczególniejszej radości. Jak wtedy, gdy uzyskał dyplom, gdy niedługo potem bronił pracy doktorskiej, pierwszej na ich wydziale, gdy nie tak dawno Zosia przyrzekła mu rękę. Skądś wtedy nasączało się przecucie czegoś, co się czai za którymś węglem, niedalekie, a bardzo groźne. Może to właśnie zapowiedź nieznanych treści, konturem tylko zaznaczonych w słowach depešy?

Papieros jest dziwnie gorzki, tyle ich już wypalił od chwili alarmu spowodowanego telegramem. Od razu w całej rozciągłości przyjął przekazaną mu treść. Ewa nie należała do egzaltowanych panien, choć niewątpliwie była bardzo wrażliwa. W jej słowach nie ma przesady. Boże, żeby już prędzej znaleźć się na miejscu, żeby zacząć działać, skończyć z nonsensem męczących domysłów, pohamować rozbujaną imaginację, przypuszczającą wszystko najgorsze.

Ta dziewczyna również wychodzi na korytarz, rozgląda się, wyraźnie szuka jego towarzystwa. Gdybyż wiedziała, jaką treść ma ten pomięty świstek papieru w jego kieszeni, nie próbowałaby drażnić urodą i zaczepnością spojrzenia... Jest wyraźnie zawiedziona... Jeszcze piętnaście minut, potem szukanie środka dalszej lokomocji. Nie będzie czekał do rana, nim ruszą autobusy na trasę. Dziś jeszcze, nocą, musi się dostać na miejsce. Ewa tam czeka, skolatana, pewnie bezradna w obliczu tego nieszczęścia. Jakiego? Znów to samo, prędzej, niechże ten pociąg nareszcie stanie, sputniki latają, a komunikacja jak za Piasta...

Wysłużona warszawa trzęsie i rzuca na wybojach. Dobrze, że znalazł się kierowca, amator nocnej jazdy, to znacznie przybliżyła do domu. Prawie dwadzieścia kilometrów szosą, potem trzeba będzie sadzić piechotą, jesienią żaden wóz osobowy nie zechce się w boczne drogi zapuszczać... Że też kierowca gaduła, ciągle o coś się wypytuje, trzeba mu odbąkiwać, nie będzie się przecież zwierzał obcemu, że daleki jest teraz od rozmów, że mu się żadna myśl nie układa sensownie, wiruje wszystko, coraz to jak ognistym neonem zapala się tym jednym słowem: nieszczęście.

Nareszcie. Teraz będzie sam. Jest latarka w kieszeni. Droga tak dobrze znana. Z technikum zjeżdżał do domu co drugą niedzielę, niosło go właśnie tą drogą jakby na skrzydłach. Do domu, do obojga rodziców. Czy do obojga tak samo? Dziwne, ojciec był surowszy, oschły, często jakiś nieodgadniony, ale ojciec był bliższy. Z każdym rokiem coraz to bardziej. Z narastaniem świadomości, że ten człowiek im wszystko poświęca, swym

dzieciom, że karmi nimi swoje nadzieje, ambicje, może przygłusza własne zawody życiowe, rozterki i niepokoje.

Nietrudno było odczuć ten bezmiar oddania, dziwny u prostego przecież, chociaż mądrego na swój sposób człowieka, już nie zwyczajną miłość do dzieci, ale jakieś jej wysublimowanie, uświęcenie nieomal. Ewa mniej to odczuwała, bliższa matce, choćby już jako dziewczynka. On sam zaczął lepiej pojmować ojca dopiero wtedy, gdy znalazł się w technikum, gdy z oddalenia zaczął patrzeć na niego. Ewa trzymała się jeszcze fartuszka matki. Albo na odwrót, to matka jakoś kurczowo garnęła się do Ewy. Tak jak przedtem zdawała się czerpać całą siłę życia z faktu istnienia ich dwojga.

Rodzice. Dziwne, ale właściwie nigdy nie miał czasu zastanawiać się bliżej nad nimi. Istniało coś osobliwego w ich życiu, coś zaskakującego niedopowiedzeniem. Dziwny lęk matki, gdy czasem patrzyła za ojcem, albo kiedy indziej coś zupełnie innego, tylko jak to coś nazwać, przecież nie wyzwanie ani nienawiść. Była raczej milcząca; jeśli mówiła więcej, to tylko wtedy, gdy tuliła ich dwoje do siebie, obsypując pieśczośliwymi słowami. Nigdy też nie lubiła wspominać przeszłości, na ich pytania odpowiadała zdawkowo. I jeszcze jedno. Parę razy uderzyło go, jak nie reagowała na słowa o ojcu, najpewniej uważając to za tak oczywiste, że nie wymagające już potwierdzenia. Ale właśnie tego potwierdzenia mu brakło. Gdy zdał egzamin na wyższą uczelnię, przyjechał do domu niesłychanie szczęśliwy, powiedział w jakiejś chwili do obu kobiet:

— Prawda, jaki z tego naszego ojca dobry, przedobry człowiek?

Ewa podchwyciła jego słowa, odczuwała przecież to samo, ale matce ścięły się wargi, schyliła się, udając że poprawia coś przy spódnicy. A potem w oczach jej dostrzegł ten dziwny wyraz, rozbłysk jakiś, ułamek chwili, już znowu nic, powieki leniwie zasunęły się nad źrenice. Skąd się to w niej brało, czyżby w początkach ich pożycia były jakieś niesnaski, tarcia, które echami wracały później tymi rozbłyskami wyrzutu czy kiedy indziej wyraźnym lękiem?

Błoto, na tym odcinku rozmiękła glina, trzeba uważać, aby się nie pośliznąć. Noc chłodna, dobrze, że nie zacina deszczem. Byki ryczą po lesie, co za siła popędu, każąca im przedzierać się kilometrami, stawać się mniej czujnymi na niebezpieczeństwo, co za nieodparta potrzeba rozrodu.

Z najdawniejszego dzieciństwa zachowało się mgławicowe wspomnienie podobnego obrazu. Ciemnej nocy, błota, wyziewów ciągnących od bagien, ryku jeleni. To była wojna, mijająca ich dalekimi stronami, z rzadka znak dając o sobie. W taką noc ojciec raz wrócił, jakoś często musiało go nie być w domu, niewiele wspomnień kojarzyło się z nim z tamtego czasu.

Krzyki jakieś, matka na podłodze, pewnie zemdlona... Wieleż mógł wtedy mieć lat? Trzy, cztery?

Śmieszne, ale do dziś nie wie, skąd rodzice pochodzą. Zza Buga, z kresów, z takich samych bagien i rojstów, również znad wody? To były nazwy, które padały zawsze bliżej nie określone. Matka wspominała raz o jakiejś rzece, ojciec rzucił coś o wielkich błotach, że łosie nawet trzymały się jeszcze okolicy. Trzeba się tego dowiedzieć, ojciec na pewno objaśni dokładniej.

Ojciec. Nieszczęście. Czy będzie jeszcze mógł odpowiadać? Może jest ciężko chory, raniony, może teraz właśnie, w tę ciemną noc, kona, a Ewa krąży przy nim bezradna, czekając rozpaczliwie na brata.

Przyśpieszył kroku, rzucając snop światła latarki pod nogi. Zaraz skończy się glina, będzie kawałek leśnego traktu, raźniej się pójdzie, A potem zaczną się płaszczyzny torfowisk, zagaję czarnej olszyny, przegroda jednej i drugiej rzeki, za nimi bór świerkowy, skąd trzeba skrócić w prawo, od rozstaju, pełną wybojów, na pewno teraz straszącą kałużami boczną drogą, zejść aż nad strumień, jezioro i wreszcie nad przesmyk, prowadzący prościutko na opłotowane podwórze domu. Jakże niedawno jechali tędy bryczką wraz z profesorem. Profesorowi wypadł służbowy wyjazd w koszalińskie strony. Wtedy Edward zgłosił się ze swą prośbą. Że oto ojciec nie mógł wziąć udziału w uroczystości doktoranckiej, tak się złożyło. A on wszystko ojcu i tyłku ojcu zawdzięcza. Więc gdyby profesor zechciał uczynić zaszczyt, przyjąć gościny, choćby najkrótszą... Nie odmówił, zawsze był taki, zresztą pierwszy doktorant, to również coś znaczy.

Słoneczny był dzień, wszystko wabiło, wyglądało zupełnie inaczej. Profesor wesoły, ożywiony bardziej niż zazwyczaj. Nocował wtedy u nich, gratulował ojcu takiego syna... Wtedy to właśnie ojciec się uśmiechnął. Naprawdę uśmiechnął się. Nigdy nie było w nim bowiem ani cienia uśmiechu, zawsze ten zgorzkniały grymas wokoło ust. Ale wtedy uśmiechnął się, powiedział, że się czuje szczęśliwy. Edek jego już stanął na własnych nogach, będzie prawdziwym człowiekiem... Dziwne, skąd się u niego wzięły te słowa: prawdziwy człowiek. Podobały się profesorowi, uściśnął rękę ojca. Bez słowa. Ten gest pasował najlepiej.

Z jaką radością wiozł profesora tą drogą. Dzisiaj przemierzą ją znowu. Noc w miejsce dnia, czerń zamiast blasków. Radość zastąpiona słowem: nieszczęście. Zszyfrowanym słowem, nie można odczytać pod nim realnej treści. A zarazem słowem tak bardzo jednoznacznym.

Pierwszy mostek, za nim zagaję olszy. Potem znowu rzeczulka, jedna opodal drugiej, niby bliskie sobie, a jednocześnie obce. Coś podobnego kryło się w stosunku wzajemnym ojca i matki. Niby bliscy, ale też przepływali opodal siebie, nie łącząc nurtów. Może mu się tak tylko wydaje, słowa depezy każą również wszystko inne widzieć na czarno. Każde z rodziców było sobą, dwa charaktery, po co je łączyć we wspólny kształt.

Byk jakiś znów ryczy. Dopiero pochrapywał, a teraz dudni na cały las, młode samce kładą poroże po sobie, tęsknota do nie zaznanej jeszcze miłości pomrukiem gaśnie w ich gardłach... Od drugiej strony jeziora szcękają psy. Dobrze, że nie wyją, wycie podobno śmierć głosi... Też pomyśl, serio traktować bzdury, babskie wymysły. Świat jest realny, końca życia ludzkiego nie obwieszcza psim wyciem. Nigdzie też nie powiedziano, że to właśnie musi być koniec. Nie wolno tak jednoznacznie interpretować depezy. Ewa wyraźnie pisze, że potrzebna jest pomoc. Pomoc niesie się żywym. Ojciec żyje, na pewno...

Woda przy dynamie szumi jak zawsze. Cisza stoi nad rybakówką jak we wszystkie minione noce i dni. Ewa pisze: nieszczęście. Nie mieści się ono w wyobrażeniu pod tym dachem, ale, okazuje się, jest.

— Edek?

— Ja Ewuniu. Co się stało?

Z nagłym wybuchem płaczu padła w jego ramiona. Utulił ją serdecznie, ale i niecierpliwie, powtarzając ciągle swoje pytanie. Nie mogła się opanować, wśród szlochu jednak to wreszcie zrozumiał, zrozumiał, ale nie pojął:

— Ojciec aresztowany... Coś strasznego. Nie pojmuję, wielka nieprawda i krzywda...

Odetchnął z ulgą. Więc nie wypadek, nie ciężka choroba. Aresztowanie. Za co, dlaczego? Najpewniej omyłka, wyjaśni się, cóż by mógł ojciec przewinąć? Nie jest więc źle, bał się, że coś znacznie gorszego...

Ewa nie mogła powstrzymać szlochu. Czekając na brata, hamowała się całym napięciem woli, teraz, znajdując opiekę, nie potrafiła już panować nad sobą.

Tuląc siostrę w objęciach, wprowadził ją przez uchylone niskie drzwi rybakówki do wnętrza domu.

— Jakieś wojenne zarzuty... Że ojciec to nie Bejnarowicz, ale zupełnie ktoś inny. Straszne rzeczy. Ale to na pewno nieprawda, powiedz, Edek, że nieprawda, bo ja już nic nie rozumiem, ja się zupełnie w tym gubię. Powiedz, kochany, że to nieprawda, że nieprawda, nieprawda... — powtarzała, nie mogąc oderwać myśli i uczucia od tego jednego, jedyne słowa, najważniejszego, decydującego ostatecznie o wszystkim.

Ujął ją mocno w ramiona, zajrzał w napuchłe od płaczu oczy:

— Nieprawda — powiedział z całą mocą, z najgłębszym przekonaniem.

Bejnarowicz siedział między dwoma milicjantami. Twarz miał spokojną, jakby nieczuła na dziesiątki skierowanych na nią spojrzeń. Ci, którzy znali go bliżej, nie znajdowali w całej postaci tego człowieka żadnej zmiany. Niewielki, sękaty, rozrosły w barach, z krótko strzyżonymi włosami, nisko zarośniętym czołem, z szerokim nosem, ze spojrzeniem spode łba. Żyłaste dłonie, te same, które zdumiewały wszystkich swoją pracowitością, spokojnie spoczywały na kolanach. Patrzyli na nie, ale nikt już nie myślał o ich pracowitości, każdemu stawał przed oczami inny obraz tych samych rąk.

Duża sala sądu w mieście wojewódzkim zapelniona do ostatniego miejsca. Przewód sądowy trwał drugi dzień, świadkowie składali zeznania. Trzech adwokatów poszeptywało cicho do siebie.

Przez zakurzone okna wpadało chłodne zimowe słońce, wydobywając warstwę kurzu na sędziowskim stole, podkreślając zacieki na ścianie, zapalając błyski w poszerzonych grozą i nienawiścią oczach słuchających rozprawy ludzi. I tylko oskarżony zdawał się nie reagować na słońce, na słowa, które padały wokół, a gdy raz podniósł twarz wyżej, w jego niebieskich oczach odmalował się jedynie wyraz naiwnego jakby zdziwienia.

Wysoki mężczyzna stara się panować nad sobą, mimo to głos mu się łamie, twarz ściąga przykrym grymasem.

— ...To już było, proszę Wysokiego Sądu, przed samym wkroczeniem wojsk radzieckich do Dryświat. Braśław był wolny. Niemcy dawno zwiali, ci z cywila, gestapo i żandarmerii, wojsko tylko kręciło się jeszcze po lasach. Brat poszedł do sąsiedniej wioski, niedaleko, córkę miał tam zamężną, chciał ją odwiedzić, bo zległa na krótko przedtem. Nie wrócił. Różnie ludzie gadali, wspominali też o tym diable... — głos jego załamał się, umilkł, sędzia wykorzystał ten moment, by nakazać świadkowi spokój. — Jak tylko było już można, wyjechaliśmy do Polski. O bracie pamiętaliśmy, na mszę dawaliśmy za jego duszę... Jeszcze wtedy, jak w „Głosie Koszalińskim” napisali, że Jan Bejnarowicz został odznaczony za dobrą pracę, tyle pomyślałem, że i imię, i nazwisko jak ulał pasuje do brata, ale Bejnarowiczów dużo przecież na świecie. Syn tylko zaczął mi głowę zawracać, żeby się dowiedzieć, sprawdzić, bo czytał gdzieś, że czasem podszywają się niektórzy pod nazwiska nieżyjących. Pojechałem do Wałcza, gdzie jest dyrekcja rybackiego okręgu, pytam się, nie wiedzą, odsyłają do personalnego. Tam wszystko się zgadza, tyle tylko, że w latach różnica, brat był o wiele starszy. Miejsce urodzenia, imiona rodziców, wszystko... Z nóg mnie ścięło, przecież to ktoś za brata mojego się podał... Pytam, jak wygląda, mówią, kręcę głową, ale coś mi się po

niej kołacze, aż dopiero żona w domu przypomniała, że tak wyglądał Jakiś, ten rzeźnik, morderca, którego bali się-wszyscy w całej okolicy, żaden Niemiec tak się ludziom nie przysłużył, jak on... Zameldowałem milicji...

Sala patrzy na Bejnarowicza-Jakisa, który zamordował człowieka po to, by ukraść mu jego imię. On jeden pośród wszystkich obecnych jest tutaj spokojny. Twarz wysunął teraz lekko do przodu, by padało na nią słońce, wygląda, jakby się grzał, bo i powiekami przykrył leciutko oczy.

Ktoś wzdycha ciężko, ktoś inny łapie się dłońmi za gardło, ostatkiem nerwów wytrzymując napięcie.

Przed zespołem sędziowskim stoi kobieta, wąskie ramiona drgają, ale głos jest przeraźliwie spokojny.

— On znalazł z drugim jeszcze, jakimś nieznanym, tych dwoje Żydziąt, któreśmy w szopie r. mężem chowali. Psa miał takiego, wilczura, wyczulonego specjalnie na Żydów... Na tych małych tego psa poszczuł, uciekały, a zwierz je szarpał. Potem je dobił Jakiś strzałami, jeszcze kopnął młodszego... Starego mojego zastrzelił w miejscu, na progu, tak samo starszego syna. Mnie z dwojgiem maleńkich, jedno było jeszcze przy piersi, pogroził tylko. Śmiejąc się, poszli dalej... Poznają go, niewiele się krwawy hycel zmienił, jakby ten sam, a ja jakbym to samo, co wtedy, widziała, jakby te strzały znowu się rozlegały...

Jedno wielkie napięcie, nie słyhać nawet oddechów. Kobieta mówi wolno, ciągle tak samo przeraźliwie spokojnie, tylko jej wąskie ramiona drgają, drgają. Sędzia nie zadaje pytań, adwokaci też milczą, jacyś ludzie wyprowadzają kobietę z sali.

Idzie między nimi, wpatrzona przed siebie pustymi nie widzącymi oczyma, które mają teraz przed sobą tylko jeden, tamten obraz, nic więcej, które nawet po sylwetce zbrodniarza prześlizgują się z jakąś przerażającą obojętnością.

Padają słowa sprzed sędziowskiego pulpitu, spokojne albo nabrzmiałe rozpaczą, pęcznieją odradzającą się po latach grozą. Nie ma na tej wielkiej sali słońca, choć wpada chłodnymi blaskami przez zakurzone okna, twarze obecnych zlewają się w wielką bezkształtną masę, jedynie realną, przeraźliwie realną pozostaje twarz Jakisa o niskim czole, twarz obelżywie spokojna, o oczach na pół przysłoniętych powiekami. Może i w nich jednak odżywają tamte obrazy?

Brasławszczyzna, szerokie pasmo od Turmontów i Widz przez Dryświaty aż po Przebrodzie i Dzisnę. Połacie puszczańskie, rzeki, jeziora, bagna i torfowiska, nieprzebyte obszary falujących trzciny i szuwarów, pośród tego wszystkiego ludzka bieda, kraszona swoistą rezygnacją i melancholią. Tuż przy łotewskiej granicy wioszczyzna niewielka,

słomiane strzechy, nie na każdej chacie jest komin, żmudna orka niewybrednej ziemi, łapcie łykowe na nogach, miarowe nawijanie kołowrotów na łodziach ciągnących rybackie sieci. Niby wojna wokoło, a wszystko niemal jak dawniej, tyle, że się ludzie pozmieniali w urzędach, jeszcze bardziej ich trzeba unikać, zniknął nawet język porozumienia. Ale od toru ciągnącej gdzieś daleko przez Brasław kolei niosą się nocami wybuchy, czyjaś ręka rwie szyny, wykoleja wagony. W odwecie niknie spokój osiedli i wiosek, karne ekspedycje palą, grabią, zabijają starych i młodych. Żandarmi, gestapo, razem z nimi białoruska policja, psy najbardziej znienawidzone.

Kto pojmie, czemu Jakiś z małej, przytulonej do dawnej granicy wioszczyzny przystał do tej policji? Ani Polak, ani też Białorusin, tutejszy po prostu, przy splechciu ziemi i bezmiarze wody wiodący swój żywot ni gorzej, ni lepiej od innych, korę brzożową mieszający na przednówku z resztkami zboża, nie mądrzejszy ani głupszy od swoich sąsiadów, umiejący się tylko podpisać i odsylabizować drukowane, nie taki znów młody, żonaty, dziecko baba jeszcze przy piersi nosi, właśnie Jakiś ręce wyciągnął po mundur i władzę. Wielką władzę, nieomal że boską, władzę życia i śmierci; tej drugiej zwłaszcza. Dobrze musiał służyć, skoro mu jakieś tam odznaki szarży zabłyśły na naramiennikach, a władza coraz się pomnażała w zakresie. Nawet psami szcudrzej go obdzielono; jak przedtem z jednym chadzał, teraz potrafił aż trzy spuszczać ze smyczy, by gnały za ludźmi, skacząc im od razu do gardeł, jak były uczone.

Wody nadbrzeżne jezior i rzeczulek barwiły się krwią, jeszcze jej więcej wsiąkało w pył ulic wioskowych, w bruk miasteczek. Na całe Brasławskie okrył się Jakiś sławą pierwszego rzeźnika. Mordował z ochotą, spokojnie, z uśmiechem, mordował kulą, widłami, buciorem wdeptanym w czyjeś gardło ciężarem całego ciała. Pierwszy szedł na wyrzynanie zgromadzonych w getcie brasławskim Żydów z całej okolicy. A potem tych Żydów tropił po schowkach i zakamarkach, węszył po domach i po leśnych ziemiankach, wytrząsał z ukrycia w trzcinach, z szałasów stawianych na najbardziej niedostępnych mokradłach.

O swojej wiosce mało pamiętał, niewiele w niej także mordował, głupstwa same, raz się mu tylko czy dwa coś takiego wydarzyło. Dom odwiedzał czasami w napływie wielkiej łaskawości. Bywało, żandarmi w podzięcie za wyрекę samochodem go odstawiali. I zawsze z psami, czemuś je sobie szczególnie upodobał. Gdy z gettem w Brasławiu nastał już koniec, a tylko w Dryświatach samych niewielka grupka została przy jakichś robotach, tam Jakiś zjechał na swoje święto. Przez jeden dzień Żydzi w Dryświatach przestali istnieć. Jakiś ze swoimi, pijany, ganiał za którymś, co to zdobył się na odwagę ucieczki. A potem, w nocy, do swojej wioski się zwałił. Jeszcze z jakimś kompanem, z psami. Cholewki buciorów zakrzepłe

rdzą, zapaszek krwi, jak od rzeźnickiego fartucha, bił od niego samego. Kobieta w płacz i w jęk, wtedy psy wołał, kazał gryźć kobietę, gryźć, ale nie zagryźć na śmierć, dla nauczki jedynie, dla poszanowania męzowskiej władzy. Musiała przez resztę życia nosić ślady, takie rany nie zablizniają się bez niepoznaki... W drugim pokoju dziecko płakało, chłopiec, nawet nie zajrzał do nie^ go. A rano znów w drogę, po drodze polowanie na ludzi...

Znał te mokradła i wody, i błota jak mało kto inny. W lasach mógł wskazać każdy przesmyk, przeprowadzić najbardziej nieznaczną ścieżyną. Szczęście miał, aż w głowę niejedyn zachodził, jaki to bies osłania krwawego Jakisa. Zmawiali się na niego, nieraz pognały za nim kule, na śpiącego z nożem się zaczajano, granat wybuchł pod wózkiem, na którym jechał, zawsze wychodził z tego cało, a potem jeszcze gorzej się mścił, nowy sposób obmyślił — nie zabijać od razu, wysyłać ludzi na drugi świat bez popłochu, na raty. Aż sami Niemcy musieli go czasem mitygować...

Nie było słyhać, żeby rabował czy złotem się kazał za łaskę życia wypłacać, żeby Żydów obdzierał. Żona w biedzie żyła, rzadko kapnął jej jakimś groszem, gadano, że brać tej strasznej krwawicy nie chciała, tego nie dojdiesz, daleko wszysej chatę ich omijali. Dzieciak, chłopaczek, sam się babrał w błocie podwórza, inne dzieci go unikały, szedł i za nim zaduch ojcowego rakarstwa na ludziach. Nie wiadomo, skąd się w nim okrucieństwo wzięło. Przed wojną ani się rwał do jakiej władzy, ani więcej od innych był skory do bitki, samogon ciągnął też w miarę, a później przy tej krwi rozpić się potrafił do nieprzytomności. Pili oni wszyscy; mówiono, że bez wódki szło im mordowanie niesporo, dopiero po picciu zwierz z nich wyłaził. Ale Jakiś i tutaj był inny, on pil dopiero potem, z uciechy, z radości po skończonej robocie... Odwagę miał szatańską. Inni gromadą ruszali poza miasteczko, on swoją powózką, tyle, że z psami, pchał się w największe odludzie, w gąszcze i błota, i ciągle szukał. Jak nie było winnego, jakiej to zresztą winy było trzeba, mordował pierwszego ze spotkanych na drodze. Zawsze mógł się potem tłumaczyć, że za sabotaż, za trzymanie z partyzantami, za obrazę Hitlera, mało to było powodów, by człowieka zgnieść jak wesz?

Do ostatka wytrzymał. Niemca żadnego nie było w okolicy, uciekli żandarmi, rozsypały się posterunki białoruskiej policji, a Jakis jeszcze wojował z ludźmi, przysparzał roboty świętemu Piotrowi. Czart prawdziwy, nie człowiek. Musiała go chronić nieczysta siła. Dostał się w partyzanckie ręce, psy leżały zastrzelone na stronie, jego wciągano na gałąź. Zadyndał już, dławił się ostatnim charkotem, kiedy zjawił się nagle uciekający przed żołnierzami radzieckimi oddziałek Wehrmachtu. Tamtych partyzantów niewielu było, podali tyły. Odcięty z postronka, zwalił się Jakis na ziemię, wróciło mu czucie, twardy był, że ani kijem go nie dobijesz.

Ale wtedy już zniknął, jakby się zapadł pod ziemię, władza przecież nastąpiła nowa, radziecka, gadano, nie żyje. Ludzie gdzieś go pojмали, samosąd zrobili, nawet go nie grzebali. To znowu, że aż do Rygi przed sąd został zabrany. Nie wiedzieć kiedy zabrakło i jego żony, i chłopaka, dziewczyny też, zległa bowiem kobieta na krótko przedtem. Drzwi domu zostały zaparte, ale w środku nic nie ruszone, jak dawniej. Mówiono, że tych troje ktoś zgładził, żeby nie zostawiać przy życiu wilczego pomiotu...

Gęsto na sali od tych słów. Przeszłość okazała się bynajmniej nie przekreślona, wróciła przeraźliwie żywa w ludzkim wspomnieniu. Zimowe słońce chłodnymi blaskami przesącza się przez zakurzone okna, na sali opar jakby od tamtej krwi. Ciemno od niej, czerwono, oddychać czym nie ma...

Płyną wciąż głosy, każdy inny, ale taki sam w swej treści. To już nie słowa, to sama krew, krzyk mordowanych, rechot mordującego. Wokoło zaś panorama tamtych lasów i wód, opary trzęsawisk, czerwone teraz, pełne drgających migotań. A z przodu, na ławie, ta sama sylwetka człowieka, przerażająca spokojem, straszna obojętnością wobec tego, co wypełniło się. Kwadratowa twarz, niskie czoło, oczy na pół przysłonięte powiekami, na kolanach złożone żyłaste, mocne ręce, które tak umiały mordować. Ręce w bezruchu, w spoczynku, żadne drgnienie nie przebiegnie po palcach, żaden skurcz ich nie ze-gnie w gwałtownym wstrząsie.

Wszystkie spojrzenia biegną ku tej sylwetce, jedno ściągają drugie, wielka musi być zogniskowana siła tych spojrzeń, złych, nienawistnych, wzbierających żądzą zemsty, spóźnionego choćby odwetu. Może Jakis nawet i widzi, może wyczuwa te spojrzenia, ale i to nie wytrąca go z przerażającego spokoju. Poszum biegnie wśród zgromadzonych, zły, niebezpieczny rozgwar, prostują się czyjeś sylwetki, ktoś wstaje, z czyjegoś gardła bucha pod sufit straszliwy krzyk, rumor się robi, milicjanci własnymi ciałami chcą osłaniać oskarżonego, sędzia wali w pulpit, żąda spokoju.

Podniecenie nie wygasa, przyczają się tylko. Człowiek, o którym ciągle się mówi, którego życie obecni tu o ileż intensywniej przeżywają niż on sam, trwa w bezruchu. Krew odżywającego wspomnienia osacza go, paruje krew z tej sali, czy naprawdę nic nie dociera do niego, nic, zupełnie już nic?

Niektóre spojrzenia biegną również gdzie indziej. Do tyłu, ku jednej z ostatnich ław, przeznaczonych dla publiczności. Tam, również zastygły w bezruchu, siedzi człowiek. Młody, o ciemnych włosach, wychudzony straszliwie i blady, dłonie ma też złożone na kolanach, splecione ze sobą z całej siły, zbladłe na skutek odpływu krwi, jakby je śnieg osypał. Głowę trzyma sztywno wzniesioną, w oczach groza, niezrozumienie, narastająca, z każdym zasłyszonym zdaniem nasilająca się trwoga.

Pojawia się on na sali co dzień, nie ugina się pod naporem zmartwychwstających nieznanych faktów, odwrotnie, jakby się prostował, jakby znajdował w sobie siły, pomagające mu dźwigać nadludzki ciężar. I tylko w oczach coś zaczyna się zmieniać. Z białych, jakby wypranych, stają się ciemne. Jest w nich coś niepokojącego, chwilami szaleńczego, jest udreka i ból mocniejszy nad bóle wszystkich świadków, uczestników, obserwatorów.

Ludzkie spojrzenia nie wytrzymują długo tego widoku, odwracają się, łatwiej im już sycić się oskarżonym, jego wyzywającym spokojem.

Z dnia na dzień rozrasta się gmach zbrodni, pęcznią akta. Narasta atmosfera oczekiwania, dopełnia się jakaś krucha miara sprawiedliwości. Prokurator mówi teraz cicho, jakby się bał krzykliwych słów w tej sali, gdzie wszystko krzyczy i woła tak, że zagłuszyć tego nie można. Raz jeszcze sumują się minione dni sądowego przewodu, niepełna, ale już przelewająca wszelkie tamy, odsłania się zbrodnia.

Sędziowie tkwią za stołem z głowami opartymi na dłoniach. Adwokaci znużonym wejrzeniem wodzą po ludzkich twarzach, jakie szansę ich obrony, jak kruche wszystko, cokolwiek można by było przeciwstawić oparowi, który tu zawisł nad salą. Trwa w bezruchu oskarżony. Dziś nie ma słońca, które by grzało twarz, więc głowę ma cofniętą lekko do tyłu. Napięte oblicza publiczności, świadków, obserwatorów, przygodnych gapiów, teraz też przemienionych, też stających się jakąś częścią dokonującego się wymiaru sprawiedliwości.

W tylnych rzędach wyprostowana sylwetka młodego bladego straszliwie człowieka. Wzrok utkwiony w twarzy prokuratora. W umyśle chaos, tylko szczegóły są przeraźliwie jasne. Jakże wszystko staje się zrozumiałe, wszystko prócz okrutnej istoty tej prawdy, dlaczego, po co, czemu mordował? Oto obraz tamtej wioski w Bratysławskim koło Dryświat, nad dawną łotewską granicą. Błota i wody, las i chaszczce, odludzie, spokój. Jak tutaj, jak wkoło rybakówki, okolonej drzewami i szumiącymi trzcinami. Oto matka, która nienawistnie odnosi się do psów. Prawda, miała dziwne, postrzępione blizny na szyi. Spojrzenie tej udreconej kobiety, trwożne, czasem nasilało się nienawiścią, jakże była bez tej całej wiedzy dzisiejszej nieodgadniona. Uparta samotność i zachłanna pracowitość człowieka, który teraz z niepojętą obojętnością przysłuchuje się rozsnuwanemu przez prokuratora obrazowi. Odmowa przyjazdu na uroczystość doktoratu, zaszycie się w swojej samotni pod pozorem choroby w dzień przypinania odznaczeń. I ten odżywający w najpomyślniej szych momentach życia niepokój, uczucie strasznego zagrożenia.

W kieszeni tkwi jakiś papier, uwiera. To list Zosi, zrywający niedawne zaręczyny. Nie mogło przecież stać się inaczej. Na rękawie żałobna przepaska. Pamięć Ewy. Może to

naprawdę było dla niej jedyne wyjście? Dla niej, lecz nie dla niego, wilczemu pomiotowi też pisana jest jakaś częśćka, której na nikogo innego przerzucić nie sposób.

Nateża się głos prokuratora. Skończone podsumowanie, pora na wnioski. O szyby okienne strugami uderza deszcz. Świadomość tego nie dociera na salę. Nad czas, pogodę, nad wszystkie codzienne sprawy silniejsza jest treść słów oskarżyciela. Nie ma w tej sprawie jakichkolwiek okoliczności obciążających, nie ma świadków mogących choć ułamkowo zmniejszyć odpowiedzialność za winy, nie ma żadnego do przyjęcia świadectwa obrony...

Dreszcz przebiega nagle wszystkich obecnych. Dreszcz ten tym razem staje się także udziałem oskarżonego. Odwraca głowę, zaplata dłonie, przeraźliwie szeroko roztwiera oczy.

Siedzący spokojnie w ciągu całego przewodu młody człowiek o wychudzonej, zbiedzonej twarzy podnosi się nagle, przerywa słowa oskarżyciela, krzyczy pełnym rozpaczny głosem:

— Jest takie świadectwo! Jest! Ja nim jestem i siostra moja, która świadczyć już sama nie może — wymowny gest w stronę żałobnej przepaski. — My jesteśmy świadectwem obrony! Przez to, jak rośliśmy, kim zostaliśmy, poprzez poświęcenie, ofiarność, miłość tego człowieka... Naszymi studiami, nauką, czystością sumienia możemy świadczyć, że było w naszym ojcu coś więcej niż sama zbrodnia, że także był człowiekiem.

Ostatnie słowo nabrzmiewa rozpaczą, potężnie rozchodzącym się po sali, wybiegającym daleko poza nią echem, powtarza się głuchym akordem osuwającego się na podłogę w omdleniu ciała.

Jest teraz moment ciszy, głuchej ciszy, kiedy nawet oddechy zostają stłumione, zamiera bicie serc. Ciszę tę przerywa nie głos prokuratora, sędziego czy świadków przewodu, ale rumor, jaki czyni podnoszący się raptownie ze swego miejsca oskarżony. Wyciąga ręce w kierunku leżącego na ziemi syna, bełkocąc niezrozumiałe jakieś wyrazy.

Mroczno było w pokoju. Jedyne kwadrat okna znaczył się nieco jaśniejszą plamą. Od ostatnich słów profesora musiało upłynąć już sporo czasu, zatraciło się moje w nim rozeznanie, w umyśle i wyobraźni plastycznie, przeraźliwie plastycznie nasyciły się barwami i dźwiękiem kontury nakreślonych przez profesora obrazów. Ale w tej ciszy coraz mocniej przesłaniał je niedawny, przelotnie i obojętnie zanotowany na matówce pamięci widok człowieka, przejeżdżającego przed naszym oknem na motocyklu.

— Więc to był on? — szepnąłem wreszcie głosem, w którym nic już nie było z ciężką uprzednio nudy.

— Tak. Winienem może dodać panu coś jeszcze dla pełnego obrazu. Uczestniczyłem w procesie, myślałem, może będę chłopcu w czymkolwiek pomocny. Zaimponował mi, to

jednak była prawdziwie męska odwaga i chyba też właściwa, choć może subiektywna miara sprawiedliwości. Zdecydował się dźwigać na sobie cały ciężar wypływający z faktu, że był tym wilczym pomiotem, jak to obrazowo określił któryś ze świadków, przypuszczam, że nieświadomy nawet obecności syna oskarżonego na sali.

— A z tą dziewczyną?

— Ona nie udźwignęła tej prawdy. Odeszła z własnej woli. Kto wie, czy to też nie było jakimś aktem odwagi. Ale wracajmy do niego. Upadek na sali wywołany był szokiem, chwilowymi zaburzeniami psychicznymi. Prędko zresztą minęły, jeszcze przed wykonaniem na ojcu skazującego wyroku. Toteż, wyobrażam sobie, przyniosło mu jakąś okrutną sumę przeżyć... Przyjechał do mnie, radził się — zmienić nazwisko czy sobą rehabilitować przybrane przez ojca imię zamordowanego. Doradziłem, by jednak zmienić. Przyjął nazwisko panięskie matki... Z pracy zrezygnował, wystaraliśmy się dla niego o bezterminowy urlop. Jednego mi było wtedy i dzisiaj jest żal — straconej bezpowrotnie szansy na wychowanie swego następcy. Sposobiłem go w tym kierunku. Mając dwadzieścia trzy lata, uzyskał doktorat. Myśleliśmy o przyszłej habilitacji. Wszystko upadło, on już pozostanie do końca tylko strzępem człowieka...

Wpatrywałem się w kwadrat okna, wydawało mi się, że ustało tłuczenie deszczu o szyby.

— Zbieg okoliczności sprawił, że niedługo stała się w pełni aktualna sprawa jego wyjazdu za granicę...

— Chyba nie wyjechał w tej sytuacji? — zdumiałem się.

— Wyjechał. Ogromnie wiele starań to mnie kosztowało.

Nie chciano mu wydać paszportu, od stypendysty wiele się wymaga. Tu z jednej strony cała sprawa ojca była jeszcze zbyt świeża, z drugiej on sam nie gwarantował właściwego wykorzystania stypendium...

— Ryzykował pan, mógł przecież w tej sytuacji zostać za granicą na stałe...

Profesor zaśmiał się cichutko.

— No cóż, byłem o krok od świadomego współudziału w przestępstwie. Brałem pod rozwagę i taką ewentualność. Wychodziłem z założenia, że jeśli uzna za konieczne pozostać z dala od kraju, będzie to zarazem dowodem, że kraj także nie miałby z niego wiele pożytku. Pobyt za granicą stwarzał z drugiej strony jakąś znikomą szansę na uratowanie człowieka. Ale cóż, wrócił, a ja nie zostałem współuczestnikiem przestępstwa. Wtedy raz jeszcze odbyłem z nim dłuższą rozmowę. W jej wyniku jest teraz w tej okolicy.

— Cóż robi?

— Prowadzi maleńką wylegarnię. Pstrąga. Cenzus do tego niepotrzebny, ale więcej od tego człowieka nie można już oczekiwać. Jest porządnym, sumiennym pracownikiem. Mieszka na odludziu, samotnie, zdziczał, postarzał się, że w dwójnasób można mu liczyć lata. Gdy czasem o nim myślę, wzdrygam się nad sumą ciągle żywych przeżyć tego człowieka. Nigdy już nie wybroni się z tego. No cóż, zechce pan zajrzeć do niego? Dyrekcja skieruje pana z jakimś fikcyjnym czy nawet rzeczywistym wywiadem. Pstrągi, to może ciekawić...

Ujrzałem chudą, starą twarz człowieka na motocyklu. Nie umiałbym patrzeć mu w oczy, nie zdradzając się, jak wiele wiem o nim. I chyba nie miałbym siły z bliska współuczestniczyć w jego dramacie.

— Nie pojedę, profesorze.

Wydawało mi się, że odetchnął z wyraźną ulgą.

— Tak też się spodziewałem.

I zaraz dorzucił zupełnie innym już tonem:

— Wypogodziło się, chociaż noc nadal ciemna. Co by pan powiedział, gdybyśmy wyjechali teraz na połów węgorza?

MIŁOŚĆ LASU

Trzech takich było w tej małej wioszczynie, zagubionej w przepastnych borach, nad brzegiem wiecznie szumiącego jeziora. Nie miał dla nich las żadnych tajemnic. Jasno przemawiał do ucha szelest osinowych liści i ciche osypywanie się świerkowego igliwia. Wiedzieli, kiedy drży gałąź trącana wiatrem, a kiedy poruszona przez przemykającego się chyłkiem zwierza. Znali z głosu każdego ptaka, żaden ślad nie umknął ich spojrzeniu. Dopiero w gąszczu zagajników czy w porośłym jeżyną poszyciu przetrzebionego starodrzewia czuli się w pełni sobą.

Dwaj byli młodszy, jeden dożywał swoich lat. Stary Walicki dawno już przeszedł na emeryturę. Osiadł samotnie w tej wiosce, nie mogąc żyć z dala od lasu. Uprawiał skrawek ogrodu przy chałupinie, zbierał grzyby i orzechy, strugał łyżki z osinowego miąższu. Wiele od życia nie potrzebował dawny leśniczy, ot, aby jakoś tylko mijały te dni, aby do ostatka wdychać w upalny czas ostry zapach żywicznych sosnowych nacieków, aby cieszyć stare oczy kołysaniem szczytów świerkowych. Tylko miłowania lasu potrzeba mu było jak powietrza.

Zastanawiał się czasem starowina nad tym miłowaniem. Różnie można miłować puszczańskie drzewa i stwory, jakie pośród nich żyją. Dobrze i źle, tak jako i ludzi, między którymi też różne bywają rodzaje miłości. Dobre i złe, prawe i grzeszne. A przecież zawsze miłowaniem ostają...

Ot, choćby Maćkowiak i Gertek. Leśniczy i kłusownik, sąsiedzi z tej samej wioski. Obaj po swojemu las miłują, obaj się nienawidzą nawzajem. Niedobra ta nienawiść u jednego i drugiego. A i kochanie nie takie, jak trzeba... Nie można prawdziwie kochać lasu, niszcząc życie z nim nierozłącznie związane, jak czyni to Gertek. Ale i nie jest dobre kochanie Maćkowiaka, który, patrząc na las, nie widzi człowieka. Zawsze musi być właściwa miara tych spraw.

Wcale jeszcze rześko powłócząc nogami, szedł teraz Walicki właśnie do Gertka. Chciał prosić o pożyczenie konia, zamierzał bowiem przywieźć sobie gliny, przed mrozami szpary w ścianach opatrzyć, pod oknami podsypać po wymieszaniu z igliwem, aby chłód nie przenikał potem do wnętrza. Stare kości lubiły już teraz ciepło...

Wchodził właśnie w kłusownicze podwórze. Zaśmieczone było, cuchnące rozpaćkaną gnojówką. W śmieciach z zapalem babrały się kury, przewodził im statecznie biały kogut, spod oka spoglądał na niespodziewanego intruza.

Z wnętrza domu rozległo się przytłumione szczekanie. W oknie pokazała się jakaś twarz. Gertek wyszedł staremu na spotkanie. Uśmiechnął się przyjaźnie nie ogoloną gębą. Był na bosaka, źle podciągnięte portki zaledwie podtrzymywał cienki, rzemienny pasek.

Walicki czuł niewytłumaczony sentyment do tego dziwnego człowieka. Nikt o nim dobrze nie mówił, ale nic też specjalnie złego nikt mu nie mógł zarzucić. Chyba Maćkowiak. No tak, ale Maćkowiak miał z nim na pieńku jako leśniczy. Taki nigdy się nie pogodzi z zawodowym kłusownikiem.

Poczęstowany szklaneczką wódki, patrzył teraz stary na gospodarza, dziwował się. Nikt nie wiedział, ile Gertek ma lat. Wyglądałby na trzydzieści, gdyby nie niechlujstwo w ubiorze. Ale miał ponoć blisko dwa razy tyle. No bo jakże: jeżeli już w dwudziestym szóstym był gajowym u jakiegoś prywatnego dziedzica... Niski, krępy, z małą ale ruchliwą głową i stale biegającymi na boki jasnymi oczyma, z podstrzyżonymi na jeża, wypłowiałymi od słońca włosami, siedział teraz Gertek naprzeciw niego, chętnie zgadzał się na wypożyczenie konia i wozu. Śmiał się, gadając:

— Na moje dwa hektary bogactwa dużo tam czasu nie zmitręzę... Pasie się teraz kobyła, aż jej boki wydeło. Bierzcie, choćby na tydzień.

Coś sobie przypomniał, nachylił się do ucha starego: -- Jak będziecie koło tej leśnej glinianki, zobaczcie, czy nie ma jelenich śladów. Byk ładny tam chodzi, tylko że w tę stronę trudno mi skoczyć, Maćkowiak z pięt mi nie złazi... — Brwi bujne nastroszył, śmiech zagasł mu w gardle. — Ale ja mu się nie dam. Knur stary, dzieci nawet już na przespiegi wysyła. Przed paru dniami chłopca swego postawił przed domem. W rowie siedział, a jak mnie zobaczył, w te dyrdy do ojca, że to Gertek na noc poszedł do lasu... — Znów zaśmiał się całym gardłem. — Maćkowiak jak głupi do rana po lesie mnie szukał, a ja dopiero przed południem ruszyłem, wyspany jak rzadko. Dobrze mi wtedy poszło... Ha, ha, ha...

Walicki słuchał ciekawie. Nie bardzo mu w smak była Gertkowa robota, ale cóż miał do gadania. Nie jego zresztą to sprawy... Chce Gertek kłusować, jego rzecz.

A Gertek przechylił ku niemu swą młodą twarz i, patrząc w okno, szeptał:

— Uwziął się na mnie Maćkowiak. Już i milicję dwa razy nasyłał. Szukali mojej fuzyjki... Jakbym to ja bez lasu potrafił 'wyżyć. Blisko ćwierć wieku byłem gajowym. Las mi ojcem i matką...

Nalał sobie wódki do szklanki, przechylił, aż zabulgotało, powtórzył w rozmarzeniu:

— I ojcem, i matką... Życie moje, umiłowanie największe.

Walicki przypomniał sobie poprzednie swe rozmyślenia, gdy kroczył do Gertkowej zagrody. Powiedział:

— Miłowanie, mówicie... Zali piękne to miłowanie, gdy krzywdę lasowi się czyni? Lasowi, ludziom? Porządek łamiecie, który praw leśnych strzeże... Niedobre takie kochanie...

Umilkł, bo Gertek popatrzył na niego jakoś dziwnie, brew namarszczył, zdawało się, że wybuchnie gniewem, ale nie, rzucił tylko pytanie:

— Źle kocham las, prawie... Może Maćkowiak dobrze kocha? Nie w tym sprawa, że przeciw mnie występuje za kłusownictwo, ale że nie dla samego lasu to robi, nie z umiłowania, a jeno z obowiązku, jeno dla spokoju sumienia. Ja chciałbym, aby po lesie jak najwięcej zwierza się kryło, choćbym nic nie miał nawet z tego dla siebie ustrzelić. On wolałby, aby głusza stała wśród drzew, zwierza tam żadnego nie było, bo miałby wtedy spokój, niekłopotliwe obowiązków spełnienie. Ech, wolę ja moje złe kochanie niżeli takie dobre...

— I Maćkowiak źle miłuje — szepnął Walicki, dziwiąc się, jak pokrywają się słowa Gertka z jego niedawnymi myślami. — Wszelako on ładu strzeże, gdy wy ów ład burzycie...:

Pełniejszym głosem mówiąc ostatnie słowa, spojrzął w jasne oczy Gertka, które zabłysły, zamigotały wzbierającym gniewem, zwięzły się w źrenicach pod namarszczonymi nagle brwiami, ale zaraz potem przykryły się szybko powiekami, jakby kłusownik pragnął w ten sposób przesłonić swoje uczucia. Tylko dłoń jego, wsparta o kolano, drgnęła kilka razy, tylko wargi skrzywiły się grymasem.

Zapanowała cisza, przerwana brzęczeniem ostatnich jesiennych much, krążących pod powałą. Gertek wreszcie się opanował, zawołał po swojemu już, wesoło:

— Jak dziewczucha o pierwszym chłopcu, tak sobie tu postępuję... No, bierzcie, ojcze, konia. I płacić mi nie trzeba. Co tam ludziom będę żałował, ja nie Maćkowiak. Ha, ha, ha...

Pomagał potem staremu zaprzęgać konia, wkładał łopatę na wóz, znów napomykał:

— Nie zapomnijcie tylko tropów tego byka podpatrzyć.

Ładna sztuka. Ładna, mówię wam. A ja wiem.

Walicki nie miał najmniejszych wątpliwości, że Gertek wiedział. Któż zna tak las, jak on? Chyba może jeden Maćkowiak.

Wspomniał w duchu na swoje młode lata. Jakoś inaczej las ten widział. Z kłusownictwem wojował, ale przecież miał zarazem serce dla ludzi otwarte, dla ptaka i zwierza, dla drzewka każdego, choćby sośniny najmarniejszej. Westchnął ciężko.

Maćkowiak nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje od kilku miesięcy. Gertek drzazgą mu zalazł za skórę. Lata całe przepracował już w lasach, tropił dziesiątki kłusowników, dawał

sobie radę nawet z całymi bandami. Nigdy jednak nie wkładał w to serca. Ot, należało tropienie kłusownictwa i leśnych kradzieży do jego obowiązku, więc spełniał go sumiennie.

Dopiero ten chytry Alojz! Nie wiedzieć kiedy zrodziła się w nim taka silna zaciętość wobec wytrawnego kłusownika.

Na próżno usiłował dociec przyczyny. Jedno było pewne, nienawidził Alojza całym sercem. Ostatnio tylko o tym myślał, jak podejść tamtego na gorącym uczynku, jak odebrać mu posiadaną nielegalnie fuzyjkę. I milicję sprowadzał, i nadleśniczemu składał raporty — nic, Gertek nadal śmiał się w kułak; sam tropiony, ze swojej strony tropił leśniczego. Dzieciom Maćkowiaka dorównywały sprytem dzieci Gertkowe. Każde poruszenie jednego z przeciwników meldowane było natychmiast drugiemu. Zawzięty, bezlitosny pojedynek sprytu trwał nadal. Maćkowiak żył tylko tym jednym. Próżno żona namawiała go do zaniechania nagonki. „Prędzej czy później powinie mu się noga, po co masz zdrowie zdzierać”. Ofukiwał wtedy kobietę, gniewnie naciskał czapkę na oczy i znów szedł szukać Gertkowych śladów.

I teraz niosła go w las ta sama myśl. Dojrzał, jak Gertek wychodził z domu, jak pomykał przez sad do lasu. Nadarza się dobra okazja, może wreszcie spełni się marzenie długich miesięcy.

Ze zmarszczonymi brwiami, gryząc nerwowo dolną wargę białymi zębami, zagłębił się w brzozowy zagajnik. Gdy już go z szosy nie można było dojrzeć, skręcił w przeciwną stronę. Tropił jak lis. Skulony, czujnie rzucając na boki oczyma, rwał sobie tylko znanymi przejściami, kluczył, przecinał partie leśne, okrążał bagna. Pies biegł obok przy nodze, posłuszny, choć lis poderwał się niedaleko od nich; psie serce zaskowyczało z tęsknoty za łowami niskim, stłumionym skowytym.

Godzinę blisko błędzili już tak po lesie. Maćkowiak, jakby miał nieskończony zapas sił, ciągle parł naprzód, okrążał polany, stawał często, nasłuchując uważnie. Czułe miał ucho. Rozróżniał z dala tupot sarnich racic, rechotanie dzików, odległe kucie dziecięcia.

Wilczur zjeżył nagle sierść. Maćkowiak spojrzał uważnie.

— Prowadź!

Na małej polance gęstym, nieprzebytym prawie gąszczem wyrósł młody brzeźniak. Ogołocony teraz z liści, nakisły w podszyciu wodą, tłumiał wszelkie kroki. Pies rwał z nosem nisko przy ziemi. Maćkowiak starał się jak najciszej rozchyłać gałęzie.

Tuż za brzeźniakiem zaczynał się gęsty bór sosnowy o miękkim podszyciu z drobnej, kręglutkiej trawki, żółkłej teraz, zamarłej. Na skraju boru zakutana w chusty postać, zgięta w pół, wyszukiwała coś ręką wśród trawy.

Zaklął siarczyście pod nosem. A niech to wszystko diabli! Że też zawsze musi przydybać tę staruchę. Dzień cały siedzi w lesie, szukając swoich ziół. Maćkowiak był zabobonny. Prawie serio traktował gadki, jakie krążyły o złych mocach, będących na usługi zgarbionej, biednej kobiety. I teraz poczyta! spotkanie za złą wróżbę.

Zniechęcony, wolnym już krokiem powlókł się dalej. Nie odszedł daleko, gdy wilczur z cichym skowytym wyskoczył naprzód, zaparł się wszystkimi nogami, ze zdumieniem węszył nosem, oglądał się na pana.

W wykrocie, przy pniu potężnego świerka, czerwonym mięsem świeciły dwa ścierwa lisie, snadź niedawno dopiero odarte ze skóry. Maćkowiak stęknął boleśnie. Nikt inny, tylko Gertek. Nie pierwszy raz zostawiał po sobie takie pamiątki. To była dzisiejsza robota. Przez noc sowy i inne draństwa dobrze nadwreżyłyby lisie zwłoki... Dla pewności pomacał ścierwa. Znów się zdumiał. To nie były sztuki z dzisiejszego odstrzału. Gertek, któż by inny, jeśli nie on, musiał zabić lisy już wczoraj. Z jakiejś przyczyny odarcie ze skóry zostawił na dzisiaj. Dla sprawdzenia zerknął Maćkowiak na świerk, pokiwał głową. Od sterczącej resztki złamanego kiedyś konara ciągnęła się po pniu zastygła nitka krwi. Zatem przez noc lisy wisiały na drzewie.

Na obliczu leśniczego odbiła się rozpacz. Tak jeszcze nikt go za nos nie wodził. Od miesięcy nie mógł przyłapać Gertka na szkodzie, ale ślady tych szkód znajdował co tydzień. Dwa lisy, psia mać! I kiedy on je zdążył ustrzelić? Stuknął się w czoło. Tak, wczoraj przecie nie zajrzał w te strony, tropił kłusownika nad pasmem rojstów leśnych koło Wardęki. On tymczasem tutaj sprzątnął mu lisy.

Zawrócił bliższą drogą w kierunku domu. Nadciągał zmrok, nie było już nadziei na złapanie Gertka. Teraz nic mu nie zrobi, choćby się nawet zetknęli nos w nos.

Nie zdążył o tym pomyśleć, gdy wraz z warknięciem psa dosłyszał głośny trask łamanych gałęzi i zza krzaków leszczyny, świecącej nagimi, długimi witkami, wychynął Gertek. Spojrzał domyślnie na Maćkowiaka, uchylił zatłuszczonej czapki.

— Moje uszanowanie panu leśniczemu — w tonie głosu nie było złości, jedynie zjadliwa kpina.

— Lisy, draniu, ubiłeś! — warknął leśniczy. Postąpił krok bliżej. Spod brwi ściągniętych nienawistnie patrzył na swego przeciwnika, z trudem hamując rozsadzający go gniew.

— Czyżby? — z uśmiechem zdumiał się Gertek. — To by się nawet przydało, skórki lisie mają dobrą cenę. Z mięsa jeno mała pociecha, tylko do wyrzucenia...

— Gertek, ja cię przyłapię, ale źle z tobą będzie! Wczoraj wnyki twoje znalazłem na sarny, dzisiaj te lisy ścierwa. Ślady strzałów były wyraźne.

— Źle pan szuka, panie leśniczy... — głos Gertka rozległ się teraz z sykiem. — Gównu pan znajdziesz, nie moją fuzyjkę... Ha, ha, ha — śmiech ten groźnym echem niósł się po lesie. Pies zawarczał, Gertek rzucił na niego okiem. — I piesek nie pomoże. Szkoda gadać.

Tego było już Maćkowiakowi za wiele. Zacisnął w pasji pięści, zaszypiał nieswoim głosem:

— Zastrzelilibym cię jak psa. Tyle, że mi nie wolno. Ale niech cię na czymś przyłapię, a spróbujesz uciekać, w łeb trzasnę. A strzelam celnie. Policzone dni twego wałęsania się po lesie. Krokiem tutaj nie stąpisz. Już ja cię dopadnę!

Gertek patrzył na leśniczego uważnie. Z warg jego zniknął teraz kpiący uśmiech. Mięśnie twarzy drgały hamowanym wzruszeniem. Mówił niemal szeptem:

— Nie wam mnie z lasu wyrzucać. Ja w lesie wyrosłem, w lesie i życia dokończę... A nie wiedzieć nam jeszcze, czyje życie dłuższe...

Maćkowiak zdrygnął się, tyle w tym cichym głosie zabrzmiało straszliwej ludzkiej rozpacz i tyle zimnej groźby. Rozumiał doskonale, co miał na myśli Gertek, mówiąc o długości ich życia... Na pewno się nic zawaha.

Ale i Maćkowiak nie był z tych, którzy cofali się z lęku. Zawołał, aż wilczur stulił w przestachu uszy:

— Zobaczymy, zobaczymy! Myślę, że prędko przyjdzie ci zakończyć plugawe życie.

Gertek tylko łysnął oczami. Stał jeszcze chwilę, potem dał nura w gęstwę, mignął tu, tam, już go widać nie było. Leśniczy zdumiał się nad zręcznością tego człowieka.

Ze zwieszoną głową wracał do wioski. W uszach bez przerwy dźwięczał mu szept kłusownika: „Ja w lesie wyrosłem, w lesie życia dokończę... A nie wiedzieć jeszcze, czyje życie dłuższe.”

W domu nie odzywał się słowem. Siedział nieruchomo, wspierając głowę na dłoniach. Raz tylko się podniósł, wyszedł ciężkim krokiem na ganek. W domu Gertka paliło się jasne światło.

Dopiero gdy legli już w łóżku, a mąż przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć, udało się kobiecie wydobyć z niego zwierzenia o przebiegu dzisiejszego dnia. Załamała ręce.

— Staśku, miejże ty Boga w sercu. Dzieci masz, żonę.

Zostaw tego zbója w spokoju. On cię zamorduje. Niech go ręka boska sędzi, ty zaś daj spokój...

Gdy milczał, jęła się modlić głośno, coraz to wykrzykując z lękiem:

— Staśku, Staśku, po co ci ruszać tego szatana? Niech sam doczeka swojego końca...
Zlituj się nad dziećmi swoimi i żoną.

— Przystańże skomleć! — rzucił z gniewem.

Umilkła, tylko wzdychała ciężko.

Gdy wydręczeni różnymi myślami, które kołatały im się po głowach tej nocy, zasnęli wreszcie twardo nad samym ranem, zbudziło ich rozpaczliwe wołanie młodszego syna:

— Tata, mamó! Czuj nie żyje... Leży przy budzie, ani się ruszy...

Jak nożem dźgnięty, poderwał się Maćkowiak z łóżka, w gaciach wybiegł na podwórze.

Koło budy leżał sztywny już trup wilczura. Na ciele nie było żadnych ran. Ktoś musiał go otruć. Tylko jak potrafił to zrobić, skoro Czuj nie przyjmował od nikogo jedzenia? Dziwne też, że nie szczekał. Nie śpiąc, słyszeliby przecie.

Maćkowiak wzdrygnął się. Niesamowity człowiek ten Gertek.

Tym silniej zapalała się w nim nienawiść do kłusownika. Gertek pierwszy przystąpił do ostrej walki. Niech się strzeże.

— Niech się strzeże — powtórzył szeptem.

Długo stał nad tym, co wczoraj jeszcze było wiernym druhem nieskończonych włóczęg po lesie. Zdawało mu się, że znał zwłok psa chytry Alojz w kpiącym uśmiechu .szczyry bezzębne wargi.

Zerwał się o świcie jak zawsze. Za oknami różowiał świt, pastelową powłoką otulał drzewa sadu i widniejącą za nimi linię lasu. W tym świetle Gertek ujrzał coś, co w jednej chwili strząsnęło zeń resztki leniwego nastroju. Dużymi, łagodnie kołyszącymi się w powietrzu płatami spadał na ziemię śnieg.

Przysunął twarz do szyby, rozpląszczył na niej wesoły, zadarty ku górze nos. Niebo było czyste, tylko od wschodu czerwieniało teraz w promieniach słonecznych. Dalej szary pułap chmur opadał nisko nad ziemię, darząc ją śniegiem.

Podrapał się po nie ogolonej twarzy, potem przeciągnął dłonią po krótko przystrzyżonej czuprynie. Rozpostarł ramiona, chwilę stał tak, radosny widokiem ujrzanym za taflą brudnawej szyby. Pierwszy śnieg nigdy nic bywa trwały. Tym jednak razem łagodny mróz trzymał od kilku dni. Nim śniegowa pokrywa opadnie i wsiąknie stopiona w ziemię, sporo czasu minie...

Kłusownicze serce trzepotało radośnie. Ubierając się, Gertek raz po raz spoglądał w okno, jakby w obawie, by śnieg nie przestał padać. Białe płaty nadal wirowały spokojnie, duże, strzępiaste, aż mroczyło od nich' dokoła. Śnieg, zdradliwy normalnie w leśnym życiu, w

momentach, gdy pada, skryć potrafi każdą tajemnicę. Alojz od miesiąca żył jednym pragnieniem.

Wyobraźnię jego omamił wspaniały okaz szesnastaka, co ranka podchodzącego do strumienia obok jam po gliniankach w przybiedrońskim borze. To już nie była chęć zarobku, to była najmocniejsza pasja myśliwska[^] instynkt dziedziczny pokoleń dawnych łowców. Nieraz już trafiały mu się okazje dobrego odstrzału. Gertek był jednak ostrożny, umiał hamować własne zapędy. Maćkowiak także wywąchał owo poidło jelenie, przeniknął pragnienia kłusownika. Kilka razy dojrzeli się już w gęstych chaszczach leszczyny, opadających łagodnym stokiem ku strumieniowi. Gertek cierpliwie czekał okazji. Nadeszła. Świeży śnieg w minutę zakryje wszelkie ślady, trudno zaś przewidywać aż takiego pecha, by leśniczy natknąć się miał bezpośrednio na ubite ścierwo. W nocy dałoby się je wywieźć do sąsiedniej wioski i tam w szopie przyjaciela oprawić w spokoju.

Wsunął do kieszeni kawał chleba, zerknął bokiem na śpiącą żonę i dzieci. Cicho rozwarł drzwi, rozejrzał się bacznie wokoło. Borszuny jeszcze spały. Gdzieś psiak zaniósł się ujadaniem. Gertek uśmiechnął się zjadliwie, wspominając padłego wilczura Maćkowiaka. Trudniej teraz było leśniczemu bez psiej pomocy...

Chmury zasłoniły wolny jeszcze płat nieba po wschodniej stronie horyzontu. Mroczniało. Śnieg walił gęsty, spokojny. Kto wie, może już i zostanie. Przesmyknął się bokiem sadu, chyłkiem omijał pole. Czubki ozimej pszenicy wystawiały jeszcze zielone koniuszki, jakby pragnęły nasycić się widokiem świata przed długim snem zimowym. Niektóre całkiem się już zapadły w puszystą pierzynę śniegową. Gertek obejrzał się za siebie. Ślad jego odciskał się wyraźnie, ale płaty śniegowe zasypywały go szybko. Tego mu było potrzeba.

Wpadł w gęstwinę sosnowego młodziaka. Odetchnął. Wyrzwał jeszcze. Cisza, pustka. Tylko śnieg i czysta, nieskalana biel. Zima nadeszła. Nie zagłębiał się w bór, skrajem lasu kluczył jeszcze dość długo.

Nie wiedzieć skąd spośród sosnowego otoczą wyrastało tu kilka potężnych, rozłożystych dębów. Rozparły się wygodnie, precz odepchnęły innych leśnych mieszkańców. Alojz uśmiechnął się, przemknął do najmniejszego z dębów. Zakryta młodymi odroślami olbrzymia, ledwo widoczna nora wiodła daleko w głąb. Kiedyś mieszkał tu lis ze swoją rodziną, nim nie wykurzył go Gertek. Przyklęknął teraz, wsunął w głęboką norę całe niemal ramię. Owinięta szmatami, spoczywała tam jego fuzyjka. Ogarnął ją rozkochanym spojrzeniem, odwinął ostrożnie ze szmat. Połyskiwała, dobrze naoliwiona. Szmaty wepchnął z powrotem do nory. Wyprostował się, na wąskich jego wargach zaigrał zwycięski uśmiech. Maćkowiak z milicją

od dwóch lat poszukiwali tej jego fuzyjki. Ona tymczasem spokojnie oczekiwała zawsze na niego w bezpiecznym schronieniu dębowych korzeni.

Przewiesił ją przez ramię, jak uskrzydłony frunął w las. Szedł spiesznym marszem, by się nie spóźnić. Po świętach zasnął trochę dłużej niż zwykle. Byk mógł już być u strumienia. A lepszego dnia nie znajdzie, aby dokonać wymarzonego mord.

Przesmykiwał się sobie tylko znanymi przejściami, nachylał pod oblepionymi śniegiem gałęziami, skakał przez zwałone burzą pnie drzew. Zaryzykował drogę przez oparzelisko. Nikt nie miał odwagi przechodzić tamtędy prócz łosia. Może jeszcze Walicki, w rojstach wyrosły i sposobów na nie zwyczajny. Grząziel pokryta była teraz zdradliwą okrywą śniegowego puchu. Tylko otwarte okienka nie zamarzającej nigdy wody parowały silniej niż kiedykolwiek. Karłowe brzoźki, owa poszukiwana czeczotka, rozrosłe badyle bagna, wedle wiejskiej opinii leczącego suchoty, niedosięte żurawiniska, mchy i łodygi zwiędłej waleriany, przykryte śniegiem, zwieszane nad ssącymi dziurami — niebezpieczniejsze były niż zwykle. Mało to szkodziło Gertkowi. Na podobieństwo łosia przeskakiwał z kępy na kępę. Z siąpieniem ugięła się pod nim jedna, już się opierał na drugiej, przesmykiwał na dalszą. Lekki był, to prawda, ciągle wędrowni wysuszyły go, zahartowały niewielkie, ale sprawne i zwinne ciało. Gdyby przez mgielny woal śnieżycy mógł kto dostrzec go teraz ludzkimi oczyma, myślałby — zwodnik jaki, mara pokutująca na bagnach. A to kłusownik rwał ku wyznaczonemu sobie celowi.

Z przeciwległej strony szerokiej, karłowatą brzozą znaczonej tu i ówdzie powierzchni moczarów stary łoś, jeden z ostatnich w tych stronach, wszedł pewnie na kolebiący się płaszcz mchów. Nie śpieszył się, niekształtnym łbem, obrosłym siwym włosiem, z zadumą potrząsał nad białym puchem, sypiącym się na jego niezgrabne cielsko. Łopat nie składał na grzbiecie, jak przy leśnych ścieżynach, niósł je dumnie wyprostowane. Potrząsał czasem nimi groźnie, jakby tym pragnął podkreślić swą władzę nad bagiennymi rozłogami. Tu nawet i zimą mógł królować, od wilków bezpieczny — lód w części zaledwie spowije szklistą powłoką okienka zapadni. Nad innymi o nadejściu zimy świadczyć będzie tylko unosząca się obficie para.

Gwałtownie wstrząsnął olbrzym leśny swą zarośniętą głową, łopaty przytulił do karku, przystanął. Rozkraczony szeroko, łagodną chwiejną tułowia utrzymywał równowagę na bulgocących kępach, rozciskanych szeroko racicą. Ktoś wtargnął w jego władztwo. Już się wyłaniał z dali, niewyraźny w śniegowej puszczy. Mały, niedołączny, ale przecie nie tonął, rwał królowi rojstów naprzeciw jak duch złowróźbny. Spoza pleców wystawał mu jakiś przedmiot połyskujący, pamiętny łosiemu cielsku. W młodych jego latach przedmiot taki,

huknąwszy złowrogo, ranił go mocno w pachwinę. Długo cierpiał, zlizując językiem ropiejące miejsce.

Łoś wstrząsnął cielskiem, stał jeszcze chwilę. W oczach zamigotała trwoga. Mała postać zbliżała się z każdą chwilą. I ona drgnęła, gdy nagle rozległ się łomot i plusk niósł się po puszczy. Na skos przez moczar łoś runął do panicznej ucieczki. Zapomniał o godności władzy.

Gertek ogarniał łapczywym spojrzeniem majaczącego w śnieżycy zwierza. A właśnie w tej chwili po raz ostatni tego dnia słońce wyrwało się z uwięzi chmur, spłynęło w dół potokiem złota. Zamigotały blaski na zimowym futrze łosia, odbiły się o tarcze nisko wciśniętych teraz w grzbiet łopat. Człowiek uchwycił się dłonią za krzak brzeziny, wlepił przed siebie zachwycone oczy. Zagasł w nich nawet blask gorączki łowieckiej, pozostał sam zachwyty.

Tupot, pluskanie oddalały się, chmury wchłonęły słońce, śnieg jakby zgęstniał. Noga Gertka obsunęła się, wyżej kolana zapadła w cuchnący, grząski szlam. Sarknął na siebie, wyciągnął nogę ociekającą lśniącą czernią, wytyczył wzrokiem kierunek, parł dalej. Skraj lasu był bliski.

Gdy wyszedł nań, nie kluczył już. Wszystkimi zmysłami wyczuwał kierunek, nie zbacał. Spieszył, nie patrząc, jakby przemierzał las, ale ucho jego i oczy chwytały wszystko. Dostrzegł , głuszca przyczajonego u gałęzi, jarząbka szybującego niskim lotem pomiędzy drzewami. Uśmiechnął się na gwałtowny wrzask niewidocznej sroki, świsnął nawet, naśladując śpiewającego kosa. Ptak umilkł zdumiony. Gertek zaśmiał się pełen szczęścia.

Kochał las. Miał już dzisiaj za sobą pięć lat szóstego krzyżyka, a nadal czuł się tak rześki i młody, jak w owych chłopięcych dniach, gdy wraz ze stryjem uczył się zgłębiać tajniki borów. Wtedy już pokochał las na zawsze. Został gajowym. U wielkiego pana, co sam nie wiedział dobrze, ile lasów posiada. Służba była dobra, tyle tylko, że niepłatna. Pan miał bowiem na zagraniczne wojaże, brakło mu na pensje oficjalistów. Tu wzięła początek zwichnięta droga Alojza. Chcąc nie chcąc, dorabiać musiał na życie. Tu chłopom po cichu na wyrąb drzewa zezwolił, tu susz dawał podbierać. Raz ubił młodego kozła, odprzedał handlarzowi skór. Dalej było już łatwo. Lisy, kozły, dziki, czasem nawet i jeleń wspaniały, szesnastak czy osiemnastak stawały na Gertkowym rozkładzie. Niepotrzebna mu była pensja pańska. A pan domyślał się przestępstw, ale rady innej nie miał — za lata wysługi winien był gajowemu, z czegoż zaś mu tyle zapłacić. Gertek obrastał w pierze, wybornie czuł się w tych leśnych bezkresach. Aż przyszła wojna. Runęło wszystko, zmieniło się Gertkowe życie. I biedy powąchał, i na drugi świat mało się nie dostał za pomoc partyzantce. Z ulgą powitał

wyzwolenie, pragnął powrotu do dawnego życia. Cóż, kiedy pan nie wrócił, zmieniło się wszystko... Westchnął w tej chwili boleśnie — nawet przed samym sobą niechętnie wspominał kołobrzeszkie dzieje. Szukając pracy, zawędrował na Pomorze Zachodnie. Jako staremu fachowcowi powierzono mu leśnictwo. Leśnictwa strzegł, to prawda, ale i o swoich interesach nie zapominał. Nie tyle może nawet chodziło o interesy, ile o to, że żyłki kłusowniczej, przez lata nabytej, nie mógł powściągnąć. Uczciwy był, lasu tknąć nie pozwalał, drzewa jak ongiś nie sprzedawał. To nie było pańskie, to było państwowe. Te pojęcia Gertek umiał rozróżnić. Nie potrafił natomiast uznać własności państwa w stosunku do' zwierzyny. To była własność każdego, kto w trudzie umiał zdobyć ustrzelić. Do tego nic ani państwu, ani nikomu.

Uprawiał więc kłusownictwo długi czas, chroniony zieloną czapką leśniczego. Aż wylazło szydło z worka, wpadł pewien garbarz, który skóry u niego nielegalnie skupował. Po nitce doszło do kłębka. Alojz był za rozsądny, aby spokojnie czekać na bieg wypadków. Bardziej mu pachniał las aniżeli więzienna cela. Pewnej nocy umknął wraz z rodziną i dobytkiem, ślad po nim przepadł. Mało kto tych rzeczy co prawda dochodził, za wiele ważniejszych spraw miało młode państwo na tej ziemi niż pościg za kłusownikiem. Osiadł Alojzy na Mazurach, pełen nadziei, że da się jakoś połączyć dawny tryb życia z nowymi warunkami. Diabli nadali tego Maćkowiaka. Zatrul Gertkowi życie...

Zacisnął pięści w gniewie. Wspomnienie leśniczego zapiekło go jak ogniem. Niech mu lepiej w drogę nie włązi. Zapowiedział przecie, że z lasu usunąć się nie da.

Lis śmignął w krzakach zwieszoną kitą. Nogi jego zostawiały w białym śniegu wyraźny ślad. W pierwszej chwili chciał już Gertek zrzucić z ramienia fuzyjkę, posłać niezawodną kulę w ślad za rudym tułowiem. Opamiętał się jednak. Z jelenia większa pociecha. Zagwizdał tylko przez zęby, ostrożnie przebiegł leśną polanę. Ani śladu Maćkowiaka. Śpi pewnie w domu, zmordowany nieustannym tropieniem Gertkowych kroków.

Stary bór był gęsty, przesłaniał niebo nawet w najbardziej rozświetlone dni. Teraz też śnieg gdzieś tam tylko się bielił na mchu siwymi płatami. Ciemno tu było, cicho. Grunt się łagodnie obniżał. Wreszcie mrok zjaśniał. Drzewa stały rzadziej, dołami rozrastała się gęsta, bujna leszczyna. Spływała stokiem aż nad brzeg leśnego strumienia. W najupalniejsze dni lata woda w nim była zimna, chłodem mroziła zęby.

Alojz zwolnił kroku. Skupiony w słuchu, ostrożnie stawiając nogi, przegięty prawie wpół, z fuzją kurczowo ściskaną w dłoniach, skradał się na brzeg strumienia. Zachodził od prawej strony jeleniego poidła. Upatrzył sobie już przedtem dogodnie do strzału miejsce.

Zarośnięta twarz pałała mu teraz krwawymi rumieńcami. Gorączka myśliwska zawsze tak rozpala. Głowa obracała się na boki, oczy jasne, jak wyprane, bacznie wpatrywały się w przeciwległy brzeg potoku. Z leszczynowych chaszczki zbiegała nad wodę ścieżka, latem prawie niewidoczna w okryciu listowia.

Śnieg padał, jego płatki zmały, dłużej wirowały w powietrzu, ciekawie oglądając nieznany świat przed ułożeniem się do spoczynku na ziemi. Masywne drzewa stały spokojne, ufne w swą wytrzymałość na mrozy i śniegi. Na ich szerokich rozgałęzieniach śnieg osiadał szerokimi płatami, pęczniał, przyginał je swoim ciężarem. Przypomniały się Gertkowi takie same płaskie, rozgałęzione łopaty łosie. Westchnął. Ładna sztuka, rzadko już teraz można spotkać podobne...

Zadowolony był, nucił w duchu z rozkoszy. Wokoło drzewa, cichy i mięciutki śnieg, powaga świerków i on w tym wszystkim, nieodrodny człowiek lasu. Zdążył na czas. Zwierzęca ścieżka, prowadząca nad strumień, nie była jeszcze zdeptana, nie znaczyły się na śniegu potężne wgłębienia racic. Kilka drobnych — to były ślady saren. Namnożyło się ich w ostatnich latach. Byk jeszcze nie raczył się chłodną, klarowną wodą.

Lada chwila powinien nadejść.

Człowiek na stanowisku poruszył się lekko. Teraz dopiero poczuł, jak jest zmęczony. Szedł tutaj niezwykle szybko, przemierzył blisko osiem kilometrów, jak sobie obliczał. Parła go łowiecka gorączka, dlatego sadył przez lasy i bagna. Oddech miał przyśpieszony, głęboki. Aż się bał chwilami, aby nie zdradziła go para, wibrująca w powietrzu przy każdym wydechu. Zmęczenie to jednak było przyjemne. Jakaś rześka niemoc rozlewała się w członkach. Czuł, że zdolny był w tej chwili do długich, dalekich marszów, do potężnych wysiłków.

— Ech, leśne życie... — cichuteńko, niedosłyszalnie szepnął do siebie i uśmiechnięty obejrzał się wokoło. Nic, tylko zwykłe odgłosy tego życia. Ptaki terkotały gęściej niż zwykle. Znać było, że podniecił je śnieg. Kończyło się grzebanie w ziemi i poszukiwanie na gałęziach ostatnich tego roku chrząszczy i larw. Będzie trudniej. Wysoki śnieg nie pozwoli nie odgrzebać. Trzeba będzie przenosić się bliżej ludzkich siedzib. Rzecz taką należy uzgodnić. Dlatego też wszędzie rozlegało się zawzięte rajcowanie.

Pod ochronnie rozwartymi na boki gałęziami świerka bielą kilka drobnych smużek śniegu. Reszta osiadła zwartą masą na gęstych szpilkach. Ze strony tej doszło znajome chrobotanie. Gertek lekko obrócił głowę. Uśmiechnął się.

Pod drzewem przesuwiał się kos sobie tylko właściwymi skokami. Musiał być stary, barwa dzioba i obwódka około oczu z żółtej przechodziła już prawie w pomarańczową. Odcinała się ta barwa od połyskującej czerni reszty upierzenia. Podskakiwał, przystawał nagle w miejscu jak martwy, czekał, oczka zerknęły uważnie na strony. Znowu skok i znowu to samo. Polowanie nie dawało rezultatów, ptak wydał przeciągłe ciut, unosząc przy tym dziób do góry, przeskoczył w pobliże korzenia, zręcznie odrzucił na bok grudki podmarzłej już ziemi. Wykopał niedużą jamkę, znów zmienił się w sztywny posążek, czekał. Nagłym ruchem grzebnął znów dziobem, pociągnął coś po ziemi, zjadł. Potem spróbował odsunąć na bok kawał kory na rozłożystym korzeniu. Nie udawało się. Nastroszył pióra, przygasł jakby zmartwiony. Wreszcie w kłopotcie, gdzie by tu znaleźć nieco pożywienia, rozglądał się dokoła, poskoczył parę razy, nagle dojrzał człowieka. Gertek nie spuszczał zeń uśmiechniętych oczu. Lubił tego ptaka, już w lutym często rozpoczynającego miłosne trele, kiedy cały las milczy, czekając wiosny. Poruszył lekko wargami, jakby chciał zrzucić z nich pieszczotliwe słowo.

Kos wystraszył się. Poderwał głowę do góry, pomarańczowo obrzeżonych oczek nie spuszczał z człowieka. Wyrzucił dziób do przodu, rozdarł się przeraźliwie:

— Diks diks gri gigigii.

Nagłym skokiem do góry dopomógł skrzydłom, odleciał, zawrzeszczał ponownie.

Gertek skrzywił się.

— Żeby cię diabli, łobuzie.

Bał się, by kos nie spłoszył jelenia. Gdyby podchodził jakiegoś cietrzewia czy głuszca, byłoby po polowaniu. Kos miał już taki zwyczaj ostrzegania. Słuchały go czasem także zające, sarny, lisy, ba, i jeleni co czujniejszy wołał na podobny sygnał zawrócić z drogi. Gertek popatrzał uważnie w kierunku strumienia. Cisza, z lasu nie dobiegał żaden łomot. Może i nie spłoszył. To ci łobuz dopiero...

Z uznaniem i niechęcią spojrzął za kosem. Nie było go nigdzie widać. Zrezygnował pewnie z owadów i chrząszczy, poleciał dalej szukać krzewów z leśną jagodą.

Chłód zaczął zachodzić w nogi, chciało się Gertkowi zapalić. Nie można. Od razu ujawniła się obecność wrokowi i powonieniu zwierzyny. Drgnął. Od lasu za strumieniem zatrzeszczały łamane gałęzie. Jeleń nadchodził.

Chwila — i zwierz wyłonił się z gęstwy. Stał, kręcił łbem, słuchał, patrzył. Gertek widział go już kilkakrotnie, jak zawsze i tym razem aż mu dech zaparło z zachwytu. Jeleń tymczasem schodził już spokojnie nad wodę. Przednimi racicami webnął daleko w strumień,

przeczekał jeszcze, aż mął spłynął z prądem, wtedy schylił wysoki łeb, wieniec odłożył na kark, pił łapczywie.

Gertek miał czas. Jeleń pije wiele i długo. Tymczasem przyglądał się mu. Potężny, o lśniącym, jakby nawoskowanym futrze, napiętym na solidnie odżywionym jesienią tułowiu, stał ukosem do biegu strumienia, Gertek miał go prawie na wprost. Mocne, rozrośnięte piersi podnosiły się, dygotały równym oddechem.

Przeliczył szybko odnogi wieńca. Tak, szesnastak. Wyjątkowo piękna sztuka. Zwierz w tej chwili uniósł łeb do góry. Zaspokoił już pierwsze pragnienie. Gertek przytulił policzek do kolby, złożył się, słuchem stwierdził, że nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Jeleń poczuł nagle niepokój. Łeb uniósł wysoko, patrzył dużymi lśniącymi oczyma. Drgnęły pęciny nóg. Za późno. Głucho zabrzmiało echo skierowanego na komorę strzału Gertka, odbiło się o drzewa, zawróciło nad strumień. Kilka czap śniegowych opadło z gałęzi, zapiszczał gdzieś przestraszony kos, chybkiem lotem uciekała zięba. A jeleń w ułamek chwili po strzale, który taki popłoch wywołał w puszczy, wyprysnął nagle w górę wysoką rakieta, jakby się zachwiał, a potem pędem niepowstrzymanym, głośno chrapiąc, łomocąc, nie zważając na nic, runął do panicznej ucieczki, gnany straszliwym bólem, brocząc posoką. Zabarwiły się wody strumienia, zaczerwieniał spoczywający na brzegu mięciutki śnieg.

Gertek podniósł się, wysłepił oczy, chciał zmienić nabój, ale w tej chwili leśny olbrzym zastękał jak człowiek niezmiernie zmęczony, przegiał się w lewo, potem w prawo, w tę już stronę zwałił się w wodę całym ciężarem ciała. Zadudniło, grudy zmieszanej ze śniegiem ziemi posypały się na strony, ciało zwierzęcia drgało wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami, łeb wyciągnął się do przodu, zbolale oczy mieściły bezmiar bólu i żalu do świata, który każe umierać nędzną, zdradziecko zadaną śmiercią. Jedyna śmierć, godna jelenia, to plac walki w czasie rykowiska...

Gertek, który susami przebył niewielką przestrzeń od miejsca, na którym padł jeleń po krótkiej, ostatniej ucieczce, dyszał teraz ciężko, stojąc wyprostowany jak gonna sosna. Nareszcie. Dopiął swego, obszedł lisi nos Maćkowiaka. Z nawyku raczej niż z potrzeby obejrzał się. Cisza. Wciąż trzymając fuzję w prawej dłoni, szedł do ubitego byka. Przystanął nad nim, patrzył dumny, szczęśliwy.

Z tyłu usłyszał szelest. Obrócił się, krzyknął. Z drugiej strony inny krzyk zabrzmiał równocześnie, razem z nim nowy strzał poniósł się echem po lesie.

— Mam cię, zbój, nareszcie! — w głosie tym był triumf niebywały, zwycięska nienawiść i pasja, jakaś ogromna zażartość.

Gertek patrzył półprzytomny na biegnącego ku niemu Maćkowiaka. Fuzja w Gertkowym ręku zadrgała, bezwładnie wysunęła się na ziemię. Z ramienia ściekała krew, tuż obok jeleniej posoki.

— Stój, bo zastrzelę jak psa! — Ten nowy okrzyk tuż,, tuż znajdującego się leśniczego wrócił Gertkowi przytomność. Błyskawicznym, w lesie nabytym ruchem uskoczył w bok, skręcił w lewo, wpadł w gęstwinię leszczynowych gałęzi, znowu zawrócił w prawo, pod nawisły cień świerków, gnał szaleńczo. Tylko gałęzie gniewnym zrzuconiem śniegowych okryć odpowiedziały na nowy strzał Maćkowiaka.

Gertek był już daleko. Biegąc, nie czuł bólu ramienia, zwisającego bezwładnie, nie widział skapującej gęsto krwi. Rwał przed siebie, aby tylko jak najdalej uciec od prześladowcy. Pomyślał — jakie to szczęście, że w porę otruł owego psa; teraz byłoby już po nim...

Gdy wreszcie przystanął, bacznie rozglądając się wkoło, odpowiedziała mu głucha cisza. Las milczał, jakby przerażony tym, co się stało. Gertek drżał na całym ciele. Teraz dopiero w pełni uświadomił sobie, co zaszło. Przegrał, tak, przegrał na całej linii. Skończyła się jego miłość leśna, skończyły kłusownicze podchody. Maćkowiak miał w ręku niezbite dowody: fuzję i ścierwo jelenie. Aż nadto, aby na długo wpakować sprawcę do kryminału... Cóż Gertkowi po takim losie?

Zmarszczył się, zasepił. Lewą dłonią potarł czoło, jakby nie mógł sobie poradzić z buszującymi w nim myślami. Potem dłoń zacisnęła się gniewnie, silnie, aż zbieleły napiętki. Maćkowiak. On winien Gertkowemu nieszczęściu. On winien krzywdzie Gertkowej żony i dzieci. On, tylko on. Jakieś złe rysy ścięły w nienawistną maskę twarz kłusownika. Dawnym nawrotem czujności obejrzał się, zasłuchał w las. Nie, leśniczy już go nie gonił. Cieszył się teraz pewnie fuzją, z lubością sycił oczy padłym jeleniem. Triumfował.

— Niedoczekanie twoje... — mściwe spojrzenie pobiegło w kierunku strumienia, a jasne, wyblakłe oczy ściemniały. Taką ma siłę nienawiść.

Ramię odezwało się ostrym bólem. Spojrzał. Krew rozlała się szeroką plamą na bieli śniegowej. Krwawił silnie. Spróbował poruszyć ramieniem. Nic, tylko ból przeszywający, piekielnie silny. Zacisnął zęby. Kula utkwiała gdzieś pod pachą, pewnie strzaskała kość. Pomagając sobie zębami, szarpał wyciągnięty kraj koszuli myśliwskim nożem, nieporadnym w lewej dłoni. Próbował tamować krew. Nie pomagało. Wtedy sznurkiem ścisnął ranioną kończynę. Zaczęła, krwawić mniej silnie, tylko zapiekła jak w ogniu smalona. Marszczył twarz, straszyły się brwi w tym bólu. Ale mózg pracował jasno. Wargi poruszyły się raz jeszcze, szepnęły znowu:

— Niedoczekanie twoje...

Wolno, krok za krokiem już teraz, przemykał się Gertek lasami w stronę osady. Lewą dłonią podtrzymywał połę kurtki pod krwawiącym ramieniem. Nie chciał zostawić śladów dla Maćkowiaka.

Przysunął się jak mógł najbliżej do swojego domu, patrzył uważnie. Dojrzał, jak z domu Maćkowiaka wysunął się chłopak, chował coś za pazuchę, wskoczył na siodełko, gnał do miasteczka. Nietrudno było się domyślić, że jechał z doniesieniem do milicji i nadleśnictwa. Gertek zachodził w głowę, co zamierza Maćkowiak, skoro szczeniaka wysłała do Mielicka. Czyżby chciał sam pojmać znieawidzonego wroga i przekazać milicji? Nie wydało mu się to prawdopodobne. Bał się jednak wyjść z ukrycia, w jego obejściu zaś nikt się nie kręcił na zewnątrz domu.

Siedział u stóp świerka, sykał czasami z bólu, patrzył przymrużonymi oczyma. Z komina walił dym, nierównymi kłębamii rozplýwał się na wszystkie strony, kołował.

„Pociepleje” — pomyślał jeszcze nawykiem lat odgadywania pogody. Znow skrzywił się z bólu.

Ziąb go przeniknął całego. Śnieg padał na ubranie, topniał, przesyczał kurtkę wilgocią. Od dołu też ciągnęło. Ramię przestało krwawić, ale ból stawał się coraz ostrzejszy. Bał się, że zemdleje. Jedyne myśł o Maćkowiaku w niepojęty sposób dodawała mu sił.

Doczekał się wreszcie. Z podwórza Maćkowiaka wytoczył się wóz, na nim leśniczy i jeszcze jakiś mężczyzna. Gertek z dala nie mógł go poznać. Bocznią drogą od osady jechali do lasu, zniknęli wkrótce wśród drzew. Domyślił się, że leśniczy zamierzał przewieźć tutaj zewłok jeleni. Na dowód... Uśmiechnął się.

Spokojnie wszedł do domu. Z żalem jakimś oglądał się na przytulne ściany, w których tak dobrze spoczywało się po nużących wędrówkach, na zegar wagowy, chyboący, szepczący swój nieustanny pacierz. Na żonę nie mógł patrzeć. Żal szarpał nim, dławił w gardle. Żona, dzieci... Już to nie dla niego. Przez tego Maćkowiaka... Ech...

Nie dał kobiecie czasu na lamentsy. Kazał owinąć ramię, osypać je pyłem zebranyim z kwiecia lecopodium. Na pytania machał przecząco zdrową dłonią. Zjadł, wróciły mu siły. Kazał podać flaszkę wódki, odkorkował, łyknął tylko, schował do kieszeni kurtki. Zwrócił się do żony:

— Strzeliłem tamtego byka... Maćkowiak mnie dopadł, ranił, ma moją fuzję... Szczeniaka swego posłał po milicję. Trzy lata więzienia; jak dobrze pójdzie, to i pięć...

— Boże! — jęknęła zdruzgotana, aż przysiadła na ławie.

Zawsze nie miała własnej inicjatywy, kurczowo we wszystkim trzymała się zdania męża. Ani jej przez myśl nie przeszło, że może go kiedyś zabraknąć. Teraz świadomość ta sparaliżowała jej ruchy i myśli. Wpatrywała się w niego dobrymi, łagodnymi oczyma, blada, przejęta.

— To, to... Alojz, uciekaj! — zaczęła szeptem, skończyła krzykiem pełnym rozpacz.

Sarknął:

— Cicho, głupia... Pewnie, że czekał nie będę. Daj mi kawał słoniny, chleba...

Już było dobrze. Wystarczyło jej, że znowu czegoś żądał. A więc może jeszcze być dobrze. Alojz poradzi, na pewno poradzi. Uciekną znów gdzieś, jak wtedy z Pomorza... Znow będzie spokój...

Zakrzętnęła się po izbie.

Gertek tymczasem, patrząc w okno, wymacał na podłodze jakieś flaszki, pakował je do kieszeni. Potem wziął z sieni kawał konopnej przędzy. Pomacał się po kieszeniach. Miał wszystko, czego mu było trzeba...

Zerknął znowu przez okno.. Czas najwyższy, by zmiatać z domu. Objął żonę ramieniem:

— Bywaj, Zośka, a nie daj się... Gdzie chłopcy?

— W gumnie...

— To szkoda, nie mam czasu ich szukać. Pożegnasz dzieciaki ode mnie... — Głos mu się załamał, ale opanował się wnet, zakończył: — No, czego beczysz?

Kobieta nie rozumiała, ale czuła coś złego swym skołatany, przywiązany sercem.

— Alojz, co ty? Go ty? Uciekasz? Kiedy wrócisz?

— Tak, tak uciekam... Kto wie, kiedy wrócę... Trudno wracać po takich zdarzeniach, trudno...

Jeszcze raz ją uściskał, chyłkiem wysunął się z drzwi, rwał znów do leśnej przystani. Tylko w niej czuł się bezpieczny.

Od paru godzin błądził wśród drzew w pobliżu osady. Ramię jakby mniej dolegało, czuł tylko, że puchnie pod niezgrabnym opatrunkiem. Głupstwo, grunt, że krew nie wyciekała. To przecie najwięcej osłabia... Widział wszystko. Oto przedtem, już po skończeniu pracy w tartaku, wrócił Maćkowiak ze ścierwem jelenim. Wóz przystawał po drodze przez wioskę, gajowy szeroko rozpowiadał coś spotykanym ludziom. Zwiedziały się zaraz o wszystkim kobiety, gromadziły się po dwie, trzy. Przystawali grupkami mężczyźni. Ci i owi wyglądali na szosę w kierunku miasteczka.

Pod wieczór już było. Śnieg ustał, szarość tylko zawisła nad ziemią, gdy we dwa motocykle przybyli milicjanci. Zabrali Maćkowiaka, razem udali się do Gertkowego domu. Bawili tam długo, pewnie rewizję robili, potem obchodzili gumno, inne budynki, zagłębili się nawet w pobliski las, szukali czegoś na ziemi.

Wytrzeszczając coraz słabiej służące mu w mroku oczy, Gertek śmiał się w swoim ukryciu. Durnie, śladów szukają, jakby zapomnieli, że śnieg dopiero przed chwilą przestał padać...

Noc ciemna i ponura opadła nad ziemię. Ledwie widoczne rysowały się w niej kształty chałup. Smugami światła patrzyły na boki oświetlone okienka. Psy czasem tylko szczekały, zawrzęszczała sowa, rozdarło się powietrze jazgotem przedśmiertnym rozrywanego przez nią młodego zająca. Znów cisza, cisza coraz pełniejsza, ciemniejsza co chwila gasnącymi smugami od okiennych blasków. Borszuny kładły się spać. Jeszcze godzina i spały już całe. Tylko u Maćkowiaka wciąż paliło się światło. Gertek patrzył na nie uważnie. Zimno było. Co jakiś czas zębami odkorkowywał flaszkę, pociągał haust wódki. Grzała.

Uznał, że czas już. Przesunął się lasem pod dom leśniczego. Przystawał, nasłuchiwał. Sam lis, z lisem miał do czynienia. Czujność okazała się potrzebna. W pewnej chwili posłyszał szelest, cichy trzask złamanej pod nogą gałęzi. Ktoś, jak on, błądził po lesie, przystawał, nasłuchiwał... Przyłgnął do pnia, wrósł weń zupełnie. Słuchał. Blisko godzinę niemal bezszelestne kroki dawały się słyszeć w pobliżu. Maćkowiak wartował. Czyżby miał zamiar zrobić to całą noc?

Potem znów zaległa cisza. Gertek nie przerywał jej jeszcze długi czas. Wreszcie, jak mógł najostrożniej, przesunął się pod zwisające już nad polem gałęzie ostatnich drzew lasu. Patrzył. Światło u Maćkowiaka paliło się jeszcze. Zaklął cicho. Czyżby naprawdę pełna wygrana miała przypaść tamtemu?

Kury już piąć poczęły, gdy wreszcie zagaśł dom leśniczego. Całe Borszuny pogrążyły się w sennej ciszy.

Wtedy ze skraju lasu wyczołgał się człowiek. Pełzł na kolanach, przygięty, stale przypadając do bruzdy, mało widoczny w chmurnej ciemni nawet na tle jasnego śniegu.

Długa to była wędrówka. Jeszcze w sadzie milcząca, tajemnicza postać długi czas trwała w bezruchu. Potem dłoń człowieka jęła szperać po kieszeniach. Twarz marszczyła się bólem, spierzchłe gorączką wargi poruszały się bezustannie, ale nie wychodził z nich żaden dźwięk.

Do tylnej, ślepej ściany domu przytulona była przybudówka, niska, kryta słomianym dachem. Rozgarniając słomę, tajemnicza dłoń zlewała, ją jakimś płynem. Zapachniało w powietrzu. Część słomy człowiek wyszarpnął z dachu, rozesał około węgła, też zlał obficie.

Potem długo mocował się z drugą flaszką. Wreszcie, jedną dłonią przytknąwszy niezdarnie zapalniczkę do piersi, zapalił ją. Ogień zamigotał na wietrze, podsunęty umiejętnie, uchwycił słomę dachu i zręby węgla, zamigotał, rozszerzał się...

Człowiek usunął się nieco w bok, parę metrów od drzwi wejściowych. Był prawie nieprzytomny. Twarz miał skrzywioną grymasem. Szeptał wciąż do siebie te same słowa:

— Niedoczekanie twoje... niedoczekanie twoje...

Płomień rozszerzał się, robiło się coraz jaśniej. W domu nagle zabrzmiały krzyki, skrzypnęły wewnętrzne drzwi.

Cień na dworze drgnął, zabłysła zapalniczka. Gdy rozwarły się drzwi wejściowe, gdy stanął w nich oblany światłem pożaru Maćkowiak, gdy ujrzał mściwą sylwetkę Gertka z ogniem w dłoni — zapalniczka, przytknięta do otwartej flaszki, buchnęła płomieniem, w tej samej sekundzie zatoczyła łuk, wirując, siejąc bryzgami ognia, opadła na stojącego w drzwiach człowieka.

Gertek widział jeszcze zasłaniające twarz dłonie leśniczego, Maćkowiak dosłyszał wykrzyknięte triumfalnie słowa:

— Niedoczekanie twoje!

Zaszypiał leśniczy, zakrzyczał nieludzkim głosem, stanął w płomieniach, wpadł do domu, wrzeszczał o pomoc.

Płomień z przybudówki przenosił się wyżej, od węgla lizał już pół ściany.

We wsi rozległ się alarmowy sygnał. Chwilę potem zahuczała syrena tartaczna.

Gertek już nie słuchał, nie patrzył. Jak mógł najszybciej, rwał do zbawczego, ukochanego lasu. Nie oglądał się na sprawioną swymi rękami pozołę, nie myślał już o Maćkowiaku, o niczym więcej nie myślał. Ostatkiem sił gnał ku obmyślonemu mu za dnia jeszcze miejscu. Tam miał dopiero odpocząć... Powoli wstawał świt. Przejaśniło się cokolwiek między drzewami. Wyraźniejsza się stała sylwetka przygiętego, pojękującego człowieka, stojącego pod wysokim drzewem. Najniższe konary sosny chwiały się w porannym wietrze tuż nad odkrytą głową. Gertek słuchał chciwie budzącego się od nowa życia lasu...

Gdy z trudem ugaszono wreszcie pożar, a na miejscu dawnego domu leśniczego zostały tylko dymiące zgliszcza, jego samego zaś odwieziono mocno poparzonego do szpitala, dzieci i żonę lokując po sąsiadach, wstrząśnięci mieszkańcy Borszun nie rozchodzili się. Stali w grupach, szeroko komentując wydarzenia.

W parę godzin później znaleziono Gertka. Wisiał na własnym pasku — na niskiej gałęzi potężnej sosny. Szumiała nad nim ukochaną pieśń leśniczą...

Ludzie odkryli głowy, stali tak długo w milczeniu. I tylko stary Walicki, trzęsąc swą siwą głową, odezwał się cicho:

— W lesie skończył, jak w lesie i życie przepędził... Kochał ten las, tylko inaczej, niż trzeba. Ho, bo las trzeba umieć kochać, dobrze kochać...

Odszedł stary leśniczy w bok, zadumany stąpał wolno między drzewami. Myślał, jak to trudno właśnie dobrze ukochać las. Źle kochał go Gertek, nie oddał lasowi całego serca Maćkowiak... Nie tak trzeba kochać. Z sercem zawsze otwartym dla każdego ptaka i zwierza, z sercem nade wszystko otwartym dla człowieka. Inaczej las karę zsyła. Ot, jak Gertka pokarał, Maćkowiaka doświadczył...

Wschodzące słońce zaróżowiło las, blaskiem słało się na szerokiej polanie, okolonej jasnymi pniami brzoź. Skrzyły się teraz, migotały w słońcu, odbijały od calizny śniegowej.

Walicki patrzył spokojnymi, chłonaącymi oczyma, wciąż ciężko wzdychając.

SPOD SZCZĘŚLIWEJ GWIAZDY

Jeszcze czekał, jeleń częścią tułowia dopiero wychynał z zagajnika na linię. Powoli podnosił broń, przymierzał się, zwlekał. Może i jemu żal było wspaniałego byka, schylającego bez pośpiechu łeb i chwytającego wiatr w chrapy. Nie wyczuł śmierci, czającej się tak blisko, podniósł głowę, słońce oświetlało go w całej okazałości. Wszedł powoli na linię, przystanął, okręcił się nieco, stając przed wstrzymującymi dech myśliwymi na sztych. Lufa dryllinga obniżyła się, nie pora na strzał, niechże zwierzę obróci się znowu bokiem...

Słońce jest intensywne, jak zawsze późną jesienią. Mocnymi lśnieniami odbija od ciemnej, podsycanej czerwienią rdzy grzbietu i znacznie jaśniejszych boków. Grzywa, kłębiasta i postrzępiona, połyskuje wyrazistą czernią. Szyja tęga, mocno osadzona, badyle drżą. Drży siwy łeb, dźwiga się w górę. Słychać wzbierający charkot. Potem ryk, krótki, chrapliwy, jakby próba przed mającym dopiero nastąpić wyzwaniem. Wieniec przyciemniony w kolorze, tyka masywna, ani byś garścią nie chwycił, korony łopaciste, kapitalny czternastak.

Lufa znów dźwiga się w górę. Byk stoi, teraz drga lekko, zaczyna robić niespieszny półobrót, chwila, a wystawi się na komorę, padnie strzał, na nic się nie zdadzą dwa lata Krupowiesowych zabiegów i troski.

Krupowies decyduje się, pal sześć, że sam dyrektor. Ale tam przecie jego czternastak! Krztusi się nagle i zanosi gwałtownym, niepowstrzymanym kaszlem.

Jeleń znika jak poderwany sprężyną, wspaniały zwrot, tylko trzęsą się drzewka zagajnika.

W las, zastraszone odbitym przez echo strzałem, sypie się wiązanka dosadnych słów. Dyrektor klnie bez skrępowania, Krupowies kuli się w sobie. Ale zarazem napętnia go radość — znów uratował życie wagabundzie o czarnej grzywie. Jeszcze raz się udało, głupie byczysko, zęby chociaż wiedział, komu swój los szczęśliwy zawdzięcza.

Dyrektor urywa w pół słowa. Przechylając głowę, zza szkieł podejrzliwie patrzy na Krupowiesia. Miele coś między wargami.

— Słuchajcie, co się z wami dzieje? Jeden z najlepszych łowczych w okręgu i tak musicie partaczyć? Nie pierwszy raz... Minister skarżył mi się w ubiegłym roku, że miał już na muszce wspaniałego rogowca, gdy wy ni stąd, ni zowąd strzeliliście najbardziej nie w porę. Jakoby zawadziliście kurkiem o gałąź, pech taki... Tylko wiecie, Krupowies, ja w lasach życie spędziłem i w takie pechy nie bardzo wierzę. Co mi na to powiecie?

— Kiedy bo mnie naprawdę czasem zatyka, dławi, ani rusz nie mogę pohamować kaszlu. Może to astma czy coś jeszcze gorszego. A z tamtym przypadkowym strzałem, pewnie, nieładnie wyszło, jeszcze, że ministrowi... Żadnego byka przez całe rykowisko nie zabił.

— Pewnie prowadziliście go tam, gdzie nie uświadczy żadnego jelenia. Ej, Krupowies, Krupowies! — palec dyrektora na pół żartem, na pół serio zawachlował w powietrzu. — No cóż, wracamy, spróbuję jeszcze pod wieczór, ale sam pójdę, bez waszej pomocy.

Zarzucając trójłufkę na plecy, ruszył przecinką w kierunku linii. Leśniczy od spraw łowiectwa, postępował o parę kroków za nim. Wyższy znacznie od poprzednika, z góry spoglądał na niewielką, okrągłą sylwetkę. Pewnie mu już minęło, myślał, dobry chłop, tyle tylko, że trzeba go unikać w chwilach pierwszej złości. Jak na siebie, i tak mało dzisiaj wyklinał, a miałby za co. Wyraźnie czuje, że z tym moim kaszlem coś jest nie w porządku. Ale cóż było robić?

Z uciechą zarazem myślał, że znowu postawił na swoim. Wprawdzie przez to psuje sobie i innym drugie rykowisko, ogarnięty tą swoją pasją, ale dobrze, że z pomyślnym dla byka skutkiem. Musieli się uwziąć właśnie na tego Czarnucha, jakby innych byków brakło w okolicy. Ten zaś jak głupi wyłazi prosto pod lufę, zanadto coś wierzy w swe szczęście.

Na linii dyrektor przystanął, wskazał dłonią. W miejscu, gdzie przedtem tkwił kapitalny rogacz, widniały wyraźne wciski badyli, duże, aż leśniczy od nowa się zdumiał, choć widział je przecież nie po raz pierwszy.

— Ej, Krupowies, takiego byka przez was się zmarnowało.

— Dyrektor już nie był gniewny, westchnął tylko tak jakoś bardzo ciężko.

Spojrzał na leśniczego. Ostro patrzyły te oczy zza szkieł. — A czemu to już więcej nie kaszlecie, co?

Ruszył znów przodem, Krupowies zaś wyzywał siebie z całej duszy. Pewnie, trzeba było zakaszlać się ze dwa razy, tym głupiej tamta historia wygląda, szyta nie nićmi już, ale powrozem, wariat by się w tym wszystkim rozeznał. Żeby to dyrektor nie zechciał mu czegoś zmalować w odwecie...

Zapalił papierosa, nastrój zrobił się nazbyt nerwowy. Gdy dochodzili w pobliże leśnictwa, dyrektor odwrócił się raz jeszcze.

— Mam tylko pełny dzisiejszy dzień i jutro rano. Spróbuję zasadzić się na tego czternastaka. Olbrzym prawdziwy, mamy w Koszalińskim piękną odmianę jeleni, w niczym nie ustępują osławionym mazurskim. Żeby mi się tylko powiodło...

O, nareszcie, kaszlecie — dorzucił z wyraźną przekpinką.

Krupowies na dyrektorską zapowiedź tak rozpaczliwie zaciągnął się dymem, że zdławiło go, zakrztusił się, zaniósł kaszlem, łzy mu w oczach stanęły, w uszach zadudniło łoskotem. Po długiej dopiero chwili wybąkał:

— Spłoszony teraz, może się już nie pokazać, niechby lepiej pan dyrektor spróbował w ostoi przy leszczynowej górcie, za torfowiskiem, tam ryczą najwięcej, zresztą można będzie pod noc posłuchać...

— Ej, Krupowies, nie wiem, co macie w zanadrzu, ale coś zanadto kręcicie. Właśnie, że będę miał tego czternastaka... Macie może szkło do wabienia czy muszlę, gdyby tak go spróbować, co?

Niby to potakiwał zwierzchnikowi, cały jeszcze czerwony, z załzawionymi od kaszlu oczyma, ale w duchu powtarzał sobie w tej chwili tylko to jedno: niedoczekanie twoje, abyś go miał, mojego Czarnucha, niedoczekanie twoje...

Rudel zerwał się do ucieczki w ostatniej chwili, nie okazując szczególnego popłochu. Towarzyszący sarnom bażant w ogóle nie przejął się wyłaniającą się sylwetką Krupowiesa, tyle tylko, że sfrunął leniwie w przeciwny skraj poletka od-łowni, stamtąd popatrywał ciekawie, zawiadacko przechylając w bok głowę. Leśniczy życzliwie pokiwał mu ręką. Ptak nastroszył się, załomotał skrzydłami, niechętnie wzbił się na wysokość pozwalającą na przefrunięcie ogrodzenia.

Poletko okalające paśnik, położony w samym środku od-łowni, spryskane było i zryte dziczymi racicami. Czarny zwierz systematycznie wygrzebywał ostatki ziemniaków, buraki łaskawie pozostawiając jeleniom. Te jeszcze niechętnie tu zaglądały, w paru tylko miejscach znaczyły się wciski.

Leśniczy przysiadł na obrzeżu okrągłego paśnika, krytego słomianym dachem. Wodził oczyma po ogrodzeniu odłowni, zwężającym się z jednej strony w wąziutki, pozałamywany klin, stanowiący serce pułapki.

Wiatr przewiewał resztki liści opadających z drzew, szeleścił pośród kęp wyschłej trawy. Całą polanę otaczała zwarta ściana lasu, głównie starodrzewia, po części nie trzebionej dragowiny. Tylko do głównych wrót wiodła szeroka linia, jakby zapraszając do wkroczenia na nią leśnych mieszkańców. Drugiej drogi, skrytej za wzbijającym się w las klinem pułapki, nie można było dojrzeć z polany nawet teraz, poprzez prze-rzedły, jesienny las.

Lubił ten spokój. Poza nim rzadko kto do tego zakątka zaglądał, Krupowies był z tego rad. To już była wyłącznie jego łowiecka dziedzina. W całym nadleśnictwie ten kąt najbardziej mu przypadł do serca. Może dlatego, że wszędzie indziej las tracił poprzez pielęgnację pierwotny swój wygląd. I tylko na sporym obszarze wokół odłowni było inaczej.

W jednym z rogów fioletowiwała kępa opóźnionych w kwitnieniu wrzosów. W jej pobliżu przykicał teraz szarak, młodzik z któregoś z niedawnych miotów. Ruszał wąsikami, słuchy chodziły mu bezustannie; pragnąc wyjrzeć nad przesłaniającą widoczność trawę, postawił słupka, za chwilę znów osiadł na skokach, po czym przybliżył się już spokojnie do najbliższych buraków. Delektował się nimi najwyraźniej, piłując miąższ strugami. Wbrew zamiarom niepłoszenia smarkacza widok ten tak ubawił Krupowiesę, że nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Dopiero szare biedactwo zerwało się, jak nieprzytomne sadząc ku żerdziom zagrodzenia, mało się o nie nie rozbiwszy.

Wszystko było przygotowane do odłowów. Niech tylko pierwsze mrozy zaczną ścinać ziemię, zeskalając ją w twarde grudy, niech śnieg spadnie pierwszą ponową, niejedną godzinę przyjdzie przesiedzieć na wartowniczej ambonie w oczekiwaniu na moment naciśnięcia dźwigni, powodującej gwałtowne opuszczenie bramy, tarasującej zwierzynie drogi ucieczki. Ambona też czekała gotowa, wybita od środka słomą, nie przepuszczająca wietrznych podmuchów. Wieleż to godzin, wiele dni, zwłaszcza zaś nocy spędził na niej, szczękając zębami mimo ciepłej odzieży, trąc zgrabiałe dłonie, z trudem odkręcając nakrętkę termosu z gorącą herbatą.

Był wtedy czas na samotne rozmyślenia, przywodzenie na pamięć dziejów niespełna jeszcze trzydziestoletniego życia.

Nigdzie lepiej się nie dumało, jak właśnie tu, na terenie odłowni. Samotność domową mógł przerwać w najbardziej niepożądanym momencie telefon, ciekawiła tam książka, radio szumiało natrętną muzyką. Tutaj cisza i spokój były pełniejsze, jak gdyby bardziej własne.

Leniwym, wyczekującym lotem przefrunął nad odłownią gołębiarz, wreszcie przysiadł na szczycie ambony. Tułów jego pozostawał w bezruchu, tylko łeb okręcał się nieustannie na wszystkie strony. Bystre oczy musiały dostrzec zielonkawą płaszcz człowieka, może nawet, nie ominęły połyskującej oksydowaną czernią lufy; smak wylatującego z niej ognia poczuło się kiedyś na sobie, nadszarpane podbrzusze jeszcze dzisiaj słabiej było pokryte pierzem. Ptak wszakże jakby znał nie pisane prawa odłowni, zakazujące strzelania w jej pobliżu. Tu zawsze musiał panować spokój i cisza, przerywana co najwyżej odgłosami życia leśnych mieszkańców.

Oczy ludzkie ślepiły za ptakiem, na twarz wypłynął uśmiešek porozumienia.

Krupowies uśmiechałby się teraz do całego świata. Nareszcie skończyło się rykowisko, ustały wizyty utytułowanych gości w rejonie. Powracał spokój na hodowlane obszary. Ze śniegiem mogą się jeszcze pojawić amatorzy czarnego zwierza, na pewno pójdzie przez

zagają nagonka płosząca szaraki, ale to nie było już tak groźne, nie mogło w niczym zaszkodzić czternastakowi o czarnej grzywie, stąd noszącemu przydomek Czarnucha.

Wizyta dyrektora była najbardziej denerwująca. Uwziął się na byka, jeszcze o dzień przedłużył swój pobyt. Trwożnie ścisnęło się serce leśniczego, niespokojnie oczekiwał na odgłos strzału. Nad wieczorem strzał ten poniósł się rozgłośnie przez lasy, zaraz nadgonił go drugi. W Krupowiesie serce zamarło, stał na podwórzu jak wryty, dłonie mu zwilgotniały, w gardle nabrzmięwało ni to przekleństwo, ni skarga. Pragnął biec w tamtym kierunku, sprawdzić, coś go jednak zatrzymywało, poszeptywało, że to padł Czarnuch o wspianiałym porożu, skończyła się ich długa zabawa w przechytrzenie wzajemne. Nie pamiętał, jak przeminęły te godziny, po zmrok, z którego wyłonił się nagle swą niewielką postacią dyrektor. Znużony był, przecierał okulary niepewnie, na zapytanie o wynik odpowiedział nie wprost. Dopiero przy kolacji przygotowanej przez gospodarza przyznał się, późno usiłując nadrobić swoje frajerstwo niefrasobliwą miną.

— Przyszło byczysko. Po tej grzywie rozpoznałbym go wśród setek innych. No i korona, rzadko podobną się widzi, kto wie, czy to nie medalowe poroże. Pudło, zupełna figa, zagrzmiało tylko, gdy runął w krzaki. Sprawdzałem, farby ani najmniejszego śladu. Nie pojmuję, trójlufka dobrze przestrelona, biła w sam środek tarczy. Musieliście go, Krupowies, zaczarować czy jak? Co jest naprawdę z tym bykiem?

— Rozumny zwierz. Trafił dwakroć w odłownię, za każdym razem uszedł. Żadnej innej sztuce to się nie przytrafiło.

— Wy go, leśniczy, specjalnie czemuś lubicie, hę? Stąd ten kaszel wczorajszy? I ta historia z ministrem?

— Herbaty jeszcze na rozgrzewkę? Wieczór chłodny...

— Nie chcecie gadać, nie gadajcie... Jutro idę znowu na tego czternastaka. Nie daruję szelmie swojego.

Tym razem jednak Krupowies nie pozwolił się już zastraszyć. Wierzył w szczęśliwą gwiazdę Czarnucha. Rzeczywiście dyrektor już go nie podszedł, wyjeżdżał z kwaśną miną, z całego rykowiskowego urlopu wywożąc na rozkładzie zaledwie dwa słabe byki. Do leśniczego odnosił się wszakże ze zwykłą sympatią — zazdrozczono jej Krupowiesowi w okregu — zamruczał jedynie na pożegnanie:

— Pilnujcie tego waszego byka. Na przyszłą jesień nie przepuszczę mu już na pewno.

— Dawno będzie już wtedy w kieleckich lasach.

Zamrugały oczy za szklami.

— Ach, tak, teraz pojmuję. Chcecie darować mu życie. Jako myśliwy żałuję trofeum, jako leśnik, zdaje mi się, że was rozumiem.

Jakby serdeczniej niż zwykle uściśnął dłoń Krupowiesa.

Miało to miejsce zaledwie przed paru tygodniami, a wydaje się, że znacznie już dawniej. W spokoju i ciszy czas szybciej leci. Zima jeszcze nie daje znaku o sobie, ociąga się w tym roku, może przez to wybuchnie z nagłą, ostrzejsza aniżeli zazwyczaj. Zwierzyna pociągnie do paśników, stanie się mniej płochliwa, instynktem wyczuwając przyjaciela w człowieku. Nie w każdym, ale w tym, który troska się o liściarkę, o snopki owsa, a żołądziej i jarzębinę, i chrupiące kasztany, który w odwilż uraczy burakami czy ziemniakami, ptactwu rozsypie ziarno. A siano w mroźne i śnieżne dni jakie staje się znakomite. Cóż dopiero, gdy opodał znajdzie się jeszcze lizawka z solą. Krupowies nieraz sprawdzał osobliwe wyczucie leśnych mieszkańców, garnących się do niego, w nim szukających ochrony. Często przecież obserwował rudle sarnie czy chmary jeleni albo świecących białymi lusterkami danieli, nie zakryty żadną osłoną. Niepokoiły się. łapały wiatr, śledziły za nim lśnięcymi oczyma, ale nie rezygnowały z pasienia. Jeśli jednak zabłąkał się w pobliże ktoś obcy, tylko rumor cichnący w gąszczu świadczył o niedawnej bytności zwierzyny.

Świadomość narastającej wspólnoty szczególnie radowała Krupowiesa. W niej znajdował jakby odpłatę za inne, wzgardzone uczucie. Wdzięczność zwierząt była czysta, nie przesłonięta innymi względami. Płaciły dobrym za dobre.

Coraz częściej błogosławił też losom, które po ciosie z Agnieszką sprawiły w swoistej rekompensacie, że ofiarowano mu w dyrekcji funkcję leśniczego od spraw łowieckich. Na dawnym miejscu po odejściu dziewczyny nie potrafiłby wszakże wytrzymać. Wszystko co krok przypominałoby o tamtej przeszłości, bolało, podrażniało z byle przyczyny, nie pozwalało spopielić się dawnej namiętności.

Spokój nie przyszedł od razu. Pamięć wzgardzonego uczucia, świadomość przegranej w męskich ambicjach, żal nie tylko już do Agnieszki, ale wręcz do całego świata — była to aura pierwszych niełatwych miesięcy życia w nowych warunkach. Nawet las nie koił od razu, tam przecież także była puszcza, też kluczył leśnymi duktami, liniami i przecinkami, podobnie otrapiał po ponowie zwierzynę. Stopniowo przygasać wszakże zaczęła ostrość minionych doznań, coraz częstsze zdarzały się momenty spokoju, dziwnie jeszcze otepiałego, jakby po zażytych narkotyku, dopiero znacznie później przeszłość przykryła się mgłą, na to miejsce pojawiał się i narastał smak obecnego życia. W świeże poranki, gdy rosą sownie wilżyła trawę, nie mijał już obojętnie przecinających się różnorodnych śladów na łące, ale z pasją starał się z nich odczytać zaszłe wydarzenia. Zachłystywał się widokiem spotkanej chmary,

gdy znad wiszących przy ziemi pasem mgielnych wylaniały się jakby zawisłe w powietrzu poroża samców. Wtedy to nastąpiło pierwsze zetknięcie z Czarnuchem. Zachwycił go ten okaz byka rozrosłego, szerokiego w piersiach, z grubym, kształtnie rozgałęzionym porożem. Byk zaś, jakby świadom czyjegoś podziwu, wolniutko przemaszerował skrajem poręby, zanurzając się potem w zwartą gęstwę młodnika.

Był jeszcze moment gwałtownego wezbrania przygasłych uczuć, gdy nadeszło wezwanie na rozprawę rozwodową. Nie wahał się, wyraził od razu zgodę, nie sądził, by kiedykolwiek zejść się mogły ponownie drogi jego z Agnieszką, złośliwe zaś działanie na przekór jej chęciom było obce jego naturze. Wahał się jedynie, czy jechać ma na rozprawę, wystawić się na niełatwą chwilę ponownego spotkania z Agnieszką. Zdumiał się, gdy właśnie widok jej, nie zmienionej, ładnej i pociągającej jak dawniej, nie tylko nie wzbudził w nim spodziewanych reakcji, ale sprawił, iż kobieta ta stała się mu właściwie najzupełniej już obojętna. Żal może było jedynie złudzeń, które wiązały się z jej osobą.

Wracając z rozprawy, spiesząc po wytchnieniu do swego lasu, zetknął się po raz drugi z Czarnuchem. Byk stał na rozwidleniu dwóch linii, w pełnym świetle znieruchomiały jak posąg, tylko przez badyle przebiegały nerwowe drżenia jak u rasowego konia. I wtedy uświadomił sobie, iż dobrze się stało, że zerwały się ostatnie nici, wiążące go jeszcze z Agnieszką. Zbliżyć ich z sobą na zawsze mogła jedynie miłość lasu, środowiska, w którym pędziliby życie. Ona zaś lasu nie znosiła, te jej dawne zachwyty były tanią minoderią. Potem las coraz bardziej stawał się dla dziewczyny synonimem nudy, oderwania od ruchu i gwaru. Na pewno by jej nie zachwyciło urodą ów rozrosły, twardy linią swoich kształtów byk o masywnym porożu.

Na tle najbardziej osobistych przeżyć tak się zrodziła pierwsza nić sympatii do jelenia o czarnej grzywie. Potem zaś, w myśl prawa, że w sercu człowieczym nie może być pustki, wyjąłowania uczuć, sympatia przeradzać się poczęła w mocniejsze uczucie. Czarnuch jakby sam o to się starał.

Długo się wahano z decyzją. Jedno było pewne — w obwodzie hodowlanym pogłowie jeleni nazbyt się wzmogło, należało zastosować selekcję, a jeśli i to nie przyniesie rezultatów, odstrzelić dodatkowo pewną ilość sztuk zdrowych. O budowie odłowni zaledwie bąkano. Dopiero w niecały rok od pierwszych rozważań zaczęto typowo po polsku trzebić las w najdzikszym uroczysku, zwozić żerdzie, wytyczać zarisy linii, w całym nadleśnictwie wszystko inne zawieszono na kołku, no bo jakże, przecież odłownia!

Krupowiesowi rosło serce. Polował, to prawda, ale jakoś strzały z jego dubeltówki coraz rzadziej się rozlegały w obwodzie, a jeśli już, to głównie do jastrzębi i innych szkodników. Nie wiedzieć kiedy zawarł nie pisane przymierze z poddaną swej pieczy zwierzyną. I ona traktowała go na poły jak swego. Chadzali przecież tymi samymi ścieżkami, wiodącymi do wodopojów, przedzierali się przez bagno, nawet zimą dyszące nigdy nie zamarzającymi oparzeliskami, opuszczali się stromą ścianą wąwozu nad brzeg nieckowatego jeziora, spotykali się w zwartej gęstwinie dąbrowy, szczególnie ulubionej przez dziki. Zwierzyna знаła już jego zapach, umykała mniej płochliwie, sarny dawały się podejść szczególnie blisko, często stawał na linii oko w oko z jeleniem i ten po dłuższej dopiero chwili dostojnie, z godnością podawał tyły. Daniele tylko nie zatraciły ani na trochę swej płochliwości, przewycięzającej nawet wrodzoną im ciekawość. Locha wodząca się z warchlakami mniej groźnie pochrząkiwała w przestrodze, gdy nazbyt blisko przechodził obok zagubionej w najdzikszych chaszczach ostoi. Może chwyтана z wiatrem woń łączyła się u nich wszystkich z pamięcią stawy podrzucanej zimą w licznych paśnikach albo ze smakiem soli w lizawkach, dość, że wśród bogatego pogłowia coraz więcej znajdowało się bliższych znajomych, których odróżniał po jakichś szczególnych cechach, a także zmniejszonej ostrożności w stosunku do jego osoby.

Ciężko przyjął pierwszą wiadomość o konieczności zmniejszenia pogłowia jeleni przez odstrzał. Prawidłowa hodowla musiała przewidywać podobne rozwiązanie, ani las by wyżywił za wielką czeredę, ani samym jeleniom nie wyszłoby to na dobre, zaczęłyby karłowacieć, chorować, powiększałyby się ilość selektów. A jednak było ciężko. Jakże strzelać do potężnego szesnastaka, lekko utykającego na przednią nogę, albo czyż nie szkoda młodzika z ułamaną w połowie tyką, zawsze dziecinnie rozdokazywanego na łące. Tych chorych sztuk żal, cóż dopiero mówić o kapitalnych okazach.

Nic zatem dziwnego, że budowę odłowni przywitał z prawdziwą radością. Zamiast ginąć, nie jadą w Kieleckie, gdzie braknie jeleni, a gdzie warunki byłyby sprzyjające ich bytowaniu. To samo daniela i sarny, cała płowa zwierzyna.

Pierwszy sezon nie przyniósł rezultatów. Zaledwie łanie dały się zamknąć w pułapce. Może żerdzie okalające odłownię były jeszcze zbyt świeże, gęstwa krzewi i bylin nie otoczyła zwartym murem wyrosłego nagle wśród lasu płotu, nie przyzwyczała się do niego w swych pochodach zwierzyna. Próżno całymi tygodniami kusił i wabił na wszelkie sposoby liściarką i przysmakami w rodzaju jarzębiny czy kasztanów, próżno bogatymi naręczami podrzucał siano, w odwilż zadając buraki wraz z ziemniakami. Dziki jedynie ochoczo buszowały w odłowni, paśnik natomiast często pozostawał nie tknięty całe tygodnie. Na

śniegu widniały gęste odciski sarn i danieli, trafiały się również ślady jelenie. Wszystko to zatrzymywało się u szeroko rozwartej bramy, długo drobiło w miejscu, nie zdobywając się na odwagę wejścia do środka. Nawet najcieńsze mrozy, spadłe nad ziemię wraz ze śniegiem i niosące z sobą zapowiedź głodu w lasach, nie potrafiły przełamać tej nieufności. Gdy wreszcie po nie wiedzieć której już nocy stróżowania na ambonie, zziębnięty na kość, zatrzaśnięciem bramy zdołał uchwycić dwie łanie, musiał się zaraz potem wyrzec wszelkich dalszych nadziei. Zabrakło nawet tropów u przedproża odłowni, zwierzyna omijała to miejsce szerokim kręgiem, musiała się ponieść w las złowroga wiadomość o zmyślnej pułapce, przygotowanej przez ludzi.

Ostatnia zima przyniosła zmianę. Żerdzie opłotowania pociemniały na słońcu i deszczu, rozrosły się wkoło jeżyny przeplecione paprocią, wybujała trawa, od wczesnej jesieni kusily rosące bez zabezpieczeń kartofle i falujący tuż owies. Całe lato Krupowies starał się nie niepokoić coraz częstszych bywalców odłowni. Przegromną radość sprawiło mu odkrycie, że w porośniętym gęstwą byliny i małych drzewek kącie pułapki zainstalowała się na stałe locha z małymi, przegowanymi warchlakami. Trudno było o lepszą przynętę... Sezon dał w sumie szesnastkę jeleni, w tym aż sześć byków, i prawie równą liczbę danieli.

Z dyrekcji spływały pochwały, nadgoniła je brzęcząca nagroda. Jeden wszakże Krupowies znał miarę wysiłku, jaki to kosztowało. Ileż zawodów, niespanych nocy, przeziębień, gdy amboną aż huštało na silnym wietrze, ile spóźnionych refleksów, gdy brama zakleszczyła się w sankach albo nie opadła w porę i zdarzało się, że pojmany już rudel odzyskiwał wolność. Zawsze później następował okres ponownego wabienia zwierzyny, jakiś lęk przed odłownią zadomawiał się w borach, głód mógł go tylko przewalczyć, skusić zwierzynę na smakowitą liściankę czy jeszcze lepsze pachnące siano.

Wtedy to właśnie zawiązała się ta wielka, osobliwa przyjaźń z Czarnuchem, zaczęła się pomiędzy nimi gra, gra na siłę i spryt.

Sezon zbliżał się ku końcowi, pachniało wiosną, w południe śniegi tajały w największych nawet ostępach, gdzie słońce rzadko dociera, wyraźna świeżość ogarniała las. Krupowies nadal czatował, uzupełniał karmę w paśniku. Czekał na świtu, owinięty kocami, przesypany noce na swej ambonie, by z pierwszymi zapowiedziami brzasku dźwigać się w największej ciszy i bacznie obserwować ramę odłowni. Dziwił się czasem, dlaczego Czarnuch ani razu się nie pokazał w tej partii leśnej. Spotykali się na innych liniach, mogło się zdawać, że znali się już nawzajem dobrze, mieli wszak tyle okazji bliższego przyjrzenia się sobie. Byk prowadził kilka dorodnych łani, pętało się tam jeszcze trochę młodzizny, rejon odłowni omijała wszakże chmara wielkimi łukami.

Tamtego ranka zbudził się trochę później, źle się czuł ostatnio, musiało to przygasić normalną czujność. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale las na wschodzie zrózował, nasycił się blaskiem, roztopiały się wokół ostatnie pasma szarżyny, powietrze, jak tylko świtaniami to bywa, stawało się przejrzyste, aż wibrujące w swej przezroczystości. Odruchowe spojrzenie ku bramie i dygot serca. Wciągając w chrapy nadbiegające wonie, z lekko schyloną w dół głową, już na terenie odłowni stał Czarnuch, masywny, rozrosły, ze skołtunioną grzywą, z mocno wznoszącą się linią ciemnordzawego grzbietu. W należywym oddaleniu tłoczyły się za nim łanie i kilkoro młodzizny.

Gdzieś z tyłu, od wschodu, wzeszło słońce, polana załała, się jasnością, zamigotała, rozsrebrzyła i rozkrwawiła. Blaski mieniących się światel spadły na stojącą u bramy chmarę jelenią. Czarnuch wciąż łapał woń, kręcił siwym łbem o garbatym nosie, jakby z czegoś niezbyt zadowolony, w pewnej chwili od niechcienia skubnął wystającą spod śniegu wiązkę trawy, potem wyprostował się w całej okazałości. Krupowies aż jęknął w głębi serca. Widział teraz wieniec, gruby, wspaniały w rozłodze, o kielichowatych koronach. Byk stał, niespokojnie wietrzyły poza nim łanie, jedynie młodzizna barszkowała po swojemu na linii, gotowa do odwrotu na pierwszy sygnał.

Byk tkwił nieruchomo, aż nagle stęknął chrapliwie, jednym skokiem zawrócił, potruchtał linią w powrotną drogę. Za nim z kopyta ruszyła chmara.

Leśniczy zakręcił się na swej „wyżce”. Nagle uczył straszliwe znużenie, zapiekł go wzbierający chłód, budzący się radośnie dzień jak gdyby zszarzał. Nie czekając już na nikłą możliwość nadejścia innej chmary, zsunął się po drabince. Czarnuch w tym pierwszym ich pojedynku okazał się sprytniejszy.

Z wieczora leśniczy znów wdrapywał się na ambonę, noc po nocy, czego jak dotąd nigdy nie czynił. Stale wracający przed oczy widok okazałego byka, silnego w rudziźnie grzbietu, o czarnej grzywie, dumnego, bajkowego króla kniei był nazbyt kuszący, by można się było układać do snu we własnym łóżku. Następnego dnia o brzasku leśniczy już nie zasnął. Ale też nie był pierwszy. Zanim jeszcze spojrzął ku bramie, wyczuł, że Czarnuch przyszedł. Właśnie przekraczał bramę, czujny, ale pełen zarazem godności, świadom własnej decyzji. Jedna łania sunęła za nim o krok, dwie inne zatrzymały się płochliwie przed wejściem, przy nich stłoczyła się młodzież. Wszystko ślepiło za władcą i panem, dążącym prościuteńko w kierunku paśnika. "Łania przy nim była stara, obwisła w brzuchu, wyraźnie brzydka. Tamte przy bramie zdawały się wyzywać młodością, okrągłością kształtów, jakby filuternością w skrzywieniu łbów. Może w świadomości takiej słabej przewagi rywalek ta właśnie łania była tak czule wierna?"

Ręka człowieka na ślepo, bezszelestnie kierowała się W stronę dźwigni, która uruchamiała mechanizm zatrzasujący wrota. Byk przystanął z nagłą w połowie drogi. Łapał wiatr, przebijał spojrzeniem ogrodzenie i gąszcz nie trzebionej żerdowiny poza nim. I nagle z niesłychaną gwałtownością zawrócił. Łania runęła za nim. Szczęk dźwigni, rumor opadającej zasuw. I przeraźliwy, ostry trzask. To byk całą siłą wparł się w szczelinę dzielącą gruby bal obocza bramy od obramowania jej samej. Szczelina rozszerzyła się, już się wciskała w nią gruba szyja, mocne bary, ale wieniec stanął na przeszkodzie. Czarnuch cofnął się wtedy, jeszcze raz napał. Trzask i skrzyp siłą rozsuwanych wrót, wyrwa tym razem już wystarczająco szeroka. Szorując o obramowanie porożem, przedostał się byk na linię, tuż za nim bez trudu prześliznęła się łania. Po reszcie chmary nawet śladu nie pozostało. Rozeźlony, zdenerwowany Krupowies dopiero w tej chwili zastygł w zdumieniu. Oto byk, zamiast kontynuować paniczną ucieczkę, zatrzymał się na linii tuż przy bramie i stanął bokiem do niej, przekrzywiając łeb, jakby się przypatrywał dziwacznej przeszkodzie, którą dopiero sforsował. Sporo czasu musiało przeminąć, nim zdecydował się na odejście.

Wtedy właśnie do poprzednich uczuć sympatii dołączył się u Krupowiesa także i podziw. Zaimponował mu leśny partner swoją odwagą, męską siłą decyzji. Leśniczy pamiętał, byk ten wyróżniał się nad inne także i w czasie rykowiska. Nie tylko siłą, tu znalazłby się może niejeden godny przeciwnik. Ale właśnie odwagą, potężną wolą walki. Każdego wieczoru i poranka w czasie rykowiskowych uniesień dobiegały z różnych partii lasu jego wyróżniające się wśród innych pochrapywania i twarde, basowe ryki. Nie tylko stawał na każde wyzwanie do walki, ale prowokował ją, podrażniał przeciwników, gdy zaś nie objawiali gotowości do starcia, przepędzał na cztery wiatry. Nie znosił samej obecności rywali; nawet młode byki, już tęskniące do łań, choć świadome, że tylko na tęsknocie tym razem się skończy, inne samce bowiem ich nie dopuszczają, nawet te przepędzał; dudniąc porożem po gałęziach, gnał przez drągowiny i młodniki, daleko, a potem zawracał do swojej chmary. Biada, jeśli zastał tam zalotnika korzystającego z okazji. Bywało, powalał go samą już siłą pierwszego natarcia... Długo po zwycięstwie nie mógł się uspokoić, szalał po polanie, przebiegając ją wzdłuż i wszerz, chrapliwie rzucając wyzwanie, a potem pokrywał łanię i wtedy wydawał jeszcze jeden basowy ryk, spokojny tym razem, obwieszczający po prostu triumf. Nie zdawało się jednak Krupowiesowi, by po okresie rykowiskowym mógł zachować Czarnuch na co dzień swoją odwagę i wolę walki. Dopiero oglądany obraz zmienił to przekonanie.

Już wtedy zaczęło się mówić w okręgu i nadleśnictwie o konieczności uregulowania pogłowia jeleni przez odstrzał w hodowlanym obszarze. Krupowies od razu zatroskał się o Czarnucha. Żał, żeby ten właśnie byk miał zginąć od kuli, za dzielny był na to, nazbyt

wspaniały nie tylko wyglądem, ale także i charakterem. Zamarzyło się leśniczemu, by przetransportować Czarnucha w Kieleckie.

Byk tymczasem konsekwentnie omijał odłownię. Gdy zaś na koniec znalazł się w jej obrębie, uczynił to, na co żaden inny jeleń nigdy by się nie zdobył. Zamiast uciekać od niebezpieczeństwa, od zgrzytu i trzasku zapadającej się bramy, zaatakował ją, sforsował, odzyskał wolność, nim ją jeszcze utracił. Pod szczęśliwą gwiazdą się rodził, ale i szczęście to umiał sam ku sobie przybliżać.

Po nieudanej batalii Krupowies stracił wiele z ochoty na ślęczenie w odłowni. Pokazał się w niej dopiero po kilku dniach z zamiarem uzupełnienia zapasów liściarki w paśniku. Od razu przy bramie rozpoznał głębokie wciski Czarnucha. Zdumiony zuchwałością jelenia, szedł tym tropem pod paśnik. Byk, nie zrażony niedawną przygodą, szczerze skorzystał z zastawionego przez leśniczego stołu. Noc zastała Krupowiesia na ambonie, świt go z niej zegnał bez żadnych rezultatów. Powtarzała się normalna historia — po każdej próbie zawarcia bramy zwierzyna długo omijała pułapkę. Jeden Czarnuch zdobył się na odwagę, ale tej właśnie nocy i on nie przyszedł.

Gra stawała się emocjonująca. Paśnik nigdy nie był opróżniany tak szybko, jak teraz. Czarnuch bezczelnie wprowadzał za ogrodzenie swą chmarę. Wtedy wszakże, gdy Krupowies zaczynał się na ambonie, jelenie nie pojawiały się na linii wiodącej ku bramie, choć słyhać je było w lesie, gdy z łamaniem gałęzi przedzierały się drągowinami osaczającymi odłownię. Szczególnie wyraźnie odbijały się pod amboną wciski Czarnucha, znane leśniczemu na pamięć; którejs jaśniejszej nocy Krupowies dostrzegł zamazaną, niewyraźną sylwetkę byka, obwąchującego pale zasiadki.

Następnej nocy Krupowies zaczął się od przeciwległej ambonie strony, przenosząc tam dźwignię uruchamiającą zapadnię bramy. Przytulony do pnia sosny, zziębnięty, oczekiwał świtu. Daleko było jeszcze do brzasku, gdy Czarnuch przyprowadził swą chmarę. Droga jej wiodła od strony ambony. Krupowies nie dostrzegał jeszcze niczego w ledwie zaczynającej się przecierać ciemności, ale miał niezłomną pewność, że właśnie nadszedł jego przeciwnik. Żaden inny byk tak śmiało nie przekroczyłby bramy, nie zbliżyłby się bez tysięcznych ostrożności do paśnika.

Człowiek czał się nadal w kompletnym bezruchu. Tym razem pragnął działać z zachowaniem wszystkich szans dla siebie. Czas mijał wolno, urozmaicany odgłosami nadbiegającymi od pasącej się chmary. Czarnuch zachrapał raz i drugi, może uspokajając w ten sposób rozdokazywaną młodzież. Gdy brzask zaczął przedzierać się mocniej przez mrok, dłoń człowieka nacisnęła dźwignię. Z hukiem i piskiem podtrzymujących ją powrozów

zatrzasnęła się brama. W odłowni powstała panika, spłoszone zwierzęta pędem pognały ku bramie. Natykając się na zaporę, zawracały, okrążały po kilkakroć przestrzeń otoczoną opłotowaniem, jedynie w wąski korytarz klina nie miały jeszcze odwagi się zapuszczać. Przy bramie tkwiła ciemna bryła, cofnęła się, głucho uderzenie, zaraz potem ponowny stukot; w człowieku serce mocniej załopotowało, czyżby byk szukał w ten sposób śmierci, gotów się okaleczyć, stracić szansę podróży ku nowej wolności, daleko od rodzimej kniei? Wyraźniejszą z każdą chwilą sylweta Czarnucha znieruchomiła jednak przy bramie, skupiona w czujnym napięciu. Łanie i młodzina tłuką się nadal jak nieprzytomne, mocniejsze stają się ich zmęczone, pochrapujące oddechy. Człowiek ostrożnie, bez szelestu wycofywał się w las. Trzeba pędzić po ludzi i sanie z klatkami, połów wyjątkowo obfity, byk i trzy łanie, sporo młodzieży...

Dzień dźwigał się chmurny, wyraźnie zelżało na odwilż. Robotnicy zgromadzili się przy ostrym klinie, coraz bardziej zwierającym się z obu stron, zamkniętym żerdziami, aż zostało przejście tak wąskie, że kroczący nim jeleń nie mógł się już obrócić.

U końca klina znajdowały się wrotka, za nimi masywna klatka. Na widok ludzi chmara od nowa rozpoczęła rozpaczliwą gonitwę w poszukiwaniu drogi ucieczki. W pierwszym momencie Czarnuch ruszył wraz z nimi, ale zaraz zarył się badyłami, aż sypnęła się ziemia zmieszana ze śniegiem. Boki zwierzęcia pulsowały gwałtownie, z chrap kłębami wydobywała się para. Przednie kopyta drgały, ubijając ziemię w tłumionej pasji. Powoli obracał łbem, jakby dokonywał dokładnych oględzin odłowni. Któryś z robotników pokręcił w podziwie głową:

— Gdyby tak płot był niższy, mógłby przeskoczyć. Trzem metrom nie poradzi nawet ten diabeł...

W tej samej chwili Czarnuch truchtem ruszył wokół opłotowania, nabierał powoli rozpędu, dudniło, gdy walił badyłami o ziemię, śladem łań nie ominął miejsca, w którego pobliżu zgromadzili się ludzie, przemknął w narastającym pędzie tuż obok, a potem zrobił nagły półobrót i pognał zwariowanym cwałem, z nieprzytomną brawurą prosto poprzez środek odłowni. W Krupowiesie wszystko zamarło. W tym pędzie Czarnuch nie potrafił się już zatrzymać, nie będzie mógł zakręcić, rozbije się o zaporę mocnych żerdzi. Bo przecież żaden jeleń nie przesadził trzymetrowego opłocenia, nie słyszano jeszcze o podobnym wypadku.

W dudnienie rozbijanej kopytami ziemi wpadł nagle inny odgłos — trzask przeraźliwy, potem głucho, mocne uderzenie i zaraz znowu dudnienie kopyt. Zastygła cisza, bo i szalejąca

chmara w ogrodzeniu zatrzymała się, a potem pełen niepomiernego podziwu rozległ się czyjś głos:

— Przeszedł.

Krupowies uczył, jak w tym samym momencie zamiast gniewu ogarnęła go wielka radość. Czarnuch raz jeszcze okazał się partnerem najwyższej klasy, pełnym odwagi i pasji walki do ostatniego tchu. Znowu uzyskał wolność, nie darowaną, ale taką, jakiej sam dla siebie zapragnął. Przesadził opłotowanie, łamiąc ostatnią górną żerdź. Wytrzymały badyle, nie stracił równowagi, choć przez moment niebezpiecznie zachybotał w powietrzu.

Grzmiało teraz w drągowinie, kędy przedzierał się ze zwykłą sobie pasją...

Krupowies westchnął, zmienił położenie, nogi ściерpły mu od siedzenia na niewygodnej obwódce paśnika. Kto wie, jak już długo tkwi tutaj, snując wspominki wielkiej swej gry z Czarnuchem. Może prędko śniegi opadną, gra się rozpocznie od nowa, wciąż niewiadoma w wynikach.

Tamtędy przechodził. Nowe żerdzie podwyższonego opłotowania świecą jeszcze świeżą blizną...

Krupowies drgnął, a potem zastygł w zdumieniu. Przed szeroko teraz rozwartą bramą, na linii, stał byk. Czarna grzywa, mocne, rozrosłe piersi, badyle silnie wparte w grunt. Był sam, bez chmary. Czarnuch. Zdawał się przyglądać siedzącemu na obramowaniu paśnika Krupowiesowi.

Trwało to długą chwilę. Człowiek wyciągnął rękę przed siebie, żartobliwie pogroził zwierzęciu:

— Teraz ja muszę być górą, pamiętaj. Do trzech razy sztuka.

Byk wolniutko, z wyraźnym lekceważeniem zawrócił w gęszcz drągowiny.

Tym razem dźwignia naciśnięta została z ambony. Czarnuch, jakby upojony poprzednimi zwycięstwami, zdawał się tego roku zapominać o ostrożności. Wbrew wszelkim zwyczajom, nakazującym zwierzęciu unikać miejsc, w których zaskoczyła je przykra niespodzianka, byk każdej niemal nocy wędrował do odłowni, wabiącej go dobrze zaopatrzonym paśnikiem. Przychodził sam, jakby w rycerskiej szlachetności pragnął chmarze oszczędzić ryzyka.

Wbrew zapowiedziom Krupowies wcale nie liczył na pojmanie swego ulubieńca. Jeśli tkwił od początku sezonu tak uparcie w pobliżu odłowni, wynikało to z doświadczenia, które mówiło, że największe szansę ma człowiek zaraz przy pierwszych mrozach i większych śniegach, gdy zwierzęta wydają się jakby zaskoczone nagłymi trudnościami w zdobywaniu pożywienia. I właśnie pierwszym trofeum stał się przekorny i uparty Czarnuch.

Nie zdejmując wciąż ręki z dźwigni, nie dowierzając samemu sobie, zafascynowany sylwetką byka, patrzył Krupowies na przysypaną śniegiem płaszczyznę okolonej płotem odłowni. Jak się ich rozgrywka zakończy tym razem, czy jeleni jeszcze raz ujdzie, po to jedynie, by przy najbliższym rykowisku paść ofiarą celnego strzału, czy też powiodą się przesiedleńcze zamiary człowieka? Krupowies czuł swój przyspieszony oddech, pot wypełzający z emocji na ciało, narastającą jeszcze bardziej, opanowującą go bez reszty serdeczność dla Czarnucha.

Na rumor zapadającej bramy jeleni szybkim susem oderwał się od paśnika z sianem. Zrobił kilka skoków i gwałtownie zatrzymał się pośrodku odłowni. Wysoko uniósł łeb, aż się wieniec przechylił do tyłu, lśniły oczy wpatrzone w odciętą drogę odwrotu. A potem ich spojrzenie skierowało się, Krupowies był tego pewien, ku górującej nad opłotowaniem ambonie i czerniejącej tam postaci człowieka. Kopyta zwierzęcia gwałtownie, z pasją zastukały o śnieg, żłobiąc w nim dziury. Może był to gniew na własną lekkomyślność, może wzbierająca pasja w stosunku do upartego w swoich zamiarach przeciwnika.

Czarnuch stał tak długo, równie długo, w bezruchu, wpatrywał się weń człowiek. A potem jeleni powolnym, pełnym godności krokiem ruszył wokoło odłowni. Przystanął przy zwężającym się klinie, łapał wiatr, wsunął się nawet do pół tułowia w zwężenie, jakby sprawdzając, czy zdoła się tamtędy przecisnąć. Wycofał się, obiegł nieco szybciej jeszcze nie zbadany fragment opłotowania, spłoszył się czymś, odskakując w bok i obronnie wysuwając do przodu poroże. Krupowies, zaabsorbowany bez reszty Czarnuchem, dopiero teraz spostrzegł, że oprócz jelenia znalazł się również w pułapce, spory, wychudzony odyniec. Łyskając szablami, przesunął się przed nastawionymi groźnie rogami byka, potruczał jego tropami wzdłuż płotu, coraz to przystając i zawzięcie buchtując śnieg w poszukiwaniu miejsca, które pozwoliłoby mu przecisnąć się pod żerdziami na drugą stronę. Jeleni spokojnie poszedł w przeciwnym kierunku. Gdy zaś dotarł na miejsce, skąd zaczął swe oględziny, zawrócił i ku największemu zdumieniu leśniczego skierował się do paśnika. Stał pod daszkiem przykrycia i, jakby nic w ogóle nie zaszło, spokojnie zabrał się do smakowitego siana.

Krupowies dopiero teraz pozwolił sobie na poruszenie: niedowierzająco przesunął dłonią po oczach, pewien, że chyba śni. Ale obraz sycącego się przy paśniku jelenia nie zniknął. Nawet na rozlegający się nie opodal trzask byk niewiele zwrócił uwagi. To odyniec zawzięcie buchtował przy słupie ogrodzenia, pryskał na boki śniegiem i na' poły zmarzniętą ziemią, jama się pogłębiała, zwierz fuczał, chrapał, zwężony zad podskakiwał śmiesznie przy każdym ruchu, drobiny śniegu osiadały na szczeci. A potem, wsadziwszy łeb w wydrażoną dziurę,

dzik karkiem podparł najniższą, przy samej ziemi biegnącą listwę. Rozległ się trzask zagłuszony nasilającym się skrzypieniem, przybita długim bretnalem żerdź odsunęła się, pchana wciąż ryjem zwolniła wreszcie dość miejsca, by, płaszcząc się na śniegu, śmiesznie przebierając repetami, zostawiając na drzewie kłęby sierści, odyniec wygramolił się w końcu triumfalnie na drugą stronę. Wtedy dopiero stanął w całej okazałości, wypiął mocniej pałakowaty grzbiet, zachrapał, zafuczał i, na nic się już nie oglądając, wariackim pędem ruszył w głąb lasu. Długo jeszcze dochodziło stamtąd fukotanie połączone z łamaniem gałęzi.

Czarnuch przestał interesować się sianem. Uważnie śledził poczynania odyńca. Spiesznym truchtem pognął w miejsce, gdzie tamten utorował sobie drogę na wolność. Napał na żerdzie całym ciałem, trzeszczały, nie myśląc ustępować. Wcisnął wtedy poroże w lukę po wyłamanej przez dziką żerdzi, tylne badyle napięły się do ostatniej granicy wytrzymałości.

Poroże trzeszczało, ześlizgiwało się z gładkiego, powleczonego szadzią drzewa, podrażniało to byka, zdawało się wprawiać go w pasję. Wyciągał poroże, znowu walił nim w drzewo, bokiem uderzał o ogrodzenie, kłębiły się śnieg i ziemia, zryte aż do miękkiego gruntu pod wierzchnią zmarzliną.

Krupowies uczył lęk, że lada chwila pęknie poroże. Czarnuch przestanie być godnym przewodniczki okazem, tym samym z przepaści ostatnie swe szansę. Bezwiednie zaczął ze swej ambony przemawiać do byka czułymi słowami, prosić go i zaklinać, by oszczędzał siebie, nie ranił się, nie zabijał.

Jeleń odstąpił od płotu, cofał się tyłem, dysząc ciężko, z poszerzonych chrap buchały kłęby pary, przyglądał się mizernemu efektowi swoich wysiłków. Zawrócił zniechęcony, wyraźnie zmęczony, przedreptał przez połowę szerokości odłowni, stanął ze zwieszonym łbem, nie łapał wiatru, nie nasłuchiwał, jakby zatopiony bez reszty w nie najweselszym zamyśleniu.

Człowiek możliwie jak najciszej zsunął się w dół po stopniach drabinki wiodącej na ambonę. Byk momentalnie podrzucił łeb do góry, wpatrzył się w Krupowiesa. Przez jego ciało przebiegło nerwowe drżenie. Ale ani drgnął, tylko wolno obracając głowę, odprowadzał człowieka idącego wzdłuż ogrodzenia, wychodzącego obok nienawistnej bramy na linię, nikiącego w jej tle.

W tej samej pozie, w tym samym miejscu zastał leśniczy swego więźnia, gdy wrócił po zawezwaniu ludzi i ciężarówki, mającej przewieźć pojmanego byka w specjalnej klatce na najbliższą stację. Czarnuch zdawał się nie zwracać uwagi na człowieka, lekcewał przeciwnika czy może nim gardził. Krupowies odetchnął, nie był pewien wracając, czy zostanie jeszcze jelenia w odłowni, z takim diabłem nigdy nie wiadomo, co się może

wydarzyć, czy nie przesadzi znowu opłotowania albo nie znajdzie innego sposobu wydostania się z pułapki.

Byk rozgniewał się nie na żarty, gdy usłyszał warkot samochodu, zajeżdżającego od bocznej drogi. Wóz był na zwiększonych obrotach, wykręcał wśród śniegu, tyłem podjeżdżając pod jedyne wyjście z odłowni, u końca klina znaczonego dwoma rzędami gęsto rozsianych żerdzi. Czarnuch bił badyłami o ziemię, zwały śniegu wylatywały spod kopyt, chrapy wzdymały się, słychać było głucho charczenie i poświst zmęczonych płuc. Potem zaczęła się dzika gonitwa, wokół ogrodzenia wyraźnie zaznaczył się pas czarnej, skopanej ziemi. Ludzie przywarci do żerdzi, zafascynowani widokiem, odsuwali się trwożnie do tyłu, gdy jak złowroga burza Czarnuch przefruwał koło nich. Niech się zmęczy, niech z sił opadnie, bo jakże inaczej brać podobnego diabła.

Krupowiesowi żal było serdecznie zwierzęcia. Zżyli się z sobą w swoisty sposób, prześcigali tyle czasu w brawurze i sprycie, a teraz oto Czarnuch miota się po ogrodzeniu bezsilny, jedynie dla siebie niebezpiecznymi trzaśnięciami poroża o żerdzie wyładowując swą wściekłość. Z nagła ogarnęło człowieka pragnienie, by otworzyć wrota, niech dumny, męski zwierz pędzi gdzie chce na wolność, niech sam decyduje o swym dobrym czy też złym losie. Ale zaraz pragnienie to zgasła podszyta sentymentem rozwaga, że ciężkie dla obu chwile — to konieczność nieodzowna wobec szansy całkowitego spokoju w dalekich kieleckich lasach, gdzie nikt nie strzela, nie zamyka w odłowniach, paśniki są pełniejsze niżeli gdzie indziej, a łanie przybędą tym samym czy następnym transportem.

Zmęczenie — boki chodziły mu jak harmonia — odebrało w końcu Czarnuchowi ochotę do szaleńczego cwału i przystanął spokojnie. Nadspodziewanie łatwo kilka zaledwie pokrzyków sprawiło wtedy, że pozwolił zagnać się w klin, z którego nie było odwrotu. W ciasnocie nie mógł się obrócić, wieńce zawadzały, hacząc o żerdzie, istniała jedynie droga do przodu, na pomost ciężarówki czekającej z wygaszonym motorem.

— Tylko spokojnie, chłopcy, żeby się nie skaleczył — błagalnie przestrzegał Krupowies swych pomocników.

Wszystko szło składniej, niż można się było tego spodziewać. Poganiany pokrzykami Czarnuch powoli, krok za krokiem zagłębiał się w wąski klin. Dopiero w jakichś jego dwóch trzecich zbuntował się, stanął, wparł mocno rozkraczone badyle w grunt, nic nie mogło go ruszyć z miejsca. Na krzyki odpowiadał gniewnym rzucaniem cielska, poroże z trzaskiem uderzało o żerdzie, z gardła zwierzęcia wybiegało głucho charczenie, na chrapach zabieliła się piana. Przekrzywiał łeb, oczy świeciły przekrwionymi białkami, gdy usiłować sięgnąć

spojrzeniem do tyłu, objąć nim krzyczących ludzi, którzy miotali się wzdłuż zabezpieczających ich żerdzi.

Napięty wewnętrznie, strwożony o los Czarnucha — zdarzały się przecież wypadki, że byki łamały w pułapce wieńce — Krupowies zdobył się na decyzję.

— Wejść do odłowni, spróbuję zejść go bezpośrednio od tyłu, postraszyć — postanowił.

Ktoś przestrzegał, że niebezpiecznie, zwierz dziki, bo to wiadomo, co mu strzeli do głowy, małe już nawyczyniał tu w zeszłym roku? Leśniczy ręką zamachał; jeśli niedobrze, niech dadzą inną radę, niewiele się zrobi samym gadaniem.

Wśliznął się przez lekko uchyloną bramę, zawarł ją mocno za sobą, po czym pewnym krokiem wsunął się w wyznaczony ciągiem żerdzi korytarz klina, Byk wyczuł nowe niebezpieczeństwo. Przestał się miotać, przekrzywił łeb do tyłu na ile tylko pozwalała ciasnota, uszy mu drgały dziwacznie, badyle zastygły, wbite w ziemię jak słupy.

Wszystko zaczęło się teraz rozgrywać jak w zwariowanym cowboyskim filmie. Krupowies dotarł w pobliże byka. Wyciągając daleko przed siebie rękę, łagodnie zarazem pokrzykując, dotknął nią spoconego cielska. Biło od niego mocnym ciepłem. Czarnuch przysiadł na tylnych badylach, zadygotał, zad obniżył się nieco...

— Uważaj, Krupowies, uważaj...

Tego nikt się nie mógł spodziewać. Byk z całą energią zaczął się cofać, tłukąc porożem po żerdziach, objijając się o nie bokami. Człowiek za nim też początkowo cofał się tyłem, zaskoczony takim obrotem sprawy, dopiero później obrócił się, począł biec ku wyjściu. Przestrzeń pomiędzy nim a wciąż cofającym się w klinie Czarnuchem zwiększyła się, minęło bezpośrednio niebezpieczeństwo, ludzie z tamtej strony ogrodzenia odetchnęli z ulgą. Zwalniając nieco, zmęczony był już tym wszystkim, Krupowies biegł nadal ku bramie, wciąż przy tym oglądał się na szamoczącego się w ciasnym przejściu jelenia. Zad jego już wysunął się na otwartą przestrzeń, zadudniło poroże przy gwałtownym obrocie, byk znalazł się na otwartej przestrzeni. Przechylił głowę do tyłu i niespodziewanie, z całą furią ruszył za uciekającym przeciwnikiem.

Zrozumiał, że nie zdąży już dopaść bramy, a gdyby nawet — nie wyśliźnie się przez nią. Do paśnika też było daleko. Dudnienie kopyt tuż, tuż... Ktoś krzyczy, jakby to w czymś mogło dopomóc. Chyba że wierzchem przez płot... Chwycił się żerdzi, oślizgłe, omal mu się z nich noga nie zsunęła. Wyżej, wyżej, byle poza zasięg Czarnucha. I w tymże samym ułamku sekundy silny cios z tyłu, aż przywarł do żerdzi. Ból, przeogromny, straszliwy ból, nogi osuwają się z drzewa, osuwają się także ręce. Łapie się nimi kurczowo za żerdzie, ból, ból nic

więcej, jak przez mgłę tylko straszliwy krzyk, dudnienie i tupotanie, a potem zupełnie już ciemno, zupełnie nic...

Długo trwała ta ciemność, czasem przecierająca się w szarzynę nadchodzącego brzasku, to znowu pęczniejąca jak pod jesiennym, zasnutym chmurami niebem. Niosły się nad tą ciemnością jakieś szepty, nadciągały ostre zapachy, czyżby to ciągle ta woń bijąca od przegrzanego byka, wzbierała czasem nieokreślona świadomość nawrotów bólu, z nią razem niekształtne, rozmazane przeblyski zagubionych w pamięci wydarzeń.

Coś innego wszakże najmocniej, uparcie trwało w podświadomości. Pochylając się czasem nad nim czarna, rozwiana grzywa czternastaka. Istnienie tej grzywy łągodziło wszystko inne, wiązało się z odczuwaniem czegoś szczególnie bliskiego...

A potem znowu był tylko mrok...

Aż któregoś dnia to pierwsze, zadziwione wejrzenie, obiegające powoli pokój, zatrzymuje się na wyczekującej twarzy lekarza.

— Nareszcie, długo nie chciał nam pan dopomóc, miałem już poważne obawy...

Przymknął oczy. Obrazy nadbiegały przed nie coraz wyraźniej, już nie skłócone, ale układające się w zwarte ciągi. Czarnuch w odłowni, potem próba zapędzenia go na ciężarówkę, od środka, cofanie się zwierzęcia, ucieczka, ból.

— To mnie byk tak zaatakował porożem? Własna moja głupota, nikt mi nie kazał włączyć do środka. — Niespokojne wejrzenie, wyczekiwanie w głosie.

— Podobno chciano go zastrzelić, ale ktoś wytłumaczył, że to pana ulubieniec... Osobliwa, moim zdaniem sympatia.

— I co? Co?

— Wspominał nadleśniczy, że byczysko już się pęta po kieleckiej kniei, nadeszło jakoby potwierdzenie odbioru... Mniej by pan już myślał o tym byku. Strachu się tu niemało najedliśmy. Tęgo pana poharatał ten cały przyjaciel. Pierwsze trzy dni po operacji ślęczeliśmy przy panu bez przerwy. Jedna z sióstr zadurzyła się chyba, nie odstępując pana na krok, dyżur nie dyżur... Ma pan ją właśnie tutaj...

Obojętne spojrzenie chorego pobiegło ku drzwiom — i zastygło w zdumieniu. W drzwiach ukazała się najpierw czarna grzywa; za nią drobna twarzyczka, potem figurka siostry szpitalnej.

— A mnie się właśnie wciąż zdawało, że rozwiana, czarna grzywa schyla się nade mną — wyszeptał Krupowies. Na twarz wystąpił mu nieśmiały rumieniec.

SZEWSKI PONIEDZIAŁEK

Zima brała się na dobre za ziemię. Śnieg sypał bez przerwy przez dwie doby, ustał dopiero w poniedziałek nad ranem. Na nie przetartych jeszcze polnych drogach nogi nurzały się w puchu powyżej kolan. Szerokie, zamazyste gałęzie jodeł przysiadały pod ciężarem okiści śniegowych. Chwiały się łagodnie, spokojnie kołysały tym zimowym okryciem. Gdy ptak jaki przysiadając stracił nieopatrznie płat śniegu na ziemię, konary odginały się gwałtownie, jak gdyby z gniewem. Nagie w swej zieleni gałęzie mąciły harmonię leśnego zacisza.

Na dole bystry wzrok spotykał pomykające pod osłoną krzaków maleńkie tropy lisicy, tam kuna znaczyła jeszcze delikatniejszy szlaczek. Tylko dziki zuchwałe wydeptywały całe polany, roztrącały silnymi ryjami śniegowe pokrycie, gmerały zwycięskie. Sarny zatrzymywały się o świcie na skraju leśnych rozłogów, tęsknie patrzyły w stronę ludzkich osiedli.

Nad wszystkim rozciągała się skupiona cisza. Drwale, ludzie przecie z lasem obyci, też przystawali w takie ranki na drodze do swych rębowisk, przymrużonymi oczyma wodzili dokoła. A potem, przy robocie, jakby z żalem wywoływali pierwsze uderzenia toporów, pierwsze świsty piły, mącające dostojność tego spoczynku. Olbrzymy leśne wzdrygały się wtedy, poszumem niosły echa ludzkie, nabrzmiałe żalem nad ludzką zachłannością.

Słońce zdołało już wzbić się tego dnia wysoko i z zadziwieniem spoglądało na zmieniony przez pokrywę śniegową krajobraz. Ciekawie błyskało srebrzącymi się promieniami, zapuszczało je pod konary jodeł i świerków, wgrzyzało się pod leszczynowe poszycie dąbrowy, witało się z każdym ptakiem i każdym zwierzęciem. Cieszyło się też każdą ludzką istotą.

Tym dziwniejszy był widok człowieka z mozołem przedzierającego się drogą od wioski do leśnych rębowisk. Skurczony, mały, starał się kroczyć wyciśniętymi już wcześniej śladami poprzedników, nogi jednak zsuwały mu się z tej wątlej ścieżyny, zapadały w miękki puch. Mruczał wtedy do siebie, zerkał do góry jakby gniewny, że promienie słoneczne stają się coraz natarczywsze i wspinają się coraz wyżej.

Hryszun nie lubił poniedziałków. Wypaść się człowiekowi nie pozwalano, a praca stawała się mordęgą. Szczególnie po takiej śnieżycy, kiedy samo dojście na miejsce mogło odebrać połowę zdrowia. Zabawił wczoraj nieco dłużej w miasteczku. Pękło parę flaszek w tamtejszej gospodzie. A potem spotkali się jeszcze z rudym Kazkiem, rybackim magazynierem, z litrówką pod pachą poszli do jego domu. Bliski był świt, gdy, wypiwszy wreszcie całą

zawartość flaszki, legli jak nieprzytomni. Hryszun to jeszcze pamiętał, że nie mógł uporać się z prawym butem. Nie schodził z nogi, taka cholera, trzeba było leżeć z nim do łóżka.

Teraz, dopomagając sobie czkawką, brnął na wyrąb, spóźniony o kilka godzin. Psy tam na nim pewnie wieszają, bo to ostatnie dni roboty w tym miejscu. Potem pójda na oparzeliska. Podmarzły już tak, że można zaczynać wysięk. Rwali nieprzytomnie, aby sobie jeszcze parę dni luzu zrobić, odsapnąć, sił nabrać przed najcięższą zimową przeprawą. Nieobecność jednego z grupy powodowała zamieszanie, psuła rytm zgranej pracy, opóźniała ją. Ale znowu, jakże to, nawet wypić człowiekowi nie wolno? Mus przecie.

— Psiamać, cholera, pieskie nasienie — klął rozpaczliwie, gdyż niepewne nogi wtrąciły go do rowu przy drodze. Zapadł się wyżej pasa, śnieg wsypał się do cholew, okurzył całe ubranie. Ciężko, a tu kawał jeszcze niemały. Zwykłym krokiem godzina drogi. A co dopiero po dzisiejszym śniegu i przy słabości rozlazłej po kościach. Diabli nadali...

Ściemniało, pasma słoneczne, kładące się w poprzek drogi, stały się rzadsze. Droga chyłkiem wemknęła się w zwartą ścianę lasu, zwisającego nad głową ciemnym sklepieniem. Śniegu także było tu mniej. Spłoszony zajęc wyrwał nagle spod krzaka, szaleńczym skokiem smyrnął w bok, gnał jak nieprzytomny między drzewami.

Hryszun kiwał głową.

— Cie, mandrygał. Jeden czy dwa? — nie był pewien.

Nie zrażony, brnął dalej, droga tu była znacznie łatwiejsza, śnieg niższy niż na otwartych przestrzeniach. Ruch też zrobił mu dobrze, raźniej przestawiał nogi, czasem tylko zaplątały się nieporadnie, wtedy stawał dla odpoczynku, przekrwionymi oczyma wodził po białej roztoczy. Dłużyło mu się. Że też nie mogli znaleźć wyrębu gdzieś bliżej. E, co innego biwak: wiadomo tam, że człowiek zamienia się w borsuka, z tą różnicą, że borsuk zimą śpi sobie spokojnie, a człowiek haruje. Ale tak jak teraz, to ni przypiął, ni przyłatał. Do domu daleko, ostatnie poty na człowieka wybija, nim na miejsce dojdzie. I czasu szkoda. Już by dawno pracował, żeby nie te kilometry, jeszcze po śniegu...

Lewy but, zdradzający dziwną ochotę do zaczepiania o prawy, przerwał smętne rozmyślenia Hryszuna. Mały, czarniawy na twarzy człowieczek przystanął, zasłuchał się. Z prawa dochodziły odgłosy uderzeń toporów.

— Aha, gałęzie sieką...

Nie namyślając się wiele, zboczył w las. Będzie się tam jeszcze drogą pałętał! Tak znacznie bliżej, tylko jeziorko małe ominąć, stamtąd ukosem w lewo i już przy swoich.

Przyspieszył kroku. Grunt tu był wyższy, suchy, miejsce najlepszych zbiorów borowikowych w jesieni. Jodła mieszała się z dębina, podszycie stanowił siwy chrobotek,

przykryty teraz zupełnie śniegiem. Szło się tu łatwiej nawet niż na leśnej drodze, usianej korzeniami i żłobowiskami kolein. Hryszun poczuł nagle wielką miłość do świata. Machnął dłonią do kującego dziecięcia:

— Jak dzieci, stary?

Ptak przyjrzał się mu, pokręcił łbem z wyraźnym niesmakiem, wrócił do przerwanej na chwilę roboty.

Człowiek też już nie interesował się nim więcej. Gwizdał fałszywie zasłyszaną wczoraj na ulicach Mielicka piosenkę.

Na lewo most, na prawo most,

A w dole Wisła płynie...

— zaśpiewał. Zapomniał dalszego ciągu. Podrapał się w głowę, wydał wargi, rozpoczął od nowa, znów urwał. Nie wychodziło. Zadowolił się już tylko gwizdaniem.

Nie tak daleko na prawo chrząknęło coś. Hryszun spojrzął, nie dostrzegł nic. Chrząkanie powtórzyło się, groźne jakieś, zachryple. Staął. Pijany kto leży czy kie lichy?

I nagle oprzytomniał, jakby od lat już kieliszka wódki na oczy nie widział. Stary odyniec, ryjący śnieg w poszukiwaniu żołędzi, stał wparty rąpciami w grunt o rzut kamieniem od Hryszuna, grzbiet podnosił mu się wysoko. Trwali tak obaj, wpatrzeni w siebie. Hryszunowi zrobiło się nagle gorąco, jak w najupalniejszy dzień lata. Oczy biegały mu niespokojnie, ślepiły po drzewach. Konary były wszędzie wysoko. Parę jodełek, przygłuszonych przez dęby, nie miało u dołu żadnej zieleni. Tylko na cieniutkich brunatnych kikutkach sterczał kopyasto śnieg.

Dzik chrząkał mocniej, zebrał się w sobie, ruszył wolnym truchcikiem w kierunku człowieka. Hryszun stał ciągle nieprzytomny z wrażenia. Wreszcie się opamiętał, otworzył szeroko usta, jak za najlepszych swych lat w mig zakręcił w miejscu, pognął do przodu, wrzeszcząc przeraźliwie, aż las cały skulił się ze strachu, a z drzew sypnęły czapy śniegowe.

Odyniec już nie sadił truchcikiem. Z nisko ku ziemi zwieszonym ryjem, z wygiętym grzbietem parł naprzód, aż pryskało wszystko dokoła. Hryszun, nie ustając w swym ryku, obejrzał się do tyłu, raz, drugi, uczył, że kolana mu mdleją. Nagle usłyszał dudnienie tuż za sobą. Ostatnim wysiłkiem skoczył w bok, nie patrząc oblał szybko niewielki dąbczak, gwałtownym podrzutem szarpnął się w górę, uchwycił pierwszej gałęzi, poderwał nogi pod siebie. Zaszumiało, zatupotało, odyniec przeleciał tuż pod nim, może o dłoń na lewo. Teraz zahamował, z lekka skręcając wparł rąpcie w śnieg. Zakotłowało się, zasypała go biała kurzawa. Zawrócił. Hryszun zobaczył jego małe, nabiegłe krwią oczy, przybrukane, straszliwe szable, groźne fajki, usłyszał chrumkot i w tej samej chwili dostrzegł własne nogi,

nisko zwieszono nad ziemią. Z prawej właśnie osuwał się but prosto na nadlatujące w ponownym ataku zwierzę. Gałąź zakołysała się, zatrzeszczała niebezpiecznie przy cyrkowym podrzucie Hryszunowego ciała do góry. Udało się znowu.

— Cie, mandrygał, a w nocy zleźć nie chciał z nogi. — Wspomnienie o buciu przebłyskiem myśli przemknęło przez głowę drwala. Nogami obłapił wąły pień drzewa, próbował dosięgnąć wyższej gałęzi, drżał, aby nie trzasnęła przypadkiem. Zarznęłaby go bestia swymi nożami na amen.

Odyniec truchcikiem podbiegł pod drzewo, usiłował wspinać się na nie. Hryszun zerknął na syjące się strużki, lęk go zdjął, że zwierz zechce zabawić się w drwala... Przypomniawsobnie znowu o krzyku, rozwarł gębę, jakby las cały chciał połknąć, poniosło się w dal jego „aaaaaa” — straszliwe, zmieszane z wołaniem o pomoc. Dzika jakby coś żgnęło, podskakiwał niezdarnie, ale dość wysoko. Przy każdym podskoku Hryszun podrygiwał ku górze, tuląc pod siebie dziwnie długie dziś nogi. Zwierz chrząkał, sapał, człowiek wydierał się nieswoim głosem. Cielsko odyńca wstrząsało drzewem, nogi Hryszuna wyprawiały niesamowite ewolucje.

— Auuuuuu! Auuu! — doszło z dala wołanie.

— Ratujcie, aaaaa, ratujcie! — Hryszun podrygiwał na drzewie, kulił nogi pod siebie, z przerażeniem czuł, jak drętwieją mu dłonie, jak coraz większego wysiłku potrzeba, aby przy skoku dzika znowu poderwać ciało do góry.

Odyniec uchytrzył się. Nie szarpał się już w bezsilnej wściekłości przy pniu. Przystanął, ręką miał wzniesioną do góry, obserwował. Skoro tylko nogi Hryszuna opadły nieco, rzucił się na drzewo, wpierał w nie rapety, wydłużał się cały, aby być bliżej onucy spowijającej nogę człowieka.

— Auuuu! — już znacznie bliżej.

— Ratujcie, już nie strzymam, aaa! — Tym razem nogi nie uniosły się tak wysoko, zwierz szablą zaczepił onucę, szarpnął ją całym ciężarem opadającego na ziemię cielska. Hryszun zawył ściągany na dół — onuce miał przypięte agrafką. Zimny pot, jakieś płyty przed oczyma. Nie, jeszcze nie było mu sądzone... Onuca rozwinęła się, agrafka pękła. Dzik racicami poszarpał woniejącą nienawistnie szmatę i zabierał się od nowa do ataku, gdy nagle coś opodał zatupotało. Drgnął, wściekle oczy obrócił ku nowemu nieprzyjacielowi, pognął ku niemu.

Hryszun zadrgał na swym dębczaku, w chwili gdy lasem potoczył się strzał. Potem spadł na ziemię, przyknuł oczy, czekając ostatniej chwili, już nie wiedział: od strzału czy szabel dzika. Blisko niego zadudniło coś jeszcze, z gwizdem smyrnęło do przodu. Uniósł lewą

powiekę, mrugnął mocniej, otworzył prawe oko. W skupieniu spoglądała nań twarz Dorożały. Leśniczy stał z fuzją w ręku, znów zwrócił oczy na las, gdzie łomotało coś dalej, dalej i dalej...

— Znów uszedł, psianoga. Trzeci raz. Czary czy co?

Hryszun dopiero teraz odczuł przeraźliwe zmęczenie, nawiedził go przy tym nowy nawrót lęku. Leżał w śniegu z bosą prawą nogą. Nie czuł chłodu, tak go grzała, niedawna przygoda. Dorożała popatrzył na niego wcale życzliwie.

— Macie szczęście, zem wcześniej był dzisiaj u waszych. Klną tam na was, robota im stoi...

Spojrzał znowu na Hryszuna, mruknął:

— Tutaj wasz but. A samemu przez lasy lepiej nie chodzić, jeszcze pijanemu. No, trzymajcie się. Do widzenia.

— Dz-dz-dziękuję — wymamrotał Hryszun drżącymi ustami. Podniósł głowę, spoglądał za odchodzącym.

I nagle zdjął go przeraźliwy lęk, że odyniec powróci, aby wroga swego dokończyć.

— Stój, Dorożała stój, zaczekaj! — krzyknął niezdarnie gramoląc się ze śniegu.

Leśniczy odwrócił się, przystanął.

— Czego wam jeszcze trzeba?

— On wróci...

— Ale tam — machnął Dorożała ręką. Już teraz nie zwracał uwagi na dalsze nawoływanie Hryszuna. Co miał sobie zawracać nim głowę.

W drwala jakby nowe siły wstąpiły. Wdziwiał but na nogę, zdumiewając się, dlaczego to w nocy ani rusz nie dawał się ściągnąć, przed chwilą zaś spadł sam. Powiódł oczyma dokoła, ujrzał poszarpany szablami pień dębu, wiotkość drzewa, które go uratowało, i pognął co sił w nogach na miejsce wyrębu.

Las rozwierał się nagle, ukazując podłużną polanę, zaslaną teraz śniegiem tak wysoko, że tylko czubki trzciny obrastającej brzegi małego, grząskiego jeziora wystawały nad białą powłokę. Hryszun omijał je szerokim zakolem. Jeszcze by brakowało, aby ugrzązł gdzieś tutaj.

Inaczej tu było niż w lesie. Na otwartej płaszczyźnie śnieg sięgał niemal do pasa. Przedzierać się było trudno. Sapał stary Klemens, zmęczony do ostatka zarówno przepitą nocą, jak i przygodą z odyńcem. Nagle zaświtało mu coś w głowie. Aż przystanął. Czemu to Dorożała mówi, że bestia trzeci raz mu uchodzi spod strzału? Dlatego pewnie zwierzak taki

zły i człowieka nie znosi. A może nawet dostał kiedy postrzał? Jasne, to Dorożały wina. Żeby nie on, popatrzyliby na siebie, odyniec i Hryszun, rozeszliby się w przyjaźni.

— Hooop, hooop! — Z lasu po drugiej stronie polany rozległo się grube nawoływanie. Poznał od razu głos Korowajczyka. Odkrzyknął.

Spośród drzew wynurzyli się Pantaleon i Kotarek. Spieszyli zwabieni wołaniem o pomoc. Na widok Hryszuna przystanęli zdziwieni, wołali już z daleka:

— Hryszun, wyście krzyczeli?

Witali się. Dłonie Hryszuna były lepkie, spocone. Korowajczyk uważnie zajął w przekrwione, zmęczone ślepia i burknął coś pod nosem. Hryszun zaatakował, widząc to, po swojemu:

— Ja wołałem, ja. Jeszcze trochę, a miałibyście jutro wolne, dźwigałbyś trumnę... I czego chrząkasz jak kiernoz, na mnie patrząc? Patrzcie go, mruży jak mucha w garnku. Iść lepiej pomóżcie, bo to staremu ciężko. — Nie czekając odpowiedzi, chwycił ramię Korowajczyka, wsparł się o nie całym ciężarem. Olbrzym nie oponował, zgodził się i na to, tylko, niezadowolony, ciągle kręcił głową. Kotarek też szedł milcząc, powiekami szybko mrugał, jak zawsze, kiedy był zły i podenerwowany. Dopiero gdy weszli znowu pod ochronę koron drzewnych, a droga przez śnieg stała się łatwiejsza, sapnął z przekąsem:

— Nie mogliśmy robić sami. Gałęzie tylko obrabaliśmy. To wszystko przez wasze pijaństwo... — głos jego wzrastał się, narastał w gniewie.

— Cie, mandrygał — Hryszun spojrzał na niego zezem. — Jak palec malec, a zły jak padalec. Gałęzie rąbałeś, synku, to dobrze, to ci się chwali. A starego nie tykaj. Robota ci stała nie dlatego, że Hryszuna nie było. Jest taka gadka: złemu furmanowi i biczysko za długie, i oś krzywa. Tak i z twoją drwalką.

Kotarek nie był mocny w gębie. Złośliwa wymowność Hryszuna zatkała go dosłownie. Wyrzeszczył oczy, wpatrywał się przez chwilę w rozchylone w jadowitym uśmiechu szczerbate usta Hryszuna. Potem przeniósł wzrok na Korowajczyka. Olbrzym nie umiał gniewać się długo. Rad był, że Klemens w ogóle przyszedł. Zrobią jeszcze do wieczora co nieco. Teraz zaś śmiał się z dogadywań starego. Machnął ręką do towarzysza.

— Daj spokój, Paweł. Starego nie przegadasz...

Kotarek, zrezygnowany, zgodził się na to milcząc. Czas jakiś szli, nic nie mówiąc. Potem Klemens przypomniał sobie swoją przygodę. Z gniewem zwrócił się do towarzyszy:

— Takie syny pogańskie! Nadęli się jak mięsopustna kiszka i nawet nie zapytają o nic człowieka, co to przed chwilą mało tamtego świata nie zwiedził. A przecie najadłem się strachu jak diabeł chrabąszczy. Oho, co tu skrywać. Jak ci to zafuczy, jak przeleci pod

drzewem, dziw, że w gaciach nie było pełno. — Dla upewnienia się pomacał z tyłu stare, wytarte portki.

Słuchali opowieści odpowiednio już ubarwionej, zaiste niecodziennej. Z dzikiem stykali się często, pierwszy raz jednak mieli do czynienia ze znaną dotąd jedynie z leśnych gadek napaścią odyńca. Że też to właśnie Hryszuna spotkało! Kotarek pomyślał nie bez satysfakcji, że to najpewniej kara boska za pijaństwo starego. Milczał jednak, słuchał ciekawie. Zasluga Dorożały zmalała do setnej części. Okazało się, że to właściwie Hryszun ocalił leśniczego.

— ...Zawołałem tak, siedząc na drzewie, raz i drugi, nie za głośno — nie mam takiego gardła, jak Pantaleon (Boże, zmiłuj się nad jego ojcem za takie nazwanie!) — po to, ażeby was przywołać, gdybyście byli blisko. A tu nagle jak się krzyk z boku podniesie, jakby się świnia drożdzy opila.. Obracam głowę, patrzę, a to Dorożała klęczy na śniegu, ręce do nieba wznosi, litanie odmawia. A bydlę stoi między nami i wybiera, który lepszy na przekąskę. Krzyczę do leśniczego: „Strzelaj, taki synu.” Porwał za swą fuzyjkę i nie wie, co robić. A bydlę na mnie. Ja ci wtedy jak podwinę nogi pod siebie, but prawy jak zdejmę, czekam, bydlę pode mną, wtedy go butem w łeb. Aż się zatoczył, zacharczał. Już ci chcę i lewy bucik zdejmować, męcę się, agrafka pierońska trzyma, gdy wreszcie Dorożała namyślił się, strzelił ze strachu w powietrze koło mojego ucha. Głupi taki, choć mu zęby wybierz! Człowieka przecie mógł zabić. Dzik by się nie uląkł takiego strzału, ale że butem już przygłuszony, a kątem oka widział drugi w mojej ręce, smyrnął w krzaki i tyle go... Leśniczy drżał niby skóra na psie, nie wiedział, jak za ocalenie życia dziękować. Ma szczęście, że na mnie trafił. I takiego do lasu posyłają! Baba by go wystraszyła pęcherzem...

Korowajczyk aż się przeginał, za brzuch łapał ze śmiechu.

Poważny Kotarek też rozdziawiał szeroko gębę. To ci facecjonista z tego starego! Dzika butem odstraszył! A Hryszun, spokojny już teraz o swoje opóźnienie, nadęty jak dynia w jesieni, korzystał z nastroju przyjaciół. Złapał z drugiej strony pod ramię Kotarka, przygarnął bliżej do siebie Pantaleona, uwiesił się prawie na ich ramionach. Wygodnie mu było tak iść, humor powracał, nawet i chęć do roboty przyszła.

Dochodzili już do rębowiska. Na ziemię padała właśnie potężna jodła. Głuche stęknienie, śnieg zawirował, opadło wszystko, odłamane gałęzie odleciały na strony.

Drwale porzucili na chwilę robotę. Zaniepokojeni wołaniami Hryszuna o pomoc, pragnęli się dowiedzieć teraz przyczyny.

Stary kawalarz musiał powtórzyć swoją przygodę. Ubarwił ją jeszcze mocniej. Korowajczyk słuchając rozweselił się tak, że aż miał łzy w swych dobrych oczach. Wszyscy

byli rozbawieni, klepali się dłońmi po udach, aż echo szło w las. Drozd, bardziej naiwny od pozostałych, zapytał:

— To naprawdę butem tak można zwierza ogłuszyć?

Wybuchł śmiech, szalony śmiech, aż się jodły zakołysały w takt ludzkiej wesołości, a Korowajczyk na śniegu przysiadł, za brzuch się znów łapiąc z wielkiej uciechy. Hryszun tylko miał bardzo poważną minę — jak przystało na bohatera.

KRZYK NAD ŚLUZĄ

Pasmo wody lekko uchylonym bocznym upustem spływało w dół z jednostajnym pluskiem. U podnóża tego maleńkiego wodospadu zawsze kotłowała się piana, a prąd zataczał niewielkie zakole.

Rybia drobnica kręciła się tutaj gęsto.

Lubił przysiąść na śluzie i z czołem przysłoniętym dłonią wpatrywać się w przeźroczystą toń. Drobną płoć płaśała ze spokojną kokieterią, bardziej niespokojne były wzdręgi o roziskrzonych czerwienią skrzelałach, zwinna ukleja trzymała się nieco dalej, srebrnymi błyskami rysując powierzchnię wody. Niewyrosłe leszcze, żarłocznie ciamkające wargami, również upodobały sobie okolice upustu. Znacznie rzadziej pojawiał się ostrożny jaź, wyjątkowo kiedy śmignął boleń, ciągnący ku większym bystrzynom.

Cień człowieka nie płoszył ryb, traktowały go jako jeszcze jeden z żelaznych słupów w obmurowaniu śluzy, przysiadłej na kanale łączącym długie jak kichy jeziora. Cień ten przez długie godziny pozostawał nieruchomy, wydłużał się tylko lub malał wraz z przesuwaniem się słońca. Nikt obcy nie miał na śluzę dostępu, nigdy stąd nie zwieszała się wędka ani nie osuwały do wody zdradzieckie sieci. Rzadko też rozwierały się żelazne zastawy, by przepuścić zbite z potężnych kolców tratwy, jeszcze rzadszym wypadkiem był przesuw łodzi czy flotylli kajaków. Śluza leżała z dala od uczęszczanych szlaków wodnych, zadaniem jej było regulowanie przepływu wody, zwłaszcza w wiosennych i jesiennych okresach, kiedy najbliższej okolicy groziły powodziowe zalewy. Na potrzeby niewielkiej elektrowni u niewidocznego krańca dolnego jeziora wystarczał odpowiednio regulowany strumień bocznego upustu.

Powoli, jakby z przymusem, podnosząc się ze swego miejsca na śluzie, Korniej zwykł był ogarniać spojrzeniem cały krajobraz. Za szeroką połącią łąk i zarosłych turzyczą pobagiennych torfowisk ostrym konturem znaczyło się pasmo puszczańskie. I tylko z jednego krańca, od górnego jeziora, drzewa podchodziły bliżej ku śluzie, stromizną świerków ożywiających wielką płaszczyznę. Bo nawet stromy spad poziomemu na linii przeciętej zaporą intensywnością zieleni zlewał się z resztą obszaru.

Jak wytrwale wpatrywał się Korniej w głębię wodną, tak też uparcie chłonał wejrzeniem popstrzoną kwieciem przestrzeń łąk i torfowisk. Dziwił się, jak różna w odcieniach była ta zieleń, jak odmienne, nowe zestawy barw można było dostrzegać w wodzie. Każda godzina dnia ujmowała lub dodawała nowe tony, różniły się wiosna i lato, i jesień. Jedyne zima powszechną bielą zdawała się zacierać różnice, chociaż i ta biel umiała ożywać: różna była w

poblaskach zachodów, niosących zapowiedź mrozów, od srebrnych migotań w godzinach budzenia się nowego dnia albo od grozy ołowianego matu w pochmurne noce.

Sam Korniej stał się z upływem lat jeszcze jednym elementem okolicy wokół śluzy. Zdawały się poznawać go chmary sarnie, wychodzące o brzaskach i zmierzchach z leśnych ostoi. Nie płoszyły się, spokojnie żerując na otwartej płaszczyźnie czy dążąc do naturalnych poisk. Rzadziej zjawiające się łanie i byki tylko od niechcenia zwracały na niego wilgotne zawsze oczy. Locha potrafiła prowadzić małe w bezpośrednim pobliżu człowieka i jedynie z nawyku pochrząkiwała odstrasżająco. W takich chwilach coś ciepłego budziło się w sercu Korniej a, na chmurną, dziobatą twarz wpraszał się cieniutki uśmiech.

Nie zdarzało się, by uśmiech taki, czy choćby ślad jego, dostrzegł któryś z ludzi, rzadko pojawiających się przy śluzie. Nie ciągnęło nikogo z własnej woli w rejon pozostający pod władzą samotnika, tkwiącego tu z żoną od pierwszych powojennych miesięcy. Nikogo też Korniej już nie ciekawił. Niczego się wszakże przez minione lata nie dorobił ani nie zaprzeczył czy poświadczył swym zachowaniem rozpowiadanych o nim z początku legend. Plotki ucichły, nic ich nie podsycalo, bo cóż w końcu można wysnuwać z faktu, że ktoś ma zawsze chmurną, niechętną twarz albo że żona jego wygląda na osobę nie z tego świata, z tym swoim zapatrzeniem nie wiedzieć w co i z rozsiadłym na twarzy smutkiem.

Śluza z najbliższym jej otoczeniem coraz to bardziej stawała się odludnym pustkowiem, cc właśnie odpowiadało Komiejowym pragnieniom. Każde zetknięcie z ludźmi stanowiło dla niego przymus. Tylko do swoich leśnych czworonożnych pupilów potrafił przemawiać cichym, zduszonym głosem, dla nich miał uśmiech i serdecznie głaszczącą dłoń. Ludzi odstraszał ponurością, odezwaniami krótkimi i niechętnymi, a brzmiały jak warknięcia.

Bał się ludzi czy tak ich nie znosił? Różnie mówiono, nikt nie docierał do sedna prawdy. Niczego bardziej nie pragnął Korniej, jak spokoju, szarej jednostajności życia, oderwania od jego gwałtownych przemian. Jakby świat cały pragnął zostawić na zawsze daleko gdzieś poza śluzą i otaczającą kanał wysoką groblą. Czas znaczył się dla niego nie konkretnymi, kalendarzowymi datami, ale mijającymi porami roku, wysokim lub niskim poziomem wody, szerokością rozwarcia upustu, regulującego poziom w zbiornikach.

Ktoś może nazwałby bardzo ciasnym i małym świat Komiejowych przeżyć, jemu wszakże przedstawiał się on wystarczająco bogato. Zależy przecież wszystko od stosowanej miary. Jeżeli zaś miarą było wyłącznie pragnienie spokoju, przyjazne współzycie z łąką, torfowiskiem, wodą i lasem wraz z jego mieszkańcami, to i świat Korniej owy wydawał się dostatecznie duży, by do reszty wypełnić życie dwojga ludzi.

W treści tego życia, zakreślonego promieniem słuzy, mieścił Korniej także i żonę, niedużego wzrostu szczupłą kobietę, z głową przysłoniętą bielutką chustką z lnu, również wrosła już jako stały element w dookolny krajobraz. W jej spokojnym, smutnym obliczu znajdowała odbicie i pogłębienie melancholia torfowisk, cisza mgieł wstających rankami i zmierzchaniami, nieprzerwany a jednostajny popłusk wody spływającej upustem. W postaci kobiety tkwiła nieodłączna już potulność, jakaś wszechogarniająca bierność, niemal brak zupełny własnego wyrazu. Jedyne oczy zaprzeczały niekiedy tej bezbarwności, tak pełnej, że można było wyminąć Korniejową na pustej drodze, nie dostrzegając jej obecności. Jedyne oczy... Na pozór zgaszone, pełne nie znanego innym udęczenia, matowiały czasami, jakby jasnoszare źrenice zamierały rozplynać się w okalającej je białkówce, ale kiedy indziej nabierały nagle blasków, ujawniających wewnętrzny tragizm.

Tych blasków w oczach swej żony Korniej nie znosił, bał się ich. Zmieniały się wtedy role w małżeństwie — on opuszczał głowę, nisko, coraz to niżej, mógłby ktoś sądzić, że przyginany poczuciem winy. Nie od razu też w momentach, gdy rozbłyskiwały źrenice Katarzyny, zdobywał się na tyle opanowania, by zbliżyć się do żony i przygarnąć ją niezdarnie ramieniem w geście osłony. Któż bowiem wiedział poza nim, że w tych nagłych rozbłyskach migotał i wyzwał się lęk. Przerażenie, trwoga, narastający nie do zniesienia ból uzewnętrzniały się w rozwartych szeroko oczach, wywołując niezdrowe poblaski. I cóż mógł on, Korniej, zrobić ponadto, jak utulić żonę, objąć nie jednym, dwoma już ramionami, chronić w ten sposób przed czymś, przed czym i tak nikogo ochronić nie można.

A potem bez jednego słowa rozchyłał uścisk i bezszelestnie uciekał z domu, od żony, od jej rozwartych, zapatrzonych nie wiedzieć gdzie oczu. Tłukł się nad swoją służę, śledził igrania ryb, wędrował na torfowisko, pod las i tam, przezuwając w wargach gorzki smak zerwanej turzycy, podglądając spokojnie pasące się sarny, odnajdywał zakłócony spokój.

Jeżeli ktoś z ludzi natrafił w takiej chwili na ponurego odludka, strzegącego swej bluzy, doznawał najgorszego przyjęcia. Bo przecież i Korniej nigdy nie zapomniiał, i w nim żył ciągle tamten czas, odżywała groza jedyne go wspomnienia, które przynieśli ze sobą z minionego życia. A gdy poprzez udręki Katarzyny nawrót przeszłości stawał się mocniejszy niż kiedykolwiek, czymże mogli stawać się ludzie, jeżeli nie upostaciowaniem wszystkiego, co się wtedy zdarzyło. Bo tamci również byli ludźmi, też musieli być mali, mieć matki, które ich piastowały, śpiewając kołysanki do snu, i tamci na pewno miewali kiedyś chwile czułości, serdecznego zbliżenia do świata, a przecież dopiero potem okazało się, że nic w nich człowieczego nie było. Więc skądże można być pewnym, czy obcy przybysz, który się nagle pojawi przed Korniejowymi oczyma, również nie nosi w sobie zarodki wszelkiego zła? Jakże

przypuszczać, że wyrostek, który z wędką przemknie ścieżyną wzdłuż linii jeziora, nie zdobędzie się w późniejszym wieku na działanie podobne czynom tamtych, którzy wyzwolili ten straszny lęk, zabijającą wszystko trwogę w spojrzeniu kobiety, którzy raz na zawsze wyrzucili także jego, Komieja, za obręb normalnych zwykłych spraw. Cóż z tego, iż zdawał sobie sprawę, że posądzeniami takimi krzywdzi niewinnych prawdopodobnie przechodniów, gdy lęk przed istotami człekokształtnymi, pogarda i nienawiść do nich zrodziły się w nim kiedyś silniejsze nad wszystko inne i trwały tak po dziś, może zetlałe nieco i spopielone, ale łatwo zajmujące się od nowa płomieniem, kiedy znalazła się tylko odrobina świeżego żaru.

Podmokłe, przetkane turzycą Jaki, pod jesień jak płatami śniegu usłane rozsiewanym przez wiatr pyłem, nie kusily ani leśnej administracji, ani wielkiego gospodarstwa państwowego, w którym każdy ludzki wysilek musiał być poddany uprzednio zimnej kalkulacji rachmistrza. Mierzwiłone stale podmuchami powietrza połacie traw stałyby niezmiennie bezpańskie, gdyby nie Korniej. Nastawały okresy, gdy zdawał się nie pamiętać o służbie, o pływających około upustu rybach, o pohukiwaniach ptactwa gęsto buszującego w tej stronie, przejęty jedną ideą, by rozesłać na ziemi jak najwięcej pokosów szybko schnącej trawy, aż powietrze stawało się gęste od skondensowanego zapachu. Pracował w takie dni jak maszyną. Jeszcze przed świtaniem trzaskały drzwi domu; znacząc mocny ślad na obfitej rosie, szedł Korniej ku następnej, nie tkniętej kosą połaci. A potem już tylko równomierny chrzęst, zagarniający rozmach ramion, podzwiek klepanej kosy, jak głos kukułki odmierzający kwadrans w staroświeckim zegarze. Gęsto wyrastały potem stogi, chronione daszkami z olszowych gałęzi, Korniej zaś mógł wracać na swoją służbę, niezmordowanie wypatrywać czegoś w przejrzystej toni albo równie uparcie tropić coś na szerokiej płaszczyźnie, znaczonej okolem lasów.

W pierwszych latach trafiali się tacy, którzy w chude dni przedłużającej się zimy występowali z propozycją zakupu Komiejowego siana. Dla ich paru krowin o wiele tego za dużo, po co ma siano gnić w stogach? Gospodarz służy trząśł głową w odmowie, nieżyczliwie czekając na odejście intruza. Gdy znów zostawał sam na swoim odludziu, pędził do stogów i zrzucał z nich wonne splachcie na prowizoryczne paśniki, a potem drągiem żelaznym wyrąbywał w lodowej gładzi kanału szerokie przeręble. Wtedy na jego chmurnym zazwyczaj obliczu pojawiał się spokojny uśmiech spełnienia.

Miał bo Korniej swą pasję, w którą wlał całe umiłowanie świata, w której zmazywał narosłą przez ludzkie zło gorycz i piekące doznanie krzywdy. Wszystko co żywe w wodzie, lesie czy na łące znajdowało w nim obronę. Umiał tygodniami leczyć młode zające, dzięki

jego interwencji wyrwane nocą z sowych pazurów, ale tak samo chętnie nastawiał jastrzębiowi-gołębiarzowi złamane skrzydło. Przyklaskując, aprobował udany połów wydry, wyslizgującej się na brzeg ze sporym okazem sandacza w pysku, ale i niedługo potem uwalniał podobnego sandacza z pułapki, w której uwiązał, nieopatrznie próbując precyzyjnie przycisnąć się między dwu tuż obok siebie wbitymi w wodę palami. Uznawał i szanował surowe prawa, każące bocianowi sycić się rehotliwymi żabami czy wilkowi rozszarpywać niezgrabne kształty kozłęcia, widział bowiem w tym wszystkim sens i wyraźną potrzebę. Nawet kunę i tchórza rozgrzeszał z nadmiernej chciwości, chociaż żał mu było serdecznie, gdy . zastawał w kotlinie wśród traw kilka naraz zaduszonych zajączków wyssanych z gorącej krwi. Te wszystkie mordy były potrzebne i nigdy nie przekraczały miary, wyznaczonej potrzebą życia.

Tu gdzieś w rozumowaniach Korniej a kryła się miara sprawiedliwości. Dyktowana surowością norm, ale nigdy nie sięgająca poza nie, wszelkie naruszenie burzyłoby bowiem niszczycielsko raz ustalony porządek...

Ze swojej tułaczki spłynęli Komiejowie nad tamę wraz z psem, łaciatym kundlem z obszarpanymi uszami. Niektórzy znajdowali w tym psie pewne podobieństwo do właściciela. Tak samo zapuszczony, włóczący się swoimi drogami, z niekształtną, mocną w barach sylwetką i nieufnym wejrzeniem, kundel cieszył się w domu nad służą pełną swobodą, hasał gdzie chciał i kędy chciał. Korniej początkowo nie zwracał uwagi, że psiak przy powrotach nadranych z nocnych włóczęg miewa pysk gęsto umorusany krwią, a brzuszysko spęczniałe jak bania. Szanował swobodę psa, jak cenił własną swą wolność. Pasowali do siebie. Aż do tego błękitniejącego w migotaniach świtu, gdy przy wspólnym obchodzie obwałowania ciszę wstającego ranka zakłócił z nagłą straszliwy kwik mordowanego warchlaka. Locha, z resztą pasiastej czeredy skryta w przyległych krzakach, nie odważyła się na atak, odstraszona obcym zapachem człowieka. Warchlaczka nie zdołał Korniej uratować: zduszony, zmalaty i dziwnie bezbronny, leżał teraz przed psem, który, triumfalnie unosząc do góry kosmaty pysk, zdawał się oczekiwać pochwały. I wtedy w człowieku zrodził się gniew, przekonanie o zakłóceniu obowiązującego wokoło służy nie pisanego porządku. Nie skatował psa, ale najbliższą drogą, na przełaj przez krzewy i podmokłe żórawiniska, zaprowadził go zaraz do domu, by tam wyszukać w szopce masywny łańcuch, zmajstrować z jakiegoś rzemienia obrozę i uwiązać już na zawsze zaskoczonego i przerażonego tym kundla. Długo nie zniósł uwięzi, zabiła go tęsknota za nigdy dotąd nie ograniczaną wolnością, nie żarł, marniał, zdechlł po paru tygodniach. Może człowiek w jakiś sposób głębiej by odczuł tę stratę, gdyby nie fakt, że właśnie zajęty był bardzo kuracją bociana. Biedak, nie wytrzymał widocznie próby sił w godzinę selekcji na bocianim sejmie przed jesiennym odlotem. Zmasakrowany przez

towarzyszy, leżał skrwawiony na łące, czekając wieczornej godziny skonania. Nie zareagował na nadejście człowieka, nie odwzajemnił spojrzenia, którym tamten ogarniał go długo i z widocznym namysłem. Równie spokojnie znosił bolesne, niewprawne zabiegi przy nastawieniu złamanego skrzydła i nogi oraz przemywaniu zaciekłego krwią oka. Ale w tym spokoju musiała już zdradzać się jakaś ufność, skądże by bowiem wzięło się późniejsze, po wspólnie spędzonej zimie, przywiązanie do Komieja, a dalej coroczne powroty wraz z towarzyszką życia do gniazda na rozcapierzonych konarach wierzby tuż za ludzkim obejściem, codzienne przydreptywanie do korytka z żarciem dla kur, zezwalanie na dotknięcie dłonią ludzką ulizanych czyściutko piór! Bo już Katrzynie bociek nigdy nie pozwolił zbliżyć się do siebie. Nie bał się jej, tolerował obecność kobiety, ale wyraźnie gniewała go każda próba spoufalenia.

Od tego właśnie bociana zaczęło się. Nigdy już nie było psa ani kota w Komiejowym obejściu, przybywało za to mnóstwo innych mieszkańców. Wszystkie leśne i łąkowe kaleki znajdowały tutaj opiekę i azyl. Wyleczone odchodziły, ale z zasady nie zrywały już zadziergniętych więzów. Nawet stary gołębiarz, znaleziony jako postrzałek na skraju lasu i wychuchany w Korniej owej obórce, lubił zlatywać na płotek przed domem i siedzieć tam godzinami, spokojnie popatrując na grzebiące opodal kury, które, nie bojąc się jego obecności, na widok innego jastrzębia-intruza zrywały się do ucieczki.

Jakże więc miał Korniej sprzedawać siano, gdy zawsze mogła się zdarzyć mroźna i bardziej w śniegi obfita zima, gdy w lesie i na polach szerzy się głód, a zwierzyna tuła się w rozpaczliwym poszukiwaniu żeru. Wtedy wszystko, co żyło w okolicy, zdążyło nad służę. W paśnikach czy zgoła stogach można się było pożywić, w kanale znaleźć starannie pielęgnowane przereble, osypane dokoła piaskiem, by kopyta się nie ślizgały na lodzie. Przy największych mrozach na oparzelinie niedaleko od służy gromadziły się kaczki, te najwierniejsze, którym nie chciało się nigdzie odlatywać na zimę. Tutaj pomniejsze skrzydlate towarzystwo mogło zawsze liczyć na czerwoną jarzębinę, głóg czy dzikie gruszki, zwane ulęgakami.

Strażnikowi służy przynależał hektar uprawnej ziemi i dwa-kroć tyle jako tako wydajnej łąki. Reszta to były bezpańskie turzycowiska, gdzie tylko spłachciami można było wykosić mało co wartą trawę. Komiejom byłoby tego wszystkiego o wiele, wiele za dużo, nie mieli szczególnych wymagań. A przecież nie zaniedbywali niczego, co mogło przysporzyć choć trochę ziarna czy siana ponad to, co konieczne było dla własnych krów. Przynosząc do domu wcześniej niżeli zazwyczaj dojrzałą jarzębinę czy po innych oznakach przewidując ostrość zbliżającej się zimy, mówił Korniej do żony:

— Ciężko będzie w tym roku, przybędzie gąb do karmienia.

I już widział chmary sarnie, ciągnące od lasu do pańników z sianem, przetkanym gdziegdzie burakiem pastewnym, kuropatwy zdeptujące się przy ziarnie rozsypanym na zmiecionej ze śniegu przestrzeni, dziki tuż za kanałem chrupkające przy podrzuconych szcudrze żołędziach albo orzeszkach buczyny. Wtedy leciutki uśmieszek wypływał na ponurą gębę chłopca, żona zaś patrzyła na niego, przytakiwała aprobująco. Wiedział, godziła się z nim w tych jego dziwacznych zamysłach, jak się godziła bez protestu ze wszystkim, co postanowił. Nie wiedział natomiast, jak ocenia to jego postępowanie. Chyba że jest jej zupełnie obojętne, co robi i ona z nim razem. Od tamtego dnia stała się właśnie taka i nic na to nie można było poradzić. Strzec co najwyżej, by w tę pokorę nie wkraść się lęk wspomnienia, pobłyskami oczu ujawniające się przeważnie. W takich chwilach i on już nie panował nad uczuciami, od nowa i w nim zawałało się wszystko, jak byle jak sklecona kamienica pod uderzeniem bomby. Tym silniej zarazem w takich momentach wracającej depresji utrwalalo się w nim przekonanie, że służa stała się dla nich jedynym zbawieniem. Miejsce znalezione po długich, beznadziejnych już poszukiwaniach. Dwa miesiące tłukli się wszakże po nadodrzańskiej ziemi, węsząc za pełnym odludziem, gdzie ani dziś, ani jutro nie pojawi się żaden człowiek. Aż wreszcie bąknął ktoś o tej służce, gotowi byli mu ręce całować, odrodziła się w nich stracona już nadzieja.

Lata mijały, a oni tkwili przy tej służce, pielęgnowanej przez Korniej a tak, jak by ktoś inny nie potrafił doglądać własnego dziecka. Ni śladu rdzy, żadnego przecieku, żadnej nierówności na wałach, ani garści niepotrzebnego namułu. Żeby nikt nie mógł zakwestionować ich praw, podać ich w wątpliwość. Czy odzyskali spokój? Czy jedynie stłumili najboleśniejszą ostrość wspomnienia, z całej sumy przeszłości nie mogąc się nigdy otrząsnąć? Nie zgłębił tego w sobie samym, skądże mógł więc wiedzieć, czy żona zastanawia się nad tymi sprawami, gdy zabrakło między nimi szerszej płaszczyzny porozumienia, jak tylko w najprostszych sprawach bytowych. Może tamto tkwiło w niej świeższe i silniej jątrzące, gdyż zbyt często źrenice jej albo płowiały, albo zapalały się tragicznymi lśnieniami. Wtedy myślał, że trzeba być dla niej czulszym i serdeczniejszym, poszerzyć treść doznań czasu, w którym, nie mogąc już żyć pomiędzy ludźmi, żyją z ptakami, z rybami, ze zwierzętami.

Uspokajał się. Nie tylko on żyje, obydwójce żyją. Katarzyna nie wyłącznie z bezwoli i z pokory aprobuje jego wyczyny. Jej potrzeba tych leśnych i błotnych przyjaciół. To zaś, że nigdy się nie uśmiecha, zawsze się porusza jak martwa, chyba jest zrozumiałe. Jak się ma uśmiechać ten, w kim nie tylko słowa, ale i uśmiech, i całą energię na zawsze zabito? Gdyby

na swój sposób oddany im świat dzikich stworzeń był kobiecie obcy czy obojętny, nie wychodziłaby przed dom, by przyjrzeć się płasaniu kaczek na wodzie kanału, nie wabiłaby krzyżodziobów szyszkami ani nie tkwiła przy płocie, spoglądając na spokojnie pasącego się opodal jelenia.

Jeśli ktoś poza mężem bliski był jeszcze Katarzynie, to chyba ten rozrosły czternastak z dziwacznym porożem. Trafił w ich poblize inaczej niż reszta wychowanków, wrywanych zazwyczaj śmierci.

W pierwszych dniach października nastał chłód, woda była jakby przejrzysta, drobiazg rybi oddalił się od upustu na głębiny, rankami długo trzymała się gęsta mgła, z trudem rozwiewana przez niskie słońce.

Od nadwieczera długo w noc, a potem znów świtaniami, tubalne, mocne niosły się od lasu porykiwania byków; na zmianę tęskne, to znów groźnie wyzywające, krążyły nad łąkami i torfowiskiem. Korniej umiał rozróżniać te głosy po jakimś dla niego tylko wyczuwalnym pochrypie, po tonacji czy sile wkładanej pasji. Siedząc długo w wieczór na ławeczce przed domem, przekrzywiał głowę, by nie uronić nic z jedynej w swoim uroku melodii rykowiska, odszukiwał znajomków. Zaczynający od pochrapywania, przerywający często, jakby sam w siebie się wsłuchiwał, dopiero potem, po takiej wstępnej zagrywce, rozdzierający się mocnym dudnieniem — to na pewno byk z ostoi przy dolnym jeziorze, kolos utykający lekko na prawą nogę. Ślad jego zawsze łatwo rozpoznać, jeden z odcisków jest głębszy. Teraz znów inny ryczy zgrzytliwie, jakbyś blachą o blachę uderzał, młodzik, co czuje już smak godów, choć ich dotąd nie zaznał. Zły jest, to się wyczuwa wyraźnie, ryczy w coraz to innym miejscu, przedziera się na pewno do chmary łaniej, strzeżonej przez mocniejszego i starszego rywala. A to odzywa się „gruźlik”, jak go Korniej określił, w głosie jego słyhać rżenie, może naprawdę płuca ma chore? Tak, znał większość zalotników, powtarzało się to przecież co roku, z rzadka dochodziły nowe głosy, dojrzewała młodzież, przybłąkał się jaki przybysz.

Tego roku rykowisko piękne było nad podziw, rankami widywał odciski gęsto znaczące drogę do wody, na polanie pod młodym zagajem ziemia była skopana, a ocalałe trawy zroszone krwią, jakieś bardziej namiętne samce mocno wodziły się za łby. Łanie często i w dzień przesuwwały się w zasięgu wzroku, zdarzało się, naliczyć mógł po osiem i dziesięć sztuk. Księżyc właśnie wszedł w pełnię, niebo świeciło czyste, niebieskawa poświata barwiła pola i las, a rankami spadały ostre przymrozki, szron trzymał się aż po samo południe. Rykowisko trwało, długie w tym roku jak nigdy.

I wtedy którejś nocy popłynął nad śluzę nowy, nieznany głos, ryk potężniejszy od innych, dumny, wyzywający. Nastąpiła cisza, dopiero później, niepewnie jakoś, z oddali odpowiedział inny jeleni, zachrypiął jeszcze któryś młodziak i znów las zastygł w milczeniu. Nieznany przybysz jakby oczekiwał tej chwili, zagrzmiął znów, echo poniosło głos, przerzucało dalej i dalej. Odzewów już potem nie było tej nocy zupełnie. A następnego dnia Korniej dojrzał przybysza. Najspokojniej pilnował sporej czerechy łań na goliźnie klinem wrzynającej się w las. Wielki był, masywny, głowę trzymał uniesioną wysoko do góry, niecierpliwie pogrzebywał ziemię kopytem, ślepił po linii drzew. Ale i we dniu nikt z konkurentów nie próbował do niego się zbliżyć.

Do wiosny nie zetknęły się już drogi człowieka z tropami jelenia. Aż dopiero w dzień, gdy na młodą, świeżutką trawę pierwszy raz wyruszyły krowy z domku nad śluzą, byk pokazał się znów. Korniej dostrzegł go przypadkiem, gdy dłubiąc przy śluzie w pewnej chwili ogarnął spojrzeniem łąki i zatrzymał je na stadku krów pasących się pod linią lasu. Jakby było ich więcej. Przeliczył, sześć sztuk, gdy mieli przecie dwie tylko jałówki i trzy stare. Podniósł się, oczy przesłonił daszkiem dłoni złożonej nad czołem. Nie od razu uwierzył, ale fakt był naprawdę faktem. Razem z krowami pasł się jeleni, wielki, masywny byk. Gały dzień niemal im towarzyszył, dopiero gdy ruszyły w kierunku domu, jakby z żalem, ociągając się, wolno poszedł do lasu, znikając w gęstwinie. Następnego dnia dziwowisko się powtórzyło, wreszcie zaczęło powszednieć, Korniej byłby bardzo zdziwiony, gdyby w towarzystwie krów nie zastał masywnego jelenia. Już nie trzymał się wyłącznie pobrzeża lasu, ale coraz śmieiej przysuwał się w pobliże domu, nie reagując wiele na kręcących się tam ludzi. Jeszcze na widok Komieja przejawiał pewien niepokój. Ale Katarzyna zdawała się go nic nie obchodzić. Gdy w południe ze skopkiem szła do dojenia, tyle tylko, że odsuwał się nieco, ale myśl o ucieczce ani się w nim jawiła. Pasł się spokojnie, jak w najdzikszym ostępie.

Może to właśnie zjednywało mu sympatię milczącej, smutnej kobiety o tragicznie opuszczonych ramionach. Po dojeniu często siadywała na trawie i długo przypatrywała się dziwnemu towarzyszu swych krów. Albo, odrywając się od gospodarskich zajęć przy domu, stawała przy płocie, sycąc się widokiem uosobionej w jeleniu spokojnej siły. Jednakże gdy ją Korniej zastał przy tym, sprawiała wrażenie zażenowanej i cicho usuwała się w głąb domostwa. Myślał czasem — czyżby się wstydziła swojej sympatii? Zimą znów, gdy byk zniknął, w dumnym poczuciu swojej niezależności nigdy nie korzystając z pańników, Komiejowi zdawało się, że zrezygnowane przygnębienie Katarzyny jeszcze bardziej się pogłębia. Patrząc na żonę, wzdychał wtedy do wiosny, stęskniony powrotu czternastaka, który Jakiś cień pogody wprowadzał w życie jego kobiety.

Bo w końcu dla kogóż żył Korniej, po co tak zazdrośnie strzegł zdobytej nad służą samotności, czemu unikał widoku ludzi jak czegoś najbardziej złego? Nad wszystkim, co czynił, ciążyła myśl o Katarzynie. Spokój, zdobywany w obcowaniu ze stworzeniami, też był właściwie na to potrzebny, by mógł z większą wyrozumiałością opiekować się Katarzyną.

Przed owym w czasie dalekim, ale w przeżyciu wciąż bliskim dniem różnie między nimi bywało. Dopiero od tamtej chwili, jeśli Korniej zdecydował się w ogóle pozostać przy życiu, to tylko dla niej, dla Katarzyny. Żeby we dwoje łatwiej mogła znosić każdy nadchodzący dzień, każdą wybijającą godzinę...

Z natury nie był Korniej zbyt skłonny do zadumań czy medytacji nad zawiłymi sprawami ludzkich losów. Zdarzało się, przy przesiadywaniu nad przepustem czy podczas wałęsania się po torfowiskach, jakieś myśli przewalały mu się przez głowę, różne sprawy domagały się podsumowania, niewiele wszakże zostawało z tych męczących rozmyślań krepęgo dozorcę służby. Za najlepsze uznawał pozostawianie wszystkiego własnemu biegowi, zdanie się na zwykły przypadek. Bo czyż ktokolwiek zna swój los? Wtedy także bezustannie głowili się ludziska — zabierać się precz z rodzimej chaty, uciekać od swojej ziemi, patrzeć, by tylko głowę jakoś ocalić? Niektórzy wyruszali tak w świat, wieści o nich, jeśli były prawdziwe, smutno jednak świadczyły o skutkach niełatwych decyzji, życiem się za nie często płaciło. Już chyba lepiej pozostać na pewne i niepewne między swoimi, gdzie każdy kąt znajomy, każda miedza schodzona tysiące razy, wie się, jak wiatr zawodzi i skąd nadciąga spiekota. Co zatem na parę nocy przed tamtym dniem kazało Komiejowi budzić się z męczącego snu w gęstych zaroślach przy wiosce, bo w chałupie nikt wtedy już nie odważył się sypiać, budzić się i jak zmorem męczącą odsuwać naglący podszept ucieczki. Tarł czoło, z trudem zbierał myśli, dziwiąc się, skąd ta jakaś wewnętrzna namowa, niemal że nakaz. Bijąc się z myślami przez dalsze godziny — sen odbiegły już więcej nie wracał — decydował, że dniem ruszają, tyle tylko, że się to schowa i tamto, oporządzi jeszcze najkonieczniejsze przy gospodarstwie. Dzień wstawał, a piękne dni były wtedy, nocne niepokoje roztapiały się wraz z umykającymi mgłami, postanowienie niby to zostawało, ale, wciąż odkładane, traciło wszelkie znaczenie.

Obiecywał sobie — jutro to już na pewno. Każdej nocy, targany nadchodzącymi strachami, dręczył się wyrzutami za swe niezdecydowanie, a potem znowu wszystko się powtarzało. Na własne nieszczęście albo może dla dopełnienia losu, jaki im wszystkim, Komiejom, gdzieś tam był zapisany. Bo jeśli nawet te nocne przestrogi okazały się bezskuteczne, coś silniejszego tkwić musiało w człowieku, czekał bezwolnie własnego sądnego dnia. Aż stało się... Gnębił się, że nie posłuchał nocnej przestrogi, aż wreszcie

uspokoiła go pewność, że się własnej doli nie ujdzie, nie ma tak silnych, by ją zwojować. I żadne myślenie tu nie pomoże.

A jednak niekiedy i teraz trzeba było pomyśleć. Choćby o Katarzynie. Obserwował żonę z oddali, nieświadomą, że ją ktoś widzi. Była taka jak zawsze. Pewnie, gdyby znalazła się obok, po swojemu przytuliłby ją niezdarnym uściskiem. Ale potem gnałby do swoich zwierzaków, do łąk czy lasu. Bo ot, patrzy na Katarzynę, wie o niej wszystko, niby mu się wydaje, że cokolwiek dziś robi, czyni to dla niej. Patrzy, niby tak myśli, a zarazem inaczej. Kobieta staje mu się obojętna, nie chce wiedzieć, co ona nosi w sobie, co przeżywa w tym samotniczym życiu. Ważny dla niego jest zdobyty tu spokój, ważne ryby, zwierzaki, ptactwo, cała okolica. I wcale nie dlatego, że to przynosi jakieś ukojenie także i Katarzynie, ale z tej przyczyny, że on zyskuje je przede wszystkim dla siebie. Bo gdyby Katarzyny nie stało, gdyby i jej życie zostało wtedy przerwane jak tamtych, a on by przy tym życiu pozostał, czy również nie byłby rad ze swojej pracy przy służbie? Jeszcze więcej stworzeń mógłby trzymać, poświęcić im całe serce. Teraz trzeba je dzielić, jakaś jego część należy wszakże do Katarzyny...

W gmatwaninę niezdarnych myśli wdzierał się inny przebłysk, niełatwy do ujęcia w słowa, niejasne uczucie, że gdyby zabrakło Katarzyny, nie stałoby również i tego spokoju, nie wiedzieć, czy on sam mógłby istnieć bez obowiązku opieki nad tą nieszczęsną, a cierpienie, które ją zgina, czy nie stałoby się wyłącznie jego ciężarem, jego właśnie nie dławilo i ani by sobie z nim kiedy poradził...

Niecierpliwą się tą szamotaniną w samym sobie, zrywał się, szukając byle roboty, niech ju?. te myśli odbiegną, bo do ostatka rozum człowiekowi odbiorą. Niech się dzieje dalej jak jest, ten spokój też widocznie był pisany ich losom. Nielekki spokój, tamto się wlecze za nimi, do śmierci już pozostaną z pamięcią zatopionego w słońcu dnia. Cisza stała wtedy w powietrzu, żar, aż się liście skręcały, dookoła ospałość, rozleniwienie. Tym silniejszy był wstrząs na widok osaczającego wioskę oddziału...

Lepiej nie myśleć, nie wspominać i nie rozpamiętywać szczegółów, nie zgłębiać spraw dzisiejszych. Odganiać wszelkie takie myśli, trujące jak blekot, jak łodygi wilczego łyka albo bohunu na trzęsawiskach.

Ludzie mu tylko czasem samym swoim widokiem przypominali, przesuwając się gdzieś daleko od służby, mijając ją stronami, nikt bowiem nie miał ochoty napotykać złęgo wejrzenia strażnika. Ale przypomnienia takie były przelotne, nikły w momencie, gdy intruz wtapiał się w las, gdy zasłaniały go trzciny nadjeziorne czy mgły często stające nad wodami. Znów zostawała cicha służa, ich domek, ptactwo i zwierzaki na podwórzu, domowe przemieszane z dzikimi wychowankami, czternastak pasący się wraz z krowami.

Aż do pojawienia się w tych stronach nowego przybysza. Korniej niewiele o nim wiedział, gdzieś tylko zasłyszał, że to syn rządcy pobliskiego majątku, co wszakże robi, czym się zajmuje, jaki ma zawód, to do niego już nie dotarło, nie było ważne.

Ważne było co innego. Że przybysz nie myślał uszanować nie pisanych praw, znanych całej okolicy, zostawiających w spokoju służę i najbliższą jej okolicę torfowisk i młak. Już z końcem lata zaczął się kręcić nad wodą, brzegiem kanału zdązał z wędką od jednego jeziora do drugiego, myszkował po łąkach i lasach, pobłyskiwała z daleka zarzucona na ramię dubeltówka. Ta dubeltówka szczególnie rozdrażniała Komieja, zbyt wiele przypominała... W okolicy mało kto chadzał z bronią, leśniczy nawet rzadko ją brał do ręki.

Cień tego człowieka mącił harmonię Komiejowych zbliżeń z naturą. Jakby mniej przejrzysta stawała się toń obok upustu, jakby szarzały coraz to bardziej łąki. Strażnik zaciskał usta, bruzda na czole się pogłębiała, złe spojrzenie śledziło kroki intruza. Jego zaś to zdawało się bawić, stawał niedaleko, odwzajemniał się ironicznym spojrzeniem. Korniej wtedy zabierał się i odchodził. Po prostu uciekał.

Raz jeden nie wytrzymał. Jesień się szybko zadomowiła, w pogodne dni zaczynały fruwać pierwsze nitki babiego lata. Któregoś ranka Korniej zastał swego przeciwnika na służbie. Stał tam z wędką, gładki jakiś, dbały o siebie, coraz to podcinał rybę wyławianą spod samego upustu, z miejsca, gdzie dłoń strażnika nieraz sypała pokarm wodnym mieszkańcom. Zakipiało wszystko w Komieju. Ledwie się pohamował, by nie biec, tak go narastająca złość pędziła ku służbie. Stanął przy niej, zakrzyczał:

— Hej! Tu nie wolno nikomu chodzić ani ryb łowić!

Wolno, bardzo wolno obrócił młodzian spojrzenie ku stojącemu na brzegu niskiemu człowiekowi o szerokich ramionach. Uśmiechnął się, Korniej przysięgłby, że słyszy zjadliwy chichot.

— Mam kartę wędkarską, mogę więc łowić. O zakazie wchodzenia na służę nie słyszałem, nawet napisu żadnego tu nie ma...

— Nie wolno — powtórzył Korniej.

Tamten nie odpowiedział, pławek u wędki zanurzył się w tej chwili gwałtownie. Podcięcie i długim łukiem sfrunęła na służę duża ryba, miotając się rozpaczliwie w piasku.

— Po dobremu mówię, nie wolno wchodzić na służę!

Musiało być coś wyraźnie niebezpiecznego w głosie strażnika, skoro intruz spuścił z tonu i bez dalszego ociągania zszedł nad brzeg kanału. Nic nie powiedział, tylko obejrzał się parę razy. W tych spojrzeniach Korniej wyczytał jedno: zyskał sobie jawnego wroga. Zaraz jednak wzruszył ramionami, niewiele go to obchodziło, grunt, że służę obronił, ryby spokojnie będą

mogły hasać koło upustu. Cały dzień wprawdzie chodził jeszcze rozeźlony, ale po nocy mu to przeszło, zapomniał. Dokoła było tak cicho i spokojnie...

Nie na długo. Po paru dniach znajdującego się na torfowisku Komieja poderwał huk strzału. Odbijając się od ścian lasu, wielokrotniał długim echem. O rzut kamieniem od ich domu stał z dubeltówką w ręku ten sam intruz. A koło płotu, tak jak wtedy ta ryba na śluzie coś się trzepotało, sypało kurzem, by wreszcie opaść bezwładnie i znieruchomieć.

Nie widząc, zrozumiał Korniej. O tej porze jastrząb-gołębiarz, ich wychowanek, zwykł był zlatywać na płotek i tkwić tam przez długi czas. Ten łobuz zastrzelił jastrzębia. Korniej wiedział, że tamten miał prawo za sobą, gołębiarze wszakże szkodniki, zaleca się je strzelać. Na nic więc nie zdadzą się tutaj protesty. W jednym nie mógł się pohamować. Zaciśniętą pięścią mściwie pogroził strzelcowi. Nie uszło to jego uwagi, odpowiedział szyderczym śmiechem. Dopiero słysząc ten śmiech, Korniej pojął, co znaczy nienawiść.

Nie miał na to wpływu. Nic zdałoby się tu jakieś przyciszenie. Nienawiść musiała rosnać, tak jak rosła z dnia na dzień już teraz, niemal z godziny na godzinę. Wciąż się krzyżowały ich drogi, choć nigdy nie padło żadne słowo, obydwaj zdawali się być nieustannie zajęci myślami o sobie. Po obu stronach musiały się wyzwać nie dobre siły. Coś Komiejowi kazało wyczekiwać każdego dnia, jakim znakiem objawi swoją obecność syn rządcy majątkowego. Strzałem w pobliżu, spacerem nad kanałem czy łązęgą na skraju lasu albo wzdłuż torfowiska, za linią moczarów i oparzelisk. Tamtemu coś równie dziwacznie nakazywało kierować się zawsze na teren objęty zasięgiem śluzy.

Zła była to jesień. Korniej czuł, jak zatracą się w nim spokój, zdobywany latami. Jak obojętnie upust przy śluzie, skąd obserwował hasanie ryb, jak maleje serdeczność związana ze stworzeniami, które garnęły się pod jego opiekę. Niby i nadal je karmił, kosił dla nich siano, zbierał buczynę i żołądź, wdrapywał się na drzewa po jarzębinę i szyszki, ale czynił to już bez poprzedniego zapału, bez tego zaabsorbowania, które eliminowało resztę świata. Wciąż żarła go pamięć o nienawistnym intruzie, który zburzył spokój nad śluzą, wprowadzając na to miejsce narastające wciąż podrażnienie. Nawet dla Katarzyny nie umiał zdobyć się na poprzednią czułość, stał się szorstki i jedynie w momentach, gdy coś tragicznego jawiło się w jej oczach, klnąc siebie, tak jak dawniej przygarniał kobietę opiekuńczym ramieniem.

Potem rozpadały się deszcze, ciepło było, mgła nie znikwała znad torfowiska przez całe dni, uległ zakłóceniu normalny rytm życia w lesie i w wodzie. Krzyżodzioby pojawiły się wyjątkowo wcześniej, razem z nimi czerwone gile, a znów kaczki nie mogły się zdobyć na odlot, masami całymi koczując na gładzi kanału. Dziesiątkami zestrzeliwał je tam wróg

Korniej a, dozorcę zaś każdy strzał trafiał w setce. Rykowisko niby się zaczynało, raz, potem drugi, urywało się, głosy, które nadbiegały od lasu, niemrawe były, stłumione. Pod koniec października czternastak wrócił do stada Komiejowych krów, nadal się jeszcze pasących na łące, trawa bowiem wciąż nie myślała więdnąć, na odwrót — rosła zielona i świeża, jak we wczesne wiosenne dni. Katarzyna znów mogła przesiadywać na pastwisku, wpatrując się w swojego pupila.

W Komieju zaczął wtedy budzić się lęk, przecucie czegoś nieuchronnego. Częściej oglądał się za swym prześladowcą, nie ustającym w myśliwskich czy wędkarskich wyprawach na teren słuzy. Z daleka się znaczył poblask metalowej rybki, z furkotem wysnuwającej się z kołowrotka. Korniej patrzył na spinningowe wyczyny, pięści mu się zwierały, dziwne myśli zaczynały się kłębić pod niskim czołem. Żona, zawsze niezmiennie obojętna, przyglądała mu się czasem z niespokojnym zdziwieniem. W takich chwilach największym wysiłkiem nakazywał sobie opanowanie.

Czternastaka zastrzelił Komiejowy przeciwnik wcześniej rano, ledwo brzask zdołał przerodzić się w świt. Przyczajony u skraju zagajnika, czekał, aż byk codziennym zwyczajem wynurzy się z chaszcy, by się przyłączyć do krów. Łatwy był strzał, prosto na komorę, jeleni świecą frunął do góry i zwałił się na nawilgły grunt.

Korniej majstrował przy płocie, rozespany jeszcze i niemrawy. Na huk strzału spojrzął w tamtym kierunku, spostrzegł, jak czternastak wyskakuje w górę, jak się wali z łoskotem. Spod niedalekiej osłony krzewów wynurzył się syn rządcy. Szedł w stronę zabitego jelenia. W tę samą stronę ruszył pędem, z nagle skupioną energią, z wyzwoloną już nienawiścią dozorca słuzy.

Nie wiedział, co czyni, chciał być tylko jak najbliżej mordercy. Wszyscy w okolicy wiedzieli o czternastaku, szanowali święcie jego i Komiejową przyjaźń. Dopiero ten rozmyślnie, podstępem wykorzystując oswojenie stworzenia... Morderca, morderca... Mełł w sobie ten wyraz, zwiększał szybkość biegu, pięści ścisnęły się aż do piekącego bólu, lepszy był wszakże ów ból niż ten drugi w sercu, niż to, co się działo w głowie, co wzbierało pragnieniem straszliwej pomsty.

Musiało być coś przerażającego w biegu Komieja, w jego dziwacznej sylwetce, śmigającej po podmokłym gruncie, skoro przeciwnik jego przystanął w pół drogi do jeleniego ścierwa, a potem zawrócił i szybko, coraz szybciej, aż wreszcie równym Komiejowemu biegiem pognął do lasu.

Korniej zatrzymał się u przedproża gęstwiny krzewów, dalej przechodzących w las. Zmalał, przygarbił się, inny zupełnie człowiek, strzęp raczej człowieka powłókł się po chwili

z powrotem do nieruchomego cielska jelenia. Stał nad nim, przychylił się, kucnął tak, zastygł. Tak też zastała go Katarzyna.

Łagodnym ruchem dotknęła ramienia męża. Objęci, powlekli się w stronę domu, który od tej jesieni przestał być przystanią spokoju.

Raz tylko obejrzał się Korniej na las, stanął, ale nawet pięści nie podniósł. Sił już nie miał czy też rozbroił go do reszty widok łez spływających z oczu Katarzyny. Więc jednak naprawdę przywiązana była do tego czternastaka, pomyślał. A potem to i myśleć prawie już nie mógł, zapadł w odrętwienie, za którym i przed którym nic więcej nie było.

Widzialność zmaląła do kilkunastu metrów, ani na rzut kamieniem. Deszcz niesiony zachodnim wiatrem ciął z ukosa, ostro i boleśnie. Chmurzyska opatulały ziemię, gniotły ją, wszystko zszarzało, upodobniało się do siebie, każdy krok odciskał się zostającą we wgłębieniu kałużą, przenikliwy ziąb ciągnął zewsząd, ani się przed nim schronić.

Rad był nawet tym jesiennym harcom pogody. Przysparzały roboty, a nigdy jej tak nie pragnął, jak teraz. Tydzień minął, odkąd zabrano z torfowiska zewłok jelenia, z drabiniastego wozu zwisało poroże, dziwaczne, pokręcone, osobliwy dowód racji odstrząsu selekcyjnego okazu. Tydzień cały, a przecież obraz ówczesnego poranka, tak gwałtownie przerwany jednym trafnym strzałem, nie ustępował z pamięci strażnika śluzy. Gorzej, bo odradzał się ciągle ze wzrastającą intensywnością, nabierał dodatkowych kolorów, jątrzył i bolał. Potęgował się przed zimną, opanowaną teraz zewnątrz nienawiścią do mordercy, olbrzymiał poprzez miłość do Katarzyny. Jeszcze bardziej skurczyła się, zmaląła, stała się dziwnie, straszliwie bezbronna. Oczy jej zblakły zupełnie, może by nawet już wolał błyski rozpacz niż tę bezbarwną nicość, jaką zrodzić może tylko uczucie wielkiego bólu. Wiedział, nie po stracie rogowca, dziwnego byka, który upodobał sobie towarzystwo krów na łące przy torfowiskach, niewiele dbając o mieszkających opodal ludzi.

Czternastak był dla Katarzyny jakimś symbolem, pozwalał zmniejszać intensywność pamięci o tamtym... Teraz ta pamięć wróciła już nieodparcie. Katarzyna od nowa przeżywa tamten dawno miniony, ale nie spłwiałały czas, każda sekunda owego ranka rozrastała się w niej, pęczniała i bolała. Tak jak w nim odżywał teraz nieustannie obraz świtu, w którym rozpraszające się mgły odsłoniły sylwetkę rogowca, tym samym wystawiając go na śmiertelny cios.

Już nie pocieszał po swojemu kobiety, czuł, że nie na wiele się zda niezdarny uścisk jego ramion. Bezpowrotnie zginęła powierzchowna choćby ułuda spokoju. Są stany, w których nic drugiemu człowiekowi pomóc nie można, musi sam dźwigać ciężar swojego cierpienia albo sam się pod nim załamać.

Dlatego ciągle ulewne deszcze, ustające tylko na krótkie chwile, przywitał Korniej dziękczynnie. Z każdą godziną przysparzały dodatkowej roboty. Należało strzec bocznych wałów, pilnować upustu, dniem i nocą być w gotowości do regulowania niebezpiecznie wzrastającego poziomu wody. Po to wszakże służyła tu była, by zmniejszać możliwość powodzi, stanowiła jakąś szansę w walce człowieka z żywiołem. Za cenę umniejszenia tego ryzyka cieszył się przez lata swoim odludziem i zdobywanym do niedawna spokojem. Do niedawna, bo już się rozwiało wszystko jak dym, na nic się nie zdał wysiłek długich, niełatwych lat...

Pracował z pasją, w nieprzytomnym oddaniu wyznaczając sobie zwiększony zakres zadań, ponad miarę potrzeby, ale nie nad wewnętrzne łaknienie zapomnienia.

Gdy jednak, pochylony nad łopata lub kilofem, prostował się chociaż na moment, gdy zastygał z dłonią na ryglu spustowych zaworów śluzy, oczy jego od razu zaczynały penetrować okolice, wypatrując czy tamten znów nie nadchodzi. Korniej czekał na swego przeciwnika. Nie zdawał sobie sprawy, po co mu to właściwie potrzebne. Żądza zemsty, która wtedy na torfowisku, zrodziła się z ogromną siłą, jakby zetlała. Zbyt wiele załamało się w nim, by mógł marzyć o zemście, chcieć jej i oczekiwać momentu spełnienia. Była tylko nienawiść, a wraz z nią poczucie związania własnych losów z losami tamtego człowieka. Brak jego sylwetki w zasięgu oczu powodował uczucie pustki, drażnił i denerwował.

Przeciwnika jednak nie było widać, jakby go wymiotło z okolicy. Korniej stwierdzał to z żalem, ale i z ledwie uświadomioną sobie ulgą. A potem znów chwycił się za robotę, aż do zupełnego zapamiętania, do opadnięcia z sił. Gdy wracał do domu, był półprzytomny ze straszliwego zmęczenia. Okazywało się to w jakiś sposób celowe. Mniej go zaprzętała w takim wypadku Katarzyna, nie snuły się po głowie ponure myśli na widok jej zmalanej, jak automat poruszającej się postaci. Nie stało miejsca na żal i tklivość. Jadł byle co, zdejmował wierzchnie okrycie i rzucał się na łóżko, zapadając w nieprzerwany sen, aż po pierwszy brzask, ledwie rozpierzchającym się cieniem dający znać o sobie.

Aż którejś nocy zbudził się nagle, zupełnie przytomny, dziwacznie strwożony. Usiłował przeniknąć ciemność rozwartymi oczyma. Nieopodal spała Katarzyna, znał jej leciutko chrapliwy oddech przez nos. Na dworze też było spokojnie, deszcz tłuł o poszycie dachu. Cóż więc zerwało go nagle ze snu, skąd to uczucie trwogi? Jak wtedy, pomyślał, jak w tamte noce przed tym, co się stało, odmieniając bez reszty ich losy...

Długo tak wysłepiał wzrok w ciemności, łowił słuchem każdy pogłos, dochodzący z zewnątrz. Zwykła jesienna noc. Od śluzy nadbiegał wzmożony szum wody, spadającej

szeroko teraz rozwartym bocznym upustem. Kto wie, czy jutro nie będzie trzeba otworzyć drugiej przegrody, były sygnały, że nad górnym jeziorem zaczyna zalewać łąki.

Brzask nie objawił się jeszcze najłżejszym spłowieniem mroku, gdy znużony stanem bezsennego czuwania zwlókł się z pościeli. Katarzyna zerwała się w chwilę po nim, sen miała czujny jak u osaczonego zwierzęcia. Pod płytą zapełgał ogień, rozszedł się po izbie zapach wysuszonych smolaków. Wdychał ten zapach głęboko, lubił go, przypominał mu słoneczne, upalne dni, gdy cały las pachniał tak samo.

Tego ranka nie chciało mu się wychodzić z domu. Jakieś rozleniwienie płynęło wraz z ciepłem bijącym od płyty, od pary unoszącej się znad porannej polewki. Zniknęły majaki nocne, ustąpiło znużenie spowodowane bezsennym dumaniem. Pierwszy raz odstraszał deszcz poza oknami.

A potem było tak samo, jak co dnia. Umacniał wał rozmyty przez deszcz, nogi grzęzły w namokłej glinie. Woda płynęła kanałem brudna, usiana słomą i trawą. Zbrunatniałe trzciny zanurzyły się głębiej, wahadłowym ruchem poddając się naporowi wiatru. Zbliżało się południe, czuł to nieomylnym instynktem, nawykiem lat kontaktu z przyrodą. Kark bolał, coraz częściej musiał się prostować, wtedy, jak zawsze, zaczynał szukać w zasięgu wzroku znajomej, nienawistnej sylwetki. Pusto było wokół, bardziej jakby pusto niż zazwyczaj. Czyżby go ta pustka teraz drażniła? Wspomnił z niesmakiem i zupełnym niezrozumieniem źle spaną noc. Starzeje się czy może historia z czternastkiem tak go zupełnie wytrąciła ze zwykłych kolein?

Znieruchomiał między jednym a drugim uderzeniem kilofa. Od śluzy dobiegł go cichy gwizd. Słuchał, ale gwizd nie powtórzył się. Jakby ktoś świsnął, dając w ten sposób upust swemu zadowoleniu.

Korniej stał długo, z kilofem w ręku. Cisnął go potem o ziemię, ruszył w kierunku śluzy. Ciągle nikogo nie widział, ale zarazem miał pewność, że nie jest sam. Mżawka siąpiła nudnie, nie lubił jej, wolał deszcz, największą choćby ulewę, wtedy się miało uczucie, że się coś dzieje, ale takie siąpienie, jednostajne, niemrawe... Boczными schodkami wspiał się na śluzę. Od rana wiedział, że musi tu przyjść, że czas otworzyć wrota drugiego upustu, poziom wody w górnym kanale podnosił się z niepokojącą szybkością. Teraz się chwyci za zgrzytliwy ^kołowrót, runie woda, zapieni się, nim odprowadzi ją szlak dolnego kanału, spiętrzy, zakotłuje, zamąci.

Spojrzał na krąg spokojnej wody obok otwartego upustu. Wtedy go ujrzał. Musiał tu tkwić od sporej już chwili, poznawał to Korniej po siatce drgającej uwiecznionymi w niej okoniami. W długich gumowych butach, wróg jego stał na jednym z pali, regularną linią ciągnących się

od brzegu przez wodę. Gładko ścięte, hamowały napór spadającej upustem wody, rozbijały ją, tłumiliły wściekłość.

Tamten również musiał wyczuć jego obecność. Spotkały się ich spojrzenia. Przybysz uśmiechnął się leciutko, ledwie dostrzegalnie. A może nawet się nie uśmiechnął, tak się tylko Komiejowi wydało. I teraz z nagłą wszystko się w nim odmieniło. Jeszcze przed chwilą jakby wystarczała mu tylko świadomość spotkania po długim niewidzeniu, od dnia, gdy byk legł bezbłędnie trafiony w komorę. Może by się nasycił widokiem przeciwnika, może by odszedł cicho i spokojnie, tak samo jak przyszedł, gdyby nie ten prawdziwy czy urojony już tylko uśmiech. On spowodował, że w Komieju ożyło wszystko, co odczuwał wtedy, gdy nieprzytomny sadił susami przez torfowisko ku sylwetce stojącego z dwururką w dłoniach mordercy.

Chciał krzyknąć, wyzywać, ale usta mu się zwierzały, pragnął biec ku tamtemu, choćby przez wodę, przez głębie, ale nogi trwały wrośnięte w cement pomostu, dłońmi siekłyby niemiłosiernie, ale pięści zwarte w skurczu nie pozwalały wznieść się opadniętym ramionom.

Wędkarz stał, coraz to przenosząc spojrzenie z wody na stojącego na słuzie dozorcę. Zdawał się niefrasobliwie traktować sterczącą wysoko nad sobą skamieniałą sylwetkę Komieja. Krótkimi zamachami siekł wodę, prowadził umiejętnie maleńką błyskotkę, na którą tak bardzo łakomiły się teraz okonie. Znów wywindował rybę, spora sztuka narobiła niemało plusku przy palu omywanym dokoła wodą.

Korniej widział bryzgi otaczające postać wędkarza. Widział też więcej: jak podniesiona woda kłębi się przy palach, zanurzonych głębiej niżeli zazwyczaj; masa wody napierała na spust, wgniatała się weń, kłębiła gwałtownie. Przypomniwał sobie, że woda w górnym kanale dosięga maksymalnie dopuszczalnego poziomu, trzeba skierować ją w dół drugim upustem, bo tam, wyżej, zalane zostaną łąki, pola i lasy. Rączka kołowrotu była tuż, tuż, wystarczyłoby dłoń wyciągnąć. Zaraz, niechże się jeszcze przyjrzy przekłętemu mordercy, który zabił nie tylko jastrzębia, nie tylko czternastaka, ale zabił z takim trudem wypracowaną przez lata uludę spokoju. Okonie łowił, jakby nic się nie stało, jakby nigdy nic... A tam Katarzyna zмага się z sobą i swoją pamięcią. A tu on zabija się pracą, by nie wspominać.

Myśl, dotąd przesłonięta i zaćmiona nawałą gwałtownych uczuć, zaczęła pracować składniej. Wyraziście. Roztaczała mirażę, sięgała w przyszłość. A gdyby... gdyby tak w zwariowanym tempie, nie obrót za obrotem, ale błyskawicznie, od razu, choćby się miały połamać zęby kół kołowrotu, gdyby tak z nagłą pchnąć w dół lawinę wody... Gdyby tak trzepnąć nią tego eleganta, wyłuskującego z wody zwabione blaszką okonie... Gdyby tak zapłacić i za czternastaka, i za jastrzębia, za utracony spokój, może też... za tamten daleki

ranek sprzed lat. On wszakże był w swym postępowaniu podobny tamtym.. I oni uśmiechali się ironicznie, półgębkiem. I oni, i on, tak samo, zupełnie tak samo...

A jakże, piękny był ranek, od razu upalny, nasycający się żarem. Po nocnym koczowaniu wysypali się z lasu do swych zagród mieszkańcy wsi. Zdawało się, że dzień przeminie spokojnie. Nie było ostatnio słyhać o wyczynach własowców w najbliższej okolicy. Oddział partyzancki, koczujący nie opodal wsi, również się wyniósł w nieznane strony. Nie było ani tych, ani tamtych.

Rodzice Katarzyny, którzy nie chcieli już na noc opuszczać domostwa, czekali na progę. Z komina prościuteńko w górę pełzał biały dym. Ptaki na brzozie przy bramie świergoliły zapamiętałe. Dzieciaki Komiejów rzuciły się do wnętrza domu, który bardziej niż kiedykolwiek był dla nich teraz, po wilgotnych, znaczonych cięciami komarów nocach, przystanią spokoju i ładu.

Zaskoczyło ich to, tak jak zaskoczyło większość mieszkańców wioski. Nieliczni tylko zdolali uciec w ostatniej niemal chwili, wprysnąć z powrotem w zbawcze lasy. Pogoniły za nimi kule, któryś został w połowie drogi... Inni już nie mieli tej szansy. Własowcy z dwóch stron otoczyli wioskę. Zajazgotały automaty, zaraz potem jakiś dom zajął się podłożonym płomieniem. Psy chrypiły od naszczeku, Inie goniły za nimi, tak samo bzykając, jak pszczoły wracające do uli z ładunkiem nektaru. Tak, wtedy właśnie o pszczołach pomyślał, nie wiedzieć czemu, jakby na przekór prawdzie chwili, kiedy spędzano ich wszystkich w przerażoną, dygocącą gromadę. Matka Katarzyny nie mogła już dotrzymać kroku innym. Jakiś młody własowiec doskoczył, trzepnął starowinę w twarz, podganiał kopniakami. Coś się w Komiejku zarwało. Nie bacząc na nic, doskoczył do młodzika, zamachnął się pięścią, wylądowała na jędrnej gębie. Potem.... potem już nie bardzo uświadamiał sobie kolejność wszystkiego. Ktoś do niego chciał strzelać, ktoś inny podbił tamtemu lufę, aż kule zaświergotały, pnąc się ku jasnemu, pogodnemu jak rzadko niebu. Ktoś ręce mu związał, jeszcze inny osobno spędzał rodzinę Komiejów, przed własny ich dom, przed nowe wrota, wiodące na podwórze. Naradzali się własowcy, zwoływali swoich, śmiali się, radzi z pomysłu. Gdzieś za nimi sypały się strzały, dziesiątkami ginęli ludzie, dalszy dom zajął się ogniem. Ale wszystko to jawiło się przed Komiejem jakby zasnute jakąś przesłoną. Siłą rozwierają usta jemu i Katarzynie, pakują w nie jakieś cuchnące szmaty, omal że się nie duszą, rozpaczliwe wsysają powietrze nosami...

Pierwsi zginęli starzy, matka i ojciec Katarzyny. Oni stali, musieli na to patrzeć. Próżno się wił, szarpał więzy na rękach, nie ostudzony ciosem kolby przez plecy. Pilnował ich ten młody i ładny, którego trzasnął pięścią w gębę. To chyba był jego pomysł z tą zabawą. Jego

pomsta za uderzenie, które sińcem znaczyło się teraz wokoło oka. Uśmiechał się cieniutko, ledwie że dostrzegalnie. Bokiem odwracał się od jarzącego się słońca.

Potem poszły dzieciaki. Marysia rączki składała, wielkie, wielkie były jej oczka. A chłopak naprawdę się nie bał. Stał chmurny, z zagryzionymi ustami, patrzył im prosto w gęby. Starzy zmarli od razu, dzieci musiały umierać powoli, na raty. To było najokropniejsze... Ten młody stał przy Komiejach i tylko wciąż się cieniutko uśmiechał...

A teraz tam na dole, na palu przy śluzie, podobny uśmiech. Może się Komiejowi tylko wydaje, ale przecież on się uśmiecha, cieniutko, ironicznie, zjadliwie. Zupełnie jak tamten własowiec. Ten też mordował, niby te ptaka i zwierzę, ale zarazem trafiał tym w ludzi, w nich, Komiejów, w Katarzynę i w niego...

Nie wie, czy się poruszył, podszedł bliżej do kołowrotu, czy tylko dłońmi tam sięgnął, odczepiając hak podtrzymujący korbę. Zapiszczało nawilgłe żelazo, pisk narastał, powtarzał się przy każdym obrocie. Z otwieranego upustu gwałtownie trysnęła woda, otwór poszerzał się. Korniej kręcił, nawet nie spoglądał na dół, tyle jeszcze trzeba obrotów, by otworzyć upust na całą wysokość, będzie czas patrzeć.

Dobiegł go krzyk, nakaz jakiś, nabrzmiewający trwogą. Przyspieszył obroty, aż mu żyły napęczniały na czole, twarz zaszła krwią. Woda waliła z szumem, kipiała, pewnie już pali nie widać nad zbałwanioną powierzchnią.

Dopiero teraz spojrzął, nie ustając w kręceniu. Jeszcze go dostrzegł. Próbował ucieczki na brzeg, przeskakując z pala na pal, niewidoczne już były, ledwie się znacząc, pod wodą. Za nim pędziła spieniona kaskada, bryzgi jej mieszały się z mżawką, wszystko było już tylko wodą i wodą. Pale śliskie, buty gumowe, noga raz się ześliznęła i drugi, nowy krzyk, pełen tym razem przerażenia. Padając, człowiek kurczowo uczeplił się pala, który uciekał w głąb, zalewany coraz to bardziej. Ciało człowieka nurt znosił na głębiej, na spieniony, piętujący się kanał, nie mogący pomieścić nadmiaru wody. Osunęła się jedna dłoń, potem i druga, zatrzepotał tekami, próbował płynąć, nie sposób, gdy wszystko wiruje. Już się zanurzył z głową, jeszcze ją wyrzuca na wierzch, łapiąc przeraźliwie powietrze, a potem krzycząc, krzycząc tak, jakby to świat miało obudzić...

Korba zazgrzytała, utknęła, zasuwa sterczała w powietrzu czarną, moką płaszczyzną. Korniej prostował się, gdy nagle z krzykiem tonącego złączył się inny krzyk. Nie, to nie krzyk, to spazm jakiś, wycie jak gdyby, coś przerażająco potężnego i złowrogiego, w czym jest i ból, i rozpacz, i ostrzeżenie, klątwa i strach, pogarda i zemsta.

Jakby grom strzelił w Komieję. Zdrętwiał. Pojął wszystko wcześniej, zanim jeszcze ujrzał Katarzynę, zbiegającą nad kanał, skaczącą w jego skłębiony teraz, zwariowany nurt, skaczącą

w tym miejscu, skąd najbliższej było do wyłaniającej się jeszcze na powierzchnię głowy wędkarza.

Ten sam krzyk. O Boże, Boże. Ten sam krzyk, co wtedy, tam właśnie. Ten sam... Gdy dziewczynka osuwała się nieżywa, skrwawiona na ziemię obok leżącego tam już chłopaka, Katarzyna wyrwała się z rąk przytrzymującego ją własowca, jakimś cudem bez pomocy rąk wypluła szmatę zastępującą knebel i, skacząc do przodu pod owe wrota, wydała straszliwy, nieludzki, zwierzęcy po prostu krzyk, który nagle zagarnął w siebie wszystko, co się działo w wiosce, który sięgnął aż po jasne niebo, po słońce. Własowiec okazał się szybszy od matki mordowanych dzieci. Dogonił ją paru susami, zwałił na ziemię, wezwał kolegę na pomoc. Wtedy wyjął z kieszeni obciążki, niewielkie, błyszczące w słońcu. Jeszcze raz zakrzyczała Katarzyna, ostatni raz, zgaszono w niej ten krzyk razem z wyrwanym językiem. Omdlała, omdlał i on, rzucony na ziemię dziesiątkami kopniaków...

A teraz, Boże, ten sam krzyk, ten sam... Katarzyna w wodzie, porywa ją rozszalały prąd, tamtego mordercy dawno już nie ma, nie ma, ale i ona ginie, widzi jeszcze, jak przewala ją woda, wpycha znów w głębinę, chyba już nie wypłynie, zatonie razem z swoim nieludzkim krzykiem. Ale nie, krzyk stoi ciągle w powietrzu, nieludzki, zwierzęcy krzyk. Krzyk, w którym wszystko — i dusza, i ciało, całe lata udręki, wspominań, krzyk wyrwany z gardła, z ust, którym brakło języka...

Stał obok korby kołowrotu, na zbryzgiwanej wodą z dołu i z góry śluzie. Patrzył. Po tamtych nie zostało już ani śladu. Tylko woda rwała nadal upustami jak zwariowana, kłębiło się wszystko i pieniało wokoło, koryto kanału nie mogło pomieścić tej masy, z szumem się wywalala na strony, zagarniała coraz to większy obszar, pochłaniała trzciny i wierzby nadwodne, i łąkę, i spłacheć za spłachciem torfowiska wraz z mgłą nad nim stojącą.

Korniej wciąż patrzył i wciąż słuchał żyjącego w nim ciągle krzyku. Krzyku biegnącego od śluzy, od lasu, od oparzelisk i od domu, gdzie największą uludą okazał się tak ciężko wypracowywany spokój.

Woda waliła, krzyk trwał i jakby jeszcze narastał, człowiek zaś, wyprostowany, nieruchomy, stał nadal na betonowym nadmurowaniu śluzy.

NA RYKOWISKO NIE POJECHAŁEM

Postać jeszcze miał wcale chwacką. Sprężył się energicznie:

— Szczepan Gala, gajowy leśnictwa Zawodzie.

Spojrzałem z zaciekawieniem, były wojak zapewne, skądże bo ta postura, ten ton nieomal raportu.

Zapaliliśmy papierosa, trochę zdawkowych uwag, parę zwyczajowych grzeczności, nie kleiła się nam ta pierwsza rozmowa.

Nie inaczej było i potem. Przypadkowe spotkania, błahe zdanie jedno i drugie, grzecznościowy uśmiech z jego strony, mało ponad to.

Raz zdarzyło mi się zaskoczyć go w lesie. Błąkałem się rozrostłymi młodnikami, spłoszyłem dziczą watahę, locha wcześniej musiała przeskoczyć przez linę, ale pasiaste warchlaczkę były mniej chybkie; podreptując w popłochu i tłocząc się, dłuższą chwilę pozostawały w zasięgu oka. A potem, ścieżyną porośniętą murawą idealnie tłumiącą krok, wyszedłem nad kraj przyjeziornej płaszczyzny. Tam ujrzałem Galę. Zafrasowany, kręcił się koło kilkuletniego modrzewia, nadłamanego i przygiętego ku ziemi. Toporkiem do klejmowania pni starannie wbijał żerdkę obok okaleczonego drzewka, gmerał w kieszeni w poszukiwaniu sznurka.

Widziałem jego duże, chropawe dłonie. W zabiegach około modrzewia stawały się delikatniejsze, rzekłbym, nieomal pieścotliwe. A potem, gdy drzewko podwiązane już zostało do żerdki, dłoń gajowego delikatnie przesunęła się kilkakroć po szpilkach.

Wtedy mnie spostrzegł. Wydawał się wyraźnie zawstydzony tym zaskoczeniem. Jakby usprawiedliwiający się, wskazał na drzewko:

— Szkoda, jakiś dureń nadłamał, nie można tak pozostawić. Modrzewia u nas niewiele. Niemcy durch tylko sosnę sadzili.

Jeszcze raz spojrzał na delikatne, seledynowe szpilki.

— Ale porządek u nich był lepszy. Bez pomyślenia nikt drzew nie łamał.

— Może to zwierzyna, buszują przecież- tutaj daniele... — próbowałem ratować sytuację.

— Zaśby. Już ja poznam, co daniel robi, a co człowiek.

Zapominając o mojej obecności, znów przegładził igły modrzewia. Nastroszył się, wbrew swej grzecznej postawie nie okazywał ochoty do dalszej rozmowy.

W ogóle bywał humorzysty. W zasadzie pogodny, z częstym leciutkim uśmiechem — ciemne oczy rozjaśniały się wtedy skierkami, wyglądały tak, jakby na źrenicach osiadały mu

złote cętki — najnieoczekiwanej zmieniał się w nastroju, chmurniał, powieki przymrużał, mrukiwy się robił, nerwowo zgniatał i znów rozprostowywał palce dużych swych dłoni. W okolicy musiano go dobrze znać, w takich momentach nikt nie próbował zastępować mu drogi.

Podobno potrafił być czasami straszny.

W trakcie wiosennego sadzonkowania któryś z młodych robotników zaparzył przez niedbalstwo większą ilość sadzonek. Próbował ukryć szkodę, głęboko zakopując tysiące rozmokłych, gnijących sosenek. Gala wywęszył sprawę. Las drżał, tak huczał gajowy, wyklinał, do bicia na koniec się porwał; gdyby go w porę nie złapano za ręce, zdarzyłoby się może nieszczęście. Klątwy polskie przeplatały się z niemieckimi...

— Z niemieckimi? — zdziwiłem się, słuchając na poły żartobliwej relacji z tamtych wydarzeń, składanej mi na leśnej porębie przez robotnika mocno już podeszłego w latach.

Zmieszał się, zaczerwienił.

— Jakże, bywa, my som Polaki, ale tyle się człowiek nasłuchał germańskich pokrzyków, że i sam w złości sypie nimi, jakby gruszkę otrząsał — tłumaczył siebie i Galę.

W domu u gajowego posłuch panował i dyscyplina. Gdy było za co, tłukł Gala żonę i dzieci bez miłosierdzia. Ale sprawiedliwie, dodawano powszechnie.

Nie wszystko mu się podobało u własnych dzieci. Zauważyłem któregoś dnia, że dłoń ma owiniętą prowizorycznym bandażem.

Spytałem, co się stało.

Sponurzał, spojrzął! przez przymrużone powieki, przemknęło mi przez myśl, że wpadnie w jedną z tych pasji, o których tak wiele słyszałem. Zamruczał coś, potem umilkł, zaciskając wargi z uporem. Pewien byłem, że zaciął się podrażniony, żałowałem już swojego pytania.

Siedzieliśmy na skraju młodnika, tuż nad brzegiem jeziora. Wokoło rozlegały się uderzenia siekier, robotnicy przeczesywali zagęszczone oddziały. Od wody równymi podmuchami uderzał wiatr, jezioro marszczyło się jak pole dojrzewającego zboża. Czuby perkoz podpłynął blisko brzegu, nieustannie kręcił głową, zezując w naszym kierunku.

I nagle przyszła Gali ochota do zwierzeń, dłuższa znajomość musiała już obudzić w nim zaufanie do mojej osoby.

— Gówniarza sprąłem wczoraj, za przeproszeniem, po dupsku i gębie. Ręka się powinęła i skaleczyłem ją o zęby chłopaka. Ostre ma niby wydra.

Westchnął ciężko, mimochodem dorzucając na moje napomknięcie o lata syna:

— Jeden dwadzieścia gówniarzowi. Do wojska idzie...

Chłopak, podhumorzony winem, zwędził coś sąsiadowi, przy okazji wyszło też na jaw, że i inny podobny grzeszek miał na sumieniu. Gala mocno wziął sobie to przestępstwo do serca. Sprał, jak go nazywał, gówniarza. Tak sprał, że ten przez dwa dni nie mógł się pokazać przy pracy.

— Wstyd na całą okolicę. Nikt z Galów nie był jeszcze

złodziejem... Smarkacz, cudzego mu się zachciało... Takie to nigdy nie tuczy. Nigdy. Pamiętam, mały byłem, ojciec mnie posłał z jakimś podatkiem do Niemca. Trzy marki się należało. Niemiec resztę wydał nie z pięciu, ale z całej dziesiątki. Tom słowa mu nie rzekł, że się pomylił, tylko w garść chwyciłem te marki. Nóż kupiłem piękny, latarkę do roweru... I co? Nóż wpadł do jeziora, latarkę mi ukradli, a Niemiec po paru dniach spostrzegł się, ojcu powiedział. Tydzień leżałem na słomie, nogą ni ręką ruszyć nie mogąc. Mocna była ojcowska nauka. Ani ziarnko cudze nie przylgnęło mi już później do ręki... Podwójna nauczka. Tymczasem taki smark próbuje cudzym się żywić, słabo mu przyłożyłem, ale że się ta ręka o zęby skrwawiła, jego szczęście...

Miał Gala kłopot ze swoją czeredką. Znieść nie mógł pustogłowia, jak mawiał, córek. Dziewuchy, co ciężką robotą zarobiły dobrze w lesie, zamiast w całości przekazywać zarobek do ojcowej kiesy, częścią puszczały go na fatalaszki. Huczał głos gajowego, gdy wyklinał nylonowe pończochy, pomadki do ust, perfumy...

— Pieniądz trza szanować. Ojciec mnie uczył, czasami ciężka to była nauka. Człowiek młody, ciągnęło go na zabawy, jak to po wioskach. Tyle dostawałem, co fenigi na bilet. Bywa, na sali gorąc. pić by można i pić. Przy bufecie pełno, ale mnie tylko oblizywanie musiało starczyć, o butelce piwa ani pomyśleć. Tom na dwór wybiegał, lato czy zima, i syciłem się wodą ze studni... A im teraz w głowie pończochy, strojenie, nie będzie z tego ludzkiej twardizny, aniby oni wytrzymali czas taki, jak my...

Nie podchwyciłem wątku, kto nam zresztą przerwał rozmowę, głośnie dopytując się o dalszą robotę. Na jeziorze przestraszony perkoz majtnął pod wodę, przy zanurzeniu wyrzucając kuper do góry, nutka wspomnień urwała się, w gajowym odezwał się sumienny pracownik leśny. Przepraszając, oddalił się zaraz wraz z robotnikiem.

Później Gala poszedł na urlop, przez tydzień borykał się z koszeniem łąki, pozostały czas spędził u córki zameżnej za gospodarzem z odległej wsi. Zbliżał się zarazem czas mojego wyjazdu, nie spodziewałem się już gajowego zobaczyć, prawdę zaś mówiąc, niewiele też o nim myślałem. Interesował mnie wtedy jedynie, gdy miałem przed sobą jego krzepką sylwetkę.

Co jeszcze z poprzednich pogwarek utkwilo mi w pamieci, to odpowiedz Gali na pytanie o liczbe dzieci:

— A trzynaście jest tego. — Po chwili dorzucił jeszcze, z nieklamana już dumą: — I wszystko moje.

Stanał mi Gala w pamięci w momencie najmniej oczekiwanym. Przez całą zimę poszukiwałem w archiwach różnych miast dokumentacji źródłowej do dziejów Pogranicza w okresie międzywojennym: w Poznaniu, Lesznie, Pile i jeszcze gdzie indziej zachowały się przekazy landratury, akta gestapo, wyciągi hitlerowskich protokołów partyjnych. Walka ludności Babimojszczyzny i Krajny odżywała w tych tekstach pisanych zwięzłym, ale wymownym urzędowym językiem niemieckim. Wyłaniały się poszczególne sylwetki, wypełniał obraz niełatwego zmagania skazywanej na wymarcie polskośći.

Ze zdziwieniem natrafiłem tam pewnego razu na nazwisko Gali. Czyżby to służbisty gajowy z leśnictwa Zawodzie? Imię zgadzało się również. Pierwszy dokument nie zawierał nic szczególnego. Raport żandarma, iż w ciągu jednego miesiąca wymierzył Gali trzy mandaty karne za nieporządek w obejściu. Zastanowiło mnie tylko, że mandaty były słone, wyższe niż wymierzane zazwyczaj w podobnych wypadkach. Ze wzrastającym zainteresowaniem zacząłem szukać w dokumentach innych zapisów, związanych z osobą Gali.

Znalazłem. Część pozostała w zachowanych materiałach landratury pilskiej, inne w szczęśliwie nie zniszczonych dokumentach gestapo w Kostrzynie, obejmującym swym zasięgiem również Ziemię Złotowską. Gala pokazał mi się w zupełnie nowym świetle. Poznałem go jako twardego dla innych, teraz wiedziałem już, że nie mniej, a może znacznie, znacznie bardziej był surowy dla siebie...

Zahartowana była w okresie dwudziestolecia szkoła polska w Złotowie, dorównywały jej placówki w okolicznych wioskach, jak słynne Zakrzewo, Buczek, Wersk i jeszcze inne, wszędzie tam, gdzie ludność polska zaległa zwartą masą, nie dopuszczając do siebie obcych wpływów.

Wioska rodzinna Gali prezentowała się inaczej. Znaczną część najlepszych gospodarstw zajmowali koloniści niemieccy, osiedleni na ziemiach rozparcelowanego majątku. Jedność narodowa polska została rozbita, dwie kultury zetknęły się ze sobą w bezpośrednim zmaganiu. Obok nacisku z zewnątrz zaistniał nacisk od wewnątrz.

Może dlatego też szkoła w Lipiu założona została jako jedna z ostatnich na terenie Krajny. Rodziła się w trudnościach i stale musiała się z nimi borykać. Atak niemiecki, wychodząc z bardziej umocnionych pozycji, był tutaj bez porównania silniejszy.

Polskie gospodarstwa, rozsiadłe na lichych piaskach, kędy tylko sosna krzewiła się bujniej, ale zboża rodziły z oporem, biednieńkie były, nikt nie mógł z nich wyżyć. Spłachetki przy tym, hektar czy dwa — jeśli ktoś tę liczbę podwoił, mógł się uważać za bogacza. Koloniści niemieccy byli panami całą już gębą, na dwudziestu i trzydziestu często hektarach mocniejszej ziemi, która i buraki cukrowe rodziła. Chcąc nie chcąc, chłopci z Lipia musieli się oglądać za dodatkową robotą. Angażowali się do pracy w lasach, u gospodarzy niemieckich, jeszcze inni co dnia pedałowali rowerem do jakichś cegielni czy fabryczek w odległym o dwadzieścia kilometrów Złotowie.

Gala należał do biedniejszych wśród tych biednych. Co by można zdziałać na hektarze piaszczystej, wydartej lasowi ziemi i skraweczku łąki, podeszłej zaskórnią wodą jeziora? Chwytał się każdej roboty, zmieniał ją często, bo hardy był, porywczy już od małego, coraz to zadzierał z niemieckimi pracodawcami. Krzywili się też na niego. A to czapki w ukłonie ledwie dotknął, a to niemieckiego uparcie nie chciał się nauczyć, a to sztorcem się stawiał, jeszcze sobie pozwalając na groźby. Jak to zdarzyło się z samym panem Landratem w Złotowie, gdy przy świadkach w trzydziestym roku pięścią zatrzęsł mu Gala pod nosem, wołając, że nie wiadomo, czyja w końcu mocniejsza okaże się prawda, niemiecka czy polska. Dwa miesiące w areszcie odsiedział wtedy za obrazę majestatu państwa i urzędu. Tułał się więc za pracą z miejsca na miejsce, często tygodniami przebywał za domem, po powrocie lejąc za byle przewinienie żonę i przychodzące jedno za drugim na świat dzieciaki.

Rad był, gdy się wreszcie jak pazurami uczepił roboty leśnej. Co wieczór wracało się do domu, praca przecież nie sezonowa, zapewniona, na lato i zimę. Tylko dbać o nią, pilnować się na każdym kroku. Pilnował się, choć często zęby trzeba było zaciskać, a zwierające się w kulek dłonie głęboko chować w kieszenie, by przez zapomnienie nie wylądowały na kostropatej gębie niemieckiego gajowego czy praktykanta, jeszcze gorszej żmii od innych, bo renegata polskiego, który na siłę przerabiał się na szwaba.

Lat przybywało, więc i młodzieńcze ryzykanctwo utemperowało się co nieco rozumą i rozumem. Głową muru nie przebijesz ani gołymi dłońmi go nie rozwalisz, co innego, gdyby się nadarzyła lepsza okazja. Takiej okazji wyczekiwali wszyscy tym bardziej, im gorzej się działo wraz z nastaniem rządów Hitlera. Gala też marzył o dniu, kiedy wreszcie skończy się szwabskie panowanie, można będzie porachować się ze wszystkimi urzędami,

prześcigającymi się w co głośniejszym pokrzykiwaniu: Heil Hitler, aż drzewa otrząsały się z obrzydzenia.

Tyle tylko, że podobne marzenia należało chować dla siebie, nie z każdym sąsiadem można się było nimi podzielić. Niemcy wokoło i Niemcy w samej wiosce, rodziły się między ludźmi pokusy ułatwionego życia, już i palców rąk nie starczało, by zliczyć jawnych i jeszcze gorszych, bo czających się renegatów.

Jak ziarno z dojrzałej szyszki wyłuskała się prawda przy sprawie szkoły.

W pierwszym roku zgłoszono do niej prawie trzydzieścioro dzieci. Opustoszała szkoła państwowa, gdzie pozostali sami Niemcy. Ale już w tym pierwszym roku nauczania zaczęły się przeróżne naciski. Jakby wiatr wielki poszedł przez okoliczne lasy, napierał na drzewa, łamiąc co słabsze i mniej ukorzenione. O sześcioro dzieci zmalał stan polskiej szkoły. Ojciec jednego pracował na poczcie, postawiono mu sprawę jasno — albo zabierze dziecko ze szkoły polskiej, albo... Kaleka był, kulał, bał się trudnego życia, ustąpił, w domu tylko po swojemu próbował poduczać dziewczynkę. Franyś znowu uczepił się posady dróżnika, pielęgnował odcinek szosy wiodący w kierunku Lipki. Pomedytował, zaklął, wycofał dwójkę swoich dzieciaków. Podobnie z innymi. Nie dawali się gospodarze, ci, którzy jakoś radzili sobie na swoich splachetkach. Na nich napuszczono żandarma. Nic, tylko mandatami sypał, jak brzoza liśćmi od wczesnej jesieni. Za nieporządek w obejściu, a jakże upilnujesz, by krowa nie narobiła akurat na chwilę przedtem, nim żandarm zajrzy w podwórze? Za jednodniową nawet zwłokę w szarwarku, w przekazaniu podatku, w daninie na pomoc zimową. Za niezgłoszenie gospodarskiego uboju. Za płot skrzywiony czy brakującą w nim jedną sztachetkę. Pęczniał żandarmski notes, chudła kabza mieszkańców Lipia. Wszędzie zresztą stawiano sprawę jasno, prościutko jak linia wysieczona przez las. Posyłasz dziecko do polskiej szkoły, nie dostaniesz pożyczki, nie umorzy się ci w nieurodzaj podatku, nie przydzielą budulca na naprawę zapadającej chałupy czy żerdek zwyczajnych na płot. Nie takie, to inne, zawsze znalazły się sposoby.

W jesieni gromadka zmalała do dwudziestu zaledwie dzieci. Na trzeci rok ubyło dalszych dwoje. Jeszcze nie było strachu, choć pewnie, żal każdej skazywanej na niemczenie młodej duszyczki.

— Czasem płakać się chciało albo rwać dębczak jaki poręczny a twardy i tłuc łby szkopskie jak żyto na klepisku — w późniejszych rozmowach, gdy zanikły już między nami niedomówienia, w taki sposób określał Gala ten okres. I zaraz wyciągał do przodu swoje wielkie dłonie, spoglądał na nie, jakby w marzeniu w porę nie spełnionym, by prac nimi niemieckie pyski. — Bo to wraca taki szczun z niemieckiej szkoły i zaczyna pośpiewywać

hitlerowską piosenkę, w której źle o Polakach stoi. Gdy się jaki ojciec zezłościł i dupsko zerznął gówniarzowi, to szczeniak potrafił niekiedy zagrozić, że powie nauczycielowi, jak to tato przeciw Niemcom powstają...

Z każdym rokiem było trudniej, trafił się nieurodzaj, podmokłe lato, woda i woda, zabrakło siana na zimę. Kto słał dzieci do polskiej szkoły, temu zamiast umorzyć podwyższano podatki. Łamały się, wykruszały szeregi, szkole polskiej w Lipiu zaczęła grozić zagłada. Istniał bo taki przepis, że na lekcje uczęszczać musiało co najmniej siedmioro dzieci. Z początkiem nowego roku znalazła się jeszcze czternastka, ale na zimę wykruszyła się dalsza dwójka. I wtedy o losie polskiej szkoły decydował wyłącznie Gala.

Na dwanaście dzieciaków co dnia ciągnących do izby szkolnej sześć stanowiło potomstwo Gali. Gdyby je zechciał wycofać, zabrakłoby ustawowego limitu.

Niemcy machnęli ręką na pozostałą szóstkę. Tak się składało, że były to dzieci nie tylko bardziej w polskość zaciętych, ale także i zamożniejszych gospodarzy. Jeden Gala ledwie wiązał przysłowiowy koniec z końcem. Sprzysięgło się więc wszystko przeciwko niemu.

Żandarm jak pies warował już wyłącznie przy domku Gali. Las przylegał do pola, zaczynał się więc u jego skraju, by wyskoczyć stamtąd w najmniej oczekiwanym momencie. I zaraz spisywał mandat. Trabiały się trzy i cztery w miesiącu, każdy suto obłożony markami. Były to już te lata, gdy za goebbelsowskim zawołaniem z masła robiono armaty. Próżno więc Gala skrycie chował jednego nad zgłoszone wieprzka, by nie zabrakło okraszy dla wciąż rosnącej rodziny. Ktoś żandarmowi podszeptał, ktoś wskazał, nie udało się świniobicie, zaraz wpadła kontrola, awantura, urwanie chmury, to tak wyglądało, sprawę zaś przesądziła propozycja łapówki, szepnięta przez Galę. Łasi zazwyczaj byli na nią niemieccy funkcjonariusze, nie wyłączając żandarma. Tym razem propozycja podziałała jak płachta na byka. Do sterty karnych papierzyśk dołączyło się oskarżenie o próbę przekupstwa. Znow trzynaście miesięcy więzienia, w domu zaś głód. W celi więziennej naciskano na Galę: wycofaj dzieci, złagodźmy karę, dostaniesz pożyczkę i zapomogę, żandarm nie będzie zaglądał ci w garnki... Słał kusicieli do wszystkich diabłów. Żona w domu, zaharowana i umęczona, także nie miała chwili spokoju. Niechże wypisze dzieci, niech się nie ogląda na hardość i głupotę swojego męża, dla spokoju rodziny, mała rzecz, tylko podpisać papierek zgłoszenia uczącej się szóstki do szkoły niemieckiej. Płakała, bała się, ale nie myślała ulec namowom. Tylko że na śniadanie do szkoły zamiast skibki chleba trzeba było dawać małym po kilka gotowanych kartofli...

Minęły trzy miesiące, zima otuliła ziemię, mroźno było, dymy znad chałup ciągnęły prościutko w górę, gdy wygłodzony Gala wrócił z więzienia do domu. Słuchał opowieści

żony, udawał, że podkpiwa z napomknień tych czy innych sąsiadów, a potem tylko łapska zaciskał — żyły z siebie wypruje, a nie da się szkopom. Jutro pójdzie do lasu, będzie wyrabiał dwie normy, krzepki jest, nie ustąpi, polactwa własnego nie sprzeda, na renegatów dzieci nie przekabaci.

Sam leśniczy zjawił się na wyрубie, wyciągnął jakiś papierek, przywołał Gałę, zagadał po swojemu, że nie ma co tu więcej do roboty przychodzić. Oto zwolnienie... A potem odciągnął chłopą dalej na stronę, zduszonym szeptem mówił, że papierek się natychmiast wycofa, więcej — dostanie lepszą robotę, niechaj tylko z tą szkołą się nie upiera...

Uśmiechał się tylko Gała i trząsł głową, że nie. Leśniczy się zdenerwował. Aż mu broda z rzadką szczecina skakała, jak rozzłoszczona wiewiórka na gałęzi. Nawet podobna w rudziźnie. Już nie szeptał, na cały las sypał skrzekliwymi klątwami i wyzwiskami. Sękaty chłop zniósłby i to, tyle tylko, że ręce w kieszeniach coraz bardziej przyciskał do ciała, bo się wrywały na zewnątrz.

Cóż, gdy rudzielec przeholował, od Polaków zaczął wyzywać, Polskę wyklinać i okpiwać, ręce Gali nie wytrzymały w schowaniu. Zawinęły młynka w powietrzu, z trzaskiem, jakby się waliła podcięta sosna, zatrzymały się na rozjazgotanej gębie leśniczego. Zastygły tam na chwilę, a potem znowu się odchyliły, znów spadły i jeszcze, i jeszcze... Ledwie się tamten wyrwał z ich zasięgu, ledwie na bok uskoczył, ściągając z ramienia dubeltówkę i grożąc, że będzie strzelał...

Ze zgrozą w szeroko rozwartych oczach, od nowa przeżywając to wydarzenie, opowiadał mi całą historię Kamiński, Gała bowiem, nagabywany, ograniczał się do krótkiego stwierdzenia, że mordę sprawił Szwabowi i tyle. Kamiński przydawał kolorów tej lakonicznej relacji:

— W Gałę jakby diabeł wstąpił. Oczy krwią mu prawdziwą zalało. Niemiec cofał się do tyłu, osłaniał się swoim gwerem, a ten szedł na niego powoli, z nastawionymi rękami, sapał tylko, mrucał dziwacznie...

Zamarliśmy, strach nogi nam podciął, że ani kroku stąpić, gardła zatkało jakby watą, że ani słowa wydobyć. Wtedy Niemiec przerażony, też na poły przytomny z lęku, strzelił. W nogi Gali. On zaś zakrzyczał tylko, zawył, nie z bólu, pewnie nic nie czuł, ze złości. Pamiętam, gorąco mi się zrobiło, pot, choć to mróz, zalał mi oczy. Gdy je przetarłem, zobaczyłem, jak leśniczy wali się na ziemię, a Gała go bije i kopie, nie patrząc jak i gdzie. I przy tym ani jednego słowa, tylko to straszliwe dudnienie...

Oprzytomnieliśmy, zabije Niemca, dopiero by się i jemu, i nam dostało. Ruszyliśmy, w szczęściu ledwieśmy dali radę chłopą odciągnąć, tak się szarpał i wrywał ku leśniczemu.

Dopiero potem spostrzeżliśmy, że nogę pod kolaniem ma przestrzeloną, krwawi, iść sam nie może. Leśniczemu też wiele nie brakowało... Taki był ten nasz Gala, chłop choć do rany na co dzień przyłóż, ale jak się rozeźli...

Piekło się potem zrobiło. Galę tego samego dnia w kajdankach zabrało gestapo, do Piły go zawieźli, gazety rozjazgotały się oburzeniem na polską bezczelność, wzywały do wymierzenia najsurowszej kary. Ale wmieszał się z drugiej strony konsulat polski, z ostrą interwencją wystąpił Związek Polaków w Niemczech, jakże, sam prezes, ksiądz patron Domański, rezydował w pobliskim Zakrzewiu. Strzał leśniczego był argumentem dla polskiej obrony. W Warszawie też zaszumiało, nastąpiła oficjalna interwencja dyplomatyczna, że zaś w Polsce któryś z Niemców bielskich znalazł się w podobnej opresji, rzecz umorzono, Gala znalazł się na wolności.

Ta wolność niewiele była lepsza od więziennej niewoli. Nigdzie pracy, ani w Złotowie, ani gdzieś dalej. Jeśli kto z Niemców chciał go nawet przyjąć, spotykał się z wymownym ostrzeżeniem gestapo, z tym zaś urzędem nikt nie pragnął zadzierać. Równie głodnego przednówka nigdy jeszcze nie było w domu Galów, zabrakło nawet nie kraszonych kartofli. Żandarm nadal sypał mandaty, narastały nie zapłacone podatki, wszystko się waliło przed chłopem, a zarazem zewsząd nadpływał kusicielski podszept, szło i jawne wołanie, niby życzliwa porada, niby ludzkie współczucie wycofaj dzieci z tej polskiej szkoły, głodem je zamorzysz, sam zginiesz...

Odpowiedź nachodziła co dnia. Każdego ranka prowadził Gala swą szóstkę do szkoły. Dzieciaki przejść już bez tej opieki przez wioskę nie mogły, zaraz je szczyły niemieckie wyrostki, rzucały kamieniami i pacynami łajna. Gali wszyscy się bali, historia z leśniczym, jak stare drzewo mchem, obrosła tymczasem groźną legendą.

Za to nocami działały się prawdziwe cuda. Przed oknami domu Gali przemaszerowywała z kocią muzyka miejscowa drużyna Hitlerjugend, dowodzona przez niemieckiego nauczyciela. Co chłopca szczególnie bolało, że najgłośniejsi darli się chłopcy o polskich nazwiskach, ci, których ojcowie często zdania po niemiecku nie potrafili sklecić. Gala zacinał zęby, ponuro patrzył na widowisko. Rano na pozór spokojnie ścierał z belek domu napisy o polskiej świni, groźby, że zginie marną śmiercią, czasem musiał zmywać wrota zasmarowane najordynarniej kałem. Jeszcze go żandarm nachodził i wypisywał nowy mandat za nieporządki. Mandatami Gala przestał się już przejmować, zawieszał je na gwoździu w przydomowym ustępie i tyle. Płacić od dawna nie miał już z czego...

Polska szkoła w Lipiu przetrwała dzięki Gali aż do wybuchu wojny. Teraz odpokutował chłop za swoje, zaraz na drugi dzień zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau...

Od przyjscia na swiat mieszkal opodal lasu, drzewa dochodzily pod dom. Wsród swierków i sosen, na sródleśnych polanach mijaly szczenięce dni, tam paslo się krowy, tam przezywalo pierwsze tajemnice chłopięce. W zagajnikach, które stanęły dziś piennym murem, oblapialo się pierwsze dziewczyny, zagarnialo gorące usta.

Las był zawsze pod ręką. Gdy zaszła potrzeba, cichutko, byle ktoś z Niemców nie zauwazył, przycinano się odpowiednią żerdź, czasem i dłużyzną machnęło o ziemię, jeśli zabrakło marek na opał. Kiedy las zaczynał obradzać, kobiety ruszaly na jagody, chłopom bardziej do smaku przypadaly grzyby, lepiej też można było na nich zarobic. Zdarzaly się i inne, bardziej już ryzykowne historie, te wszystkie wnyki i żelaza stawiane na przesmykach i wydeptanych przez zwierzynę ścieżynkach. Niemcy srogo karali za kłusownictwo, ale to podniecalo jeszcze bardziej ochotę, już choćby dlatego, że przeciw Niemcom.

Gala pierwszy był do tych rzeczy — z wrodzonego ryzykanctwa i z biedy, trzeba było swoim pomagac. Ojciec, tak zawsze surowy, tutaj okazywal się poblaźliwy, uważal przy tym las za dobro bezpieczne.

Las był taki bliski i swojski, jak własne podwórko, jak mizerny zagon czy wiecznie podmakająca łąka. Ale roboty trzeba było szukac gdzie indziej. Każdej, jaka tylko się nadarzyła. Zwłaszcza gdy się miało wielką rodzinę, a co roku nowy prorok wrzaskiem znać dawal o sobie. Zmieniała się praca, coraz to było o nią trudniej, parzyło piętno polactwa, krzywiło gęby obcojęzycznych chlebotawców. Dlatego takim cudem spadła stala robota w lesie, dlatego tak było jej żal. Cóż tedy dziwnego, że drwiny leśniczego podziałac musialy jak płachta na byka, jeszcze gdy Gala z natury był krewki...

Ostatnie przedwojenne lata mijaly ciężko jak nigdy. Z wiosną lebioda i pokrzywa stawaly się codziennym pokarmem. Zimą zresztą także było przykrucho z chlebem. Gala o siebie nie dbal, często podnosil się od stołu, ledwie po paru łyżkach postnej strawy, mówiac, że nie ma na nią ochoty. Jakże miał nie wstawac, gdy dostrzegal chciwe oczy któregoś z dzieciaków, że łzami niemal spoglądajace na puściejacą misę. Czasem sam sobie się dziwil, jak to wciąż żyje i jeszcze do roboty ma siły. Wychudł, i tak wysoki, teraz upodobnil się zupełnie do drągowiny. Chyba świadomość, że dzięki niemu Niemcy nie mogą zlikwidowac polskiej szkoły, dodawala mu sił, karmila. Wysoko zadzieral głowę, prowadzac swoją czeredkę do szkoły, mieszczacej się w domu równie jak on twardego Szulca, z którym tak samo nie mogli sobie Niemcy poradzić.

I jak zawsze, bliskie były związania z lasem. Natręctwo żandarma sprawiało, że o ścięciu jakiegoś pnia nie można było zamarzyć, ale suszu, gałęzi, szyszek pod płytę znosić możesz sobie człowieku do woli. Masz też prawo do jagód i grzybów.

Związania z lasem były takie same, jak dawniej, ale zarazem inne. Gała zaczął teraz odczuwać w sobie jakąś tkliwość, gdy zagłębiał się w mrok gonnych sosen albo gdy przedzierał się przez nie trzebiony młodnik, próżno chroniąc twarz przed kłującymi szpilkami. Z własnej ochoty ogroził żerdkami rozsiadłe niedaleko domu mrowisko, ciągle rozgrzebywane przez wałęsające się dziki. Co mu nigdy przedtem się nie zdarzało, lubił teraz przystanąć i nasłuchiwać poszumu wiatru w górnych gałęziach. Ciekawiły go obyczaje zwierzyny. Gdy trafiała się rzadka wolniejsza chwila, wychodził do lasu, bez celu, ot, powałęsać się trochę.

Coraz też więcej żałował utraconej pracy. Narastała jeszcze i przez to nienawiść do Niemców. Leśniczego, gdy spotykał go czasami na swojej drodze, mijał szerokim łukiem, tak zaczynało w nim wszystko wrzeć, strzeż zaś, Boże, jakaś zaczepka, dopiero skończyłoby się kryminałem, z którego i polskie władze nie zdołałyby go wyrwać. Wyzwisk gotów był leśniczemu nie pamiętać, traktując je jako dodatek do większej zbrodni, wyrwania go z lasu. Jedyny, krótki okres, gdy miał spokojną i pewną pracę, gdy w domu nie brakło jedzenia.

Nowe, nieznane myśli zaczęły nawiedzać Galę. Że las można nie tylko znać, każdy z mieszkańców wioski znał go jak swoją kieszeń, ale coś więcej, że można go lubić. Tak jakoś ciepło, serdecznie, jak się lubi człowieka. Tak samo rozumieć, tak samo nasłuchiwać pogwarek, odnajdywać wspólne wzruszenia.

Jedną z córek wydał za mąż w dalekie strony. Odwiedził ją kiedyś, przyjmowany życzliwie. Tkwiąc u zięcia przez tydzień, co ranka budził się i co wieczora zasypiał z dziwnym uczuciem, że czegoś bardzo mu brakuje. Uczucie było tak silne, iż przeradzało się w dręczący niepokój. I dopiero po powrocie do Lipia zrozumiał: nie było tam lasu, pola tylko wokoło i pola, gładka, monotonna płaszczyzna, nie obrzeżona ciemną, granatowiejącą w pogodne dni linią.

Nigdy przedtem tak tego nie odczuwał. Dopiero teraz, gdy wyrwano go z lasu i tylko łakomie, z narastającym żalem nasłuchiwał dobiegających stamtąd pogłosów normalnej, codziennej pracy. Stąd się zrodziła w Gali świadomość spraw, istniejących już dawniej, ale nie nazwanych, tak naturalnych, codziennych, że zdawały się nie potrzebować tej nazwy...

W otoczu lasu rodził się i wyrastał, zawsze towarzyszył mu szum nadciągający stamtąd nawet w bezwietrzne noce, każda ostrzejsza zima znaczyła się głośnymi jak salwa karabinowa trzaskami pni pękających pod naporem mrozu, każdej wiosny las mienił się odcieniami żółci,

zieleni i seledynu, śmiał się swoim plonem jesienią, radował fruującą po gałęziach puszystą kitą wiewiórki, trząsał w rześkie noce jesienniego rykowiska. Ale dopiero dziś rozróżniać zaczął te pojedyncze fakty, wyodrębniał je z treści pojęcia lasu, odnajdując w nim coraz to nowe uroki.

Dziwił się tej z nagłą objawiającej się w nim miłości, ale też i cieszył się nią. Jakby życie jego stało się przez to pełniejsze. Łatwiej było znosić przeciwności, mocniejsza się stawała przez to nadzieja. Zaostrzały się, psuły stosunki niemieckie z Polską. Związkowi Polaków coraz trudniej było pracować, a Gala wszakże był na swoją wieś mężem zaufania organizacji. Ale zarazem, w obliczu mnożących się spieć, Związek dynamizował się. Niecały rok przecież przed wojną odbył się ten wielki Kongres w Berlinie, delegowano na niego również Galę. Prusackie miasto dygotało, o zgrozo, polskością, Niemcy zdawali się tracić butę. Złudzenie, ale jakaż musiała być ta wewnętrzna siła, skoro mogła zdradzać podobne złudzenia. W wielkiej sali ustanawiali wtedy 5 Prawd Polactwa w Niemczech. A w sercach narastało silne pragnienie orężnego starcia, wizja potężnej Polski zbyt była ogromna, by można było liczyć na coś innego, jak tylko na błyskawiczne polskie zwycięstwo.

Gala nie próbował gasić wzmagających się w nim także nadziei. Co dnia prowadził swoje dzieciaki do szkoły, ścigany drwiącymi wyzwiskami zza płotów niemieckich domostw, gwizdami i pokrzykami. Śmiał się wtedy albo i pięścią groził. Bano się tej pięści, milkły wyzwiska...

Potem zaś szedł do lasu, musiał, stało się to dla niego codziennym obowiązkiem. Na krótko ot, przedrzeć się jakąś znajomą ścieżyną, dotrzeć nad brzeg jeziora, zaskoczyć tam pojącą się sarnę, odczytać trop jelenia, uśmiechnąć się na widok ginącego w gąszczu poszycia lusterka daniela. Można też było w lesie zanucić którąś z piosenek śpiewanych na Kongresie. I pięści wreszcie mogły się zewrzeć mocniej, pogrozić, wiadomo komu...

Aż nastał wrzesień, oszołomiła klęska, runęły wszystkie nadzieje. Była też droga do Dachau, najgorsze tam pierwsze tygodnie, gdy potwierdzała się coraz tragiczniej przegrana Polski. Ale później dopomagało dawne hasło Polonii: przetrwamy i wygramy. Tylko że przetrwać nie było łatwo. I o dziwo, Gali las w tym dopomógł. Pamięć jego przesmyków, poszumu, barw i pogłosów zwierzyny. Przy pracy lubił przymykać na moment oczy, by wyczarować tamten świat zieleni i spokoju. Nocami śniły mu się drzewa, to gonne, prościutkie jak on sam sosny, to młode zagajniki świerkowe, obrzeżone delikatnymi brzózkami; łyskało lusterko daniela kuperka, zając przebierał skokami, z chrumotem przedzierała się przez gąszcze dziczą wataha.

Pod wpływem dochodzących przez druty wieści od nowa zaczęła narastać nadzieja. Gala wtedy zaprzysiągł sobie jedno: gdy skończy się wreszcie wojna, Niemcy zostaną rozbite, do Lipia powróci Polska, on zwiąże się już na zawsze z lasem. Z tym swoim lasem, który rośnie tam sobie i szumi, który trudno będzie w pierwszej chwili rozpoznać. Będzie w lesie, nikt go stamtąd nie wyrzuci, każde drzewko, sadzonkę każdą można będzie hołubić i pielęgnować, znać każdy wykrot i każdą ścieżkę.

Dezycja jakby przyrzuciła nowy zapas sił. Jeszcze bardziej stwardniał kościsty chłop z Lipia, inaczej już liczył dni. Spokojnie, bez zniecierpliwienia, niecierpliwość mogła w tych warunkach równać się klęsce, ale z jasną świadomością, że musi wytrwać i wytrwa. Bo las rodzimy na niego czeka, jakże go zawieść?

A gdy już się otwarła wolna droga powrotu, Gala, skoro dobrnął do Lipia, nim się jeszcze przywitał z rodziną, zboczył w las, ucałował ziemię pokrytą runem, przytulił jak kogoś najbardziej bliskiego spękany pień świerkowy.

Do leśnictwa Zawodzie zjeżdżałem, mimo paru lat nie-bytności, jak do własnego domu. Oto droga w lewo od szosy, z jednej strony ściana skłębionych pni i nieprzebity strop listowia dzikiej zupełnie partii leśnej, z drugiej siatka okalająca teren upraw szkółkowych. Teraz będzie zakole, poprzez wgłębienia parowu zabłyśnie niebiesko tafla jeziora, zwartą linię wyznaczają smukłe sylwetki jodeł przetkanych modrzewiem, a gdy się skończą, na szczytowej ścianie domostwa ukaże się masywne poroże jelenia. W sercu ucisk wzruszenia, jak zawsze, gdy wraca się do miejsc, z którymi związało nas jakieś przeżycie. I po chwili już się nie czuje oddalenia lat, zagasa odczucie przerwy, jest wszystko tak samo, jak dawniej. Że zrab domostwa jakby się lekko przechylił, szerniały mocniej i mchem obrosły tu i ówdzie dachówki, że znacznie się rozrósł młodnik opadający stromą płaszczyzną, to nie dociera do świadomości, ujawnia się znacznie później. Ale niezmiennie tkwi na skraju dachu stodoły gniazdo bocianie, czyżyk tak samo podskakuje w przydomowej gęstwie bzu, a po uchyleniu okiennic znajdzie się przytulone tam łapkami do muru gacki wielkouchy. Zaaferowany, jak zazwyczaj, kręci się po obejściu leśniczy, do szopy zjeżdżają po narzędzia robotnicy leśni, pod wielką lipą na pastwisku szukają cienia barany, w siatce grodzącej kartoflisko wyrwana jest wielka dziura, znów się tam pewnie jakiś odyniec wypasał minionej nocy.

Stoję na ganku, wchłaniając chciwie ten zwykły, ulubiony obraz, czegoś mi jednak w całości brakuje. Nie od razu uświadamiam sobie, że nie widziałem jeszcze Gali. Mija mnie przywołany przez kogoś leśniczy. Pytam, co się dzieje z gajowym.

— Przypcha się później, nie obesłoby się bez niego — odrzuca i dopiero wtedy zanika we mnie poczucie luki w odnawianym obrazie Zawodzia.

Pierwszy długi, samotny spacer, odwiedziny miejsc szczególnie zapisanych w pamięci. Tutaj w czasie rykowiska potężny byk wyrwał się na linię dosłownie o parę kroków ode mnie, nie mogłem pomyśleć o złożeniu, tak byłem zaskoczony nieprzewidzianym spotkaniem. A przy tej sośnie, tuż obok przecinki, zawsze czekały mnie borowiki, przez cały sezon nigdy nie zbrakło ich tutaj. Tym spadem śpieszyłem zawsze ku jezioru, dźwigając pęk wędek i innych przyborów rybackich. Nie umiałem narzucić sobie spokoju, coś nakazywało mi pędzić ku miejscu, gdzie, uwiązana do przechylonego nad wodą pnia, kołysała się niezgrabna, smolona łódka. Zadyszany, odwijalem łańcuch, odbijałem się wiosłem od brzegu, długo potem, już na wodzie, nie mogłem uspokoić rozkołatanego serca. Jezioro w tym miejscu zwęża się w długą kichę, zajmującą głębię parowu. Zwalone pnie drzew, te same, nikt ich chyba nie będzie stąd wydobywał, zawsze tam okoń się czai, dobre miejsce dla zanęty lina. A teraz partia nadziana jarzębiną, jeszcze zielone jagody, zaledwie od nasłonecznionej strony zaczynają przybierać żółtawą barwę. Wiewiórki też nie braknie, zawinęła już do skoku rudą kite, wychyla się ciekawie spoza pnia drzewa, taksując przybysza. Teraz znów trzeba pod górę, pewnie, z zadyszką, oto czym się znaczy różnica lat. Przez połąć brzeźniaka na wielką partię młodzizny, mocno podrosłej, wabiącej plamami seledynowych szpilek modrzewia, szczególnie ulubionej przez leśniczego uprawy. Obok miejsce, gdzie zawsze można się zetknąć z daniem. Jakże, i dzisiaj jest para, on bardziej rudawy, ona z sukienką wpadającą w popiel, migocą lusterka, gdy sadzą ku ścianie starodrzewia.

Przez zbocze, gdzie wiatrołomy tarasują drogę — ślad silnej wiosennej burzy, o której już zdołałem usłyszeć — wychodzę na leśny dukt z ubitej szlaki. Przerzedzone pnie sosen jaśniejają licznymi karbami, zbiegającymi do podwieszonych kubeczków. Jest ciepło, czuje się wokoło zapach skapującej żywicy.

Od bocznej przecinki nadbiega warkot motoru, rozbijający ciszę, zagłuszający ptaki, duszący woń żywicy. Rozprasza się nastrój intymności spotkania z lasem i wodą, budzi się we mnie niechęć do nieznanego przybysza.

Na dukt wtacza się wolniutko, na pierwszym biegu, dziwaczny trójkołowiec, na nim osobliwie wyglądająca sylwetka ludzka, w pólężącej pozycji. Dopiero gdy motocykl zatrzymuje się przy mnie, rozpoznaję Galę.

— Dobry dzień. Słyszałem, że pan przyjechał. Kupa czasu — mówi, z miejsca przybierając ten nasz własny, konfidencjonalny ton, który się zrodził po dłuższej znajomości, przy odkryciu podobnych zamiłowań.

Nie od razu mogę ująć wyciągniętą do mnie dłoń, coś mnie dusi za gardło, słów nie potrafię wykrztusić. I choć spostrzegam się, że ta reakcja może być przykra dla Gali, że

pewnie czyta w mojej twarzy przewalające się we mnie uczucia, nieprędko zdobywam się na nakazanie sobie spokoju. Uścisk dłoni Gali jest twardy, jak przedtem. Tylko ta umęczona twarz, ta dziwaczna pozycja na inwalidzkim wózku. Zapada przeciągające się niemile milczenie.

— Myślałem, że pan już wie, słyszał co o tym...

Szepce to, odbiły się w nim moje odczucia. Jest mi coraz bardziej przykro, mówię coś bez ładu, jakieś zdawkowe słowa, głupie i niepotrzebne. Gala zbywa je niechętnym strzepnięciem dłoni. Jakby tym ruchem przekreślił też naszą dawną intymność stosunków. Obojętnie już, chłodno zapytuje mnie o las, wrażenia po latach niebytności. Ja zaś chwytam go mocno, zbyt mocno zapewne za ramię, chude i kościste jak zawsze, cóż mnie w tej chwili obchodzi las, jezioro, nutka serdecznych wspomnień, gdy przede mną strzep tylko człowieka, którego znałem tak dobrze, który mnie niejednego nauczył, którego sylwetki brakło mi od pierwszej chwili wylądowania w Zawodziu.

— Panie Gala, co się stało? Wypadek jakiś, nieszczęście? I kiedy to?

Kwituje lekceważeniem moje rozgorączkowanie. Półtora już roku. Wypadek zimą, przy wyrębie. Potem długo, długo szpital, lepiej może byłoby nie wyjść już z niego, takie oto końcowe skutki. Łaska boska, jest ten motocykl, można podjechać do lasu, przystanąć, pooddychać inaczej. Ale to nieważne, różnie przecież się trafia, tak czy inaczej zbliżała się pora emerytury, latka się sumowały, Galowic też nie z kamienia, oni również wyczerpują swe siły...

Przy tym spotkaniu do końca nie odzyskałem już równowagi. Gala zaraz zresztą odjechał, nierówno perkotał motor, podskakiwała trzykółka na dziurach w dukcie, leniwie rozpełzał się dym spalin. Przypomniało mi się pierwsze poznanie, meldunek, że oto jest gajowym leśnictwa Zawodzie, sztywne słowa, grzecznościowy uśmiech. Teraz zbrakło nawet wspólnie ćmionych papierosów, Gala już nic palił, zdrowie nie zezwalało.

Tym samym duktem wracałem do leśniczówki. Przestało mnie cieszyć przywitanie z lasem. Chciałem też wiedzieć coś więcej o Gali...

Nie od razu, z kilku relacji, z legendy, która zdążyła narosnąć wokół całej historii, powoli rozsunął się przede mną pełny obraz wydarzeń. Jakbym sam był obecny na linii w zimowe, roziskrzone poblaskami bijącymi od śniegu południe...

Bo właśnie słońce z każdym dniem przygrzewało mocniej, śnieg u powierzchni, podtajawszy we dnie, przez noc zastygł twardą skorupą, o którą kaleczyły racice wędrujące zwierzęta. Ostatnie dni lutego, najgorętszy czas pracy przy wyrębach, a zwłaszcza przy zwózce z niedostępnych w lecie oddziałów leśnych. Pogłębiająca się nerwowość przy

robocie, znużenie i podniecenie wśród ludzi, mocne słowa, wzrastający pośpiech. Kończyli wyręb na najgorszym odcinku, w dolinie zawsze podmokłej, pośród chaszczy, gdzie jakby na ironię rzadkie sosny wysoko, prościutko dźwignęły się w niebo, kusząc urodą drewna. Niewiele pni pozostało do zrywki, w kilka koni można było wyciągnąć kloce przez ostre zbocze, aż do biegnącej wierzchem szerokiej linii, na którą zjeżdżały ciągniki.

Południowa przerwa zawsze rozleniwia, trudno się od nowa wdrożyć w robotę po śniadaniu popitym gorącą herbatą, zaparzoną w kociołku zawieszonym nad ogniem. Jeszcze się snują resztki pogwarek, faluje w spokojnym powietrzu dymek papierosa. Wozacy podprowadzają konie pod pnie przeznaczone do zrywki. Na linii u góry zбочa warczą ciągniki. Gala grabiejącymi dłońmi trzyma ołówek; śliniąc go, aż całe wargi ma fioletowe, notuje ilość dłużyc, przechodzi z miejsca na miejsce, tutaj doradzi, od której strony podklinować ścinane drzewo, tam drągiem odsadzi dłużycę od pniaka tarasującego jej drogę, znów człapie zбочem, bo musi odprawić ciągnik zabierający drewno.

Ospale rozkręca się robota po przerwie. Mięśnie niechętnie się napinają przy podważaniu drągami, a potem wwindowywaniu na przyczepę ogromnego kłoca. Śnieg w tych miejscach opony i stopy ludzkie dawno rozrzuciły na strony, twardy grunt, podbity lodem, grozi poślizgiem.. Nie pomagają podrzucane trociny, gdy podmarzną, na nich również można się wyciągnąć na całą szerokość. Dłużyca jednym końcem leży na przyczepie. Drągami podważają pień z przeciwległej strony, systemem dźwigni unoszą go w górę. Wyżej, jeszcze troszeczkę wyżej, wygodnie niech siądzie na wy windowanych poprzednio pniakach. Nogi twardo zapierają się w grunt przed ostatnim wysiłkiem. Z dołu nadchodzi Gala, z trzaskiem łamie leżącą na drodze zmarzniętą gałąź. Młody Siniec ogląda się na ten trzask, w tym samym momencie ślizgają mu się nogi, jeszcze balansuje, ratując zachwianą równowagę, drąg podtrzymujący pień wypada mu z rąk, krzyczy ktoś ostrzegawczo. Za późno, pień ześlizguje się, tamci nie mają siły, by go podtrzymać, zsuwa się dziwnie powoli, jakby dla większej grozy, na niezdarnie podnoszącego się chłopca. Czyjś jęk pełen bezsily, zdumienie, gdy pień nagle zatrzymuje się w ruchu, nie, osuwa się, tyle tylko, że jeszcze wolniej. Dopiero teraz widzą, śpieszą z pomocą, podkładają drągi. Siniec na czworakach gramoli się w bok od niebezpiecznego miejsca, rozdygotany, poza swoim przerażeniem nie pojmujący niczego.

Gala zgity w pół, na barkach dźwigając osuwający się ku ziemi odziomek pnia, nie czerwony już, lecz granatowy na twarzy, czeka, w duchu odmierza tysięczne ułamki sekund, przedłużające się teraz w godziny, oni zaś gorączkowo podsadzają drągi, próbują windować dłużycę ku górze. Czy zdążą, czy się nie wypnie, czy nie przygniecie gajowego bez możliwości ratunku tym razem?

Pień przez moment zastyga w jednym poziomie. Czemu się Gala spod niego nie wycofuje, czemu tkwi jak przyrośnięty plecami do tej dłużyca? Windują ją w górę, wyżej, wciąż wyżej, ze zdwojonymi nagle siłami. Czemu Gala, zgięty wół, tkwi ciągle pod pniem? Co mu się stało? Desperackim ruchem ktoś go szarpie na stronę. Gajowy pada głową w ubity, zlodowaciały śnieg, trwa chwilę w tej niesamowitej pozie, zgięty jak na pół otwarty scyzoryk, w tej samej pozie wywraca się na bok. Odciągają go, ostatnia chwila, mięśnie tamtych nie wytrzymują, osuwają się drągi, dłużyca z traskiem, z hukiem rozgłośnym pada na ziemię. Ale już nie przygniata nikogo. Siniec tylko, leżąc na ziemi, jęczy na pół przytomnie, trwoga jego jakby się zdawała pogłębiać, małe zazwyczaj oczy zolbrzymiały w wytrzeszczu, nie spuszcza ich ze zgiętej w kabłąk sylwetki Gali.

Gromadzą się przy nim wszyscy, próbują podnosić, zęby zwiera, aby nie jęczeć, ciągle sfiolotowiały na twarzy, niezmiennie przegięty wół. Prawe jego ramię też zwisa bezwładne. Nie wytrzymuje niezgrabnego szarpania, jęczy, bełkoce, by zostawili go w spokoju, a potem blednie, jakby go krew odeszła, traci przytomność. Siniec już się podźwignął, stoi nad Galą razem z innymi, patrzy, dopiero teraz zdaje się rozumieć, że żyje, cały i zdrow, że swoim kosztem wybawił go od nieszczęścia gajowy. Z oczu chłopca spływają łzy, ktoś odsuwa go na bok bez ceremonii, ludzie tutaj nie lubią łez...

Długie miesiące szpitala, balansowanie na granicy życia i śmierci, źle się zrasta złamane ramię, z tym jeszcze pół biedy, przesądza o przyszłości kręgosłup, złamany ciężarem nad ludzkie siły. Gala wyjeżdża ze szpitala, długo to trwało, nim pokracznie, w podskokach nauczył się chodzić, wyjeżdża pokrzywiony, z obwisłym barkiem, ze skrzywą w lewo całą figurą. W domu czeka go specjalna gratyfikacja, pismo pochwalne dyrekcji, wycinki z gazet, opisujące jego czyn, ale czeka także pismo przenoszące na emeryturę, z zaliczeniem pełnej wysługi lat. Czekają też perspektywa niezdatnego do życia kaleki. Czekają oderwanie od lasu. Wtedy pierwszy raz załamuje się. Przekonany, że jest sam w izbie, z twarzą wtuloną w poduszkę, płacze. Nie nad sobą, nad swoją miłością do lasu...

Nie on pomyślał o przystosowanym do swego kalectwa motorze. Całe życie przepedałował na rowerze, o motocyklu nie marząc, nie na jego to stan. Skąd się zrodziła ta myśl wśród leśników, w czeredzie robotników leśnych, których poganiał przez lata, ostry i surowy, ale zarazem lepszy niż ojciec czy brat. Delegacja ląduje w dyrekcji w Szczecinku, uzyskuje zgodę, w Złotowie znajduje się mechanik, majster klepka, co wszystko potrafi. Montuje trójkołowiec, który można prowadzić w półleżącej pozycji. Syn uczy Galę prowadzenia motoru. Podgląda, jak na wyschniętej, z zaciśniętymi ponuro wargami twarzy ojca pojawia się cień uśmiechu. Aż wreszcie Gala po raz pierwszy sam wyjeżdża w swój las...

Stykaliśmy się teraz prawie co dnia. Nie od razu przełamały się lody, narosłe poprzez czas i moje niezrozumienie. Powoli wykwitła wszakże dawna, ciepła nuta zażyłej serdeczności. Przemierzaliśmy razem każdy dukt, linię, drogę leśną czy przecinkę, gdziekolwiek tylko, podskakując na wybojach i dziurach, mogły przejechać koła Galowego wehikułu. Dopiero teraz naprawdę uczyłem się lasu. Pojawiał się przede mną zupełnie inny, nieznany: w nowych barwach, odgłosach i woni. Las Gali.

Odsłaniał się także i nowy Gala. Suchy, kościsty, z przeraźliwie pociągłą twarzą. Z gardlaną wymową, która zmieniała się w melodyjną, dźwięczącą głębokimi tonami wtedy, gdy zapamiętywał się w opisywaniu urody lasu, lub w dziwnie chropawą, jakby wyrywaną gdzieś z trzewi, wtedy znów, gdy napomykał o swoim losie. Niewiele było tych napomknień, jak i dawniej, nie lubił były gajowy mówić o sobie.

Pierwsza radość z możliwości poruszania się po lesie, choćby tylko drogami, przygasła. W tym człowieku nie mieściło się pojęcie życia nieaktywnego. Nie umiał być widzem, zawsze przyzwyczajony do uczestnictwa. Gnębił go bezsens obecnego bytowania. Cóż z tego, że zabezpieczała je emerytura, wzbogacona dodatkiem należnym z tytułu posiadanych przez Galę wysokich odznaczeń za heroizm w walce o utrzymanie polskiej szkoły. Tęsknił za swym dawnym, czynnym życiem. Tymczasem zawsze już musiał być zależny od innych. Nie umiał zdobyć się na pokorę rezygnacji, na delektowanie się tym smakiem, jaki mu jeszcze z życia pozostał. Było to po prostu przeciwne jego naturze. Stąd wzmianka o szpitalu, że lepiej było już z niego nie wyjść, stąd dalsze wynurzenia podobnej treści, nigdy przy tym nie dopowiedziane do końca, zaraz przysłaniane, jakby celowo, innym obrazem, nową jakąś treścią. Nie próbowałem nigdy pocieszać Gali. Zdany na siebie samego, ani pociechy, ani żadnej pomocy w swych przemyśleniach od nikogo nie potrzebował i nie byłby przyjął. Go najwyżej odwracałem jego uwagę od tych spraw, pytając o którąś z leśnych tajemnic. Wtedy odradzał się w nim dawny gajowy, ten sam, którego przydybałem ongiś na pieszczotliwym pogłaskiwaniu gałązek nadłamanego modrzewia. Mówił o lesie, jak ktoś mówi o swojej dziewczynie, rozkochany w niej całą duszą.

Czas naglił z wyjazdem, zegnałem się z Galą, obiecując spotkanie w dni jesiennego rykowiska. Znowu będą okazje do leśnych rozmów. Chmurny był, bąkał coś, że słowa nie mogłem zrozumieć. Dłonią moją potrzasał bardzo długo, dziwiłem się, że pozostała twarda, krzepka w uścisku. W pewnej chwili przymknął powieki, widziałem, jak kurczowo zwały się jego wargi, trwało to krótko, nie byłem w końcu pewien, czy mi się czasem nie przywidziało, bo oto uśmiechał się do mnie, tym leciutkim, jasnym uśmiechem, który przeobrażał jego

ponurą twarz w coś bardzo głęboko ludzkiego... Po tym spotkaniu pozostał we mnie cień niepokoju, zgaszony niedługo przez inne sprawy innych ludzi.

W październikowy wieczór tego samego roku doręczono mi list ekspresowy. Leśniczy z Zawodzia pisał, by natychmiast przyjeżdżać, bo rykowisko już się zaczyna i zapowiada się w tym roku szczególnie dobrze. Mimowolnie spojrzałem w okno. Czas był piękny, opadały już z drzew liście. Ranki ścinały staw cieniutką tafelką lodu, zbliżała się pełnia. Pewnie, pojedę, jakże rykowisko przegapić.

Dopiero teraz zerknąłem na dalsze zdania listu. Leśniczy donosił o paru innych sprawach, wreszcie, u końca już, wspominał o Gali. Przed tygodniem nieopatrznie wjechał swoim motorem na skraj zbocza opadającego ku jezioru. Spad był stromy, nagi, ubiegłej zimy tutaj właśnie wycięto ostatnie drzewa, ten odcinek miał być dopiero zalesiony. Musiały się koła motocykla obsunąć. Maszyna wraz z Galą runęła w dół, koziołkując po zboczu. Daleko od brzegu zapadła się w wodę. Przypadkiem tylko znalazł się świadek wypadku, inaczej pewnie aż do wiosny szukano by śladów Gali.

Nie próbowałem domyślać się niczego. A na rykowisko do Zawodzia w tym roku nie pojechałem.

MIŁOŚĆ ZAWSZE NADCHODZI W PORĘ

Bywaj, łódeczko, czekasz na mnie cierpliwie przez noc, zmarzniętaś, ranki tu chłodne, nic, zaraz rozgrzejemy się drogą, od razu się zrobi weselej. Kąkol również spycha swoją łupinę na wodę, też lubi takie samotne wyprawy.

Widzisz, ledwie przyszedłem, gadam, ani przerwę na chwilę, ale nam przecież to gadanie potrzebne. Podglądali nas wczoraj chłopcy, musieli się śmiać, widząc, jak cię głąskałem po starych burtach, jak przy tym poszeptywałem. Niechaj się śmieją, niezły to śmiech, szczeniacki, więc nieszkodliwy. Dobrzy osiedli ludziska w tych naszych Kątach, nie można narzekać. Spokojni, jeden nie lubi zaglądać w duszę drugiemu. Mnie też nie wypyują, wiedzą, że nawet przy kielichu nie będę wywnętrzał się przed obcymi. Bywa, zapytają z uśmiechem, jak się to zaczęło z moim rybackim zawodem, czy tak jak u nich, z przypadku, bo oprócz Komielów żaden z nas nie y miał do czynienia z sieciami, chyba że na jakiejś rzeczulce czy stawie, a tu od razu morze... Znają z góry moją odpowiedź, ale dla wesołości powtarzam ją, wyuczoną jak pacierz:

— Jakże, wiadomo, jak się zaczęło. Od bandziorów. Im swoją dzisiejszą dołę zawdzięczam.

Pokiwają głowami, pewnie, wiedzą to wszyscy. I nie pytają już o to, co przedtem, ani o to, co potem. Ja ich również nie pytam, umiemy uszanować jeden drugiego...

Zaraz, łódeczko, ruszamy, sieci niech tylko wrzucę, choć pewnie nie będziemy ich dzisiaj stawiać, jeśliby nam się powiodło z węgorzem. Jutro wypłyniemy na dalszą wodę, tam zapolujemy na flądę, powinna już podchodzić pod brzegi.

Dziś pogadamy znów, od rana ochotę mam na wspominki. Coraz częściej lubię tak zastanawiać się nad swoimi losami, dziwić się, jak to czasem z kretesem może się wszystko odmienić w doli człowieczej...

Podśmiewają się, basałyki, że głąskam ciebie, łódeczko. Duraki, my tylko wiemy, po co to czynię. A gdyby jeszcze usłyszeli moje gadanie cichutkie, szczere, bez żadnych tajemnic. Tak jak kiedyś z Helenką się gadało, Panie, świeć nad jej duszą, siadując o wczesnym zmierzchu przed chatą. Kiedyż to było, tyle lat, taki szmat czasu i świata, a jeszcze to morze...

Ruszajmy już, noc się przybliży, pora nam w drogę. A i pogaduje się najlepiej na wodzie. Wtedy, gdy toń spokojna, jak dzisiaj, ledwie się marszczy, z rzadka przeleje w oddali nieśmiałym grzebieniem. Myśli wtedy różne chodzą po głowie, aż się w niej robi ciasno, trzeba dać im swobodę, wyzwolić gadaniem. Do ciebie, łódeczko, czulej na każde drgnienie

mojej dłoni przy wiosle, umiejącej słuchać jak nikt. Bo umieć słuchać to także niemała sztuka.

Ale i o rybie nam trzeba pamiętać, ryba nas żywi, dzięki niej możemy mieć te godziny swobodne, przeznaczone już tylko dla siebie...

Ot i teraz, ledwie brzask, będziemy na węgorzowym łowisku, gdy na dobre się zacznie rozjaśniać. Najlepsza pora na wybieranie zastawionych pod wieczór sznurów. Ryba ogłupiała jeszcze, zmęczona pierwszą szarpaniną, dopiero z nadchodzącym światłem zaczyna gwałtownie silić się na ucieczkę. Czasem sznur cały diabli wezmą, kiedy indziej przerwie się na pół i szukaj go w morzu...

Brzask, mało co widać, w przestrzeni cichutki pisk innych dulek, pluskot wody. To pewnie stary Kąkol samotnie wyjeżdża, pierwszy rybak w Kątach. I on lubi takie samotne wypady. Niech sobie jedzie.

My, łódeczko, płyniemy na swoje. Pamiętasz to miejsce? Jeszcze niewiele lat temu anibyśmy rozpoznali punkt jaki na morzu. Wszędzie niby to samo, zdałoby się, łatwiej tę igłę w stogu siana wyszukać niż sznur rzucony w wodę, ledwie znaczonej maleńką bójką. A wyjeżdża się na nią prościutko, jak strzelił.

Świegoczesz sobie dulkami, pluchasz, nurzając się przy każdym pchnięciu i zaraz wyskakując nad poziom wody. Tak kiedyś... tego nie wiesz, gdzież, ani tam morza, ani żadnej wody większej nie było, otóż w tych Worniksztach moich ptaki jakieś gniazdo wiły w starych zaroślach dereniu rok po roku. Większe od wróbla, mniejsze za to od drozda czy szpaka, nakrapiane rdzą, nikt podobnych nie znał w okolicy, były przy nas bez nazwy. Też tak pod brzask lubiły się rozświergolić, popiskiwać z ochotą. Bywało, w pole wychodząc, ażem stanął sobie posłuchać.

Nie ma tych ptaszków, zmieniło się, już w tej ziemi nie ma, skraweczek przy chałupie ledwie co na kartofle starczy, nie narobisz się przy nim, jest tylko ta woda. Morze.

Słyszało się o tym morzu. Jeszcze w Ewangelii, jak to Pan Jezus cuda czynił, po morzu chodząc, fale uśmierzając, o Piotrze, co to rybaczył, jak i my teraz. A jeszcze coś o tych Żydach, jak z Mojżeszem przez Morze Czerwone szli... W gazetach też bywało o morzu. Aż strach zbierał, tak to zawsze o nim pisali, że wielkie, groźne, że zguba dla człowieka.

Świergol sobie, popiskuj, bo mało że ty, ale i ja, taki się przedtem tego nieznanego morza bojący, płynę po nim razem z tobą i dobrze nam, i spokojnie jakoś, i wesolutko na duszy. Ja, Horbach, to w tym PUR-ze ze mnie Horbatego zrobili, a niechże ich, ja, com w Worniksztach

zrodzon, w nich chciał umierać, gdzież mnie dumać było o tylich światach. Ale zanosło, aż tu zanosło, w Kąty, nad morze...

Złupili nas te dranie, jakieś łazęgi, dezernerzy albo maruderzy, jak ich zwał, tak zwał, poznać trudno, bo to i w wojskowej odzieży, i w cywilu, różną też mową gadali. Na czysto

obrali ze wszystkiego. U mnie się wiele nie pożywili, węzełek jeden malutki, drugi co nieco większy. Ale tamci, Boże miłosierny, czego za sobą nie wieźli! Jeszcze i kapoty co łakomsze zdzierali z nich. U mnie nie było czego zdierać, wytarł się człowiek przez tułaczkę, ledwie się coś tam trzymało na grzbiecie. Szesnaście lat temu. Jeszcze była ochota, by drani po gębach prać, ledwie się pohamowałem, bo z tamtych każdy trzymał automat, tylko by z niego plunął, starczyłoby.

Odjechali swoim samochodem, a myśmy stali. Wytrzeszczone gęby, pięści pozaciskane, niektórzy płaczą, dopiero rada, co dalej. Mówią, jechać, było nie było, nikt już nie będzie rabował, bo nie ma czego. Mnie odeszła ochota do jazdy. Wkoło ładnie, las, sosna samiutka, marnawa, nie to co u nas, w Worniksztach, ale zawsze każde drzewo bliskie, jak się człowiek przy nich chował. Trochę dalej droga na prawo, przewrócona niemiecka tabliczka, nazwy nie odczytasz, łamana jakaś, ale piątka wyraźna stoi. Pięć kilometrów i już ludzie, a jak nie ludzie, to domy, spokój, jaka różnica, gdzie osiąść, gdy się jest samemu na bożym świecie. Zawróciłem więc w prawo, tyłkom pomachał jeszcze za naszą ciężarówką. Gdy się spaliny ostatnie po niej rozwiały, było trochę żal, strach ścisnął, co się tu, niebożyno, sam będziesz tłukł, ale słońko wyjrzało, zapachniało żywicą, znajomo, więc przeżegnałem się dla różności i w drogę, żeby prędzej mieć już te kilometry za sobą.

Co świergolisz, łódeczko? Żeśmy w prawo zoczyli od węgorzowej toni? Ano, wtedy też na prawo poszedłem, pogaduję o tym, stąd musiało mi się i teraz zmylić. Zrównamy zaraz, mocniej jednym wiosłem i jeszcze, dobra, trafimy na miejsce.

A wtedy, to jakem ruszył, raźnie mi się już szło. Razowca miałem trochę w małej torebce płóciennej, zajrzał w nią któryś z tych zbójów, odrzucił, pogardził chlebusiem. Zjadłem, sił przybyło i humoru, śpiewać mi się zachciało, tylko że słowa piosenek się mieszały, to dałem spokój. Aż doszedłem. Pierwszy komin, bez dymu, samej chałupy nie widać. Jenó szum jakiś, huczenie, a trzeba ci wiedzieć, wiatr tego dnia był mocny. Już i chałupy, jedna, druga, ani na nie patrzę, bo mi raptownie wszystko w żołądku podpłynęło pod serce, gdy zobaczyłem tę wodę. Fala szła duża, grzywacze biły o brzeg w tym miejscu, gdzie te kamienie, szum tam i łoskot, jakbym zagadał do siebie, nie usłyszałbym pewnie. Ale nie było mi do gadania. Woda i woda, grzywy, zielono i niebiesko, i biało, strasznie. Musiałem usiąść, przeczekać, aż mi to

minie. Śliny przełknąć nie mogłem, tak mi zgęstniała. Wszystkie przypowieści, i te księdzowe w kościele, i te z gazet, przypomniały się jedna w jedną...

Jaśniej, zaraz będziemy na miejscu, zobaczymy, czy nam przybyło dziś węgorzyków...

Długo tak siedziałem, patrzyłem na tę wodę, ale strach mijał, zacząłem się oglądać na domy. Puściutkie, jak wymiółł, jakiegoś kocura tylko ujrzałem, wychudłego, zastrachanego. Jak ja sam na widok morza. Wtedy zaśmiewałem się, spokojny, że można i tutaj żyć, byle od tej szumiącej wody z daleka się trzymać. Domy podobały mi się, czyste, zgrabne, wybrałem najmniejszy, jednemu więcej nie trzeba. Jeszcze czasem myślałem, pojechać dalej, droga wolna, ale coraz mniej mnie korciło. Tak i zostałem, zająłem się kawałkiem ziemi, narzędzi pod dostatkiem, choć i tu już co lepsze podszabrowali, tacy to mieli nosa, wszędzie trafili... Ale od morza trzymałem się z dala. Bałem się go, z drugiej strony coś mnie korciło, ciągnęło do tej wody. Jakby urok jakiś, aż się go bałem w sobie, stawał się coraz mocniejszy. Godzinami siadywałem na brzegu, na górcie, patrzyłem. Bywało spokojne jak dziś, jeszcze bardziej, gładziutkie jak lustro, ale czasami wariowało, przewalało się, grało łoskotem, aż się zdawał wszystko zagarniać, zagrażać całej ziemi. Albo w noc jasne szum taki mnie budził, znów musiałem wychodzić i patrzeć, i słuchać. Na piasek, nad samą wodę też schodziłem, przenikał mnie dreszcz, gdy fale zalewały bosc nogi niby to pieszczotliwie, ale i jakoś żarłocznie, aniś się spostrzegł, zatapiały cię po kolana. Ręce w tej wodzie nurzałem, wahałem ją, próbowałem, czy słona naprawdę...

Ludzi już u nas zaczęło przybywać, zjawiali się, odjeżdżali, podkradając resztę dobytku, któż by go upilnował, ci i owi kotwiczyli się już na stałe. Kotwiczyli, mówię, a tam, w Worniksztach, anim znał takie słowo. Skądś znalazły się łódki, dwie, zaczynali na nich wypływać, ale jeszcze ryb nikt nie łowił. Na ciebie, łódeczko, też się łakomili, wywęszyli, że leżysz sobie w stodółce przy domu. Zazdrosny o ciebie byłem, nie oddawałem, krzyczeli, zem jak przeżarty pies, na kości leżę, pilnuję, sam nie jem, ale nie udzielię drugiemu. Głupio mi było, bo prawda, ale nie oddawałem. Może wtedy już coś we mnie wiedziało, że nasze dole złączą się ze sobą, że będziemy tak jeździć — ty świergolić dulkami, a ja bajdy swoje ci opowiadać?

Dojeżdżamy, jeszcze maleńki kawałek. Zaraz będziemy szukali czerwonej bójki...

Szopy tej ciągle, jak głupi, pilnowałem, ani się o nią kto pytał, ani mi płacił za stróżowanie, choć obietnica była i paperek z trójkątną pieczętką ciągle jest w domu. Patrzyłem na morze, groźne i spokojne, krążyłem koło niego jak pijany, przelewałem wodę przez ręce, lśniły potem, gdy wysychała, to od tej soli, ale nic więcej. Bałem się. Na tych, co ją próbowali zagarniać, patrzyłem wielkimi oczami. Na Kąkola najbardziej, pierwszy

prawdziwy rybak, jaki się u nas zjawił, z Kaszub. Z rodziną się tam pokłócili, rzucił wszystko, w naszą głuszę zjechał, motorówkę starą przywożąc ze sobą. Pierwsze sieci on tutaj zapuszczał. Podziwiałem go, ale nigdy bym był nie naśladował. Kąkolowi może bym oddał i ciebie, łódeczko, żeby się o to pokusił. Ale jemu nie było to w głowie. Teraz sobie niekiedy jeździ taką łupinką, przedtem na większej się łajbie dorabiał. Łajba, żeby to Helenka słyszała, jak tak mówię o bójkach, łajbie, toż by wydziwiała. Ciekawe, czy ona też miałaby taki strach przed tą wodą?

A potem były kolonie. Zdało się na coś stróżowanie nad tą szopą, nie szopą, dzieci w niej ulokowano, mnie znowu awansowano na stróża. Od tej kolonii się zmieniło...

No, dość, łódeczko, gadania, i ty możesz odpocząć od świergolenia. Jest nasza bójka, jakby w kij splunął, takeśmy prościuteńko do niej przybili. Szukajmy węgorzyków, jutro z zespołu przyjadą po rybę, warto by mieć ze skrzynkę. Już się jasno zrobiło, ostatnia pora. Dobra wróżba, zaraz na drugim haku węgorzyk...

Tośmy już swoje ukończyli, prędkośmy się uwinęli dzisiaj z robotą. Jest trochę węgorzyka, drobny i mizernawy, ale z wczorajszymi może zbierze się skrzynka. Na lód pięknie rybkę położymy, niech marznie, jutro przyjadą po nią, zapiszą na wykazie, a my sobie dalej będziemy łowić.

Słońce wdrapało się już wysoko, o tej porze zawsze ono ruchliwe i szybkie, niech jednak jesień zawita, sennieje, niemrawe zaraz się staje i gnuśne. Tyk tylko, że w kolorach jakby mocniejsze, twardsze... I skąd się te wszystkie kolory biorą? Naćpane nimi całe niebo i morze. Dziś różowe, jaśniutkie i delikatne, srebrzy się, bieleje przy horyzoncie, jutro wstanie czerwone, odbije się w granatowym, niemal że czarnym morzu. Też będzie ładnie, ale w człowieku rosnać zacznie jakiś niepokój. Bo dziś to rodzi się z tych kolorów czułość, serdeczność dla świata...

Jeszcze ciągnie mocny chłód ranka, nie ma obawy o rybkę, można się wcale nie śpieszyć. Kurki tam nasze i świniaczek same sobie poradzą. Lepiej złożymy wiosełka, o tak, niechaj huśta leciutko, zupełnie jakby do snu, zawsze przy takiej chwiejbie na drzemkę mi się zbiera, na pogaduszki z tobą, łódeczko. Na jedzenie rano nie było ochoty, teraz można żuć chlebek, herbatą zapijać. Dobra słoninka, wędzona na jałowcowych gałęziach, nie znają tu oni takiej, podśmiewają się, nie w smak im ta tłustość. Ech, tam u nas, w Worniksztach, pierwsza rzecz była wędzonka, grubą, przerastała jak boczek, na strychu musiała wisieć, czasem aż żółtą jełkością podeszła; gdy się ją dało na patelnię, w oczy gryzło od swądu. Smaku to tylko dodawało. Takiej nie kupisz, samemu sobie trzeba uwędzić, po to świniak u starego Horbacza musi być zawsze.

Horbacza czy Horbatego, przez to purowskie poplątanie już mi się samemu myli, jaka zresztą różnica...

Mówię, że u nas, w Worniksztach. Ale czy to jedno się u mnie płacze? Bo nikt w tych Kątach — też u nas. Jedno dobre i drugie. Gdyby tak wracać dozwolili, na dawne śmiecie, chyba bym już nie poszedł. Z tobą by się, łódeńko, trzeba było rozstawać, nie byłoby już tych kolorów na niebie i wodzie ani fali, ani ryby żadnieńkiej. Dziw, że można bez wody istnieć, aż dopiero gdy się ją pozna, inne życie przestaje nagle smakować. Jak wszelkie smaczności, gdy chleba zwyczajnego zabraknie. Kąty to też już moje, też u nas. Nie zamieniłbym ich ani porzucił kiedy. Tyle lat, zdążył się człowiek postarzyć, oddaliły się dawne dzieje, tyle tylko, że wrócą czasem wspomnienia w naszych pogaduszkach na morzu.

Kąkol już wraca, bżyczą jego dulki, też mają własną melodię. Kąkol sam, syna żadnego nie zabrał. Nie mówi nic, ale wiem, jego też tak goni na wodę. Kto wie, może gędzi sobie jak ja, zwierza się po cichu tej łajbie swojej, morzu kolorowemu i niebu, huśtawce fali? Coś musi w tym być, po co by się inaczej mordował na stary wiek, kiedy młodzi mogliby zagarniać wodę wiosłami, on by sobie już patrzył tylko i przykazywał, co robić, kiedy i jak. A jednak jedzie samiutki, ledwie się z dala widzimy, nie przeszkadzamy jeden drugiemu. Jest coś między nami wspólnego.

Tylko że Kąkol to z morzem przy sobie od razu się rodził. Od pierwszych dni rybaczył. Ani wie, że są gdzieś w świecie takie Wornikszy, gdzie ani rzeczulki, ani jeziora czy choćby stawu większego. U niego taka miłość wody nie dziw, ale ze mną jak się to stało, jak "odmieniło się wszystko? Tyłem razy już myślał o tym i pogadywał, ale ciągle mi się jeszcze rzecz cała nie składa... Patrzcie, mało brakło, byłby ten węgorzyk plusnął z powrotem do wody, siłę ma w sobie takie maleństwo, jak się napręży, jak odbije od dna...

Węgorzykiem sobie głowę zawracam, wiem czemu, wstyd mi tych moich wspominków, czasem myślę, może się starym Worniksztom sprzeniewierzył, Helencynej pamięci, tamtemu cmentarzykowi, wokół którego już wtedy murek się sypał. Dziś pewnie śladu po nim zabrakło, może także po cmentarzyku, ktoś tam dziś orze i sieje, dobrze się zboże udaje, ziemia żyzna, bogata.

Wstyd, nie wstyd, ot, kłóca się w starym ciele jakby dwie dusze, dwa serca, dwa sumienia. Dawne i nowe. To z Wornikszt i to z Kątów. Nie pasują do siebie, inne zupełnie, różnej maści. Tamto znane, z matki mlekiem wysane, a to? Połyskiem soli się objawia wysychającej na palcach, ot, jak i teraz, gdyby słonina nie była dobrze solona, wystarczyłoby

co kęs palec sobie polizać, smak byłby jak się należy. Pewnie, tu morze znamię swoje nadaje wszystkiemu.

Bałem się tego morza. Im zaś mnie więcej kusiło, tym bardziej się bałem. Niby to patrzyłem na nie godzinami, niby przelewałem, przysiadając na brzegu, wodę z jednej przygarści do drugiej, ale i tyle. Może bym jednak z tych Kątów uciekł, jak wielu uciekło z pierwszej gromadki. Nie tych złodziejów, co tylko patrzyli, skąd jeszcze szaber wyciągnąć, innych — tych, którzy chcieli pracować, urabiali jak mogli te piaski, paśli po bokach wychudłe krowiny. Pewnie, cóż tu jeść miały. Nie dali rady, odpłynęli jeden za drugim. Ci zostali, którzy za Kąkołem na rybę się przerwucili. Do mnie podobni, też niezwyčajni ani morza, ani na nim roboty. Kiedyś, bo dziś to czują wodę, jakby się na niej rodzili. A dzieci ich, te szczury małe, już im inna dola nie może być chyba pisana, jak tylko z morzem. Od morza trudniej się nawet oderwać niżeli od ziemi. Widzę to sam po sobie.

Ale był czas, że chciałem uciekać. Kto wie, czy tak bym nie zrobił, gdyby nie ten barak, oknami popstrzony, ogromna, przewiewna zimnica, dotąd sobie z nią nie można dać rady. Najbliżej mojej chałupki, zawsze ją stąd miałem na oku. Ziaziulowie odjechali, ostatni z tych raj pierwszych, znów sam zostałem jak palec. Wierciło mnie zabierać się stąd nie zwlekając... Zawarczało przed domem, pewnie dym zwabił ich od razu do mnie. Ludzie byli tu takim dziwem, że machnąłem się co siły ku drzwiom patrzeć, kogo to bogi niosą. Ładne auto, już się kilku z niego wygramoliło. Pytają, kto, co w tej osadzie. Jakbym był wiele od nich mądrzejszy. Machnęli na mnie ręką, chodzili sami, oglądali wszyściutko, a jak wrócili, jakieś plany swoje musieli już mieć gotowe. Zapisali moje nazwisko. Nakazali opiekę nad całym osiedlem, żeby nic nie niszczało, żeby nie rozkradali jacyś złodzieje, a już głównie miałem na barak uważać. Niemcy podobno go wystawili, zamierzali fabrykę tutaj przenosić, wcześniej się wojna skończyła, tak i zostało, pusty budynek...

Papierek mam od nich do dziś, brudnawy trochę, czas swoje robi, pisze w nim o jakiejś grupie zabezpieczenia, o tym, że ustanawiają mnie stróżem obiektu, że będzie mi się uposażenie należeć z tej racji. Pieczęć podłużna u góry, trójkątna u dołu, moda wtedy była na te trójkąty. Rękę każdy z tych panów mi podał, zaraz motor zawarczał, smród po spalinach, patrzyłem za nimi, aż mi zniknęli z oczu. Coś za często, pomyślałem, patrzę ostatnio za znikającymi autami. Obracałem ten papierek w dłoniach, żeby można, pobiegłbym zaraz im to oddać, jakże, po co mi on, kiedy chcę z tych Kątów odjeżdżać. W końcu zadowolony byłem, coś mnie trzymało na miejscu, tłumaczyło, po co siedzę nad morzem, w tej dziurze. Spokój był, czas by pomyśleć o losie moim, niby to spokojnym, ale jakimś niewydarzonym od samego początku...

Oho, wiaterek rośnie, fala mocniejsza tuli się do ciebie, łódeczko. Ale to jeszcze niegroźne, o późnym świtanu zawsze tak bywa, nie nowina to nam. Można jeszcze posiedzieć, pogadać, tam już ktoś chodzi po brzegu, Kąkol też zaraz dobije swą łódką, a tutaj my sami, we dwoje, morze jeszcze i niebo...

Ano tak, teraz łatwo mi się już o tym gada, żadnej w tym wszystkim nowizny. Ale wtedy była w Kątach ta szopka czy barak, papierek z dwiema pieczęciami i woda przede mną obca, nieznana. Sam długo nie zostawałem, pewnie zaczynało już miejsca brakować, bo z nagłą zaczęli się zwalać do Kątów jedni po drugich. Zostali niektórzy na zawsze, inni się zmieniali, ale rzadko który dom bywał pusty. Aż się ustaliło wszystko, utrwaliły się nazwiska mieszkańców osady. Tyle tylko, że nie bardzo wiedzieli, co mają robić ze sobą. Aż póki Kąkol nie przybył, nie zaczął rybaczyć. Dawaj go podglądać i podpytywać, tamte dwie łodzie zaczęły częściej wyjeżdżać na wodę. Ja tymczasem jak głupi pilnowałem tej szopy, nie szopy, baraku niedoszłej niemieckiej fabryki. Pieniądzy za pilnowanie nikt nie przysyłał, kłopot był tylko, bo niejednemu się podobały to drzwi, to deski heblowane na stropie, tylko spuścić z oka, zaraz by całą budę roznieśli. Przyzwyczajali się do mnie i do baraku, widać konieczne stało się im jedno i drugie w Kątach.

Zupełnie inaczej niż mnie. Bo mnie właśnie zaczynało się robić niezwykajnie. Gospodarstwo moje psa było warte, bo cóż na tych piaskach mogło rodzić, z biedą wyciągałem tyle, żebym głodny nie chodził, z przyrodziewkiem już gorzej. Na obiecane pieniądze za pilnowanie przestałem czekać, kłódka zardzewiała na drzwiach szopy, we mnie zardzewiała ochota stróżowania. Machnąłem ręką. Chcą ludziska, niech sobie tej budy używają, byle jej tylko nie rozbierali.

Tak i było. Słomę ktoś w niej składał, na zimę łódki do środka się pakowało, nadwerężyło się to i tamto, dach zaczął przeciekać, nadpróchniała jedna i druga deska. Zima nadeszła ostra. Śnieg nas zasypał, prawie po dach zwałił się biały puch, odkopać się było trudno. Jedno mnie wtedy zawsze dziwiło, że morze nie zamarza. Nawet jak w spokojniejszą noc zamróz zaczął je ściągać przy brzegu szklivem, zaraz potem fala roztapiała to wszystko. Statki czasami było widać, daleko płynęły, jak łódeczki dziecinne z pomalowanej kory. Kąkol poznawał, co pasażer, jak on to mówił, co trawler czy drobnicowiec.

Tej zimy zdecydowałem się. Niech pociepleje, rzucam Kąty i jadę w świat. Może znajdzie się kawałeczek wdzięczniejszej ziemi, maleńko wezmę, ot, żeby siebie wyżywić, więcej mi nie potrzeba. Niby to i żal zarazem było tych Kątów, zawsze lat parę minęło, zasiedziały się człowiek na nowiznie, ale i nie widziałem tu miejsca dla siebie.

Dobrze mówią, chłop strzela, Pan Bóg kule nosi. Przyniosło z wiosną, jeszcze śniegi kryły się po różnych dziurach, ciężarowy samochód. I zaraz do szopy. Kto jej pilnuje? Ludzie na mnie wskazują. Tłumaczę, że już machnąłem ręką, wspólna budowla całej osady, gdzie tam, ani słuchać nie chcieli, każą dalej pilnować. Bo to kolonie dla dzieci tutaj urządzają. Podreperują trochę, dadzą nową podłogę, okna oszkła, dobrze będą miały dzieciaki. Znów dostałem papierek. Odjechali nimem wszystko przemyślał, teraz prędcy się ludzie zrobili, ani im sprostać. Od dawna stróżem zostałem. Całe Kąty z tego się śmiały. Ja razem z nimi, bo co mi zostawało innego?

Ci nie skłamáli. Nawet pieniądze przysłali. Remont zrobili niewielki, ot, żeby się rudera kupy trzymała, na łeb żeby się nie sypało. Łóżka przyjechały, stoły i ławy, kuchnia porządna. Potem ściągnęły dzieciiska, chmara, mrowie tego, pełno się od nich w Kątach zrobiło, weselej, aż za wesoło czasami...

Jeszcze Kąkol nie wywieszał wtedy czarnej chorągwi, gdy morze staje się okrutne i złe. Dopiero później, jak głupiego Stasiuka przeniosło na tamten świat, wkopaliśmy maszt. Z daleka go teraz widać, długim cieniem kładzie się na jaśniutkim piasku. Ale wtedy tych ostrzeżeń nie było. Nikt też Kąkola o radę nie prosił. Jak coś tym młodziakom, co obozem rządzą, powiedział, to skłęli go mocnym słowem. Więc ręką machnął i tyle. Może i źle, ale kto się mógł był spodziewać. Może i źle, bo także mój czas odmieniło to już na zawsze. Nasz czas, łódeczko.

Jasno było, słońce jakby mocniejsze, aż dziw tylko, że morze granatowe, miejscami niemal czarne, a te grzywki białe to jakby żałobne kwiaty. Tak sobie myślałem, patrząc na nie gdzieś z wydmy, miałem swoje miejsce pod krzaczkiem żarnowca, pogrzeb mojej Helenki mi się przypomniał, białe kwiaty były w kościółku w Worniksztach. Aż tu nagle zamąciły się tamte wspominki, bo dzieciaki hurmą ruszyły do morza. Chłód czy spiekota, każdego dnia się kąpały, takie to zawsze krew grzeje. Plusk, krzyki, paplanie, fala tylko ostrzej rzucała nimi do brzegu, tym większa ochota, ledwie człowiek nie ogłuchł. Patrzyłem, a ciągle jeszcze żył we mnie strach morza, nadziwić się nie mogłem, skąd w tych małych tyle odwagi... Czy był może wtedy z nimi ktoś starszy, nie wiem, nie wyglądało na to...

Niby weselałem od tej radości dziecięcej, ale i narastała zgryzota. Wtedy o Antośku moim jeżeli myślałem, to ciągle jak o takim trochę większym dzieciaku. Więc wstałem, żeby sobie smutku nie przysparzać nad miarę. A i morze tego dnia drażniło mnie bardziej niż zwykle. Ciągnęło i odpychało. Zagrzały się kości na słońku, przeciągam się stojąc, aż tu gwałt nagły, jak spłoszone przepiórki sypie się wszystko z wody, palcami sobie pokazują, płacz, wrzask, niczego nie pojąć. Dopiero oczy pomogły. Na ciemnej wodzie, obcej wtedy i nieprzyjaznej,

zobaczyłem dwie głowy. Trochę starsi to byli, umieli co nieco pływać. Teraz trzepotali się na fali, bili ramionami, działo się z nimi coś złego. Falaniosła ich nie na brzeg, ale dalej, na głębie. Ani wtedy wiedziałem, że to fala odboju, tak ją Kąkol nazywał. Dołem idzie do plaży, górą dobija na głębie. A oni szamotali się górą, znosiło ich, krzyczeli coś, usta otwarte, a potem jedna gębusia się zanurzyła. Dopiero pojąłem, co się dzieje. O Matko Boska! Biegiem z wydmy i także w krzyk, tych wychowawców żeby przywołać, gdzie by nie byli. A tu nikogo, tylko reszta czeredy kotłuje się na brzegu, zastraszona, jacyś tam nawet próbują się pchać z pomocą, ale zaraz się cofają, strach w nich mocniejszy, co by zresztą niebożęta mogły poradzić. I ja przy nich, i też krzyczę pospołu, niech biegną do szopy, koło ratunkowe tam mają, takie białoczerwone. Na wodzie znów widzę dwóch, jeden to jeszcze płynie, ale drugi znów się zanurza i taka gębusia bialeńka, przerażona, i jakby coraz dalej oboje.

Co tak zakołysałaś się, łódeczko, gwałtownie? Że cię gładzę teraz po burcie, sam o tym nie wiedząc? No pewnie, pewnie, w tobie osłona, wiem, że mnie nie zawiedziesz... Ale wtedy ciebie nie było, inne łodzie stały daleko, anibyśmy zdążyli... Skoczyłem do wody, a pamiętana, strach mnie dławił za gardło, brnąłem coraz głębiej, czułem, jak mnie rwie, raz górą, raz dołem. Pchałem się ku tym małym, jednemu właściwie, drugiego już nie widziałem, myślałem jednak nie o nich, najsilniejszy we mnie był strach. Jakby mnie kto lodem obłożył, jakby za ręce chwycił i ciągnął w czern. Po pachy, po szyję, wywracało mnie, nurzając się zobaczyłem, jak coś podbija ku mnie spod wody jasną głowinę. Tom złapał się za nią, za ramię chłopaka i już niewiele wiem... Woda chlupnęła mi w gardło, pewnie usta miałem otwarte, zdusiło, słone, niedobre, tchu zaczęło brakować, rzuciło o dno, kamienie ostre, śliskie, od bólu pewnie wróciła przytomność. Jedna myśl, aby do brzegu się dostać jakkolwiek, ostatni ratunek, pływać przecież po dziś nie umiem, nie było się kiedy wyuczyć. Coś mnie wybiło nad wodę, powietrze chwyciłem i znów na dno. Wparłem się w nie, krok jeden zrobiłem i drugi, wywróciło, ale leżąc nawet szarpałem się ku brzegowi, ręką trzymając jak kleszczak ramię tamtego chłopca. Aż potem znów nas uniosło, pchnęło prawie na piasek, fala zawracając już nas uchwycić nie mogła, dzieciary zaczęły pomagać. Mnie podciągnęli i tego małego, pewien byłem, truposzka.

Sił nie miałem, wszystko wirowało, w piersiach bolało, jakby kto ogniem piekł, aż tamten drugi chłopczyzna wrócił na pamięć. Oprzytomniałem, patrzę, pusto na wodzie, tylko te grzebienie jak kalie na wieńcach jedliny, dzieciaki mówią jedno przez drugie, że zniosło go, zanurzyło, zmiotło zupełnie. Gdzie, krzyczę, pcham się na powrót do wody. Nogi jak nie swoje i całe ciało, ale dziw, nie ma już we mnie strachu przed wodą, złość tylko na nią.

Wychowawcy teraz dopiero nadbiegli, zatrzymali mnie, sami skoczyli, nie wiedzieć po co, na wodzie nikogo nie było. Mało brakło, a jeden z nich też byłby utonął, spostrzegł się w porę, zamiast szarpać się z falą, zaczął nurkować, moim sposobem, tyle tylko, że nie ja go wymyśliłem, a tak mną tylko rzucało po dnie w kierunku brzegu...

Pewnie, gładzę cię, maleńka, spokój w tobie, ochrona. A tamten drugi dzieciuch utonął. Ze mnie na starość bohatera zrobili. Nagrodę przysłali z dyrekcji, rodzice pisali tego uratowanego chłopaka. A kolonię szybciej zwinęli, niż zamierzali.

We mnie od tamtego dnia strach się załamał. Ani trochę dawnego lęku przed morzem. Pewnie, zabrakło tamtego młodzieńca, świeć Panie nad jego duszyczką, ale drugiego wyciągnąłem, nie dałem. I gdy już wychodziłem na brzeg, gdy spoglądałem czy to na gładką powierzchnię, czy rozhukaną na wietrze, myślałem sobie, że niestraszne mi ono, że można je zmóc, pokonać, wyjść silniejszym z przeprawy. Głupoty w tym było wiele, miarę znać trzeba i swoją, i morza, nie ma mocniejszych ponad nie. Ale człowiek swoją wolę i rozum też ma. I bać się nie trzeba. I zawsze z rozumem. Dzieciak z głupoty utonął. Potem ten głupi Stasiuk tak samo. Nie posłuchał Kąkola, pojechał w złe morze, bo mu sieci żal było. Został przy tych sieciach na zawsze.

Wiesz, łódeńko, za starym dziś na kąpiele. Ale tamtego lata tom się potem kąpał niemal co dnia, jeszcze zanim ludziska wstali ze snu, z samym świtaniem. Bliziotko, z dala od głębin, ale tak jednak, że można było pomocować się z falą, pobawić z wodą, powiedzieć jej, że już Horbatemu niestraszna. Byle z rozumem, bo i tamtego chłopaczka, i tego Stasiuka żal. Czego to nie narobi głupota. Morze głupich nie lubi i tchórzów, wiadoma rzecz...

No i przybujalo nas prawie do brzegu. Piśnijcie, dulki, trzeba machnąć wiosłami, pójść do domu po taczkę, skrzynkę przewieźć do lodowni, niech czekają węgorzyki do jutra na transport.

A ciebie, mileńka, pogładzę w podzięce, żeś słuchała głędoł starego, żeś go znowu szczęśliwie wróciła brzegowi. Ładny dzień dzisiaj, spokojny, morze delikatne, cichutkie, w nas jakiś spokój i cisza. Czegóż więcej potrzeba?

Skąd się tu wzięła, biedna, na mokrym piasku? Czyżby nią fala tak rzuciła, zaplątaną gdzieś blisko brzegu, trzepnęła oszołomiona o piasek? Fląderka, niewielka, a już tak śmieszna. Jeszcze nie zeszywniała, ta strona białutka, delikatniejsza, tamta bardziej zrogowaciała. Zwyczajna dziś rzecz, ale tym pierwszym tom się nadziwić nie mógł, gdy oglądałem je u Kąkola. Tak samo jak węgorzykom. Tam, w naszych Worniksztach, jeżeli trafiała się ryba, to zwyczajna, szczupak jaki czy okoń, płotka najwyżej. Skąd tam węgorze. A teraz nie takie dziwy morze wyrzuca albo się w sieci, bywa, zapłaczą...

Podglądają nas chłopaki ze skarpy, pewnie sobie chichocą, że tak wsparłem się o twą burłę, łódeczko, i gadamy znów po swojemu. Na maszcie czarna szmata, już drugi dzień. Mówi Kąkol, iż nateżenie sztormu dopiero nadejdzie. Łodzie wszystkie wyrolowane daleko na piasek, a i to jakiś mocniejszy język może aż pod was podpłynąć. Otwarte morze, żadnego skrycia. Dlatego, mówią, że nie ma rybactwo w Kątach przyszłości. Tylko łodziami niewielkimi przy brzegu...

Rosną te fale jakby jakie gmaszyska. Olbrzymieją tam, gdzie kończy się głębia, a zaczyna nasza węgorzowa płycizna, ciągnąca się daleko w morze. Woda zganiana od środka — nie ma się tutaj gdzie podziąć — wzdymając się, rosnać, wali na brzeg, siecze bezsilna, choć groźna. Nic nie robi, stojąc na brzegu można się z niej tylko śmiać. Co innego, gdyby złapała na wodzie. Żartów tam by nie było...

Jak w czasie tej mojej pierwszej jazdy z Kąkolem. Tego samego lata, gdy nieudane kolonie zwinięto wcześniej niż zamierzano, gdy przestałem już bać się wody. Ty, łódeczko, leżałaś jeszcze w szopie na drągach, oglądałem cię tylko coraz częściej, już mi się coś roilo po głowie. Poprosiłem Kąkola, żeby mnie zabrał z sobą na połów. Z jego starszym synem, który teraz kutrem jeździ aż w Kołobrzegu, we trójkę ruszyliśmy. Morze było spokojniutkie i ciche, choć Kąkol coś pomrukiwał pod nosem i spieszył, jak mógł. Sporo sieci miał zastawionych na wodzie, pewnie żal mu ich było. Barometr u niego wtedy jeszcze w domu nie wisiał, później go sobie sprawił. Ale wyczuć umiał wiele z samej pogody, z zachowania się morza, z układu fal. Trochę i ja na tym już się dziś znam, choć daleko mi do Kąkolowego wyczucia.

Na taką przedsztormową pogodę ryba dobrze idzie do sieci. Aż się łódź zanurzała pod obciążeniem. Nie wiedzieć kiedy niebo ściemniało, zrobiło się granatowe, podobnie morze, tyle tylko, że woda pobłyskiwała, jakby ją kto pudrem jakim przysypał. I fala rosła. Kąkol spieszenie wciągnął ostatnią sieć, rozglądał się na strony. Krzyknął do syna, by motor zapuszczał, umocowany z tyłu łodzi. Ten ciągnie za sznur, motor zaterkoce i gaśnie. Znów sznur, motor starego był typu, ponemieckie żelaziwo. Znów gaśnie. A wkoło, choć niby wiatr ani trochę nie większy, woda zaczyna się piętrzyć. Krótkie fale, rzuca nami, Kąkol przy sterze, ja chwytam za wiosła, nie idzie mi, skądże, wprawy nie miałem. Motor popyka, popyka i nic. Stary odpycha syna, wskazuje na wiosła, bo to fala już grzmi, już tłucze, że nic nie słyhać, jak do siebie mówimy... Motor nie zapalił. Jedyne ratunek wiosła, trzymać się prostopadłe do fali, inaczej zaleje, wywróci, ślad po nas nie pozostanie. Młody wiosłuje, ojciec kładzie się cały na sterze, ja wodę wylewam, bo coraz to nam chluśnie do środka z beczką albo i więcej. Wylewam wiadrę tę wodę, na morze boję się spojrzeć, takie to zwały

pędzą olbrzymie, tak wyją, przelewają się białymi grzebieniami od wierzchu. Znów mnie ten lęk dawny ogarnął, niby chłodnawo, a czułem, jak pot mnie zlewa, miesza się z morską wodą, nieprzyjemnie zastyga. Niechcący zerknąłem przed siebie, tyłem stałem do brzegu, wali bałwanisko większe od innych, cóż my wobec niego, łupinka. Krzyknąłem, a jeszcze w tej chwili pękło prawe wiosło, łódź obróciła się bokiem, zakryła nas fala, pomyślałem, że koniec, dziwaczny, ja, Horbaty, i w morzu mam ginąć, tak mi gdzieś zapisano. Ale choć wody pełno po brzegi burt, trzymamy się jeszcze, młodzik wyciąga zapasowe wiosło, wrzuca w otwór przy dulkach, napiera całą siłą, łódź znowu staje sztorcem do fali. Kąkol przy sterze, ja macham wiadrem, wody nie ubywa, wciąż pełno i pełno. Ale i brzeg się przybliżył, szarym paskiem, ledwie widocznym przez wodny pył.

No i przybiliśmy, rzuciło nas na piasek, aż zatrzeszczały wręgi. Przy następnej fali kazał jeszcze Kąkol łódkę wyżej podciągać. A ja opadłem z sił, czułem się jak maleńki dzieciak. Tyle tylko, że już patrzyłem na morze, strach przeminął bez śladu. Bo oto znów byliśmy górą, nie daliśmy się, na naszym stanęło. Już mi ta woda, choć groźna, bliska jakaś się stała. Wtedy, jeszcze na pół przytomny, mokry, zziębnięty, pomyślałem sobie, patrząc na morze od brzegu, że trzeba będzie i mnie się zabrać do rybaczenia. Łódeczkę mam, po to ją pewnie tak chroniłem i strzegę. No i widzisz, ustrzegłem.

Od tamtego dnia już na zawsze przestałem odczuwać lęk przed morzem. Od tamtego dnia pociągnęło mnie ono. Sam nie wiem czym, potęgą, grozą, tymi barwami wszystkimi, które rodzą się na nim i zmieniają od świtu po księżycowe smugi, wiecznym szumem niezmordowanej, niezgonionej fali, może jakąś sprawiedliwością, która zawsze każe słuszną miarę odmierzać człowiekowi, co się rozkocha w tej wodzie.

Jakże daleko, łódeczko moja, zostały Wornikszy ze swymi piaskami, z lasami gonnej sosny o pniach, że ledwie je obejmie dwóch ludzi. Pewnie, tęsknię za rodzinną ziemią, każdy tęskni, jak dziecko do matki, śni mi się, bywa, cmentarzyk o kruszejącym murku, matka tam i ojciec, i Helenka. Panie świeć nad jej duszą. Może bym tam kiedy zajrzał, ale dobrze to wiem, że bez morza już nie wytrzymam. Rozdzieliło się we mnie serce, chciałoby tu i tam. Ot, czarna flaga Kąkole szamoce się z wiatrem, opada, wzdyma się, ledwie się z masztu nie zerwie. Morze dziś groźne, niebezpieczne, złe czegoś. Bluzga falami, pełźnie po piasku, jakby ziemię całą chciało zagarnąć, aż pod siebie, łódeczko moja, podbiega, ale zaraz potem musi się cofnąć. Jest granica między ziemią i morzem i chyba tylko w człowieczym sercu kochaniem zlewają się w jedno.

Szedłem wtedy przez las z myślą jedną, aby dach jakiś znaleźć nad głową. Przeraziło mnie morze, uląkł się Horbaty. Dziś się nie boi. Wie, że można i nad nim być górą, byle praw

morskich strzec. Ot, takich choćby znaczonych czarną chorągwią, ostrzeżeniem, by dzisiaj nie zawierać się falom. Ale kiedy indziej nietrudno je pokonać.

Fala opłukała fląderkę. Lśni świeżuteńko, zupełnie jak żywa, zda się, trochę więcej wody, a spłynie do morza. Ale jej pisano zostać już tutaj na piasku, nawilgłym teraz, jakby bardziej przez to żółciutkim. Jak tobie, łódeńko, pisane, by czekać w spokoju, aż znowu popłyniemy na toń, kołysać się będziemy na fali, ja będę gaworzył, ty słuchać będziesz cierpliwie. Chropowataś już, nadbutwiała miejscami, czas swoje robi. Nie chciałbym ciebie utracić, dobrze byłoby razem dożyć do końca. Razem odejdziemy, gdy spełni się, co nam przeznaczone. Śmieją się chłopaczyska na górze, że tak cię gładzę, może słyszą, że coś mamroczę, gadam nie wiedzieć do kogo. Niechaj, nam to nie szkodzi, niechże mają uciechę... Kiwa ktoś na nas, przywołuje do siebie, nic poprzez szum fali nie słychać. Zaraz, pewnie listonosz, papierkiem wymachuje, ani chybi przynosi wiadomości od Antka. Nie zagłada do ojca, rzadko pisuje, obraził się o to morze? Ono nas rozdzieliło, czy wcześniej rozeszły się nasze drogi? Idę już, idę, bywaj, łódeńko, może jutro się uspokoi, wypłyniemy na toń, daleko, będziesz śpiewać, świergolić dulkami, a ja będę tobie i sobie wczorajsze i dzisiejsze wspominał...

Mokniesz, niebożę, na piasku zlanym bryzgami fali, choć woda tobie zwyczajna, do niej zrodzonaś. To ja muszę uciekać pod dach, szukać ciepła dla ciała zziębniętego w podmuchach wiatru... Nie spodziewałaś się mnie, łódeczko, wcześniej jak za nowym świtaniem. Aż tu nocą stary Horbacz przyłazi cudeńka ci swoje prawić. Tak połyskujesz smolną calizną w księżycowym świetle, jakbyś rię uśmiechała. To dobrze, łatwiej z uśmiechem. A może śmiesz się po swojemu z tej pary, której dałaś przytułek, a którą tak niebacznie spłoszyłem? Co ich aż tutaj przyniosło? Noc ciepła, choć wietrzna, niebo czyściutkie, sucho, mogli się skarpy trzymać, krzewy tam gęste, żarnowiec bieleje, trawa ściele się miękko w załamaniach osłoniętych przed wydmuchami. Koniecznie w łódce? Może chcieli być bliżej morza, jego huczenie, rozbijanie fali o brzeg potrzebne może im było jako dopełnienie kochania? Kto młodych odgadnie? Szkoda, anim myślał przerywać chwil, kiedy są sami ze swoją miłością. Ale i ja chcę jakiegoś kochania, potrzebna mi byłaś, łódeczko, sen nie nadchodził, noc zaciągała się, ciężko było czekać pierwszych oznak brzasku za oknem. Szum morza przyciągał, lubię ten szum, raz cichy, łagodny, kiedy indziej, jak dziś, gniewny, dudniący siłą. Tu będzie mi lepiej, bo to pierwszy raz pogadujemy sobie o Antosiu i wszystkim, co było, co się zmieniło i nadal zmienia, że ani ogarnąć, dlaczego... Popłakać trochę, wyżalić się przyszedłem, ciężko mi z moją samotnością w czterech ścianach. Młodzi wybaczą...

Chropowata już się zrobiłaś, starość nie radość, ale lepiej do tej chropowatości przylegają moje dłonie, także popękane, zmarszczone nad miarę. Czas znaczy się na nas obojgu. Co Antoś pisał? Nic takiego, króciutko jak zawsze, dla obowiązku, wiem to i czuję, ani go osądzam, ani myślę usprawiedliwiać. Każde zdanie chropawe, jak i my, jakby długo musiał go szukać. Tak samo mógłby ktoś pisać i urzędu, pieczęcią dla powagi opatrzyć. Dziwię się... chyba nie, czemu się dziwić, dawno się już nasze drogi rozeszły, może nawet przedtem, nim chłopak prysnął do partyzantki. Już wtedy nie zawsze się rozumieliśmy, ale przez lata oddalenia różnice przygaśły. Tęskniąc, nigdy się o gorszym nie pamięta, zawsze najbliższe sercu wszystko, co było dobre. A ja go zawsze pamiętałem szczunem w krótkich porciętach, jak dudnił po podwórzu bosymi nogami. Małoż to razy wspominaliśmy go z tobą na wodzie czy tutaj, przy brzegu?

Sam już nie wiem, czy miałem przez wszystkie powojenne lata nadzieję, że go jeszcze zobaczę, że żyje, że się zetkniemy ze sobą. Za duszę Helenki mojej, świeć je jej Panie, modliłem się często. Za Antosia nie umiałem, nie zda się modlitwa, gdy się nie wie, czy aby ktoś na pewno nie żyje. Ale oczekiwanie moje coraz bardziej stawało się jedynie tłumieniem niepokojów budzących się w sercu. Aż po tamten dzień, ranek właściwie... Wracaliśmy z połowu, mało było tej ryby, od plaży ktoś ku nam kiwał, paru ludzi tam stało, przyzywali, jakby się coś paliło. Wypatrywałem z daleka, czego to mogą chcieć, poznałem młodszego Kąkola, innych, jeden tylko, ten w kapeluszu — dłonią go przytrzymał — ten właśnie był nieznajomy, przybysz, od razu poznać po stroju. Nie lubi nikt obcych, co się zjawiają niespodziewanie, więc i we mnie podniósł się jakiś niepokój. Większy nad zwykłą miarę. Ciekawa rzecz, o Antosiu nawet nie pomyślałem. Tak jak nie od razu go rozpoznałem na brzegu. Dopiero jak zakrzyknął: ojciec, dusza rozmazała mi się we łzach, tyłkom go tulił i ścisnął, wymawiałem jego imię raz po raz, żadnego innego słowa ani mogąc z siebie wykrztusić. Do domu niemal mnie ciągnął, tak nagle z sił opadłem. Jeszcze pamiętam, jak mówił, że mnie przez lata całe nie mógł odszukać. To zmyłone w PUR-ze nazwisko, Horbaty zamiast Horbacz, czemu ojciec się zgodził, żeby nie przypadek, do śmierci byśmy się nie odnaleźli... Połowy z tego nie rozumiem, co tam PUR, myślałem, ma do mnie i mojego chłopaka...

Parę dni tkwiłaś, łódeczko, na piasku, samotna i opuszczona, nawet nie podeszedłem ni razu, by cię przegładzić. Całe światy przewalały się we mnie i obok mnie. Antoś przeszedł szczęśliwie przez partyzantkę i wojnę, Antoś inżynierem, Antoś w Warszawie, żonę ma, dzieci, dobrze mu się powodzi... To wszystko było nowe, niespodziewane, cieszyło i

zaskakiwało, a najbardziej to, żeśmy się jednak odnaleźli, że nie zjeździe ze mną ostatni z Horbaczków, jest Antoś, już tam rosłą wnuczęta...

Tydzień wtedy przesiedział, tego lata i najbliższej jesieni jeszcze zjeżdżał tu parę razy, coraz bardziej mu się śpieszyło, wpadał jakby po ogień. I nie było już samej radości w spotkaniach, smętne nutki zaczynały się snuć. Wiele gadało się wtedy w samotności na wodzie, trzeba było podzielić się z kimś tym wszystkim, co gryzło i co niepokoiło, pragnęło się jakiejś porady, zrozumienia... Rozchodziły się nasze drogi z Antosiem, coraz bardziej, coraz dalej od siebie. A już najbardziej, jak pojechałem do tej jego Warszawy, jak się tam zasiedziałem... Zatrzymywał, nie można powiedzieć, ale gnało mnie do morza, do szumu idącego od fali, do ciebie, łódeczko, do tych Kątów z Kąkolami i wszystkimi innymi, do ciszy i spokoju, którego tutaj tylko mogłem zaznawać. Nieswojo mi u nich było, obco, słowa złego nie usłyszałem, samo dobro, ale czasem lepiej czuć aniżeli słyszeć. Antosiowej nie nazbyt przypadłem do smaku, może moja mowa, z zaciąganiem, które przyjechało ze mną aż z Wornikszt, może coś jeszcze innego... Antoś też chodził nieswój, ojciec to, ojciec tamto, ale nigdy razem, brakowało mu na to czasu, śpieszył się wciąż, narzekał, że życie takie nerwowe. A potem radził, żeby rzucić rybactwo, kupi mi jakąś gospodarkę w głębi kraju, urządzi, lepiej będę się czuł, co to za biedowanie nad morzem, grosze z tej ryby, chatyna mała i sypie się ze starości... Bo w Warszawie, dodawał, chociaż mieszkanie duże, można by się było pomieścić, ojcu na pewno dobrze nie będzie.

Głową kiwałem, a jakże, rozumiem, nie dla mnie miasto, na pewno, tylko czemu nie czekasz, aż sam ci to powiem, czemu dajesz za mnie gotową odpowiedź, jakbyś tej mojej nie był zanadto pewny i bał się, że może wypaść inaczej... Z innej beczki, o Worniksztę go zapytałem, czy myśli czasem o ziemi rodzinnej, czy o cmentarzyku, na którym także i jego matka, przy brzozie płaczącej w pierwszej alejce na prawo od wejścia, może pamięta? Trząśł głową, o Worniksztach prawie nie myślał przez wszystkie te lata, może jeszcze w partyzanckim okresie, potem nie składało się już. Czy żał mu? Ani troszeczkę. Cóż Worniksztę, gdyby nie wojna, tkwiłby tam pewnie na gospodarce, ciemny i głupi, dziewczuchę wzięłby równie durną za żonę, bieda i smród od wielkiego pieca, na którym zimą tłoczy się cała rodzina, małe sprawy i mali ludzie wokoło. Czegóż ma żałować, za czym tęsknić i co wspominać? Gadam mu o tych lasach, i sosnach, jakich tu nie uświadczysz na całym zachodzie, o spokoju i ciszy, o wierzbie na starym cmentarzu, to nie dla niego, wyrósł już z sentymentów, życie tego nie znosi. On zaś umiał wziąć się z życiem na bary. Nielatwo było, ale naukę skończył, dyplom uzyskał, ma wzięcie, cenią go, żonę ma mądrą, kształconą, dom urządzony, on już człowiekiem miasta i nic go ze wsią nie łączy. Wiele zmieniła w nim ta

rozłąka, gdyby nie prysnął do partyzantki, osiadłby pewnie razem ze mną w tych Kątach zapadłych, nazwa w sam raz pasuje, wyjeżdżałby na połów w wacianych portach, przesiąkłych aż do smrodu zapachem ryby... Trzeba umieć wyrwać się z więzów środowiska, tak chyba mówił, zdobyć się na odwagę w życiu... Słuchałem, cóż miałem mu odpowiadać, że prawda jego niepełna, niby słuszna, a przecież obca, tak jak ja obcy jestem tej jego mądrej kształconej żonie, temu mieszkaniu, którym można się chwalić, temu stosunkowi do życia, gdzie miarą jest wyłącznie popłatność...

Na drugi dzień, tak się złożyło, bardzo był Antoś zdenerwowany, nic już nie mówił o życiowej odwadze, tyle pojąłem, że wielką miał przykrość, Jakiś dyrektor ostro go złąjał, zagroził, jeszcze gdzieś indziej nie umiano go właściwie uhonorować, paskudnie mu się wszystko splątało... Niezgrabnie, po swojemu, próbowałem go jakoś pocieszyć, wybuchnął wtedy, że zupełnie go nie rozumiem, że przecież pozycja, a jakże, najważniejsza to sprawa, a w ogóle jakże daleko odeszliśmy przez te lata od siebie, odnalazł ojca, cieszy się, ale wiele mu z tym przybyło kłopotów... Wtedy już pojąłem więcej, niż chciał może nawet powiedzieć. Wyjechałem zaraz na drugi dzionek, grzecznie i bardzo spokojnie, cóż im miałem zawadzać w walce o pozycję i o znaczenie. Przy tym z całą mocą, zupełnie zwariowanie, ciągnęło mnie do Kątów, do morza, którego tak przedtem się bałem, do ciebie, łódeczko, do wyjazdu na węgorzową płyciznę albo i dalej, gdzie flądry najwięcej idzie do sieci. Gałą drogę pachniało mi morzem, szumiało falą, dłoń tęskniła, by przegładzać twoje stare, szorpaty burty.

Ano tak, wieleż to, cztery już lata, szybko czas leci, my się , tylko razem jakoś trzymamy, jak te ptaszki, co je zowią nierozłączkami, a które synowa Kąkola hołubi i w domu trzyma. Cztery już lata, jak się okazało, że nie sam jestem na świecie, choć pogłębiła się zarazem moja samotność. Tamtej nocy, gdy wróciłem z Warszawy, księżyc był w pełni jak teraz, morze stało spokojnie, wypłynęliśmy sobie na wodę. Dulki świergoliły, jak te moje ptaszyny w Worniksztach, ja ćmiłem papierosisko i pogadywałem do ciebie, a po prawdzie, co mamy to skrywać, sam sobie plotłem bajdy, nie bajdy i dobrze mi było jak nigdy. Cały żal, którym nasiąknęłam w Warszawie, znikł, rozplynął się, jakby zmyty łagodną falą...

W niecały rok potem zajrzeli Antosio wie w moje progi, własnym samochodem, po pańsku zjechali, na parę zaledwie godzin. Tyle tylko, że omówiliśmy sprawę dzieci. Pewnie, niech przyjeżdżają, razem z gospożą, zajmę się ich jedzeniem, będę już pilnował, by nie igrały zanadto z morzem... Zjawiły się, miłe dzieciuchy, piszą czasem do dziadka, te listy to lubię. Gospożia wdała się w warszawskie Antków zwyczaje, nosem kręciła jak wielka pani, na pewno się jej nie bardzo widziałem, ale bała się coś powiedzieć. Wieczorami za to pogadywaliśmy z dziećmi. O morzu i rybie, o trawie morskiej i innych dziwach,

wspominałem także Wornikszy, których nawet ze słyszenia nie znały, Antoś nigdy im nie wspominał, jak tam było, jakeśmy żyli, jaka była, świeć Panie jej duszy, babunia. Żałowałem serdecznie, gdy odjeżdżały. Antoś pisał dziękując, że zmężniały, posłużyły im Kąty, tylko kłopot ma, bo nauczyły się nowych słów, z białoruska nagie coś strzelą, z przyśpiewem jak ja. Wyczułem żal w tych słowach, a cóż ja był tu winien, miałem chodzić jak niemy, słowem do dzieciarów się nie odzywać, jeżeli inaczej nie umiem, choćbym nawet się starał? Tyle zyskałem, że na drugi rok i na trzeci więcej już dzieci nie przyjechały. Antoś raz zajrzał przez całe te dalsze lata. Pisuje rzadko i tak jak dzisiaj. Nudne, z grzeczności zrodzone zdania. Pyta, czy czegoś nie potrzebuję. Sam sobie poradzę. A jeśli potrzebowałbym czego, to syna bliższego sercu, jego kobiety mniej może grzecznej, ale serdecznie swojskiej, szczebiotu dzieciaków, już bym im na pewno tej uczonej mowy nie zepsuł. Ale tego mi Antoś nie da, choćby chciał, rozeszły się nasze drogi. Rozumiem to, ale za każdym razem tęsknica jakaś wzbiera, sen odchodzi, przeżuwa się od nowa to samo i nie wie, jak się właściwie tym własnym życiem pokierowało, dobrze czy źle. Aż trzeba nad morze biec, by spokój odzyskać, zrozumieć ostatnie swoje wielkie kochanie, od którego ani już odejść. Do końca dni naszych będziemy, łódeczko, jeździć ze sobą, gadać i sieci stawiać, świergolić dulkami, jak tamte ptaszyny w Worniksztach, wdychać syte soli powietrze.

Sztorm wali, bije wściekle o brzeg, piętrzą się fale, jasno, srebrzyście, księżyc dobiega pełni. Zamiast się tym cudować, żale rozwodzę, jakbym chciał złapać w serce, to, czego już żadną miarą złapać nie można. Już mi lepiej na duszy, już minęło to skowyczenie, które ja darło nie wiedzieć po co. Idzie tam ktoś, para młoda, przytuleni do siebie, im też dobrze z tą nocą, ze sztormem, z kochaniem, które się w nich zrodziło. Pewnie ci sami, których przepłoszyłem od ciebie, łódeczko. Pójdę już sobie, może przysiądę na wydmie, koło żarnowca, młodszym ustąpię miejsca. Trzeba szanować każde kochanie, jakie by ono nie było. Bo każdemu ono potrzebne. Cóż bym ja począł, gdy tak się stało z Antosiem, gdybym nie miał kochania morza, szturmującego teraz do moich Kątów. A tak to w sercu w końcu spokojnie i dobrze. Bywaj, łódeczko, do jutra, będziemy znowu gaworzyć, jeśli zaś sztorm ustanie, popłyniemy daleko na wodę. Na niej nam obydwójgu najlepiej.

OSTATNI Z WIELKIEGO TURZYCOWISKA

I

Zapatrzył się wilgotnymi oczyma w wielką, rozżarzoną kulę, zapadającą teraz za kępę krzaków, w których jeszcze niedawno przy boku matki ogryzał smakowite pędy młodej olszyny. Zmęczony był całodziennym dreptaniem, przeskakiwaniem z kępy na kępę, grzeźnięciem nóg w błotnistej, zamulonej wodzie, zważaniem na zawołania rodzicielki. Wiedział, że gdy świecąca kula zapada za las, to wkrótce potem robi się ciemno i można wtedy wyciągnąć się wygodnie obok ciepłego, miękkiego ciała matki, słuchać szelestu liści osiki, a potem spać spokojnie i długo...

Łosza obróciła łeb ku niesfornemu malcowi, przez chwilę spoglądała na niego z wyraźnym zdziwieniem, zachęcająco tupnęła badylem, a gdy i to nie pomogło, zawróciła, wcale mocno trącając pyskiem zagapionego w słoneczną kulę syna. Odskoczył na bok, spokojny już dreptał obok siostry, w ślad za matką, kierując się ku niedalekiej kępie zwartej wierzbiny, przechodzącej potem w las bagienny, który wspinał się wzgórzem aż po gęsty bór świerkowy. W wierzbinie tej spędzali ostatnio nocę, zasłonięci od wiatrów i niespodziewanego wroga.

Ostre blaski zachodu padały na potężne cielsko łoszy. Zachwycał się urodą swej matki. Wysoka, o lekko spadzistym karku, z jasnymi tykami kształtnych, smukłych nóg, z paskiem szerokim w nozdrzach, kroczyła teraz wolno, jakby poddając płowobrazową suknię ostatniej tego dnia kąpieli słonecznej.

Czasem, gdy młode zabaraszkowały w drodze, oglądała się za nimi dobrotliwie, spokojnie, cichutko pomrukując, jakby z perswazją. Śmieszne, z garbatymi karczkami podrzucały wtedy słupki nóg, trzęsły uszami, ocierały się o kanciaste badyle rodzicielki.

Przed gęstwą wierzbiny, z górującymi nad nią tu i ówdzie strzałami olszyny, łosza przystanęła, przepuszczając młodą parkę przed siebie. Jeszcze nasłuchiwała, pociągnęła powietrze szerokimi, niekształtnymi nozdrzami, uszy jej zadrgały, łowiąc każdy szelest. Ale tylko łagodny podmuch wiatru, wstrząsający szczytami niedalekich drzew, maćcił przedwieczorną ciszę.

Rozbłysła czerwienią kula słoneczna, stoczyła się za zwartą linię puszczy, zmroczniało w jednej chwili, wyraziste przedtem cienie zbiły się w jednolitą szarość.

Jeszcze kilka muśnięć o smakowite pędy i wreszcie legowisko wydeptane u stóp starej wierzbiny, zasłane liśćmi i gałęziami — bezpieczne miejsce spoczynku.

Matka chwilę kręciła się w miejscu, przydeptywała racicami prostujące się gałęzie, a potem, przyklękając na przednie badyle, ciężko legła na wilgotnym podłożu. Małe jeszcze wierzgały, brykały nie wykształconymi patykami nóg, wyraźnie już jaśniejącymi, i kręciły na wszystkie strony ruchliwymi, nieproporcjonalnie dużymi łbami. Rozstawiając szeroko nogi, próbowały wyskubać coś z trawy zgniecionego podłoża, a potem nagle, jakby tknięte jedną myślą, niezgrabnie, z łomotem zwały się na ziemię tuż przy usianym drobnymi kłaczkami brzuchu matczynym.

Nad turzycowiskiem, nad gąszczami przybagiennymi zarośli poprzetykanych olszyną i osiką wierzbiny, nie opodał zwartej ściany olbrzymów świerkowych, obejmowała władanie noc. Jeszcze niosły się przez nią jakieś pogłosy, dalekie, nieznane echa, zaszumiało coś w górze, aż małe drgnęły w tej ostatniej przed snem przytomnej chwili, ale kłępa mruknęła, uspokajająco, wiedząc, że to tylko puchacz wyrusza na łowy. Potem i ona zaniepokoiła się dobiegającym z oddali, ledwo słyszalnym naszczekiwaniem psa, uniosła nieforemny pysk ze zwisającymi mokrymi chrapami, nasłuchiwała długo, długo, aż szczekanie ustało zupełnie. Wtedy wyciągnęła się wygodniej, wydając westchnienie jak po męczącym, trudnym dniu. Ostrożnie, aby nie urazić małych, podciągnęła pod siebie tylne badyle, uszy jej zwisły, łeb kiwnął się jakby bezradnie. Małe dawno już spały, spokojne pod taką opieką...

Wraz z siostrą przyszedł na świat we wczesny kwietniowy dzień, o samym świtaniu, kiedy jeszcze nocny chłód nie myślał wychynąć z zieleniejących krzewów, a na bagiennych oczkach wodnych lśniła cieniutka tafelka parzącego język lodu. Łosza, zmożona wysiłkiem, leżała pośród kępy karłowatej brzozy, różowiejącej jeszcze tylko na młodych pędach, ostrożnie wypuszczającej delikatne, seledynowe listki. Łagodnym, pełnym matczynej miłości spojrzeniem ogarnęła dwoje młodych, zlizywała językiem ich zlepione, delikatne, jasne w odcieniu sukienki i niezgrabne, chude badyłki, na których z trudem, drząc całe, uczyły się pierwszej sztuki samodzielnego stania.

Pełnym podziwu, trwożnym cokolwiek wzrokiem spoglądały też na dumnie buszującego wokoło ojca, potężnego byka, co to niejednego w życiu doświadczył, wstrząsającego co chwila dobrze już podrosłymi po zimowym zrzucie łopatami, trącającego nimi młode drzewka, które dygotały wówczas długo, lękliwie.

Taki już został ojciec w ich pamięci: potężny, groźny, siłą przebijający się przez największe chociażby gąszcze, gnący swoim ciężarem młode drzewka, potrząsający łbem z zawsze mokrymi, szerokimi chrapami, z rozkudłaną brodą, przesmykujący się przez kolebiące się mchy moczarnych rozlewisk, pyszniący się rozrosłą, potężną łopata z różą tak wielką, że

ginał na niej łeb młodziaka, gdy w czasie spoczynku byka próbował kiedyś obejrzeć bliżej rosochy.

Któregoś dnia byk nie wrócił na turzycowisko, kędy kłępa żerowała z młodymi. Długo zwlekała z udaniem się na legowisko. Kluczyła brzegami małych jezior, skrytych za płataniną trzciny i bagiennej roślinności, podciągała pod dymiące oparzeliska, nasłuchiwała od zarośli i zagajników, od boru i tylko z rzadka brzošką karłowatą porośniętych mokradeł. Próżno jednak wyteżała wzrok, daremnie nawąchiwała z każdym najlżejszym podmuchem wiatru. Byk nie wrócił ani tego wieczora, ani następnych...

Małym pozostało po nim wspomnienie, które zacierało się w pamięci wśród natłoku nowych wrażeń, zjawisk i dziwów poszerzających ciekawy świat. Tym bardziej trzymały się łoszy, tym mocniej tuliły się do niej w krótkie, letnie noce i pędziły susami do jej silnego boku w każdym niebezpieczeństwie.

Kłępa po zginieciu byka zrobiła się jeszcze bardziej czujna i jeszcze bardziej rozkochana w tych dwu niezgrabnych podrostkach, fikających swobodnie po puszczańskim obszarze. Szczególnie bała się naszczekiwania psów i pojawiających się czasem z dala dwunożnych postaci. Wtedy ostro zapędzała młode, kryła się wraz z nimi w najgłębszych chaszczach, gotowa każdej chwili walczyć o życie ich i swoje. Ale szczekania cichły, dwunożne sylwetki oddalały się, znów spokój zapanowywał na mokradłach puszczańskich bezdroży.

Dni płynęły szybko, noce stawały się dłuższe. Młode rosły, ciągle jeszcze niezgrabne, ale już silne, pewniejsze siebie, śmieiej oddalające się od matki. Takie samodzielne wycieczki kończyły się często gwałtownym truchtem, przechodzącym w niezdarny jeszcze galop, gdy jakieś nieznanne zjawisko tarasowało drogę. Kiedyś młody byczek przestraszył się niewielkiego stworzenia, które, równie zdziwione, stanęło na wąskiej ścieżynie, wiodącej skroś strzelistego brzeźniaka. Początkowo zaciekawiło go ostre fukanie, dochodzące spośród liści. Stanął, rozkraczył się, by lepiej dojrzeć to coś szeleszczące przy ziemi. Dziwaczne stworzenie, które znalazło się teraz pomiędzy jasnymi badyłami młodziaka, skuliło się w kłębek. Nastąpiła długa chwila milczącego oczekiwania. Łoszak potrząsnął głową, potem, zaciekawiony do najwyższego stopnia, lekko wysunął nogę ku zamarłej kuli. Kula podskoczyła, rozfukała się przeraźliwie — byczek odskoczył rozbawiony. Po chwili zbliżył się jeszcze raz, przychylił głowę, zniżył do dziwacznej kuli pulsujące, delikatne chrapki. Kula znów podskoczyła do góry, ostre kolce zraniły wargi młodziaka. Zabeczał, szarpnął się przerażony do tyłu, a potem, rozbiwszy głowę o drzewo, pognął, jak nieprzytomny do miejsca, gdzie pozostawił matkę i siostrę. Długi czas później unikał brzeźniaków, a gdy już musiał w nie wkraczać, ostrożnie spoglądał pod swoje badyłki.

W jesieni suknia matki nabrała lśniącej, mocniejszej barwy, młode też przytyły, podpasły się na rozległym turzycowisku, obfitującym w osinę i zarośla szczególnie smakowitej wierzby, nie mówiąc o ziołach i trawie. Łosza prowadziła młode do lasu, uczyła orientacji, odchodząc daleko, daleko od legowiska, kryjąc się potem przed dziećmi albo uciekając z chlupotem i dudnieniem. Galopując co siłą, zostawały w końcu i traciły matkę z oczu. Spokojne było to lato i ciepła jesień, syte i pełne słońca. Niebezpieczeństwa szczęśliwie omijały dotąd uszczuploną po zaginięciu byka rodzinę. Czającego się kiedyś na drzewie drapieżnego rysia łosza wyczuła z daleka, starannie ominęła zasadzkę. Ze stadami dzików mijali się spokojnie, nie zawadzając sobie nawzajem. Wilki w tej części puszczy nie dawały znać o sobie. Co zaś najważniejsze, nie pojawiały się też dwunogie istoty, lękiem przejmujące cały niemal puszczański świat.

A jednak musiało nastąpić zdarzenie, którego omal życiem nie przypłacił młody byczek, a które skłoniło kłepę do porzucenia legowiska i do wędrówki w inne dziedziny puszczy.

Liście na drzewach zmieniały już barwę, pędy młodych drzew straciły wiosenną soczystość, byczkowi zaczęły nabrzmiewać na głowie twarde, swędzące guzy, którymi tarł zapalczywie o grube pnie. Tego ranka łosza powiodła młode daleko w puszcę, na suchy i piaszczysty teren, chcąc dotrzeć do następnego turzycowiska. Wiatr był dosyć silny i dlatego pewnie nie wyczuła dwóch wielkich psów, które od strony przeciwnej wiatrowi wypadły nagle z rozgłośnym, wściekłym ujadaniem. Małe były trochę oddalone. Nim się spostrzegły, już im wpadły na karki rozognione brytany. Zadudniło po lesie, tak runęła łosza w tę stronę, nagłona jeszcze żalonym nawoływaniem byczka, bezradnie szamocącego się z psem, który uczeplił się jego wielkiego ucha. Próżno chude badyłki wyskakiwały w powietrze, siekąc nimi na wszystkie strony; pies nie popuszczał, a wzrastający ból odbierał przytomność, przesłaniał wszystko.

Łosza dopadła napastników. Chwila — i po lesie rozległo się przeraźliwe skomlenie i skowyt, zmieszane z ujadaniem. Badyłe oszalałej ze strachu matki zawirowały w powietrzu, dźwignęły przed siebie cielsko psa, które nagle oderwało się od ucha łoszaka i frunęło w powietrze. Nie zdążyło opaść, gdy znów natarły na nie twarde racice. Pies dotknął wreszcie łapami ziemi, ciągle skowycząc/ smyrgnął w bok, zawinął w jedną stronę, w drugą, umykając w trwodze przed ścigającą go kłepą. Wreszcie zaszył się w jakiś wykrot, tam skomlał przenikliwie, wzywając pomocy. Towarzysz jego, nie czekając swojej kolei, rwał przez las.

Rozwścieczona łosza długo jeszcze krążyła między pobliskimi drzewami. Wreszcie, nie mogąc wydobyć spod wykrotu zestrachanego psa, zawróciła do młodych. Łoszaki stały przytulone do siebie. Ucho byczka zwiślało rozerwane przez pól, krwawiło silnie. Matka lizła

je starannie i długo, mały tulił się do niej, spoglądając czasem wilgotnymi, smutnymi oczami jakby z pytaniem, za co spotyka go taki ból.

I wtedy dobiegło przez las donośne nawoływanie człowieka przyzywającego psy. Łosza drgnęła, nastawiła uszu, chwilę nasłuchiwała, a potem, zaganiając przed siebie młode, rzuciła się do ucieczki. Łoszaki nie wytrzymały szalonego galopu, zadyszane, zmęczone przystawały, spojrzeniami błagając matkę o chwilę spoczynku. Stawała, wyęzając słuch, po czym znów zrywała się do ucieczki.

Droga do własnego turzycowiska trwała nieporównanie krócej niż niedawna wędrówka do wysokiej części puszczy. Młode, gdy dotarły do legowiska, nawet nie odgarnęły raciczkami suchego listowia, jak to zazwyczaj czyniły. Zginając kolana, zaraz runęły jak nieżywe, zapadając, w mocny sen. Były spokojne, mając matkę przy boku. Byczek tylko wstrząsał się czasem przez sen i popiskiwał, a łosza zlizywała mu wtedy z naderwanego ucha zakrzepłą krew.

Następny ranek przywitał ich od razu dalekim echem głosu dwunożnej istoty. Łosza długo nasłuchiwała, niespokojna, pamiętna wczorajszej przygody. Potem poprowadziła młode w stronę przeciwną tej, skąd dobiegł ją złowróżbny głos.

Ciche, spokojne turzycowisko przestało być bezpieczną przystanią dla trójki łosi. Klępa z każdym dniem przejawiała coraz większy niepokój. Aż gdy pewnego razu po czystym niebie przetoczył się nagle długi, ostry grzmot, podjęła decyzję. Wiedziała, że grzmot taki niesie zawsze ból i zło.

Tego samego dnia trójka łosi porzuciła swe legowisko, podejmując długą wędrówkę w inną część puszczy. Młode były już podchowane, nabrały sił i stać je było na taką przeprawę.

U celu zetknęli się przybysze z turzycowiska ze stadkiem łosi, którym przewodził rozrosły byk o porożach gęsto usianych wyrostkami. Dwie łanie z młodymi spokojnie przebywały pod taką opieką.

Łoszak z podziwem patrzył na potężnego byka. Wydawało mu się jednak, że ojciec jego był jeszcze bardziej mocarny...

II

Młody byczek szybko dorastał w stadzie. Jego kanciaste, początkowo niezgrabne kształty nabierały już męskiej urody. Łeb tężał, chrapy obwisły, rozszerzając się przy końcu. Kark silnie opadał ku tyłowi, maść stawała się wyraźnie płowobrazowa, odcinając się od białych, silnych badyli.

Wkraczał w trzeci rok życia. Znow wiosna przechodziła niepostrzeżenie w lato, noce były krótkie i parne, gorący oddech młodych klep drażnił byczkom nozdrza, ale nie pozwalały sobie na żadne brewerie, przejęte respektem dla potężnego byka, który dla przestrogi często potrzasał zdobnymi w pasemka łopatami.

Tych łopat najbardziej zazdrościł młodzik staremu bykowi. Gdy nachylał się czasem nad czystą wodą, widział swoje widelki mizerne jeszcze i skromne wobec tamtych wspaniałych poroży. Tyle przynajmniej, że widelki te nie bolały już teraz jak poprzednio, gdy po zrzućeniu długich, ostrych szpikulców, wyrosłych mu przed rokiem, na ich miejscu zaczęły się pojawiać grube, niekształtne rogi, pokryte delikatną, miękką skórą, która krwawiła przy lada potrąceniu o drzewo. Dopiero minionej jesieni, gdy upały letnie wysuszyły delikatną narośl, zdarł swędzącą skórę przez pocieranie o drzewo.

Widelki przydawały się o tyle, że można było dzielniej potykać się z rówieśnikami, rozstawiając szeroko przednie badyle i chyląc kanciasty łeb. Mocne uderzenie zwałało przeciwnika na ziemię, a jak bolało, wiedział z własnych doświadczeń, bo i sam nieraz nie zdążył uskoczyć przed szybkim atakiem towarzysza.

Stadko ich zmniejszyło się, matka odeszła bowiem z młodym bykiem, który zjawił się ubiegłego roku, przepłoszony z innych terenów — stary łoś nawet wiele z nim nie wojował, lekceważąco traktując przeciwnika, jakby nie uważał go za godnego starcia. Jedna z klep wpadła w stromy dół, przedzielający leśną ścieżkę, i nie mogła się z niego wydobyć, a młodziutkiego byczka porwały zimą chybkie wilki, osaczające stado przez długie dni.

Dorastający łośzak ciężko przeżył tę zimę. Śnieg był wysoki, po nagłych odwilżach spadł znow grubą, sypką warstwą. Wtedy badyle grzęzły głęboko, utrudniając poruszanie się. Gorzej jeszcze było, gdy na śniegu narastała szorstka lodowa polepa, pękająca przy każdym mocniejszym stąpieniu, raniąca golenie do krwi.

W takim właśnie czasie, gdy poranione nogi trzymały ich na mniejszych przestrzeniach, osaczyły ich wilki. Nocami krążyły cicho, ostrożne, zwinne, aż stary byk grzmiał gniewem, wybiegał przed skupione w legowisku stado, tupał z pasją badylami, i znow cofał się przed śmigającymi cieniami. Jednego z napastników, bardziej widać wygłodzonego, stąd też mniej ostrożnego, stary byk porwał na łopaty, kilkakrotnie podrzucił do góry, a potem badylami wdeptał w śnieg, aż została bezkształtna masa.

Tydzień później stadko zostało bez obrony pięknych jego poroży, byk bowiem zrzucił je gwałtownymi uderzeniami o pień potężnego świerka. Ale zaraz już pocieplało, wilki odpłynęły z łośiego matecznika, znowu można było spokojnie ogryzać smakowitą korę brzóz, osik i olszyn...

I tak powoli zima minęła, liście jeszcze nie zaczęły zmieniać barwy i sypać się na ziemie dywanem szeleszczącym pod racicami, nie trzeba więc było myśleć o ponownych dniach chłodów i zimowych niebezpieczeństw.

Młody byczek buszował w stadku, żwawy, rozrośnięty, figlarny, aż go czasem łosze uspokajały gniewnym szturchaniem łbami. Nastawiał wtedy swe widelki jakby w przekomarzaniu i wycofywał się do bardziej wyrozumiałych rówieśników.

Puszcza była cicha, spokojna, soczystych pędów nie brakło. Rozlana po silnych deszczach woda chlupotała pod badylami, aż ochota brała nabierać rozpędu i galopem przelatywać przez rozlewiska, rzucając na strony bryzgi. Albo na mokradłach przesmykiwać się z kępy na kępę, szybko cofając nogi z zanurzającej się warstwy mchów, szukając następnego punktu oparcia dla nabierającego wagi ciała.

Buszował zawadiacko, potrząsając czasami rozrosłym, kanciastym łbem, a prawe ucho, postrzępione przez psy we wczesnej młodości, dygotało wtedy i zawijało się jak liść niesiony wiatrem.

Gałęzie osiki trzęsły się już trwoźniej dniem i nocą, brzoźki szybko żółkły, sypiąc na ziemię delikatnymi płatkami, młode pędy utraciły swoją soczystość, wiewiórka zapobiegliwie ładowała spiżarnię, gdy nowe, nieznanne przedtem echa docierać zaczęły do najgłębszych zakątków puszczy, do niedostępnych łosich mateczników, w nieprzebyte rojsty i trzęsawiska.

Powietrzem szło coraz częściej jakieś niepokojące dudnienie, czasem zrywał się nagły, gwałtowny grzmot, choć niebo było czyste. W ślad za nim gwałtowny podmuch szumem przebiegał między drzewami. Zwierzęta żyjące na skraju puszczy szukały teraz schronienia w najgłębszych jej partiach. Po niebie przelatywały jakieś ptaki z wściekłym warczeniem, niby rozeźlone, olbrzymie wilki.

Tak trwało to jakiś czas, potem ustało. Zdawać się mogło, że uszczuplona łosia gromadka spokojnie doczeka zimy, korzystając z obfitych darów jesieni. Ucichły grzmoty i dudnienia; zginęły z jasnego nieba łuskające srebrzystymi skrzydłami potworne ptaki, drzewami nie wstrząsały obce, nadchodzące z daleka gwałtowne podmuchy. Znow można było paść się spokojnie, przyginać piersią i badylami wyższe gałęzie i drzewka, ogryzać z nich smakowitą korę, wyszukiwać zeszłoroczne jagody na bagiennych żurawiskach, żuć cierpkie pędy wierzby i olszy.

Młodziaki rozhasały się, łomot szedł między krzewami, gdy uganiały za sobą, a rozlana po spadłych wreszcie deszczach wysoka woda chlupotała pod racicami. Nawet potężny byk, ostrożny i czuły na każdą oznakę niebezpieczeństwa, zaufał spokojowi moczarnych rozlewisk — mniej zwracał uwagi na to, co się dzieje w najbliższej okolicy.

Cios uderzył w stado niespodziewanie, pod wieczór, kiedy drzewa i krzewy zaczęły słać się na ziemi długimi, fioletowymi cieniami, a wśród gałęzi kokosiły się ptaki, szukając miejsca nocnego spoczynku. Od skraju turzycowiska, w miejscu, skąd wypływała leniwa rzeczulka, wychynęła nagle sylwetka dwunożnej istoty. I zaraz potem echem poniósł się nad rojstami ostry grzmot, jeden, drugi. Przewodzący stada byk zatrzęsł raptownie głową, potem zdumiony spojrzął pod swe badyle, gdzie posypały się ułamki rosochów. Podniósł zaraz łeb, zakolebał nim, dał hasło do ucieczki. Wspaniałym galopem przemknęło stadko przez mszar trzęsawiska, zruszyło gęsty, karłowaty brzeźniak, zniknęło w gęstwinie niskopiennych sosen.

Okreżną drogą wiódł swoich na legowisko byk z potrzaskanymi łopatami. Gniewny był, oczy jego nabiegły krwią. Mieszany las dzielił ich teraz od skrytego wśród drzew jeziora, opodal którego spędzała noc łosia rodzina.

Byk obejrzał się, przystanął, tupnął badylami. Jedna z klep zatrzymała się niespokojnie, strosząc uszy i łapiąc w wilgotne chrapy wonie ciągnące z powiewem wiatru. Stadko zakreśliło się koło niej. I wtedy samiec wpadł w pasję, krzywiąc łeb runął w kierunku nieposłusznej klepy, bodnął ją nadłamanymi pasemkami u łopat, zatoczył krąg, pognął w poprzednim kierunku. Obawa przed ciosami potężnych łopat bez reszty podporządkowała stado przewodnikowi.

Wypadli na małą polanę. I wtedy dopiero stary byk zarył nagle badyle w ziemię, zatoczył koło, rzucając się do ucieczki. Było już jednak za późno. Zasłyszany łomot uprzedził dwunożne postacie na polanie o zbliżaniu się grubszego zwierza. Rozległ się grzmot, w ślad za nim śmignęło w powietrzu coś okrągłego, huk przetoczył się puszcza. Byk zachwiał się, ale zdążył dopaść zbawczych drzew u skraju polany. Próbował jeszcze wyrzucić potężny swój tors do góry, badyle zawirowały przez moment w mroczniejącym powietrzu i zaraz potem olbrzym z bolesnym sieknięciem zwałił się na bok.

Na polanie została też martwa klepa z małym, półrocznym łoszakiem, wybuchem granatu rozerwanym niemal przez pół.

Dwuletni byczek z ostrymi widełkami na łbie zuchwale przejął przewodnictwo nad pięciu pozostałymi sztukami. Kładąc widelce na siebie, rwał pomiędzy drzewami, tratując krzewy, wypadł z zagajnika krępej sośniny w podszyty wierzbiną karłowaty brzeźniak, przystanął u skraju grzęzawiska, nateżając słuch i z poświstem wciągając powietrze rozdygotanymi chrapami. Zastygła obok ciemnooka łosza, para rówieśników i młodzieńki byczek, ze zmęczenia nie mogący już ustać na dygocących badylkach. Ciężko legł na posłaniu mchowym, zdumione oczy wytrzeszczając na uszczuploną rodzinę.

Łoszak spoglądał chwilę na stadko, wstrząsnął łbem i tupnął badylem, jakby znakiem tym obejmując władzę, po czym spokojnie już, czujny, ostrożny, okrężną drogą powiódł swoich na przeciwległy skraj bagniska, gdzie gęstwa krzewów gwarantowała osłonę. Dawne legowisko było już dla nich stracone.

Rówieśnik byczek, również przeżywający trzecią wiosnę swego żywota, człapał ze zwieszonym łbem, coraz to przystawał, jakby śmiertelnie znużony, gęsta ślina obficie skapywała mu z pyska. Powoli odstawał, pozostała czwórka wyprzedzała go, coraz bardziej rozżalonymi oczyma ślepił więc za nimi przy pogłębiającej się szarówce, coraz to ciężiej przestawiał zmęczone badyle.

Dobrnął jednak wreszcie i on na miejsce nowego legowiska, wybrane przez towarzysza. Przewodnik stada poczuł wtedy znajomą woń, związaną ze wspomnieniem dziecięcej jeszcze przygody z psami, które urwały mu ucho. Dojrzał, jak rówieśnik jego z postękiwaniem liże jedno i to same miejsce. Zrozumiał. Zapach krwi zawsze łączy się z bólem, jest nieodłączny od niego.

Nad ranem zbudzili się do życia tylko we czworo. Raniony młodzik nie doczekał już jasnej tarczy słońca, wypływającej zza lasu. Rana okazała się silniejsza nad jego chęć życia.

Niedługo potem młodociany opiekun powiódł starą i młodą kłepę oraz utrudzonego maleńkiego byczka na inny teren, by szukać nowego legowiska, gdzie może nie będzie dwunożnych istot, za pomocą grzmotów siejących śmierć pośród łosiego rodzaju.

Puszcza była rozległa. Ciągnęła się wielkimi szmatami płaszczyzn drzewnych, rozwierała nasrebrzone słońcem polanę turzycowiska, zapadała w niziny jeziorzek, stawków i mokradeł śródleśnych. Ciemne bory zniżały się ku wesołym zagajnikom, staczały na karłowaty las bagienny, znów gdzieś od skraju rojstów znaczonych żurawiniskami rozrastały się borzyste bezdroża, gdzie iglaki prowadziły nie kończącą się wojnę z liściastym bractwem. Partie sosnowe ustępowały olszom, to znów mieszały się ze sobą jakby na mocy tajnego porozumienia.

Jeszcze znajdował zwierz w puszczy ostępy zupełnie dzikie, niedostępne obcym przybyszom, jeszcze w jego władaniu pozostawały uroczyska i mateczniki. Leśny strumień rozlewał się czasem w szeroki staw, upstrzony kępami rosnących wśród wody drzew. Za zbliżeniem się byka wiodącego stado płaskały o wodę bobrze cielska i tylko kręgi leniwe, rozchodzące się wokoło, świadczyły o niedawnej obecności pracowitych drwali. Jelenie spokojnie ustępowały drogi, wilgotnymi, jakby wiecznie załzawionymi oczami spoglądając na wędrowników. Spaśny borsuk chyłkiem śmigał do jamy skrytej pod próchniejącą kłodą

zwalonego srogą wichurą leśnego olbrzyma. Sarnie tropy przecinały las licznymi ścieżkami, klóciły się z odciskami dziczych racic.

Spokojny był jeszcze i syty zwierz puszczański, chociaż wojna pojawieniem się dwunogich istot, groźnymi podmuchami wybuchów i warkotem metalowego ptactwa dała niedawno znać o sobie, przecinając niejedną nić leśnego życia.

Czas jesieni znaczył się barwnym liściem, z cichym szelestem sypiącym się z brzoź i osin, z dębiny i olszy, z rzadszych grabów i klonów. Na mokradlanych kępach wdzięczyły się karminowe żurawiny, wśród burawych listków pyszniły się gronka borówek, wokół leszczynowych gąszczy śmigały wiewiórczeta, przewalały się dziki przesycone żołądziami.

Stadko łosie szukało nowego legowiska, noce spędzając tymczasem w przygodnych schronieniach. Czasem trwożyło się w wieczornej godzinie, słysząc żałośliwy bek sarnięcia rozrywanego przez rysia, to znów tuliło uszy, gdy z cichym łopotem' przelatywał nad nim puchacz tropiący zdobycz. Wilki, syte drobnego zwierza, nie łącząc się jeszcze w stada, śmigały pojedynczo albo parami, wiodąc niezgrabne, ale już złowrogo wodzące oczyma młode z tegorocznego miotu.

Chłodne wieczory, szadź o wschodzie pokrywająca siwizną: mchy, zioła i krzewy, czasem cieniutkie, przezrocyste szkliwo, powlekające miejsce puszczańskich poidel — niosły już pierwsze zapowiedzi zimy. Młodociany przywódca łosiego stadka zdecydował zakończyć długie poszukiwania. Od paru dni przebywali nad wielkim turzycowiskiem, tak rozległym, że ledwie je bystry wzrok ogarnął, obfitym w wodę, postrzępionym po brzegach zagonami rozhukanego krzewia, przechodzącego w płataninę olszyn i wiecznie rozgadanych siedzib osiny.

Turzycowisko było piękne, głębokim klinem wchodzące w zwarty las bagienny, rozległe, przy najlżejszym wietrze szumiące jak woda jeziora i przewalające się na kształt fal łanami turzycy, trzciny, gnidosza o karbowanych liściach i rozweselającej wszystko swym białym puszkim welnianki. Torfowa wierzba i brzoza, brodawkami znacząca mizerne pieńki, stały się kępami nad brzegiem leniwej rzeczutki, wiodąc zacięty bój z gęstwą rozpanoszonych szuwarów. Obok szarobiałego mchu torfowego wykwiwały ciemnoliliowe wrzosy, odbijając od karminu dojrzewających żurawin. Ostre, trójgraniaste słupki turzycy pięły się wysoko, aż młody byk wyciągał głowę, by rozejrzeć się swobodnie po najbliższej okolicy. Na niektórych łodygach chwiały się kuliste gniazda myszy badyłarek, a ich właścicielki w poszukiwaniu owadów i nasion zręcznie przesmykiwały się z miejsca na miejsce. Brunatnoszare o tej porze bataliony z łopotem skrzydeł podrywały się spod łosich badyli albo na swoich długich, cieniutkich nogach błyskawicznie odbiegały w gęstwą traw.

Październikowe dni i noce mijały teraz w maleńkim stadku pełne niepokoju, postękiwań i wzdychań. Stara kłępa czuła czas godowy; pochrapując namiętnie, nasłuchiwała, czy nie dotrze kędyś z oddali wabienie byka. Ale nic nie odpowiadało z turzycowisk i lasów, jakby nie było już więcej łośi na całym puszczańskim obszarze. Młoda łośza i maleńki byczek nie doświadczali jeszcze tych tęsknot i pragnień, ale budziły one nowe uczucia w młodym byku — przewodniku stadka. Krążył niepewnie, podniecony zapachem kłępy, kręcił głową stojną w młodzieńcze widelce, łapał w nawilgotniałe chrapy dziwne wonie. Kłępa odpędzała go energicznie wierzganiem racic, obojętna wobec zakusów młodziana. Nasłuchiwał wtedy, zniechęcony, jelenich głosów, dobiegających z licznych rykowisk.

Z puszczy tymczasem nadal nie nadchodził odgłos bukowania, długich nocy nie mąciło buczenie, charczenie i godowe rżenie łośich stadł. Kłępa przednimi badyłami gniewnie grzebała ziemię, zła, rozdygotana. Młody byk nie wytrzymał, zrywał się z legowiska, krążył stęskniony, łamał w pasji młode drzewa, tratował krzewy, buczał nieudolnie i cicho.

Pierwszy śnieg, który spadł wyjątkowo wcześnie w tym roku, przygasił miłosne zapąły. Kłępa przestała nasłuchiwać leśnych pogłosów, młody byk rozprężył swe rozrosłe piersi, dumny ze sprawowanej funkcji przodownika i opiekuna stada.

Pierwszy ten śnieg jeszcze stopniał, ale zima nadchodziła teraz szybkim krokiem. Poranna tafla szkliwa na leśnych oczkach nie ginęła już w ciągu dnia, szadź na gałązkach wierzby jak ostrzem raziła chrapy, powietrze było przejrzyste, niosły się nim daleko najłżejsze szmery czy ruchy puszczańskiego zwierzęcia.

Stadko łośie z pobliza turzycowiska przeniosło się w splątany gąszcz błotnistego lasu. Zwalone pnie starganych wichrem brzoź i osiny, błotniste wadoły, pełne śladów dzików, nieprzebyta ściana drobnych krzewów, z rzadka przetykanych świerkiem i brzozą, płatanina olszowych pni, bujne poszycie traw> paproci, pokrzyw i mchu — stwarzały wymarzony matecznik zimowy, chroniący od wiatrów i leśnych wrogów.

Strzelająca opodal w górę kępa osiczyn kusiła smakowitą korą, zdzieraną jak dłutem ostrymi zębami, pobliska wierzbina obiecywała gorzkie pędy, pulsujące sokiem. Maleńka polana, porośnięta maliniakiem, pozwalała na przedwieczorne harce.

Dopóki jeszcze śniegi grubą warstwą nie zaległy ziemi, łośie wałęsały się z miejsca na miejsce, brodziły po moczarach nad rzeczką, przesmykiwały się przez rojsty, w chłodne dni, dymiące oparzeliskami, szukały na turzycowisku niskich kęp karłowatych drzewin, wędrowały do poidła przy źródle tryskającym opodal niskiego grondu. Dopiero z chwilą gdy smukłe, grające mięśniami badyłe poczęły grzęznąć w białej, miękkiej roztoczy, zacieśnił się krąg codziennych wędrówek do najbliższych okolic matecznika.

Przodownik stada wcześniej zrzucił tego roku swoje widełki, z pasją żgając nimi twardy pień zabląkanego w pobliżu legowiska starego świerku. Zły był tego dnia, że ani przystęp. Gdy stara kłępa podeszła zaciekawiona i zniżyła chrapy ku czerniejącym na śniegu zrzuconym rogom, musiała uciekać, tak ostro natarł na nią nad wiek rozrosły młody, zapalczywy byk.

Od dawna już ucichły grzmoty, dobiegające przedtem z różnych stron puszczy, czujny węch nie łowił zdradliwych woni, słuch nie chwycił niebezpiecznych pogłosów. Wydawało się, że czwórka łośi bezpiecznie i spokojnie doczeka wiosny.

Któż mógł przewidzieć, że na drodze młodziutkiego, ledwo trochę ponad pół roku liczącego swawolnego byczka stanie rosły, rozwścieczony odyniec, który aż tutaj zapędził się w samotnej włóczędze po szlakach puszczańskich. Może by spotkanie skończyło się niczym i każdy z nich powędrował swoją drogą, choć siwiejący już na szczeci odyniec groźnie chrumkał i toczył małymi, krwią nabiegłymi oczyma, gdyby nie naiwność byczka, który, zamiast ustąpić drogi i wyrywać co siły w badyłkach, szeroko wytrzeszczył oczy na dziwnego zwierza i nawet tupnął raciczką dla dodania sobie rezonu. Spotkał się już bowiem nieraz i z lochą wiodącą warchlaki, i z harcującymi wokoło wycinkami, widział jednego z drugim odyńca, ale mijali się zawsze z daleka i żaden nie był podobny do tego olbrzymiego pojedynka, łyskającego szablami, zamarłego teraz jak pień drzewa na leśnej ścieżynie.

Odyniec drgnął, przestraszony byczek cofnął się o krok, jeszcze spoglądał naiwnie, choć lęk przenikał go teraz coraz silniej. Wszędobyłski kos zakręcił się nagle nad nim, rozwrzeszczał się cały las. To wystarczyło, aby w groźnym samotniku wyzwolić furie. Jak taran runął wprost przed siebie na byczka, który zakręcił się, zerwał do panicznej ucieczki, ale już było za późno. Próżno rozbeczał się przeraźliwie, wołając o pomoc. Gdy zwabione tym bekiem pozostałe łośie wypadły na ścieżynę, byczek krwawił posoką z boku, rozoranego na całą długość szablami pojedynka. Odyniec podniósł łeb, zamigotały jego przekrwione oczka, zakręcił w miejscu, pognął w las, pędząc sobie tylko wiadomymi drogami i przesmykami wśród wielkich drzew ze skłębionym pod nimi poszyciem. Próżno byk pognął za nim, łamiąc młode drzewa, tratując krzewy i niecąc tumany śniegowego pyłu. Odyniec czuł się pewniej na tym terenie, sprytnie kluczył i nawet zostawił wroga daleko w tyle...

Tej samej nocy przytulona do siebie trójka pozostałych łośi posłyszała dochodzący z daleka pierwszy tej zimy zew wilczy. Łanie zadygotały, bardziej przylgnęły do mocnego boku byka.

Zew wilczy niósł się długo, przez noc...

III

Zostało ich tylko troje na całym nieprzebytym obszarze puszczy. Klępa, łoszak dobiegający teraz roku i on, byk rozrosły, mocarny, o szerokiej piersi i długich, jędrnych nogach, wietrzący powietrze ciemnymi, rozdygotanymi nerwowo chrapami. Rogi jego, mimo że na każdym naliczyć można było jeszcze tylko po sześć pasemek, twarde były, ciężkie, rozszerzające się u dołu w szerokie ciemnobrunatne łopaty.

Klępa, buszująca wraz z byczkiem wśród wierzby, płynącej świeżymi sokami wiosny, raz po raz zwracała spojrzenie na dostojnego małżonka. Stał właśnie zadumany nad taflą leśnej wody, u podnóża kępy smukłych olch, łeb przechylił nisko, jakby szukając w rozlewie własnego odbicia.

Łosza była już stara. Dwakroć więcej wiosen witała w swym życiu niż znajdujący się w męskich latach rozrosły byk. Wiele widziała, przemierzyła na swych smukłych badyłkach wszystkie puszczańskie wertepy. Pamiętała październikowe noce, dyszące namiętnością, kiedy drżące klępy kupią się wokół siebie, obserwując byki walczące o ich względy. Wiele rosłych, potężnych samców przewinęło się koło niej przez miniony czas, zmieniali się w stadzie przodownicy, dojrzewały młode byki. Ale żaden nie mógł równać się z tym sześciolatkiem, potrząsającym zawadiacko łbem o rozłożystych łopatach, tupiącym gniewnie badyłami strojnymi w długie białe skarpety, prężącym twarde, wysoki kark.

Byk podniósł łeb w blasku słonecznych promieni, przenikających poprzez młode jeszcze listowie olszy. Mocnym konturem zarysowała się zmierzwiona broda, szerokie chrapy rozděły się, chciwie wciągając rozgrzane powietrze. Uszy łapały najodleglejszy szelest, szmer najcichszy, wiewiórcze zawołanie i łopot skrzydeł żurawia, podrywającego się na dalekim krańcu bagniska. Mięśnie sprężyły się pod brązową skórą, miejscami wpadającą w szary odcień, nogi zadrgały, chwila — i byk runął galopem przez krzaki, przeskakując niższe, tratując masywem cielska bardziej rozrosłe.

Śmigał długim susem przez zdradliwe topiele, ześlizgiwał się z kępy na kępę, potem zatoczył łuk daleki pobok młodziutkiego, jaśniejącego seledynem brzeźniaka. Zawracał ku swoim rozbrykany, jakby był rówieśnikiem niespełna rocznego syna, nie zaś statecznym ojcem rodziny.

Łosza zwróciła swe łzawe, łagodne spojrzenie na syna śledzącego ojcowskie harce. Klockowatym łbem szturchnęła łoszaka w bok, jakby stawiając mu byka za przykład. Mały pojął, parsknął, beknął cichutko i jak taran popędził przez młodniak naprzeciw ojcu. Nie wytrzymała i łosza, pognała ku swoim długimi skokami. Aż zahuczało po lesie, gdy tak rwała

ta trójka rozradowana wiosną, pijana młodymi sokami drzew, syta napęczniałych pędów traw. Aż małeńki ptaszek, trzciniakiem zwany, zadziwił się, ćwierknął, podfrunął na wyższą gałąź brzożową, by nie uronić nic z tego widowiska.

Każdego dnia tej rozgrzanej słońcem, rozjaśnionej kwieciem i rozpachniałej młodością wiosny powtarzała łosia rodzina swe harce. Z niechętnym podziwem kiwały łbami podglądające ją jelenie, a ustatkowane po niedawnych trelach miłosnych głuszce gniewnie podskakiwały na gałęziach około gniazd.

A przecie łosie wyrażały tylko radość z długotrwałego spokoju, rade światu i sobie. Poprzednie lata były ciężkie, coraz to któreś z tych dumnych stworzeń padało pastwą zawodowych i przygodnych kłusowników, harcujących bezkarnie po lesie. Jeszcze ubiegłej jesieni przedzierały się przez puszcze dziesiątki dwunożnych wrogów ze sterczącymi sponad głów kijami, które huczały grzmotem. Łosie zmieniały legowiska, wyszukiwały coraz bardziej niedostępne mateczniki, wszędzie jednak gonila je obca woń i hałas czyniony przez ludzi. Dopiero od zimy zmieniło się w puszczy, odetchnął zmęczony zwierz, odważniej zaglądał do opuszczonych przedtem w popłochu leśnych połaci.

Zdyszane, z ubłoconymi na czarno skarpetami, przystanąły wreszcie łosie w rozległym olsie u skraju polany, przetykanym jesionami i świerkami, bielejącym gdzieniegdzie pniami brzozy, szemrzącym wesołymi liśćmi osiny. Łyskały pomiędzy drzewami małeńkie bajorka, rozniebieszczone okalającymi je niezapominajkami, pod pióropuszcami paproci tworzyły się tajemne przejścia, ściana podnosiła się czasem rozcapierzonym bujnie listowiem dzikiego chmielu. Na polanie białą podścielą rozesała się smakowita rzeżucha. Schyliły się ku niej kłocowate głowy, chciwie zadrgały szczypiące ją całymi pękami szerokie chrapy.

I tylko czasem unosił potężny byk głowę, węszył i nasłuchiwał, badał oczami las dookolny. Spokojny, że nigdzie nie kryje się żaden wróg, podchodził potem do młodych olszyn, łakomie przechylając ku sobie i szarpiąc ich pulsujące sokami pędy.

Od wielu lat pierwsza to była spokojna wiosna w puszczańskich bezkresach...

Szła jesień, drzewa zaczynały się stroić w nowe, sycone złotem kolory, dojrzała kalina, czerwienią jagód konkurowała z nią psianka. Dnie stawały się coraz krótsze, o zmroku zrywał się gdzieś wiatr, szumiąc w koronach drzew.

Świt wstał jakby spóźniony, niemrawo wygrzebywał się z oparów mgły wiszącej nad rozlewiami i bagniskami, pierwszymi promieniami słońca długo przeglądał się w misternych sieciach pajęczyn, skroplonych obfitą rosą.

Byk długo nasłuchiwał nieuchwytnych odgłosów, idących z dali, wznosił łeb, jakby pyszniąc się grubymi rosochami. Ostrożniej niż zwykle powiódł kłepę i łoszaka pod skraj turzycowiska, niedaleki od matecznika, skrytego w gąszczu podszytych łożą brzozowych drągowin.

I wtedy nagle rozjazgotał się cały las ujadaniem psów, które trafiły na trop nieznanego zwierza. Goniąc, ujadały grubo, przerywanie, jakby dławily się kaszlem.

Byk zerwał rodzinę do biegu. Zadudniło, trzask zmieszał się z chlupotem. Białe badyle muskały teren, ciężkie cielska smykały w powietrzu, łomot i dudnienie szło po puszczy, a wraz z nim rozszalały żądzą głos psiego naszczeku. Grzmot jeden i drugi przetoczył się nad turzycowiskiem, psie odgłosy cichły, zostawały w oddali.

Łosie zwolniły biegu. Kierowały się ku gęstemu rozrosłemu olszniakowi, łączącemu się poprzez pasmo grądu z mrocznym borem iglastym. Chrapy rozdymały się szeroko, z cielsk unosiła się para.

Badyle gwałtownie wryły się w sfalowany łąn turzycy. Byk w gniewie potrząsnął rosochami. Kłepa też wyczuła obecność wroga, przysunęła się bliżej do łosia. On stał, słuchał, wietrzył, stropiony, niepewny. Od tyłu narastało ujadanie psów, zbliżało się szybko.

Wróg był z dwu stron.

Zawrócił, za nim pozostała dwójka. Ale już było za późno. Od strony olszniaka potoczył się jeden grzmot, drugi, odbił echem o ściany leśne, długo dygotał nad turzycowiskiem. Kłepa zachwiała się, jeszcze biegła, zwalniała, stanęła, zatoczyła się ze strony na stronę, zachrapała, potem zarzęziła boleśnie i całym ciężarem runęła na wilgotny grunt. Zwolnił biegu stropiony łoszak, zawahał się, a i sił mu już brakło do dalszej ucieczki. Razem z nowym grzmotem uczył ból, wyrzucił wysoko w górę drobne badylaki, zacharczał...

Byk rwał, ledwie tykając ziemi. Za nim pognały teraz grzmoty. Skręcił w bok, znów huk przeciągły przewalił się nad puszcza, z lewa i z prawa, jak sygnał alarmu dla wszystkiego, co żyje. Krzyki dwunożnych istot, jazgot psich nawoływań, echo krążące w odbiciu od jednej ściany leśnej do drugiej, łomot rwącego do przodu olbrzymiego cielska łosia, a z tyłu za nim — ostatni, śmiertelny charkot dogorywającej kłepy, znów seria grzmotów...

Ostry ból, jeszcze mocniejszy zryw do panicznej, nieprzytomnej ucieczki. Zaraz ciąg brzozowych drągowin, za nimi poszarpana linia bagiennego boru. Oczy zmętniały z wysiłku, dygocące chrapy, zapadające się w wysileniu boki. Jeszcze grzmot, daleki teraz, mniej groźny. Aż wreszcie piekielny łomot łamanych rozrosłą piersią drzewek i krzewi.

Gdy w parę dni potem w mateczniku na wysepce olszowej, wśród nieprzebytych rojstów i rozlewisk, byk liżący zranioną nogę usłyszał wstrząsającą powietrzem kanonadę głuchych,

dalekich grzmotów, nie miał już siły, by zerwać się do dalszej ucieczki. Tylko łeb uniósł i zabeczał groźnie, ponuro, jakby na przestrozę. Nie wiedział, że tym razem dalekie grzmoty nie jemu groziły. To dwunożne istoty tak oznajmiały ostateczne zwycięstwo nad wrogiem.

Uniesiony łeb drgał, wstrząsany wydobywającym się z gardła głuchym chrapaniem. To raniony łoś zegnał ostatnie wspomnienie własnego stada.

W puszczy na wielkim turzycowisku pozostał teraz sam jeden. Zachodzące słońce rzuciło rubinowy blask na płowobrazową suknię i jaśniejsze nieco rosochy. Zaigrało chwilę na wyciągniętych w bok przednich badylach w białych skarpetach, rozgorzało potem wielką, ognistą kulą i niemal nagle zapadło za ścianę puszczańskich drzew.

IV

Nie bał się teraz w puszczy nikogo. Rozrosły, potężny, torował sobie drogę swym cielskiem, zgniatał młode drzewka, gniewnie trącał rosochami o pnie leśnych olbrzymów. Nawet wilki wołały omijać szlaki, którymi przeciągał z lekka utykający samotnik. Niejednego już podrzucił wysoko w górę na łopatach sterczących nad kudłatym, zmierzwionym łbem, a potem zdeptał na miazgę wściekłymi uderzeniami racic.

Miał swoje leże w matecznikach, dokąd żadne inne zwierzę prócz niego nie mogło znaleźć przystępu, tak ich strzegły dokoła bagniste rozlewia i oparzeliska. Wędrował przez grondy i olsy, tratował bagienne zagajniki, lawiną sunął po turzycowiskach, groźny, spode łba spoglądający wokoło.

Wczesnym styczniem zrzucał poroża, a wiosną, ostrożnie zaglądając do puszczy, pysznił się już nowymi, bogatszymi w pasemka, szerszymi w łopatach. Ustępowały mu z drogi największe byki jelenie, najzawziętsze samotniki — odyńce śmigały w krzaki, ryś zatajał się, nie chcąc zdradzić swojej obecności. Uciekał tylko w panicznym popłochu, gdy czujny słuch i bystre powonienie doniosły mu o niedalekiej obecności dwunożnej istoty. Gdzieś we wspomnieniu kołatał się ów dzień, gdy pastwą grzmotów wypuszczanych przez ludzi padła kłępa i młody łośzak, on sam zaś długo kurował się w niedostępnym legowisku, liżąc zranioną nogę...

Mijał rok po roku. Wiosny niepostrzeżenie przechodziły w lata, to znów rozzłocona barwa liści na drzewach zawiadamiała o nadchodzącej jesieni, za którą patrzeć tylko, jak podążą śniegi i mróz. Samotny byk jak zawsze żerował na osikach, brzozie, olszy i wierzbinnie. Czasem łakomił się na leszczynowe pędy. W głodniejszych dniach, gdy puszysty śnieg utrudniał poruszanie się, nie gardził i korą leśnych olbrzymów.

Zawsze był zły, naburmuszony. Długa, stargana broda trzęsa mu się, gdy podrzucał niekształtny łeb. Najcięższe jednak były zawsze jesienie. Wokoło rozlegała się pieśń miłosna. Jelenie byki zwoływały się przez las na rykowisko. Łanie spokojnie przystawały u brzegu polan, tuliły się do siebie, patrząc na częste walki samców zabiegających o ich względy.

W takie jesienne noce łoś nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Całymi dniami przebiegał puszcze, pobekując i chrapiąc, jakby głosami tymi pragnął przywołać towarzyszkę życia. Ale puszcza milczała głucho, tylko kolorowe liście z cichym szelestem zasnuwały zielone podłoże. Nikt nie odpowiadał na zew stęsknionego byka. Wtedy rozdygotany wzbierającą krwią gnał przez turzycowiska, przez bory i lasy, niepamiętny mijającego czasu ani głodu, ani ostrożności. Dopiero szalone zmęczenie waliło go z nóg na krótki sen, z którego znów zrywał się z tą samą nienasyconą tęsknotą.

Każdej jesieni od nowa pojmował ciężar brzemienia samotności. On, ostatni łoś puszczański.

Jednego z takich październikowych dni, nabrzmiałych gorącą krwią, pulsującą w potężnym cielsku, gdy, płosząc niemal spod badyli lochę z pokwikującymi warchlakami, rwał przez las bagienny, znowu się spotkał z nienawistną dwunożną istotą. Spotkał się tak blisko, jak nigdy jeszcze w swym życiu.

Człowiek wychynął właśnie z gęstwy brzeźniaka, do którego parł niekształtny, królewski zwierz poprzez zarosła pokrzywą i maliniakiem polanę. Łoś w ostatniej chwili usłyszał i zobaczył zarazem swojego wroga. Nozdrza chwyciły nienawistną woń. Zarył się badyłami w rozkisły grunt, przystanął na ułamek sekundy, jakby wahając się — zawracać, czy jednym atakiem zdeptać, zmiażdżyć istotę, która skazała go na tęskną samotność.

Nienawiść, rozwścieczenie, gryząca żalność ostatnich dni, kiedy puszcza brzmiała nawoływaniem jeleni, przeważały. Zniżając ku ziemi klocowaty łeb z różą rosoch, wspiął się lekko, odbił, aż stęknęły trawy i mchy, pognał ku ciemnej sylwetce, majaczącej na tle brzeźniaka osypanego żółkniejącymi liśćmi.

Człowiek, w pierwszej chwili nie mniej od łosia zaskoczony niespodziewanym widokiem, oprzytomniał. Gwałtownym ruchem zerwał fuzję z ramienia, niemal nie mierząc, wypalił w nadziei, że trafi celnie. W tym widział jedyną szansę. Słyszał kiedyś opowieść o furii ataku ranionego łosia.

Przetoczył się grzmot głuchy, zwielokrotniony echem. Byk uczył szarpnięcie u nasady łopat, huk wyzwolił w nim dawny, paniczny lęk. Zakręcił nieomal w miejscu, z dudnieniem, jak błyskawica, pognał z powrotem w olszak, z którego dopiero wychynął. Z łomotem wpadł pomiędzy drzewa, tratując je i łamiąc, przesmykiwał się pomiędzy grubszymi pniami,

przeskakiwał przez rozlane oczka leśnej wody. A za nim pobiegł jeszcze raz ów przerażający grzmot...

Gdy zziębnięty, ślaniający się ze zmęczenia łoś wreszcie przystanął, uczył że coś mu ciągnie łeb w jedną stronę. Potrząsnął nim, coś zachrząściło — nad oko przechyliła się strzaskana łopata. Długo walił nią o pień rozrosłej jodły, nim część pięknego poroża przedwcześnie legła na siwym mchu, pociętym zielonymi liniami widłaków.

A przecież sądzone mu było zetknąć się jeszcze z człowiekiem w innych zupełnie warunkach. Więcej — skorzystać z pomocy dwunożnej istoty.

Zdarzyło się to najbliższej zimy. Wcześniej sypnęła śniegiem, który wnet stają, po to widocznie, by mróz mógł zaciągnąć wszystko swym szklivem. Księżyc wychynął na niebo wielki, jasny, z mgiełką otoczką, cisza nastąpiła jak puszcza długa. Chłód wzbierał, mróz narastał, aż wreszcie po kilku dniach głucho pobiegły lasem: to pękały pnie jodłowych olbrzymów, nie wytrzymując naporu zimy.

Śnieg długo zwlekał. Aż mróz z nagłą ustąpił, niebo zaciągnęło się niskimi, kłębiastymi chmurami. I zaraz potem sypnęło dużymi, suchymi płatami. Mroczno się zrobiło na świecie, jodły zmieniły się w czubate stogi wezbranej bieli, gałęzie krzewów przygięły się pod ciężarem nisko ku ziemi, maliniak legł pokotem.

Wdała się w to jeszcze zawieja, szła jakby się czając, przerzucała zaspy z jednego miejsca na drugie, zdradziecko zasypywała rozpadliny, wykroty i wszelkie wądoły, piętrzyła się przy lada przeszkodzie. Z góry zaś śnieg wciąż sypał, jakby chciał świat cały wyrównać, jakby zamarzył, by dorównać koronom najwyższych drzew puszczańskich.

Jeleniom i sarnom coraz ciężiej było żerować. Skorupa śniegowa, miękka i zdradliwa, zapadała się pod racicami, sięgała po brzuchy. Łoś musiał się przenieść z gąszczów drągowin do bardziej zwartych lasów.

Śnieg wciąż sypał. Wiatr ustał. Bure chmury zawisły tuż, tuż nad leśną płaszczyzną, jakby jej nigdy nie chciały od siebie wyzwolić.

Dokoła legowiska wielkiego samotnika zbrakło wkrótce pędów i kory do ogryzania. W leżu było ciepło i wygodnie. Nie chciało mu się poruszać, z trudem brnął przez ogromne zaspy, torując sobie drogę szeroką piersią.

Kurzawa wreszcie ustała. Ale świat nadal wisiał nad puszcza skłębioną, ciemną i ponurą. Łoś ruszył na żerowanie. Zapadał się wyżej brzucha, jak taranem torował swym cielskim ścieżki od drzewa do drzewa, od kępy młodniaka, po kraj brzeźniaka, podchodzącego pod

zwarty las. Wokoło legowiska zaznaczyły się wyraźne szlaki. Korzystał z nich drobniejszy zwierz, również strwożony śniegową obfitością.

Nad wieczorem zelżało, z gałęzi drzew jęły się obrywać białe czapy, delikatnie skapywały na ziemię kropelki wody. Na śniegu tworzyła się lodowa polepa. Po paru dniach znów nadszedł mrozik, chmury od nowa otworzyły upusty. Zerwała się zawieja, szła nisko borami, wnikała do legowisk, mroziła. Zasypała i wyrównała wydeptany z trudem łośiowy szlak, wchłonęła w siebie co niższe krzewy.

Był głodny. Racice, zapadając się w sypki z wierzchu puch, raniły się o skrytą niżej polepę lodową. Krwawiły. Nie lubił zapachu krwi, kędyś we wspomnieniu zapach ten łączył się z bólem.

Z najwyższym trudem torował sobie od nowa drogę wśród zwałów białego puchu. Żarłocznie, jak dłutem, odłuskiwał zębami korę większych drzew, mniejsze przeginał własnym ciężarem, racząc się wierzchowinami. Nie oddalał się od legowiska, krążył dookoła niego, znacząc swe przejście głębokimi rowami, jak pługiem żłobionymi masywnym korpusem.

Głodny był. Pnie drzew, jak wysoko mógł sięgnąć, świeciły białymi goliznami, odarte z kory. Gniewnie potrząsał łbem, tarł rosochy o drzewo — zbliżał się czas ich zrzucania.

Pod wieczór usłyszał nagle zbliżające się głosy dwunożnych istot. Drgnął, pognął jedną z utworowanych ścieżyn, parł dalej przez sypki puch, kaleczył się o zlodowaciałą warstwę. Wolno to szło, zmęczył się, robił chrapami, aż spływała z nich piana, dyszał ciężko. Wreszcie zawrócił i długo kołował, bezradny, uwięziony w śniegowym całunie. Oczy jego nabiegły krwią. Czekał na przeciwników, gotów rzucić się na nich, tratować i deptać racicami.

Ale po jakimś czasie głosy ludzkie zaczęły się oddalać, aż wreszcie zacichły. Łoś długo jeszcze z nerwowym napięciem łowił obce wonie.

Następnego ranka wrogowie znów się pojawili w pobliżu. Usłyszał rzenie nieznanego stworzenia, jakiś cienki skrzyp, jakby w czas wichru drzewo ocierało się o drzewo. Długo nie wynurzał się z legowiska, choć głód stawał się coraz dotkliwszy. Wreszcie krótko przed nagle zapadającym zmierzchem ostrożnie wyruszył na żerowanie. U krańca wydeptanej przez siebie ścieżyny dostrzegł wzgórek, którego uprzednio nie pamiętał w tym miejscu. Długo to trwało, nim podsunął się trochę bliżej. Stos młodych pędów wierzbin leżał na śniegu. Byk zahuczał cieniutko, głód pchał go ku wierzbinie, ostrożność przestrzegała przed ryzykiem. Powietrzem niosły się jeszcze złe wonie dwunożnych istot.

Wreszcie wyciągnął nieforemny łeb, porwał najbliższą witkę wierzbową. Po chwili łapczywie sycił wygłodniałe ciało ulubionym przysmakiem.

Po paru dniach głosy dwunożnych istot znowu zmały łośiowy spoczynek. Podniósł się, bacnym wzrokiem wodząc dokoła. Dojrzał ich. Na głowach mieli coś, co przypominało jodłowe igliwie. Obok stał zwierz niepodobny do żadnego ze stworów puszczańskich. Potem wszyscy oddalili się z dziwnym skrzypieniem. Na śniegu została naręcz wierzbowych gałązek.

Łoś bał się każdego zjawienia dwunożnych istot. Ale wiedział też, że po ich zniknięciu będzie czym nasycić zgłodniałe ciało... I co jeszcze było ważne — te istoty nie łykały przedmiotami huczącymi grzmiotem i niosącymi ból...

Wiosna wybuchła nagle, jak to najczęściej bywa po ostrych zimach. Gorące, radosne słońce wisiało nad puszcza. Z rzadka przebiegały ulewne deszcze, a potem opary buchały z opitych wodą roślin. Drzewa liściaste z dnia na dzień przesłaniały zielone runo poszycia coraz mocniej rozwijającym się listowiem. Spieszyły kwiaty, aby zagrać barwami, dopóki gęstwa liści nie zatrzyma słonecznych promieni. Pełniki złościły się krągłymi kształtami, w fiolecie łagodny przechodziła lilia złotogłów, różowiły się łanami ostre, śmiałe mieczyki. Niżej naparstnica i rutewka przeplatały pastelowymi kolorami biel konwalii, przenikającej las ostrym zapachem. Nad głowy innych wystawał groszek leśny, pnący się po przechylonych pniach drzew, nie zagrożony nawet przez wybujałą nad podziw paproć.

Łoś wrócił na ulubione rozległe turzycowisko, gdzie prześcigały się w chłonięciu światła i ciepła trzcina, gnidosz, wełnianka i ostra turzyca. Znow przemierzał niezgrabnymi, a przecież nieomylnymi skokami pachnące zgnilizną rojsty, nurzał się w mokradłach, opierał smukłe badyle o rozchwiane kępy, gdzie wśród białawego mchu bordowiały zeszłoroczne żurawiny. Łopaty wyrosły mu tego roku wielkie nad podziw, aż czuł czasem na głowie ciężar tej masy rogowej. Po osiem pasemek z każdej strony, jasnawych jeszcze w swym brązie, z nie spełzłym do reszty, delikatnym, mięciutkim nalotem.

Wierzbiną i łoża, pełne pulsującego soku, pięły się w górę setkami pędów. Byk miażdżył całe pęki ostrymi zębami, mlaskając przy żuciu. Zapomniał już o ostrej zimie, o jesiennych tęsknotach i grzmocie wypuszczonym przez dwunożną istotę, z którą się zetknął u skraju śródleśnej polany.

Koczował teraz wśród rojstów, na małej wysepce, pokrytej karłowatą brzozą i z rzadka rozszanymi wśród niej powykęcanyrnymi sosnami. Na wysepce pachniało bagnem, wybujałym tutaj, wysokim aż po łośie pachwiny. Dookoła rozciągały się nieprzebyte moczary, pełne zdradliwych pułapek. Gniezdzące się w kilku punktach żurawie towarzyszyły samotnikowi, odzywały się jeszcze czasem swarliwe bataliony.

Stary byk nadal bał się ludzi, niejasne wspomnienie zimowej pomocy nie mogło przygłuszyć wcześniejszych doznań. Często stawał, nasłuchując i łapiąc wiatr w rozwarte chrapy. Gdzieś daleko, obok rojstów i turzycowiska, przemykały się dwunożne istoty. Nigdy jednak nie wychylały się na widok bystrych łosich oczu ani nie grzmiały złowróżbnymi piorunami. Byk z zadowoleniem stwierdzał te fakty i z satysfakcją wracał do smakowitych pędów młodych drzewek. Skąd zresztą mógłby wiedzieć, że leśniczy tych rejonów otaczają czułą opieką utykającego samotnego olbrzyma.

Ani własna czujność, ani daleka opieka nieznanymi istotami, które zimą podwoziły uwieczonemu w śniegach bykowi zbawienną żertwę nie mogły mu jednak zapewnić pełnego bezpieczeństwa.

Łoś królował na turzycowisku i leśnych wodach bagiennych. W okalających jego siedzibę zagajnikach był nietykalnym panem. Nikt mu tu nie zagrażał, nikt się nawet nie zapuszczał w te przepastne dziedziny. Przedzierając się z łoskotem przez chaszczę, sądził, że cała puszcza należy wyłącznie do niego. Utwierdzały go w tym przekonaniu liczne spotkania, kończące się paniczną ucieczką wilków czy samotnych odyńców. Krwiożerczy ryś na sam tupot łosich racic krył się w wielką dziuplę po dawnej barci, przyczajony odczekiwał, aż największy zwierz puszczański odejdzie w dalsze rewiry. Wtedy dopiero zwinnie wyskakiwał, ruszając na poszukiwanie zajęcej czy sarniej zdobyczy.

A przecież życie zastawiało ciągle nowe pułapki na doświadczonego byka. Gwałtowna burza, wraz z silną wichurą, zastała go na niedawnym wyrębie, gdzie przy życiu pozostały jedynie potężne jodłowe olbrzymy. Przystanął pod jednym z nich, wpartymi w ziemię racicami dając odpór wicherze. Ściemniało wokoło, deszcz płynął już nie strugami, ale jedną wielką skośną płaszczyzną. Nowy, ostrzejszy podmuch nawałnicy nadleciał wraz z szumem wylekłych drzew. Gdzieś opodal uderzył grom, jasne światło ostrą smugą przecięło niebo, rozległ się trzask i jodła, zataczając koło rozłożystą koronę, z jękiem runęła na świeżą porębę. Wyratował się łoś królewskim zaiste skokiem, a i to przecież strzaskana gałąź trzepnęła go z mocą po zadzie, aż przysiadł z bólu i trwogi. Nie zważając już na płachtę wodną, zasnuwającą widzialność, poprzez grzmoty i ciosy wichury pognął na turzycowisko — jedyną pewną ostoję.

W jakiś czas potem, w poszukiwaniu młodych odrośli leszczyny, zabrnął daleko od legowiska, w poblizsze miejsca, gdzie kiedyś dorastał przy licznych jeszcze stadzie. Roilo się tam od sarnich tropów, kilku ścieżynami ciągnącymi nad leniwy, dyskretnie szemrzący leśny strumyk. Odkładając łopaty na grzbiet, kłusował swobodnie taką ścieżyną, gdy nagle ze szczękiem zawarło się coś wokół jego nogi. Uczuł mocny ból, szarpnął się do przodu, ale

nieznana siła zatrzymała go w miejscu. Rozjuszony, obejrzał się, szukając zdradzieckiego wroga. Nogę przytrzymała mu ciężka rama, długimi pędami drutu połączona z pobliską brzozą.

Długo szarpał się, więzi pękły wreszcie, ale twarde szczęki pułapki zaciskały nogę coraz boleśniej. Nie zważając już na nic, tłukł kleszczami niezanego wroga o drzewo, aż sypały się wokół kora i drzazgi. W pewnej chwili drugim badylem przypadkowo natrafił na piekące chłodem twarde szczęki. Szarpnął się mocniej, szczęknęło i dziwna rama pozostała na ścieżynce. Nie uciekał, poddając łopaty do przodu, schylił gniewnie klocowaty swój łeb, z pasją uderzył racicami w zdradzieckie żelazo. Deptał, miażdżył, niepamiętny na ból, jaki sprawiało każde uderzenie, aż wreszcie pograżył dziwnego wroga w rozkisłym gruncie leśnej ścieżyny. Wtedy dopiero zabecztał zwycięsko, wolnym truchtem ruszył w powrotną drogę, rezygnując z dotarcia do smakowitych leszczyn. Od tego dnia utykał mocniej niż dotychczas.

V

Dzień ten wstał piękny jak rzadko. Nad turzycowiskiem ~ wisiał jeszcze delikatny opar przedranny, srebrząc W pierwszych promieniach siatki pajęczyn. Łagodny wiaterek wprawiał w cichy szept drobne listki karłowatej brzozy; opowiadały wtedy jedną po drugiej puszczańskie baśnie. Żurawie wyciągały szyje i otrzepywały skrzydła, opuszczając nocne leże. Gdzieś daleko chrumkał rozszoszczony czymś odyniec. Słońce dopiero wylaniało się zza jasnej ściany brzeźniaka, kładąc u jego skraju długi cień na przybierające barwę lila, szeroko rozsiadłe kępy wrzosowe. Rzeško było, ledwie wyczuwalna wilgoć przydawała powietrzu jakiegoś blasku.

Suknia łosiego samotnika lśniła brązem i łagodną szarostalową patyną, narastającą z wiekiem. Rozgałęzione mocno łopaty, wypolerowane tarciami o drzewa, odbijały promienie. Łoś potrząsał łbem, długa, zmierzwiona broda drgała jeszcze potem przez dłuższą chwilę. Stał tak na kępie pośród bohunu i ostrej, trójkątnej turzycy, przestępując jakby w namyśle z jednej smukłej nogi na drugą. Jastrząb zataczał nad turzycowiskiem szerokie kręgi, obniżał się, jakby i on chciał wrazić w pamięć wygląd króla puszczańskich przestrzeni.

Wolno, pełen godności, ruszył wreszcie byk w drogę przez turzycowisko, przy większych kępach pogryzając pędy wierzbiny, wyższe drzewka przechylając tułowiem i przytrzymując przednimi nogami tak długo, aż ogryzł delikatne wierzchołki. W miejscach ziejących czarną grzęzią przyspieszał kroku, miękko przeskakiwał z jednego kolebiącego się obszaru mchu i związanych korzeniami roślin na drugi.

Słońce szybko wytaczało się na niebo, jakby pamiętając, że dnie są już znacznie krótsze, a praca nad ogrzaniem świata wcale nie mniejsza niż w czas wiosenny. Łoś długo żerował, powoli zbliżając się do wrzosowiska u stóp rozległego brzeźniaka. Ciągnęły go tam grzyby, które każdego ranka świeżymi, wilgotnymi łebkami wychylały się nad ziemię. Łagodny, ledwie wyczuwalny wiatr podmuchiwał prosto od tyłu.

Gdzieś niedaleko przerażonym głosem rozdarł się nagle jakiś ptak, cień strzałą opadającego w dół jastrzębia zamajaczył przed łosiem. Zdziwiony, podniósł łeb, skrzył go nieco, jakby pragnął dobrze się przyjrzeć krwawemu widowisku. Rozrosła, szeroka pierś odsoniła się, zawęszył wysunięte do przodu chrapy, drgnęły uszy na jakiś obcy, niepokojący trzask. W tej samej chwili przednie badyle odbiły się od gruntu. Łoś zawracał półobrotem, zarazem głuchy, długi huk zamącił przedpołudniową ciszę turzycowiska.

Zwierz zatrząsł się, zachwiał, rażony w tym półobrocie przez niewidoczną dwunożną istotę. Szalony, ostry ból targnął nim całym, oczy rozgorzały męką i wściekłością. Już zawracał na brzeźniak, aby zaatakować tam wroga, ale znów zadygotał jego olbrzymi korpus i zaraz z łomotem, chlupocąc, rozpryskując strugi wody, tratując wzlatującą w powietrze trawę, mchy i ledwie różowiejące jagody żurawin, popędził z powrotem w głąb wielkiego turzycowiska, w pas rojstów, przecięty w środku zadrzewioną leśnymi karłami wysepką.

Od brzoź nowy grzmot przetoczył się nad turzycowiskiem. Groźnym, strwożonym echem odpowiadał mu bór. Łoś zerwał się do jeszcze szybszego biegu. Oczy zachodziły mu krwią, mętniały, oddech stawał się krótki i urywany, ale badyle gnały do przodu, ciągle silne, wytrwale i zręczne.

Już pas nieprzebytych rojstrów, straszący czarnymi paszczami błotnistej, torfiastej wody. Zaraz wysepka ze skrytym legowiskiem. Tam nie dosięgnie go żaden grzmot, żaden nowy ból...

Nadchodził wieczór. Wokół turzycowiska widać było poruszające się w różnych kierunkach dwunożne istoty w zielonych czapkach. Szukali śladów łosia i śladów jego mordercy. U skraju brzeźniaka leżały dwie gilzy po wystrzelonych nabojach.

Na wysepce, w samym środku puszczańskiego turzycowiska, za pasem nieprzebytych moczarów i rozlewisk leżał zwalony na bok potężny zwierz. Twarde, szerokie łopaty wparły się w ziemię, drgając chwilami, gdy jęk i rżenie wydobywały się zza lejących różową pianę chrap.

Ostatni łoś puszczański, pan wielkiego turzycowiska, dogorywał od zdradzieckiego kłusowniczego strzału. Zapatrzył się jeszcze zachodzącymi mgłą oczyma w wielką, rozżarzoną kulę, zapadającą teraz za kępę krzaków, w których ogryzał wczoraj smakowite

pędy młodej olszyny. Drgnął, wyprężyły się długie, jędrne badyle w białych skarpetach i w tej chwili świecąca kula zapadła za las.

Ściemniało nad wielkim turzycowiskiem.

MATNIA

Ustały nagle, jak uciał, spływające przez kilka dni ciepłem podmuchy zachodniego wietrzyska, przycichły gawrony, kotłujące się nieustannie nad wioską, spokojnie przysiadły na szczytwinach drzew. Zapaliły się o zachodzie pnie brzóz, nadciągający mróz oblodził wilgotne konary, wygładziło się na jeziorze szkliwo nadtopionej wierzchniej przykrywy, chłodniało z każdą chwilą, drobne, roziskrzzone drobiny śniegu migotały w powietrzu.

Brzask zbudził się mroźny, spokojny, tylko dymy snuły się dziwnie, rozlewając się nad dachami domostw gęstą chmurą, a podnosząca się u przedproży leśnych mgła nabierała brudnożółtawego koloru. Cieniusieńka warstewka śniegu ostro poskrzypywała pod nogami, nie dawała mocnego oparcia, prześlizgiwała się po lodowej płaszczyźnie.

Cały dzień był jakiś niewyraźny, niby słońce tkwiło na niebie, ale osaczone mgłami, termometry nie wykazywały dużego mrozu, ale ziąb dokuczał bardziej niż kiedykolwiek. Nie pomagało zaklepywanie ramion ani potupywanie zmarzniętymi nogami. Na domiar tego w zmartwiałą ciszę zaczęły się wsączać ledwie dostrzegalne podmuchy, ciągnęły nisko nad samym lodem, podnosiły sypkie drobiny śniegowe, wprawiając je w wirowy ruch. Na otwartej wodzie w przeręblach znaczyły się maleńkie, koliste zmarszczki. Któryś ze starszych rybaków przyglądał się im z zafrasowaniem, potem powiódł wzrokiem po horyzoncie.

Szeroką, spasałą gładź jeziora okalał las, częścią starodrzew sosnowy, gdzie indziej zupełna młodzizna, sadzona przed parunastu laty. Wyraziste zazwyczaj kontury drzew rozmazywały się teraz ni to we mgle, ni to w dymach jakichś, miejscami zwiewniejszych, gdzie indziej przesłaniających wszystko nieprzezroczystym matem. Zgasły przeciwstawności kolorów, las scalał się z lekko przyprószoną śniegiem lodową płaszczyzną jeziora, ono zaś jakby poszerzało się, zagarniając las. I to słońce nad wszystkim, przewalające się już ku zachodowi, przyćmione, opierścienione żółtawymi pasami.

Były to wszystko zapowiedzi nadciągającej wichury, która może już zaraz zwali się z wizgotem nad ziemię, a może nadciągać będzie powoli, podnosić się ku górze od tych wirujących przy nogach drobin, aż potem przysłoni wszystko męczącą kurzawką, zetnie przeręble mrozem, usztywniającym linki i oczka sieci, odbierającym czucie dłoniom, nie chronionym już przemokłymi, zeszywniałymi rękawicami.

Bez słowa zakrzętnęli się zwawiej, czekały ich jeszcze dwie tonie, tyle tylko, że mieli nadzieję zdążyć z nimi przed mrokiem. Sanie z rybą odjeżdżały z poskrzypem, niewiele było tej ryby, nie popłacała dotąd robota — mieszanina, wiele drobnicy, choć tyle sobie obiecywali po dzisiejszym odłowie. Może teraz bardziej im się poszczęści, może następna toń z nadpłata

wyrówna wysiłek. Rybacka doła to zawsze gra z losem, wielka niewiadoma, pewnie dlatego tak ten zawód pociąga, jest w człowieku żywa iskra hazardu, dla której warto szarpać się często nad siły, marznąć, walczyć z podmuchami wiatru i ze śnieżycą, i z lodem.

Widzialność malała, choć niby niebo jasne i dzień jeszcze, i smuga lasu na horyzoncie. Tylko te drobiny śniegu, zwiewane z lodu, spod nóg, kołują coraz to wyżej, tylko przydymione opary znienacka, chociaż ostrożnie, zagarniają świat. Od szerokiej, że ani by ją przeskoczyć, przerębli wlotowej jak ramiona rozchodzą się na obie strony szeregi czerniejących dziur, wykutych w grubej caliznie lodowej. Ostatnich, tych zbiegających się znów ku sobie, niemalże już nie widać, zlewają się z szarzyzną tła. Czarna masa niewodu, skrzydeł i matni tkwi jeszcze na lodzie, ale linki, przeciągane dragami od jednej ku drugiej przerębli, naprężają się, poczynają zagarniać wiązania sieci, z pluskiem zsuwane w wodę. Daleko, w miejscu, gdzie sieć znowu wychynie ponad powierzchnię, stoją już sanie z kołowrotami. Rozbiły się na całej długości niewodowego zaciągu tułuby ludzkie, zakutany każdy dziś wyszedł na lód, ale zimno, mróz dziwnie przenikliwy, wciska się i do butów, nie pomaga grube wysłanie ze słomy i gazet. Robią więc każdy swoje, ale wciąż przytupują, wciąż wymachują rękami. Niewód powoli zanurza się w wodę, dragi obrastają grubym, chrzęstliwym szkliwem, coraz je trudniej utrzymać w zdrętwiałych dłoniach, coraz więcej wysiłku trzeba do prowadzenia nimi linek pod śliską gładzią.

Jermieniuk idzie z synem, stąpając ciężko. Poświstuje nosem przy każdym oddechu, zmarznięty i zły. Oczy gniewnie błyskają.

— Dłużej od niego rybaczę, znam robotę, a tu wrywa się taki z radami. Niedoczekanie jego, złapię kiedy za gardło, uduszę, spokój będzie. Tyle lat życie mi truje, tyle lat...

Syn nie odpowiada, kuli się w sobie. Dziwny ten wiatr, niby nawet nie mocny, kołuje, wierci się, wciska pod kapotę, przenika do szpiku. Wzmaga się razem z mrozem. Linki i żerdzie obrastają lodem, każda toń coraz trudniejsza i cięższa, a tu zmęczeni wszyscy, zmarznięci. Ryby mało, trzeba ciągle próbować od nowa. Ojciec nudzi jak zawsze z Kawczukiem, pewnie, swołocz ten Kawczuk, ale żeby nic, tylko o nim myśleć, to zwariować można. Trzydzieści chyba lat, jeżeli nie więcej są ze sobą na noże. Jeszcze gdzieś tam, pod Lubaczowem, to się zaczęło. I trwa. Tutaj osiedli znów w jednej wiosce, jakby mus jakiś kazał im zawsze być obok siebie, ciągle od nowa podsycać swoją nienawiść.

— Ten szczeniak, parszywe nasienie, śmiał się wtedy. W ojca się wdał...

Syn skulił się jeszcze bardziej. Co z tym wietrzyskiem? Od dołu ciągnie ku górze, kołuje coraz wyżej i wyżej, dopiero piersi sięgało, już dmie na wysokości twarzy, zatyka oddech, łzawi oczy. Stary wciąż burczy, zdumień można do reszty...

— Słuchasz, Stach, co ojciec ci mówi? Kazikiem ty byś mógł wreszcie się zająć. Na jakiej zabawie go zdzielić albo tak kiedy. Żeby nie ważył się już z ojca twojego prześmiewać... Słyszysz czy nie? Bo jak cię zdzielię.

— Zimno, daj ojciec pokój.

Milczenie, tylko wiatr podświstuje, niewielki, ale siecze dokuczliwie zbieranymi z lodu drobinami, wspina się wirowato ku górze. Rybacy pokrzykują ku saniom z kołowrotami, kończą zaciąganie niewodu, zaraz tamci przejmą linki z ich rąk, założą na szpule, zapuszczą korby na przemarzłym, stwardniałym smarze. Najpierw niewód będzie szedł lekko, linki będą się napinały, rozewrą się, mocniej napęcznieją skrzydła sieci. Wtedy każdy obrót będzie się stawał coraz cięższy, wszyscy przyskoczą z pomocą, gorąco się zrobi z wysiłku, chmurą zbierze się para ze zmęczonych oddechów.

Chrzęst śnieżyn pod nogami coraz ostrzejszy, coraz to przenikliwszy. Dobrze, że ojciec już więcej nie gada, ciągle jednak spogląda ku Kawczukowi. Tamten robi pewnie to samo. Obaj żyją swą nienawiścią, nie na próżno wieźli ją taki szmat drogi, spod Lubaczowa aż tu, nad wielką wodę jeziora Mamry. Na Kazika stary napuszcza. A cóż tu Kazik? Pewnie, ciekawy on nie jest, nie lubią się nawzajem, od szczeniaka już chyba, ze szkoły, z niezdarnych bójek, w których kasztanami nabijali sobie solidne guzy. Nie lubią się, ale właściwie diabli wiedzą dlaczego. Pewnie to ojcowe nienawiści oddziały na synów. Ciągłe sądy, wygadywania, mniejsze i większe świństwa, czynione sobie nawzajem. To ojciec wskazał nadleśniczemu, że Kawczuk skradł w lesie dłużycę, odziomek by} jeszcze nie porąbany, stał się na rozprawie niezbitym dowodem. Tamten się zemścił, ujawnił, że nieprawda była ze złamaniem nogi przez świnię kontygentową, karę srogą łupnęli.. I ciągle tak warczą na siebie, spluwają przy mijaniu się na wioskowej ulicy, przygadują sobie, obrzucają się błotem. Pewnie, w samym kręgu tych waśni wyrastając, nie mogli być blisko z Kazikiem... Ale żeby miał z tej racji rozwalać łeb chłopcu? Po cholere mu to potrzebne, a jeszcze potem kryminał, teraz mocno się wzięli za takie rzeczy, nie warto ryzykować. Gdyby jeszcze jaki przypadek, ot, w większej bójce, gdy lampę na potańcówce ktoś zdmuchnie kuflem, pójda w ruch drągi i ławy... Można by było wtedy przy okazji zdzielić przez grzbiet młodego Kawczuka. Ale specjalnie zadzierać, po cholere to komu potrzebne, staremu chyba, ale stary dawno już rozum zatracił w tej zaciętości. Lepiej by roboty pilnował, bo znowu tamten zacznie się czepiać, poprą go inni, głupio będzie...

Nie zważając na ojca, przyśpieszył kroku, omal się nie przewrócił, lód był zdradliwie śliski pod rozwirowanym przykryciem śniegowym. Kołowrotki już skrzypiały, cienko, niechętnie poddając się obrotom. Dłonie grabiały w wilgotnych rękawicach, nóg już niektórzy

nie czuli, co za cholerny dzień, dawno już tak ciężko nie było, ale przez tę odwilżową pogodę ani jak było wychodzić z niewodem. Koniec miesiąca, gotowa premia przepaść, a tamtych groszy podstawowych na popijawę nawet nie starczy... Kawczukowie już obaj pracują, nie trzeba ich poganiać z robotą. Uchwycił za jedno z drzewc kołowrotu, wparł się w nie całą siłą. Matnia sieci sunęła pod lodem, pchana ich zbiorowym wysiłkiem.

— Jermieniuk, taka mać, za ciebie będziemy robić? — przez poświstywanie wiatru i skrzyp kołowrotów przedarł się zjadliwy głos Kawczuka.

Nie odpowiedział stary, cóż tu miał do gadania, inni też coś burknęli. Wparł się w drągi wraz z nimi. Syn spojrzął w jego stronę, wiedział, jak musiało to ojcu dopiec. Lata robiły już swoje, jeszcze nadłamały go choroby, trudniej się ruszał, prędzej męczył, taka droga przez lód, pod wiatr, nie przychodziła mu łatwo. A Kawczuk, choć wie o tym, że lepiej się trzyma od swojego wroga, nie daruje, wypomni, zakpi złośliwie. Obydwaj zresztą są sobie równi. Nie wiadomo, czy ojciec jeszcze mocniej by nie sklął i nie wyszydził Kawczuka... Pal diabli ich spory, prędzej by już zejść z lodu, zagrać się w domu, wypić coś gorącego.

— Prędzej, chłopaki, prędzej — poganiał brygadier Szymański, sam pomagał co sił. Oglądał się przy tym niespokojnie, wokoło, mgła zstępowała od dalekich brzegów, przesłaniała lasy, rudawym mlekiem zaciągała płaszczyznę jeziora. Wiatr niby się wzmagął, tyle tylko, że od lodu podrywał się coraz bardziej ku górze, miotając na wszystkie strony suchy śnieg, kłujący w twarz, ścinający jeszcze bardziej i tak już przemarzłe, czerwone ręce, które ledwie, ledwie się czuło. Gdyby zaczęli rano od przeciwległej strony, można by było teraz przerwać. Ale tu, na samej głębi, co zrobią z niewodem? Mróz narasta, linki sztywnieją, nie dowiozą sieci na brzeg — kruszejąc, pękałaby potem jak nitki. Trzeba ją zatapiać w przerębli, ale płytszej, już bliżej brzegu. Tam, gdzie planują wybieranie ostatniej matni. Dobiegają już stamtąd kucia, chłopcy poszerzają, wymkę, pewnie lód ściął ją silnie po bokach.

— Prędzej, prędzej, chłopaki...

— Bodajeś skonał, ciągniemy jak zwariowani.

Linki nawijały się z chrzęstem, osypywało się z nich lodowe szkliwo. Odetchnęli z ulgą, gdy ukazały się nad wodą skrzydła niewodu. Opite wodą, z trudem dawało się wywlekać na lód. Kołowroty obracały się coraz ciężej, matnia o malejących oczkach opierała się wysiłkowi ludzkiemu, szła coraz wolniej, gdybyż to jeszcze wiedzieć, że pełna, że tym razem sypnie rybą do syta.

Stary Jermieniuk przechylił się ku synowi, szepnął między jednym a drugim zdyszczanym oddechem:

— Słyszałeś? Słyszałeś, jak mnie ten syn poganiał? Ktoś z nas musi zejść z tego świata, musi...

Nie przejął się ojcowskimi słowami, tyle razy już słyszał podobne pogrozki. Że to można tak tylko jedno mieć w głowie?

Spojrzał na Kawczuka. Tamten też łypał coraz to ku swemu antagoniście. Wdali się jeden w drugiego. A ten Kazik?

Nic, swoje robi, gównu go tarcia starych obchodzą. Pewnie, to najmądrzejsze.

Nie mógł się pohamować, by raz po raz nie zerkać na własnego ojca. Jermieniuk miał twarz ponurą, szcerwieniałą od wysiłku i wiatru, i mrozu, starczało tego wszystkiego. Tylko oczy mówiły jeszcze o czymś innym, o tej przeżerającej go pasji, o ważniejszej nad wszystko nienawiści do Kawczuka. O co właściwie im poszło? Te żarcia tutaj to przecież dalszy ciąg tylko, wszystko zaczęło się gdzieś tam, w Lubaczowskiem, na długo jeszcze przed wojną. Narastało, olbrzymiało, wypełniło teraz obu całe ich życie. Przywlekli ten wór nienawiści ze sobą aż tu, nad Mamry, zasklepili się w niej, odcięli od świata, obchodzi ich tylko to, co się dzieje z drugim i u drugiego. Zainteresować się kiedy tamtymi dawnymi dziejami, wywiedzieć bliżej, czy może nie warto? Ojciec pewnie i tak wszystkiego nie powie, są jakieś tajemnice tylko między tamtymi dwoma.

Skrzydła matni, podchwytywane wprawnymi rękami, czarne, ociekające wodą, równomiernie układały się na obydwu stronach przerębli. Kołowroty trzeszczały coraz silniej, matnia zbliżała się. Szymański przeszedł w miejsce, pod którym powinna była teraz się znajdować, żelaznym drągiem walił co chwila o lód, na płask, by rozlegał się możliwie największy huk, odstraszał rybę, jeśli by próbowała wydostać się między siecią a lodem z zagarniającej ją pułapki. Jak zawsze, następował moment, gdy nie odczuwali wysiłku, chłód jakby malał i ręce stawały się mniej zgrabiałe. Przyśpieszyły się obroty kołowrotu, szybciej nawijały się linki na szpule. Co przyniesie ten zaciąg, co znajdą w matni? Czy tym razem wielka gra w niewiadome skończy się wielkim szlemem, czy znów będą kłąć w żywy kamień, a zimno, wichura, wilgoć i zwykle, ludzkie zmęczenie zaciąga potrójnie i trudno będzie wykrzesać od nowa nadwątlone całodzienną harówką siły?

Brygadier zaprzestał dudnienia. Skrzydła przechodziły już w wielki wór matni. Z bryzkiem podskoczył nad wodę wielki szczupak, opadł z powrotem do sieci, już się zamknęły drogi ucieczki. Zasrebrzyło się parę płoci, karminowymi skrzelami zapyszniła się spora wzdrenga, okoń trzepotał się rozpaczliwie, nastawiając swe kolce. Znów szczupak, a teraz leszcze, jeden, dziesiąty, tkwiące w bocznych oczkach matni. Zgrzyta kołowrót, ustaje, już nie poradzą linkami, teraz tylko rybackie dłonie. Chwytają za brzegi wielkiego wora, ciągną,

ciężki, ale ciężka jest sama woda, jeszcze nic nie wiadomo, tylko te leszcze, przebłysk szansy, leszcze zimą zawsze trzymają się dużymi stadami. Przed paru laty na Śniardwach inna brygada zagarnęła za jedną tonią ponad trzydzieści ton ryby, to była wielka wygrana, szczęśliwy los. Ręce stały się zwinne, ciągną, tułowia zniżają się do przodu, znów się odchylają do tyłu, równo, miarowo. Szymański leży na łodzi tuż przy przerebli, przykładając ucho do zimnej tafli, nasłuchuje. Gdy się podnosi, na twarzy jego jakby uśmiech oczekiwania. Widzą ten uśmiech, nie pytają, tylko jeszcze silniej chwytają za sieć, rwą ją ku sobie. Zaraz końcówka, szczyt worka, zwany kutlem, tam odpowiedź na niewiadomą. Szymański śmieje się, zdrtwiałymi palcami wyciąga papierosa, kryjąc twarz w kołnierzu burki próbuje skrzesać ogniwa, zapalniczka psyka, przygasa, wreszcie zapach dymku, podchwycony od razu przez wiatr, owiewa twarze rybaków.

W matni szamotanie, sieć chodzi w dłoniach, udała się toń, wiedzą to. Ryba szarpie się rozpaczliwie, coraz im ciężej, a po bokach sieci coraz to więcej srebra, coraz to więcej, leszcze, leszcze, może trafili na stado?

Lawina dygocących, szamoczących się ciał. Ledwie mogą już ciągnąć, sieć stawia coraz silniejszy opór. Młodszy podskakują z podbierakami, nurzają je w miotające się srebro, sypią się pierwsze sztuki do podsuwanych skrzynek.

— Dobra toń — sapie ktoś, kiwają potakująco głowami, nagle szczęśliwi, niepomni poprzednich wyrzekań. Rybacki los, rybacka dola.

Sypią się leszcze, duże, dorodne, sypią do skrzynek, których nie starczy, i na lód, gdzie będą czekać na nawrót sań.

Wielkie, wytrzeszczone oczy, ostatnie podskoki, mróz naciera, ryby szybko nieruchomieją, zlegają na łodzi bezsilne, już martwe.

Szymański uważnie patrzy na ryby wyjęte z sieci, zagląda do kutia matni, coś sobie oblicza, śmieje się, teraz już mocno. Zараźliwy jest ten śmiech, odpowiadają nim inni, trzy tony leszcza to wielka wygrana, od dawna nie mieli podobnego zaciągu. Leszcze sypią się z przerebli na lód, sypią, sypią...

Stach przypadkiem, przerzucając podbierak do lewej ręki — prawa już mu niemal omdlała — łowi spojrzenie ojca. Skrzywione, zwrócone nie na rybę, lecz na Kawczuka. I tamten patrzy, ciągnie ich obydwu do siebie, to się może kiedy naprawdę źle skończyć. Co stało między nimi przed laty?

Oni tylko wiedzą. Pamiętają dobrze, mogłoby się wydawać, że pamiętają z każdym dniem lepiej, z każdą mijającą godziną. Nie te sprawy w małej wioszczynie nad brzegiem jeziora Mamry, ale jeszcze tam w Lubaczowskim. Zaczęło się, gdy byli tacy, jakimi dzisiaj są ich

synowie. O dziewczynę poszło, Nadzie, ładna była, zgrabniejszej też próżno by szukać. Biegali za nią jak zwariowane koguty. Widziała to, bawiła się nimi, umawiała się na przemian to z jednym, to z drugim, dziś jednemu, jutro drugiemu zezwalała na pocałunki, nic więcej, jakby nie rozumiała przymówek o małżeństwo, jakby nie wiedziała, że gorąca krew nie może poprzestać wyłącznie na pocałunkach. Drażniła ich, rozdmuchiwała jeszcze rodzącą się między adoratorami nienawiść. W cichych na ucho poszeptach wysłuchiwał każdy zwierzeń dziewczyny, że dawno wybrałaby właśnie jego, gdyby się tamten nie plątał, ale teraz, jakże to ma dokonać wyboru... Już nie tylko nienawiść, już myśl rodziła się trzeźwa, by to rozstrzygnąć ostatecznie... Na zimno, bez alkoholu, doszło do starcia, jesienna noc, w obecności dziewczyny, sama sprowokowała.

Świadomość, że jest obok, że podniecenie przyspiesza jej oddech, dodawała sił i wzmagala nienawiść. A potem zasnuło się wszystko, zabrakło Nadzi, zabrakło przeciwnika, został tylko ból. Obaj w tym samym szpitalu, poharatani nożami, obaj równie twardo trzymający się życia. Gdy wrócili, dziewczyny już nie zastali, wydała się w tym czasie za ukraińskiego działacza z sąsiedniej wioski. Może, gdyby nie ten fakt, przeszłoby im to wszystko, ale teraz świadomość wykpienia, wystrychnięcia na dudków zwiększała nienawiść. Obchodzili się bokami, czekając okazji...

Wybuchł ten wielki chłopski strajk. Ich wioska także ruszyła. Obaj nie zostali na miejscu, brali udział we wszystkich starciach, kryli się po lasach przed zagonami policji, obrastali mołojceją sławą, obu wreszcie powinęła się noga, areszt, śledztwo, rozprawa sądowa... Tego nikt z sędziów ani z sąsiadów nie umiał pojąć. Twardzi, gdy chodziło o innych, nie znający nikogo, nie wiedzący o niczym, prześcigali się w oskarżeniu nawzajem. A sporo o sobie wiedzieli, uczestniczyli w tych samych manifestacjach, stawali się zarówno świadkami, jak i oskarżycielami. Więzienie w końcu ich rozdzieliło, choć wyroki były jednakowo surowe...

— Ojciec, pomagaj — Stach nie wytrzymał, zezłościło go wreszcie nieróbstwo rodzica.

Brygadier pośpieszył, nieufnie się rozglądając. Dzień niby, jasno, tyle tylko, że mgła opasuje wszystko, zagarnia, ani brzegów nie widać, ani wzrok sięgnie głębiej w jezioro. I wiatr, nudny w swym wirowaniu, męczący, zasypujący oczy kłującym śniegiem. I niebo ciemniejące od jednej strony, choć przez opary mgielne trudno coś bliżej wypatrzeć. Linki na kołowrotach sztywnieją, płótna sieci stają żelaznym płótem, ryba wyjmowana podbierakami coraz się krócej trzepoce, szybciej zastyga. Wreszcie już można wyciągnąć matnię na lód, odsunąć na bok, rozwiązać kutel. Leszcze spływają drgającą ulewą...

Kołowroty na saniach ruszają z miejsca, pod następną wyminkę, zluzowane szpule terkocą, linka odwija się z chrzęstem. Szymański dłonią miętosi zastygające sieci, znów się rozgląda po całym jeziorze.

Stach widzi, Kazik także to widzi. Tamci dwaj znów patrzą na siebie, w twarzach napięcie, czoła pocięte zmarszczkami. Nad czymże myślą tak intensywnie, czy nad swą nienawiścią?

A oni pamiętają, aż dziwne, jak dobrze pamiętają. Wojna wróciła wolność, ta sama wojna służyła ich nienawiści. Znów w wiosce, znowu czekają swojego czasu... Nadszedł wraz z partyzantką. Taką, owaką, wiele ich było po lasach. Pod niemiecką osłoną i tkliwą opieką rozwinęły się też nacjonalistyczne ukraińskie organizacje. Zaczęły płonąć wioski polskie, nie stało już nocy spokojnych ani dni bez nieustannego wypatrywania, skąd może nadejść niebezpieczeństwo. A jeszcze wieść przysła, że Nadzia odeszła od swego męża, żyje teraz z sotnikiem UPA, w mundurze chodzi, nie uchyla się od udziału w zbójceckich napadach. Daleko zaszła, były potem i takie wieści, że z samym kurennym sypia, że i w sztabie ma swoich znajomych. Odczuli to jak chłasnienie po gębach, jeszcze większy żal poczuli do siebie, świadkowie swej naiwności...

Pierwszego Jermieniuka dosięgły baty. Wspomógł żywnością i poradą rozbity, szukający schronienia polski oddziałek partyzancki. Jeszcze nie był to czas tych rzezi bez miłosierdzia, gdy byle podejrzenie starczało, tym razem ukraińska sprawiedliwość poprzestała na zabicu do zupełnej nieprzytomności i na rabunku mienia. Dom przy okazji się spalił, odtąd mieszkali Jermieniukowie w stodole... Jakże więc nie miał wskazać w jakiś czas potem, gdy mocny oddział polski nadciągnął i zajął na kilka dni wioskę, że właśnie Kawczuk współdziałał z banderowcami, stał się sprawcą jego nieszczęścia...

Straszny był czas dla wszystkich, życie po lasach, w ukryciu, osłanianie coraz mniej cennego własnego życia. Ci dwaj mnożyli jeszcze zło, podszczuwani niczym nie hamowaną już nienawiścią. Z diabłem każdy by się przeciw drugiemu sprzymierzył. Diabeł zaś, jeśli są takowe na świecie, za najlepszą zabawę uznał, by tych dwóch zawsze stawiać naprzeciw siebie. Bo gdy otwarła się możliwość wyjazdu do Polski, to choć innymi do niej jechali transportami repatrianckimi, inni przyjmowali ich starostowie w opiekę, pewnego ranka ujrzeni się mieszkańcami tej samej wsi, na dwóch przeciwległych jej krańcach. Jakby to znak był, że musi się kiedyś dopełnić zemsta jednego na drugim. Obaj byli czujni, obaj równie ostrożni. Orali ziemię, obsiewali ją, troskali się o rodziny, jeden i drugi zajął się rybactwem, zawodem kiedyś zupełnie nie znanym, chyba znów po to, aby znaleźć się jak najbliżej siebie.

Każdy z nich żył najsilniej oczekiwaniem, że kiedyś nadarzy się okazja zamknięcia zbyt już długo otwartego rachunku...

Ocknął się nagle Jermieniuk, wcale nie delikatnie szturchnięty przez brygadiera:

— Zostańcie tu w paru, trzeba niewodu pilnować, zeszywniał, gotów popękać przy nieostrożnym spuszczeniu do wody...

Już go nie było, zniknął w mgle i zamieci, narastającej coraz to bardziej, miotającej śnieg, świszczącej na otwartej lodowej płaszczyźnie, podbijającej nogi.

Obrzucili się spojrzeniami. W piątkę zostali, poradzą, choć niewód sztywny jak druty. Stach odetchnął, stary Kawczuk poszedł z grupą przeciągającą linki sieci pod lodem. Tylko Kazik nieopatrznie się tutaj przyplątał, złościł będzie starego swoim widokiem...

Mieli czas, jeszcze długie zwoje linek od skrzydeł niewodu leżały w nieładzie na śniegu. Jakby im muzyczka z nagła zagrała, jak jeden zaczęli wywijać, przytupując z całą energią wymachując rękami, tym sposobem usiłując ogrzać ciała przeniknięte! ziąbem do reszty. Mróz spadł nagle, razem z tą mgłą, z zawieją. Rankiem ledwie dociągało do czterech stopni, a teraz... Jakby mroczniało, choć do wieczora daleko. Ta mgła piekielna, osnuwająca ich swymi oparami, zamykająca w coraz to węższym kręgu. Wieleż to jeszcze można dojrzeć przerębli, dwie tylko, trzecia zaledwie majączy o rzut kamieniem z mocnej ręki. Linki wolniutko zsuwają się do wody. Z przerębli bucha para, jakby z gotującego się kotła. Białe wszędzie, nic, tylko ta biel, od góry kładą się na nią ciemniejsze cienie. Podnoszą głowy, zastygają w zdumieniu. Nad nimi nie mgła, nie fruwające opary, ale niska powała nieba, zrudziałego brzemieniami chmurami. Śniegiem gotowe sypnąć, dopiero pomieszają się wszystkie szyki. Ależ pędzą te chmury, wiatr tam silniejszy niż tutaj, nad lodem, las może hamuje, którego ani teraz wypatrzeć. Brzegów nie ma, rozsunięły się, zapadły. Zaczyna się mocniejszy taniec, świst słyhać i wycie, przesłaniają świat śnieżne drobiny. Nic śniegu nie zostaje na lodzie, matowieje gładka płaszczyzna, jak stare lustro, któremu czas odebrał już wszelki blask.

Podmuchy gaszą zapalki, nie pomagają żadne osłony. Komuś się jednak udało, zaciąga się mocno, syci się tą ułudą ciepła. Przypalają po kolei, pachnie dymem, wiatr nie rozwiewa go, ale obnosi wokół nich zakolami. Nie widać już nawet drugiej przerębli, zadymka się wzmaga, ponurzeje świat, biel przygasa szarym odcieniem. Górą gnoją chmury, tłuste, nawisłe, wyraźnie rudawe.

— Zdumiał Szymański, niewodu mu żal, a ludzi gotów pogubić. Stąd ani trafić do brzegu. Patrzcie, sań dotąd nie ma, przysypało nam leszcza, kopa w tym miejscu białutka...

— Mało to razy sieci zmarzną j nic się im potem nie stanie?

— Już skrzydła idą pod wodę, uważajmy, zupełnie jakby z żelaza, ani się ugną.

Piekielna robota, wszystko jedno, w rękawicach czy bez, od złodowaciałych sieci ciągnie ziąbem, ledwie się dają przyginać, siłą wpychać je trzeba w wodę, dragami podbijać pod lód, tam dopiero zaczynają nabierać życia, wpływają miękkimi falami. Prędeej, prędeej, byle raz skończyć z tą cholerną tonią, do domu się dostać, rozgrzać się. Nie udał się im dzisiejszy połów... nie tak, połów się udał, trzy tony leszcza, jest się z czego radować. Tylko pogoda, choć mówią starzy, że najlepiej wtedy zagarnia się rybę niewodem... Co to gadał Szymański? Że nie było większego leszcza, jednej nawet sztuki nad te kilówki, jakby ktoś je dobierał według wagi. Leszcze, chodząc zimą stadami, mają zawsze swych przewodników. Stare, spasione sztuki, po sześć kilo i więcej. One prowadzą stado. Zagarnęli zatem jakąś końcówkę, od boku werznąli się w dużo większą gromadę. Nową toń ciągną ku szerokiej zatoce, może tam popłynęło stado, zagarną je teraz, nie trzy tony będą, a...

— Ktoś krzyczy...

Dalekie dobiegały jakieś wołania, usiłując się przebić przez poświstywania wichury. Nie mogli pojąć, pierwszy dopiero się spostrzegł Jermieniuk. Prawe skrzydło niewodu szło dalej pod wodę, lewe utknęło, nikt tam daleko nie zgarniał linki, nie podciągał do siebie sieci. Coś się stało, może linka pękła, poszła na dno, dopiero by była historia, cały wysiłek na nic. Albo może jakieś zahaczenie, trzeba zobaczyć, krzyczą, chcą najpewniej pomocy.

Już się dwaj najbliżsi kropnęli w białą maź rozwirowanych śnieżyn. Porwał się za nimi młody Kawczuk, Jermieniuk ostro zawrócił go z drogi.

— Myślisz, we dwójkę poradzimy sobie z wepchnięciem matni? Cwanyś jak ojciec...

Stacha podrażniło to odezwanie. Jak nie starego Kawczuka, to choć tego Kazika musi się ojciec czepiać. Zmilczał jednak, co go to wszystko obchodzi. Zimno jest, gęba cała mu zeszywniała, rękami ledwie rusza, palców zupełnie nie czuje. Już nawet najbliższych przerębli nie widać, wiatr się wzmaga, siecze śniegiem po oczach, żeby to śniegiem, drobinami lodu, ranią do krwi. Co tam się stało, może niepotrzebnie tu stoją? Ryby i tak nikt dziś odbierał nie będzie, niewód, trudno, niech idzie na dno, jedna linka go trzyma, zelżeje mróz, jakoś sieć wydobędą, teraz o ludzi już chodzi.

Ostrzejszy podmuch omal go nie przewrócił, odsunął się od przerębli, kąpiel w niej to byłby koniec, gdzie brzeg, gdzie dom, przemroziłoby człowieka do cna. Co to? Drgnęła i lewa linka, ciągną ją, naprawili, dobra, żebyż to szybciej, sił w końcu zbraknie. Gorzej we trójkę, sieć zeszywniała, łamie się, wygląda jak płatanina drutów.

Ależ się wzięli, ciągną całą parą, gotowi niewód porwać, jeśli im nie zdążą naddawać. Dragiem trzeba wpychać pod lód, jedyna rada, ślisko, uważać trzeba. Ojciec znowu się drze, czego on chce, stara się ten Kazik jak może...

Przesunął się Kazik w tę stronę, ogląda się na starego, nie przerywając roboty. Jakby się bał. Pewnie, można się bać, ojciec ma czasem takie niedobre spojrzenie, cholera wie, co za nim się kryje. Co ich to wszystko obchodzi, jego i Kazika, co mają dzieci do żarcia się własnych ojców? W Lubaczowskim cholera wie, co tam było, co ich łączyło w tamtej wiosce, nieznaney ziemi. Co on sam o niej wie? Tam się narodził, pierwsze lata życia, niewiele zostało w pamięci, jakiś strumień, las, komary gryzły, płakał, a wtedy matka dłonią zatykała mu usta, że omal się nie dusił. Zimno, lęk straszny, gdy obcy jacyś przeciągali opodal ich leśnego schronienia. Ludzie zarośnięci snuli się jak wilki po lesie, jeden nie ufał drugiemu, tak musiało to być, skądże by inaczej każdy szelest przejmował trwogą... Pierwsze radośniejsze wspomnienie to jazdy repatrianckim pociągiem. Terkotał, coraz to nowe widoki, ciepło, piecyk palił się w wagonie przez cały czas, spokojnie, nikt nie zabraniał gadać i pokrzykiwać, nikt brudną ręką ust nie zasłaniał... Ten Kazik pewnie i tego nie pamięta, o rok coś młodszy. Starzy tylko pamiętają najwidoczniej za wiele, nie mogą się z tego wyzwolić...

Ostatnie metry skrzydeł powoli zanurzały się w wodę, zapadały pod lód. Nie czuli rąk, w ogóle już siebie nie czuli, przemarznięci, przerażeni narastającą wichurą, zsieczeni tysiącami drobin, uderzających teraz jakby igłami. Znow ojciec, czego on jeszcze chce, ach, Kazika przyzywa, początek matni żeby ugnieść, skamieniała zupełnie, kto wie, może się nie uda wepchnąć tego wora w wodę. Tamci znowu przestali ciągnąć, może pojęli, że będzie im trudno, czekają, by sieci nie zaprzepaścić...

— O rany...

Nie spostrzegł Stach, kiedy się to stało i jak. Bluzgot i ten krzyk przeraźliwy uprzytomniły mu, że Kazik znalazł się w wodzie, gmerze się struchlały w przerębli, nogi mu się płaczą w gmatwaninie oczek niewodu. Drąg trzeba podać, sam się nie wydrapie, lód gruby na łokieć...

Zatoczył się, pchnięty z ogromną siłą, Ojciec. Coś powiedział, nie dotarły słowa przez wiatr. Nie chce, żeby mu przeszkadzać w ratowaniu Kazika, to chyba. Sieć z chrzęstem szoruje o lód, tamci znow ciągną, nie wiedzą o niczym, a tutaj Kazik, zaplątany, jeszcze go wessie matnia, pociągnie na dno. Czemu ojciec stoi, nie pomaga, nie ratuje...

Jęknęło w nim wszystko. Zobaczył.

Ojciec stał z drągiem do przepychania sieci. Stał nad samym krajem przerębli z jedną nogą wysuniętą do przodu, trochę uniesioną do góry. Przeraźliwie krzyczący Kazik złapał się dłońmi za krawędź tafli lodowej, a wtedy silne pchnięcie buta stojącego u góry człowieka znowu wtrąciło go w lodowatą wodę. Sieci ciągnięte przez tamtych, daleko, daleko, chrzęściły głucho...

— Ani się waż, niech ginie ścierwo, za ojca, dla ojca...

Znów jęknęło wszystko w sercu Stacha. Zrozumiał. Nie przypadkowo wpadł Kazik do przerębli, a właśnie wtedy, gdy za skrzydłami niewodu miała zanurzyć się w głębię matnia. Zagarnie Kazika, pociągnie już bez ratunku. Nikt nie przypuści, że to mogło się stać gdzieś tutaj. Ojciec wytłumaczy, że chłopak wpadł w zawierusze do innej przerębli, tam dopiero zagarnęła go sieć...

Już nie doskwierało zimno, wiatr nie przewiewał, ciało nie było zlodowaciałe. Jednym susem natarł na ojca, odrzucił w bok, daleko, aż na stos leszcza przysypanego śniegiem. Gdy zaś ojciec próbował go złapać za ramię, wtedy najmocniej jak mógł, całą siłą swojej młodości rąbnął starego w głowę, jak przez mgłę dostrzegając to tylko, że się zwała jak nieżywy na lód.

Kazik jeszcze machał rękami, jeszcze rozwierał zsiniałą gębę, ale nawet do krawędzi przerębli nie umiał już dotrzeć, nogi jego oplątywała zdradziecko ciągnąca w dół sieć. Szczęściem zlodowaciałe jej włókna, zahaczyły końcem kutia o szorpatą krawędź przerębli, więc nie od razu mogła zanurzyć się w wodzie.

Wyciągał teraz ku tonącemu drąg, Kazik chwycił go, ale zgrabiałe ręce zsunęły się ze śliskiej, pokrytej lodem powierzchni. Znowu i znowu, udało się wreszcie, więc całym wysiłkiem, oglądając się, czy od tyłu nie natrze na niego ojciec, przyciągał Kazika bliżej krawędzi. Teraz dopiero mógł podać mu rękę, uczył, że tamten stracił już resztę sił, a pod nogami ślisko, jakże wydzwignąć z wody ten ciężar. Tam bez przerwy szarpiał niewodem, rwał go ku sobie, ani by im w głowie powstało, co tutaj się dzieje... Kazik bezwładnie osuwa się w wodę, chwila, a wypuści rękę z uścisku, lód to właściwie, nie ręka.

Przykleknał, jedną nogę daleko odsądził od skraju przerębli, ciągnął. Kolana mu się ślizgały. Rzucony przed chwilą niepotrzebny już drąg jednym końcem wparł się w drutowinę matni. Nie mając pewności, czy tak krucha podpora wytrzyma, zawisł całym ciężarem ciała na drągu, nad Kazikiem, nad parującą, dymiącą przeręblą. Podciągnął ciało tonącego do siebie, dźwignął nadludzkim wysiłkiem, ujrzał przytomne jeszcze, rozszerzone trwogą oczy tamtego, krzyknął w te oczy, by pomógł, by się trzymał, bo rady sam nie da. Zdobył się Kazik na ostatni chyba wysiłek, drugą dłoń uchwycił się ratującego, nogami zaplątanymi w sieci odbił się od niej. Starczyło, ostatni podrzut, ciało Kazika zawisło na drągu. Byle drzewo się teraz nie załamało. Ciągnął chłopca do siebie, na lód, już głowa na nim i barki, już pół tułowia, nareszcie, bezpiecznie, już się nie zsunie, obaj się nie zsuną, mogą tamci szarpać za sieć. Leżąc obok wyratowanego, dostrzegł na pół widzącymi od szalonego wysiłku oczyma, jak szarpnięta silnie przełamała się matnia i z chrzęstem zaczęła sunąć pod wodę. Odprowadzał ją wejrzeniem, w którym dopiero teraz wzbierał strach i potężniejszą grozą. Oto kutel zsuwał się z lodu, dziwnie gładko teraz i bez oporów; coraz węższy w końcówce, dość

znajdował miejsca w przerębli. Aż nurknął z bulgotem, od razu ciągnąc całym ciężarem sieci na dno. Tylko maleńka fala zadrżała na środku, inna niż te wzbudzone przez wiatr.

Teraz wróciła mu świadomość. Kazik leżał obok, przytomny, oczy miał nadal szeroko rozwarte, ale niezdolny był do ruchu. Przemoczone ubranie pokrywało się warstwą lodu. Wiedział, że wyrwanie go z wody było pierwszym dopiero krokiem. Trzeba teraz odstawić topielca do domu, do ciepła, kto wie, czy wytrzyma tę straszną kąpiel...

Dźwignął się, rozejrzał. Ciemniejszą plamą znaczyło się, zasypywane już śniegiem, ciało ojca. Czy żyje? Widzialność nie większa, jak na odrzut ramienia, wichura wzbiera wyciem, ani kto usłyszy wołanie, matnia poszła, do wody, tamci pewni, że wszystko tutaj w porządku. Co robić?

I nagle, tuż obok, pobrzęk dzwoneczków przy szyi końskiej. Sanie po rybę. Buchnął mocniejszy kłęb pary, cień jakiś zaczerniał. Nadbiegła kłątwa woźnicy, zagubił się, już w ogóle nie wiedział, gdzie brzeg, na ślepo parł, szczęście, że się znaleźli, zwariowana pogoda, diabli nadali tę rybę...

Umilkł, gdy młody Jermieniuk wpadł na niego jak burza, zaczął strącać skrzynie z sanek na ziemię, krzyczał, by pomógł ułożyć na ich miejsce niedoszłego topielca. Gdy go dźwignęli, zlodowaciałe ubranie nadawało mu sztywność drewna, tyle tylko, że się wargi ruszały, szeptał coś, gdzież go zrozumieć w takiej wichurze.

Zawrócił sanie, by gnać co rychlej na brzeg, do pierwszego domu, gdy woźnica rozdarł się przenikliwym wrzaskiem. Wskazywał na leżącego u wezglowia stosu leszczy starego Jermieniuka.

Drgnęło coś w Stachu. Zapomniał o ojcu, któremu i bez, kąpieli groziła śmierć z zamrznięcia. Czy żyje, może tamto uderzenie było za silne? Nachylając się nad nim, myśląc tak, nie odczuwał żadnego żalu. Musiał to uczynić, nie tylko dla Kazika, nie tylko dla siebie, ale także dla ojca.

Żył, giął im się w dłoniach, zajęczał, zakrzyczał. Złożyli go obok Kazika.

Spojrzał na tych dwóch ciasno leżących obok siebie ludzi, gwałtownym ruchem zrzucił z siebie kożuch, przykrył ich, skoczył na przód sań i, zacinając konia biczem, pognął w stronę, gdzie pośród wichury i bieli krył się brzeg, a na nim upragniony ratunek. Koń, jakby rozumiejąc, zaklaskał kopytami po lodowym podłożu, popędzany jeszcze od tyłu pokrzykami woźnicy.

NOC PRZY, BINDUDZE

Patrzyłem w płomienie, w strzelające języki ognia, w poblaski ścielące się na twarzach mych gospodarzy. Niekształtne i mroczne rysowały się warstwy dłużyc, szalas kryty słomianym dachem zaledwie mającymi ciemniejszą plamą. Wzrok nasycony światłem długo musiał przenikać zalegającą wokoło ciemność, by rozróżnić w niej granatową, srebrzącą się miejscami gładź wody i zaczepić się potem o jednolity czernią zarys zbiegających nad jezioro skupisk świerkowych, przetkanych sosną. Strzępiastą, ząbkowaną linią szczytów uderzały w rozgwieżdżone niebo, zwieszające się nisko, jak pułapem zamykające rynną jeziorną.

W ciszę, przerywaną tylko trzaskaniem rzucanych na ogień, nawilgłych niedawną ulewą gałęzi, wpadało czasem pluśnięcie wyrzucającej się ryby, wraz z zamazanym kształtem przelatującego opodal nocnego ptaka niósł się jego gardłowy pisk. Od puszczy rozlegało się chrząkanie spłoszonego poblizem ludzi dzika. Przygłuszony oddał, nadpłynął naszczek psa.

Któryś z mych towarzyszy westchnął, poruszył się, przyrzucając drew do ogniska, rozłożonego na grubej warstwie darni. Płomień strzelił w górę, frunęły iskry, blask ogarnął wodę, leciuteńką falą potracającą brzeg tratwy. Przeniosłem spojrzenie na ludzkie twarze. Człowiek dorzucający chrustu był już mocno podeszły wiekiem, ale zarazem oblicze jego wykształciło ten charakterystyczny typ rysów, które z pewnym dniem przestają odbijać sumę mijających lat. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiątkę, jak i znacznie więcej. Pociągła, lekko zapadła w bruzdach około ust, uwydatnionych sporymi, źle przystrzyżonymi wąsami, twarz jego ujmowała mądrością spokoju, niekoniecznie wolnego od strapień, ale umiającego je właściwie oceniać, ze swoistą melancholią stwierdzenia ich nieodzowności w ludzkim żywocie.

Bardziej nieodgadniony był mój sąsiad z lewa. Wpatrywał się w ogień intensywnie, ale jakby sięgając przezeń do innych obrazów, odległych od wszystkiego, co wyznaczało granice bieżącej chwili. Te rysy też wyrażały spokój, ale bardziej złożony, zdobyty nie przez akt rozumnej rezygnacji, lecz poprzez umiejętność narzucenia swojemu wnętrzu surowej dyscypliny. Wyrazisty nos, jasne szerokie brwi, wysokie czoło z rozwichrzoną gęstwą włosów ponad nim, ściągnięte policzki, w sumie niewiele ponad szablonową przeciętność. To, co stanowiło o wyrazie tego oblicza, nie było łatwe do uchwycenia na pierwszy rzut oka. Na pewno coś w spojrzeniu, głębokim i intensywnym, może układ podbródka, znamionujący pewną stanowczość, trochę gorzkie ściągnięcie warg.

Znowu plusk ryby, gdzieś niedaleko. Uśmiechnąłem się ironicznie. Przez cały zwariowany dzień ślęczenia z wędką głucho było na wodzie, jakby wymarło w niej wszelkie

życie. Niefortunna wyprawa, z całą serią niepowodzeń, aż wreszcie, jak dar łaskawej wróżki, blask ogniska na tratwie, przywracający dobre samopoczucie. Brakło mi teraz tylko jakiejś leniwej, nie obowiązującej rozmowy, wspominków, nie najważniejszych, tych dopiero z przedproża zwierzeń, bliższej spójni z nieoczekiwanie poznanymi tu ludźmi. Oni wszakże nie przejawiali tej samej ochoty, starszy zaledwie raz czy dwa usta otworzył, charakterystyczna gwara bez omyłki oznajmiła Mazura, drugi, właściwy mój wybawca z nocnej przygody, również ograniczał się w wypowiedziach do grzecznościowego minimum. Raz się tylko ożywił, gdy, znajdując w jego odezwaniami mizerne już ślady przyśpiewu, odkryłem ziomka z moich rodzinnych stron.

Mógłbym już zasnąć, zaszywając się w głębię ofiarowywanego mi legowiska w szałasie. Byłoby to najśluszniesze po bogatym w przeżycia dniu. Teraz, gdy od ognia szło błogie, rozleniwiające ciepło, gdy żołądek, syty rybią polewką, zniewala! do gnuśności, niedawne przygody zaczęły nabierać jaśniejszych barw, układając się w nie denerwujące wspomnienie. Jakże inaczej było przed paru zaledwie godzinami...

W ogóle od samego ranka wiodło mi się pechowo. Chybiona była cała wyprawa na wiertelski koniec jeziora, gdzie jakoby grasować miało nieprzebrane mrowie ryb. Korzystając z pomocy motorka, od brzasku pchałem się kajakiem przez całą długość Nidzkiego Jeziora. Tymczasem zaledwie parę mizernych okońków i jakaś widocznie ze wstydu spłowiła wzdrgęta zamknęły listę wędkarskich sukcesów. Na domiar złego w powrotnej drodze motorek z nagłą zakasłał, stuknął ostrzegawczo i wreszcie pękł z hukiem. Z ciężkim sercem przyjąłem perspektywę wędrówki do Rucianego z pomocą wioselka. Na noc pewnie bym dobrnął, gdyby nie ten piekielny deszcz, prawdziwe urwanie chmury i razem z nim przenikliwy, wcale nie późnomajowy ziąb. Dopiero gdy począłem szczękać zębami, uświadomiłem sobie, że to przecież Mazury, spóźniona zawsze w tych stronach wiosna, przymrozkiem nierzadko kłaniająca się rankom i wieczorom. Przemoczony do cna, zaskoczony z kolei przez mrok, znalazłem się w ciemności, daleko nie tylko od Rucianego, gdzie założyłem swą bazę, ale nawet od stancy u przedproża Zamordejskiego Półwyspu... Początek beznadziejnej, zupełnie ponurej machaniny wiosłami, po to już chyba, aby nie skostnieć, obijanie się o brzegi, dziwnie teraz obce, aż wreszcie ten blask, pierwszy znak ludzkiej obecności, sygnał nadziei... Przemoczone ubranie paruje przy ogniu, siedzę przykryty użyzonym przez gospodarzy kozuchem, czego można jeszcze zapragnąć w tej sytuacji? Rozmowy, która nie wiedzieć, czy nie skończy się niesmakiem, co najmniej zaś nudą, jak tyle innych? Ogarnąłem się furą przykrycia, gotują się do wędrówki w ciemnię flisackiego szałas. Wtedy drgnął młodszy z mych gospodarzy i, odrywając spojrzenie od płasających

plomieni, zapytał niespodziewanie, a kresowy przyśpiew zabrzmiał w jego słowach tym razem mocniej:

— Skoro pan jest również z tamtych stron, znał pan może Santokę? Nad Wilią, przy ujściu Żejmianki?

W tonie głosu zawisło wyraźne oczekiwanie. Czegoś się po mojej odpowiedzi spodziewał.

— Mój Boże, czy znałem? Pewnie, że znałem...

Urwałem... Mój Boże, Santoka, czy ją znałem? Maleńką,

niepozorną osadę, złożoną z kilku domków przycupniętych nad głębokim parowem, którym płynęła rzeka. Wysoki most kolei żelaznej, przystanek, szlak wiodący na Turmonty i za dawną łotewską granicę. Nurt wody bystry, skotłowany, zwłaszcza przy ujściu Żejmianki. Las sosnowy, poprzetykany brzozą, niżej czerwieniejący dojrzewającą jarzębiną, krzewiem próbujący obsiadać strzępiastą wysoczyznę brzegu. Trochę tak, jak te miejsca Nidzkiego Jeziora, gdzie puszcza wspina się w górę, jakby pragnęła zagarnąć przegładające się w wodzie niebo. Pośród tych lasów trochę s płachci biednej, piaszczystej ziemi, żyto i ziemniaki, gryka jeszcze, cóż by innego chciało tam rodzić?

Krajobraz ten otacza, jak szlachetną oprawą, gmatwaninę wracających teraz na pamięć przeżyć, gdzie wcześniejsze przeplata się z późniejszym, drobną twarzyczką Hanki o niebieskich oczach przesłania cwaniacka gęba Heńka, powrzaskującego ku idącym wysokim brzegiem wiejskim dziewczynom, a tajemniczy urok nocnej przygody z kłusowniczymi wygami, ościeniem przebijającymi zwabione światłem łuczywa ryby, splata się we wspomnieniu z żarem owego dnia, kiedy szaleńcza wyprawa sztubaków na spływ v. Zielone Świątki skończyła się leżeniem w szpitalu po ostrym porażeniu słonecznym. Aż zdumiewa, że nie z którąś inną z miejscowości, leżących na tamtych, tak dobrze mi znanych, bliskich trasach wodniaka, łączy się teraz tęskna mgiełka zrodzonego sentymentu, ale z Santoką, z ożebrowaniem jej mostu, ze stromizną pokrytego zielenią brzegu, z tym właśnie zaczerpniętym pełnym oddechem.

Wieleż było tych zetknięć, wtedy tak oczywistych, że nieomal niezauważalnych, dopiero po latach odżywających w pełnej krasie barw, w całej harmonii dźwięków, w jedynej, niepowtarzalnej urodzie, gdzie czas zatarł najpewniej skazy, wypełnił rysy, zostawiając niezamącony smak czystego przeżycia.

To z Heńkiem było najwcześniej, wakacyjna sztubacka, mocno zwariowana wyprawa kajakiem na wodne szlaki. Z wypożyczonym sprzętem, z mizernym groszem, z przeogromnym zapalem pierwszego dnia, gdy nie zważając na ostry prąd, przepychając się płycznami przybrzeżnymi na pych, to znów wiosłami przełamując opory nurtu, nad wieczór

dotarliśmy do tej właśnie Santoki. Ciepła noc, biwak na brzegu, ognisko właściwie, sen na gołej ziemi, wyśpiewywanie wodzie, parowowi i lasom. Następnego ranka wpływaliśmy na Żejmiankę, szlak wiódł potem Naroczanką i Serweczem, nigdy jednak nie zazналиśmy aż tak przeogromnej, rozsadzającej radości, uczucia pełnego wyzwolenia, jak właśnie wtedy. Noc była jasna, aż gwiazdy w niej blakły, trącane nurtem wabiło lustro rzeki, migotliwymi srebrnymi smugami wyskakiwały przy bystrzynach brzany i klenie, w smudze księżycowego poblasku wirowały setkami maleńkie owady o białych skrzydłach i przezroczystym, prawie niematerialnym tułowiu... Aż potem zza niedalekiego zakrętu zapełgało najpierw migotliwe światełko, a później ukazała się wolno sunąca przybrzeżną mielizną łódź z płonącymi u dziobu smolakami. Poblask szedł daleko na wodę, zwabiając do siebie ryby. Nieruchomiały przy dnie, leniwie poruszały płetwami, niebaczne, że za chwilę ostry grot przetnie toń, sięgając upatrzonej ofiary. Dramatyczny, przedśmiertny trzepot i na dno łodzi spada ryba z roztrzaskanym grzbietem. To było ponure, ale zarazem urzekające napięciem i długo sunęliśmy kajakiem opodal łodzi, a blaski ognia migotały na naszych przejętych, twarzach...

Była śmieszka, ta najcudniejsza moja dziewczyna, może świadoma, że właśnie wtedy tworzyły się jej dołeczki w policzkach, miejsca, które szczególnie lubiłem całować. Jakiś spław akademickiej grupy włóczągów od Podbrodzia Żejmianką do Wilii i dalej. Bystry nurt znaczył się migającymi, nasyconymi zielenią brzegami, wystarczyło manipulować sterem, można było oddzielić się od pozostałych, przestawać wyłącznie z sobą. Obracała się na swym przednim siedzeniu, śmiała się, tworzyły się te dołeczki. Jakieś dzieciaki wymachiwały z brzegu rękami, a potem wdrapywały się na stromiznę parowu. W cieniu brzegowego nawisu woda nabierała intensywnej barwy granatu, z nagłą przechodzącej w rozłożoną słońcem płaszczyznę. Tam, na tej granicy światła i barw, związały się nasze z dziewczyną losy...

Niemęsko, niestosownie do chwili odżyły i nawarstwiły się we mnie te same odczucia podobnym jak dzisiaj wspomnieniem znacznie już wcześniej, w przedwieczny dzień, gdyśmy na santocki brzeg wychynęli ze zwartej gęstwiny lasu. To był już inny czas...

— Zamyślił się pan. Czyżby nad Santoką?

Delikatnie zniżył głos mój rozmówca, by nazbyt zgrzytliwym słowem nie zmacić chwili mojej zadumy. Z niemałym wysiłkiem oderwałem się od osaczających mnie wspomnień. Spojrzałem na zwróconą w moim kierunku twarz. Nadal uzewnętrzniało się w niej napięcie oczekiwania, wyraźna sugestia podtrzymania tematu, wysupłania nawiązującej się między nimi nici porozumienia.

— Czy jest tam jeszcze ażurowy, żelazny most? I maleńkie, przycupnięte na górze domki? Pan stamtąd pochodzi?

Nie odpowiedział od razu. Wzrokiem ogarnął bardziej wyczuwalne niż dostrzegalne w mroku wody Nidzkiego Jeziora, zatrzymał spojrzenie na konturach flisackiego szałas na tratwie i, jakby szczególnie go jakoś przyciągały płomienie naszego ogniska, wpatrzył się w nie uparcie, choć dobrze wiedziałem, że myślą znajduje się gdzie indziej, przy innym może ognisku, jeśli je rozpałał nad santockimi brzegami, nad inną wodą, niespokojną, szarpaną wirami ostrego prądu.

Mazur naprzeciw nas zdawał się drzemać. W którymś ze szkiców Chełmońskiego jest taka sylwetka człowieka przysiadłego nad ogniskiem, z twarzą steraną życiem, ale spokojną doświadczeniem minionych już, burzliwych lat. Zapadłego ponownie milczenia nic teraz nie przerywało z wyjątkiem cichych potrzasków zżeranego płomieniem drzewa. Pojaśniało nad daleką linią drzew puszczańskich, nasyciły się szczytowiny martwą czerwienią, okrągły, z jednej tylko strony nastrzępiony jeszcze leciutko, szybko wytoczył się księżyc, zaskoczony mrokiem przykurczył się, jeszcze się dźwignął do góry, zatracił nieco kolorów, potem cieniutką poświatą ogarnął jezioro i las. W jakimś szeroko ogarniającym geście przesłoniła mi nagle nowego towarzysza tej nocy wyciągnięta dłoń sąsiada. W nieuchwytnym odczuciu ten ruch ramienia, zamaszysty, spokojny, wydał mi się jakby znajomy.

— Widzi pan, tam niedaleko binduga, cały brzeg zavalony okorowanymi pniami. Do spływu. Przedwczoraj skończyliśmy wiązać nasz zestaw płyt, odbiliśmy, aby nie przeszkadzać następnym, czekamy na holownik, który pociągnie nas przez jeziora...

Składowisko wielkich, na stos zwalonych dłuźyc, jedno z licznych nad Nidzkim Jeziorom, nie ciekawiło mnie, wieleż razy oglądałem z melancholijnym smutkiem te pnie, ślad zsieczonej w zimowe dnię którejs puszczańskiejs połaci. Nie lubiłem widoku bindug. leńnych cmentarzy. Czemu tak zależy memu gospodarzowi z tratwy na wskazaniu tego obrazu? Nie od razu przy następnych słowach pojąłem, że związek tego gestu z treścią jego doznań był bardzo bliski.

Głos brzmiał już inaczej niż przedtem, nie zawisał oczekiwaniem; nie poganiany wewnętrzną niecierpliwością, przyciszony dyskretnie, spływał w tonacji pokrewnej cichutkiemu pluchotaniu wody i ledwie odczuwalnym powiewom, nadbiegającym od łądu. Poprawiłem się na mym siedzeniu z kilku nałożonych na siebie warstw darni. Pojmowałem stan mego rozmówcy, wiedziałem już, załamały się w nim opory, zrodziła się potrzeba zwierzeń, półgłośniejs rozmowy nie tyle właściwie z przygodnym słuchaczem, co z samym sobą.

— W jednym z tych domków santockich mieszkaliśmy.

Ojciec był płytnikiem, nie wyżywiłby rodziny z półtora hektara piasków. I nie z piaskami łączy się we mnie pamięć ojca, ale z tratwami, z ich długimi ciągami, z pokrzykami przy ostrych zakrętach, na bystrzynach czy przy zdradliwych mieliznach...

Nie odzywałem się, w momentach nasyconych aurą zwierzenia każdy wtętu staję się zgrzytem. Towarzysz mój nie oczekiwał też słów czy gestów z mej strony. Mogło się zdawać, że w ogóle mnie nie dostrzega. Siedząc z podniesioną głową, spojrzeniem sięgał daleko poza bindugę, bielejącą opodal zwaliskiem białych kikutów drzew, miał przed sobą w tej chwili wody Wili w Santoce, bystre, zmierzwione wirami, rwące ostrym nurtem, a na nich niezgrabne cielsko tratwy, kierowanej z wysiłkiem pociągnięciami wielkich drągów sterowych.

Żywy blask płomienia mieszał się na jego twarzy z martwą bielą księżycowej poświaty. Oblicze stało się wyrazistsze, głos tylko nadal płynął z dyskretnym przyciszeniem.

Na wodzie z rzadka rozlegał się pluskot rzucającej się ryby, od przeciwległej ściany lasu koszącym lotem spłynęła sowa, szybciej przesybowała nad tratwą. Wyraźniejsze stały się szczytowsiny drzew, pomierzwioną linią rozcinały niebo, jaśniejsze teraz, wypełniające się migotem gwiazd. Jedna z nich, zataczając szeroki łuk, sfrunęła w dół, gasnąc dopiero po dłuższej chwili. Mój towarzysz powiódł oczyma za opadającym ciałem niebieskim, a potem znowu wpatrzył się w daleką, nieodgadnioną przestrzeń.

Z niej przyzywał taśmę zmieniających się obrazów, zachłyśnięć i wzruszeń, odnajdywał zapomniany osad dziecięcych goryczy, pierwszych rozczarowań i nieśmiały, naiwnych w wartościowaniu triumfów. Szumiała mu jak dawniej Santoka, zwalniając biegu przelatywał mostem sznur wagonów, wyrazistą bielą lśniły po raz pierwszy ujrzane dziewczęce piersi, nad wszystko wszakże wyrastał codzienny widok sunących wraz z nurtem dziesiątków tratw, niosło się wodą pohukiwanie flisaków, płonął jak dzisiaj ogień niecony na darniowym podłożu. Od wczesnej wiosny, jeszcze wody były szeroko wezbrane, świtaniami szkliwo lodowe lśniło przy brzegach, ruszali na spływ. Od Serwecza, od Oszmianki i Naroczanki, czasem rzeczulkami, których nazwy dawno uleciały z pamięci, ciągnęły ku Wili zestawy tratw, ostry zapach niósł się od okorowanych pni, na słońcu sączących żywicę. Tam też były bindugi, wysokimi stosami piętrzyło się drzewo, ubywało go z każdą ruszającą wraz z nurtem tratwą. Tratwy te zwano w tamtych stronach płytami. Płytnicy z zastoju zimowego życia po chatach, coraz bardziej niespokojni z każdym dniem przybliżającym do wiosny, wyrwali oto

wreszcie na szlak. Silny musiał być zew wodnej włóczęgi, jeśli nie odstraszała praca nad siły, chłód i spiekota, nie największy grosz czekający u końca podróży.

Ojciec mego rozmówcy cieszył się w tym bractwie szczególnym uznaniem. Nikt jak on nie znał zdradliwych załamań nurtu, wpychających tratwy na płycizny, rzucających wiązaniem dłużyc o brzegi. Wiedział, jak wyzyskać każdą bystrzynę, gdzie tworzą się niebezpieczne zakola, w których miejscach najlepiej zakładać nocne biwaki. Na wiosnę kompletował własny zespół płytników, rwał się każdy, by doznać zaszczytu wyboru. A potem dzień po dniu była już praca, z rzadkimi chwilami spokoju; gdy prąd spokojnie niósł środkiem rzecznej koryta, można było przeciągnąć ramiona i przysiąść w zadumie przy sterach. Wysilek dni wynagradzały noce. Odzywały się w tych włóczęgach jakieś atawizmy, nieustanny zachwyt nad ogniem, skoro, nie bacząc na znużenie, długie godziny wysiadali wokół płomienia, najczęściej milczący, pogrążeni w szczególnej zadumie, czasem poddający się gwałtownej potrzebie zwierzeń. To był wielki dzień, pierwsza wyprawa z ojcem na spływ. Pachniało spóźnionym majem, fiołki jeszcze kwitły po lasach, dopiero teraz mnożyły się konwalie, widłak rozrastał się świeżymi sznurami. Dnie były długie, noce coraz to się skracały, przygasały ostrym, przedrannym chłodem. Przed młodym chłopakiem otworzył się nowy zupełnie, nie przeczuwany w swojej urodzie świat. Rodzinna rzeka okazała się odmienna od wyobrażeń narosłych na brzegu. Z nurtu widziało się ją w nowych barwach, inne były pluski wody w ciche wieczory, mijane brzegi stały się tylko oprawą zaskakujących, przedtem nie znanych treści. Inaczej łapało się rybę ze skraju płyt, oślizłych od uderzeń opłukującej je wody, szczególny smak miała zaparzana na liściach borówczanych herbata. Najdziwniejszym jednak urokiem spływały na chłopca opowieści flisackie przy mieniących się blaskach ogniska. O tamtej, dawno minionej wojnie, o trudach płytniczego zawodu, o rybach i o zwierzętach schodzących na brzeg do wodopoju, o ludzkiej doli w pośpiesznie kleconych szałasach. Ponurzy, zarośnięci ludzie, nad wszystko sam ojciec, okazywali się głębsi, wzbogaceni odkrywaniem dopiero teraz wewnętrznym życiem. Rzeka poszerzała ich świat, jakże wielki w porównaniu z oglądanym dotąd z perspektywy podwórza w maleńkim osiedlu. Miasteczka i wioski, wielkie ziemiańskie dwory z sadami, w których można było podkradać zmierzchu jabłka, rybackie siedziby, przycupnięte nad wodą, nowe twarze i nowe sądy, zewsząd mnożyły się doświadczenia obserwacje, z nich zaś zdradzać się musiał trzeźwy, już daleki od naiwności osąd. Także osąd ludzkich spraw, doli wyznaczonej zupą z lebiody, tytoniem hodowanym gdzieś w ciemnych kątach, bo na kupowany nigdy nie starczało pieniędzy, kłótni o parę zerwanych przez wodę dłużyc, gdy przy zdawaniu drzewa odliczano ich wartość od skromnej zapłaty.

Różnie bywało na tratwach. Niski stan wody przedłużał często podróże, kończyła się zabrana z domu słonina, krupy i mąka, zdarzało się, iż trudno bywało nawet o sól. Wtedy woda musiała żywić. Na każdy posiłek nieodmiennie już ta sama rybia polewka, potem ryba smażona na wielkiej, wysłużonej patelni, a gdy zupełnie już tłuszczu zbrakło, owijana sownicą gliną i tak wrzucana w ogień, by piekła się we własnym sosie. Nigdy nie zmieniało to wewnętrznej pogody płytników. Melancholijni, mrukliwi, przygotowani na każde przeciwności, tak samo nawoływali się, pokonując zdradliwe bystrzyny, tak samo kupili się wieczorami przy ogniu. Tyle tylko, że więcej może wtedy snuli swych opowieści...

Otrząsnął się mój sąsiad z naporu wspomnień, umilkł, wstając podrzucił trochę chrustu do ognia. Strzeliły mocniejsze płomienie, zapęłgały wokoło blaski, wyostrzyły się kontury dłużyc wiązanych przemyślnym sposobem, wyłoniła się z półmroku twarz Mazura. Wydawało się, jakby coś w tej chwili przeżuwał, wąsy drgały mu jednostajnym ruchem. Oczy błyszczały podnieceniem. Musiało być coś w dopiero co zgasłych, jeszcze brzęczących w ciszy słowach, co odbiło się w tym człowieku bliskim, serdecznym echem. W pewnym momencie pokiwał przytakująco głową, usta nawet otworzył, jakby pragnął czemuś przytwierdzić, ale się pohamował, zapadając na powrót w swoje skupione milczenie.

Ja zaś borykałem się z pamięcią, natarczywie podsuwającą mi moje własne santockie wspomnienie. Noc równie była jasna, jak dziś, księżyc mozolnie piał się coraz wyżej na niebo. Niechętnie nań spoglądaliśmy, zalegli od paru godzin na samym przedprożu lasu, nasłuchujący miarowego postukiwania butów, znaczących szlak niemieckich patroli... Czułem, jak i mnie ogarnia z nagłą potrzeba mówienia, jakiś osobliwy przymus zwierzeń, wzbudzony ciszą tej nocy, roztoczonym na tratwie nastrojem. Wstrzymywałem się, nie chcąc przeszkadzać gospodarzowi, ciekawiły mnie jego wspomnienia, pewien byłem, że im jeszcze nie koniec. Ucieszyłem się, gdy miękki jego głos znowu się poniósł nad szemrzące wody Nidzkiego Jeziora...

Rok mijał za rokiem, z pierwszymi oznakami wiosny wyruszali płytnicy na szlak, schodząc zeń dopiero wraz ze zwałami kry, grodzącymi przesmyki nurtu. Młody chłopak pływał wraz z ojcem, domem stał się dla niego nie ten niski budynek na stromiźnie wysokiego parowu, ale szałas klecony z gałęzi i kryty słomą, chroniący przed deszczem i ziębiącymi zacięciami wichury. J,». Bomby kierowane na most kolejowy spadły na Santokę niespodziewanie, jak jastrząb-gołębiarz nagłym wytryskiem z czeluści leśnej kamieniem spada ku młodej kuropatwie, rozpaczliwie kryjącej się pośród zboża. Wojna zastała flisaków na wodzie, pośpiesznie kończyli rejs, okrężnymi drogami przedostając się do domów. Zamarło życie na rzece, w jednostajny plusk nurtu nie wpadały nawoływania flisaków, brzegi

stały ciemne, zagasły ogień nieczone na tratwach. Zima, ostra w tym pierwszym wojennym roku, przysypała śniegiem osadę nad rzeczny parowem. Słabo dobiegały tu wieści o frontach wojennych gdzieś na dalekim zachodzie. Bliżej zmieniał się obraz ziemi ponad brzegami rzek, znikwały prywatne majątki, w których podkradało się jabłka i kartofle na polu, nowy ustrój przejmował władzę, dla flisaków objawiwszy się w któryś mroźny dzień zawiązaniem spółdzielni. Z wiosną, jak zazwyczaj, popłynęły ku większym ośrodkom, ku złaknionym drzewa tartakom konwoje tratw, zabrzmiała, jak dawniej, smętna, melancholijna pieśń, zapłonęły ognie u brzegów. Tak samo zaczęło się drugie lato, podobne poprzednim i zarazem już inne. Ale gdy odezwał się znowu huk bomb sypiących się na santocki most, gdy frunęła wraz z ziemią jedna z mizernych chałupin, przysiadła w pobliżu stalowych rusztowań, flisackie rodziny pojęły, że dopiero tym razem wojna bezpośrednio daje im znać o sobie. Tej jesieni spływ już nie ruszył, na próżno czerniały na bindugach okorowane dłużyce. Na moście santockim pojawiły się hitlerowskie kolejowe patrole, wyrosła drewniana wartownia, ponurym wyciem zanosily się w nocy tresowane wilczury. Wieści, które nadciągały zewsząd, uprzytomniały bliskość niebezpieczeństwa. Ginęli ludzie z dala od frontów, padały setki niewinnych, niepewność zaciążyła nad każdym życiem. Zarazem życie to dopominało się o swoje zwyczajne prawa. Z ostatkami kry spływającej rzekami wyłonił się problem rozładowania zapasów drewna na nadbrzeżnych bindugach. Nawoływania patroli niemieckich przy torach kolei i moście przeplatały się z po-krzykami płytników. Czasem musiały tratwy przystawać, wnętrza szalasów podlegały gruntownej rewizji. Jeszcze to było przedwczesne, jeszcze nie nabrzmiała powszechna żądza odwetu. Potem dopiero pojawiać się zaczęli na tratwach obcy, nieznani ludzie, zmizerowani, tym sposobem szukający dróg ucieczki do większych ośrodków, gdzie łatwiej o schowanie, ukrycie niedobrej twarzy. W szalasach, poza kozuchami skromnym dobytkiem, płynęły skrzynie z bronią i amunicją, jeszcze z tych dawnych, wrześniowych dni. Przytroczone do wiązań dłużyc małe łódeczki śmigały pod osłoną nocy na umówione miejsca przy brzegach. Zabrakło złudnego spokoju, zaczęły rwać się szyny pod dudniącymi na nich składami frontowych pociągów, daleko niosły się błyski potężnych wybuchów. W lasach zaroilo się od przesmykujących się zbrojnych grup, często huczały salwy, a po nich wyruszały w las oblawy. Wzmocniony czuwał nad mostem santockim posterunek niemiecki...

Urwał. Zwróciłem głowę ku sąsiadowi. Oczy jego płonęły, silna była wymowa przyzywanego na pamięć czasu. Twarz siedzącego naprzeciw Mazura, wysunęła się do przodu, zaostrzyły się rysy, oddychał głośniej, wpatrując się jak urzeczony w młodego

towarzysza flisackiej doli. Przed nami bieleły się u brzegu dłużyce bindugi, księżyc rzucał migotliwą smugę srebra na cichą wodę.

Milczenie trwało, nasycając się treściami, nie zawsze potrzebującymi słów dla swego uzewnętrznienia. Rozmówca mój gestem jakby znużenia przegarniał rozwiane włosy, lekko przechylając przy tym swą podłużną głowę. Ten ruch znałem, pamiętałem od lat, teraz mocnym przebłyskiem ujawnił mi z nieodpartą siłą każdy szczegół owej nocy nad santockimi brzegami Wilii...

Dodatkowo wzmocnione patrole krążyły bez przerwy koło torów. Na moście stały się światła dwóch reflektorów, nie zostawiając najmniejszej mrocznej płaszczyzny. Prowizoryczne bunkry wyszczerzały lufy automatów. O parę stajań, tuż za ostrym zakrętem, zalegaliśmy w lesie od wczesnego wieczora. Oczekiwanie było nużące. Pociąg, dla którego tutaj przybyliśmy, miał nadejść o nie określonej bliżej godzinie, poprzedzony kontrolnym zestawem. Minę należało zakładać w ciągu kilku czy parunastu minut, dzielących oba przebiegi...

Tor biegł wysokim nasypem, dwie srebrne pręgi szyn znaczyły się wyraźnie w poblaskach księżycy. Spoglądając nań, klęliśmy, wygrażaliśmy w bezsilności pięściami. Patrole głucho dudniły po ubitym żwirze. Krótkie wydawały się sekundy, gdy interesujący nas odcinek szlaku stał pustką. Dał lekki wiatr, nocą od dawna już następował ostry spadek temperatury. Na rozgrzane emocją i napięciem oczekiwania ciała spływał mrozący ziąb. Dygotaliśmy. Wskazówki zegarków uparcie tkwiły w miejscu. Kroki patrolu, półgłówna niemiecka rozmowa, nawąchiwanie towarzyszących psów. Cisza. Znów patrol odmierzający powrotną drogę.

Przesunął się torami ze zwykłym jazgotem rozkładowy pociąg osobowy, migwały czeluście zaciemnionych okien wagonów. Znów niechętnie płynące sekundy, minuty, kwadranse. Wyliczona co do minuty marszruta patrolu. Cisza. I wreszcie nadbiegający od mostu turkot. Straszliwy niepokój. A jeśli wiadomość o składzie kontrolnym okaże się nieprawdziwa, jeśli tamten oczekiwany pociąg bez ubezpieczenia wyruszy na trasę? Ktoś z ulgą szepce: kontrolka. Lokomotywa pracowicie pcha przed sobą dwa piaskiem załadowane wagony, przetaczają się przed naszymi oczyma, łoskot zacicha w oddali. Teraz wybija nasza godzina... Patrol. Ten sam znudzony krok, liczony przez nas z zadziwiającą dokładnością. Już. Trzech skokami sady ku torom, reszta ubezpiecza, wszystkim serca podchodzą pod gardło. Od stacji cichy gwizd lokomotywy, czyżby to ruszał już tamten wyczekiwany skład? Czy chłopcy zdążą założyć ładunek? Czy patrol nie nawróci wcześniej, a psy nie zwęszą śmiercionośnego miejsca? Cemu trwa to wszystko tak długo? Pociąg już jedzie, nabiera rozpędu, lokomotywa

za chwilę wynurzy się zza zakrętu. Jeśli maszynista dostrzeże naszych, może zahamuje, przystanie przed miną, cały wysiłek pójdzie na nic, wbrew rozkazowi, który brzmiał: zniszczyć ten transport za wszelką cenę.

Nareszcie, sylwetki śmigają od toru, pędem zsuwają się z nasypu. W tej samej chwili zza zakrętu wylania się patrol, tuż za nim ciemna, dwoma reflektorami wgapiająca się w przestrzeń masa lokomotywy. Zadecydowały sekundy. Wyraźne na oświetlonym tyle nasypu sylwetki chłopców nie mogły ujść uwagi patrolu. Skaczą do przodu psy spuszczone ze smyczy, z jazgotem sypią się w naszym kierunku serie strzałów. Maszynista próbuje gwałtownie hamować, coraz to zwalniają obroty tłoka, czyżby wszystko pójść miało na marne? Z otwieranych drzwi wagonów jeszcze w biegu sypią się na nasyp ludzkie sylwetki w mundurach, od mostu nadciąga odsiecz, sieką w nas z dwóch stron, psy rwą na przełaj z przywartymi do ziemi brzuchami. Wszystkie prócz jednego. Ten sady po torach, chwila, a natknie się na minę. Wybuchnie przedwcześnie, transport uniknie zagłady. Strzelamy do psa, on najważniejszym teraz nieprzyjacielem.

Nie zdążył maszynista zahamować rozpędu, próżno przerzucił bieg na wsteczną, potężny zryw, słup ognia, lokomotywa stacza się z nasypu, przewraca do góry nogami, koła ciągle się obracają, a tam wagony piętrzą się jeden na drugi, straszliwy rumor i krzyk, i wrzask, z boku nieustające serie wystrzałów, ktoś z naszych jęczy, wzywa pomocy...

Odwrót inny, niż planowaliśmy, wściekła nagonka patroli, ani patrzą, że ważniejsze byłoby dla nich ratowanie rannych z oficerskiego transportu, zdążającego na front. Księżyc, jak na ironię jasny, triumfuje na niebie, nie ma przed nim osłony. Spychają nas nad brzeg rzeki, kryjemy się wraz z rannymi w gęstym krzewiu. I wtedy spod nawisu brzegowej wierzby wypływa łódka. Starszy człowiek ze zmierzwionymi włosami, które przegładza nerwowym ruchem, przekrzywiając w bok głowę. Ale na zewnątrz niczym nie wykazuje niepokoju, przejmuje rannych, którzy hamowali nam możliwość odwrotu, odpływa pod cieniem nawisu brzegów. Wycofujemy się w odwrotną stronę, teraz możemy już sadzić susami, walka toczy się z równymi szansami. Zawracamy w kierunku rozbitego, płonącego pociągu, skąd się niesie przeraźliwy jęk rannych. W stłoczoną przy wagonach ciżbę tych, którym udało się ujść z życiem, sypimy seriami. A potem usuwamy się, korzystając z powstałego popłochu...

Patrzę teraz na mego towarzysza. Jest zażenowany natarczywością mojego wzroku, przegładza znowu włosy ruchem zapamiętanym przeze mnie u kogo innego.

— Ojciec pański nosił długą, szeroką brodę i wąsy? Też miał rozwiane włosy, przegładzał je podobnie, jak pan czyni to teraz, prawda?

Słowa moje brzmią na pozór spokojnie, tylko oddech zdradza wewnętrzne napięcie. Tamten przygląda mi się z narastającym zdziwieniem. Mazur naprzeciw nas aż się unosi z miejsca, jakby nic nie chciał uronić z tej osobliwej sceny.

— Pan znał mojego ojca?

Mówię o wysadzonym oficerskim transporcie. O rannych towarzyszach, ich ocaleniu przez mieszkańców Santoki. Przytwierdza. Pryskają pomiędzy nami ostatnie bariery nieufności, zdradza się w to miejsce przyjazna serdeczność.

— Ojciec nie żyje. Zmarł w kilka lat po przyjeździe na Mazury. Też pływał na jeziornych szlakach, ale to go nie pociągało, nie mógł się wyzbyć pamięci Santoki, bystrych nurtów na Wilii, zgoła innej płytnicznej pracy. Leży pochowany w Giżycku.

Noc się wyraźnie przesila. Jeszcze daleko do brzasku, ale zamiera już całe życie, nie przefruwa nad nami sowa z cichym poszumem skrzydeł, nie niosą się od boru zduszone pokrzyki, ryba przestała roztrącać pluskiem gładź wodną, nawet poszumy wiatru ustały, pocięła w powietrzu.

— Jutro przyplynie pewnie holownik — cicho szepce Mazur, przeciąga ramiona, wygodniej się usadawia przy ogniu.

Patrzę na pogodną, choć steraną twarz starego człowieka. Pierwsze to wypowiedziane przezeń tego wieczora słowa. A jednak jego obecność jest w naszym gronie potrzebna, staje się pewnym uzupełnieniem, jak gdyby pomostem, łączącym tamte, nie znane mu santockie czasy z głębinami wód Nidzkiego Jeziora. Nie mówi, ale śledzę błysk jego oczu, uwagę, z jaką łowi także i nie dopowiedzianą treść naszych wspomnień, wyczuwam jego bezpośrednie zaangażowanie. Zaskakuje mnie odezwanie o holowniku, pozornie dalekie od kręgu spraw, które wypłynęły w rozmowie. Dalekie? Pojmuję nagle jasno, że właśnie bliskie, że słowami tymi Mazur pragnął skierować myśli swojego towarzysza ku sprawom dnia dzisiejszego. Holownik jest tutaj symbolem, tylko symbolem, mimo że naprawdę przyplynie rano, linami przytroczy tratwy do swego kadłuba, pociągnie je przez jeziorny szlak.

Nowa przygarść chrustu na ogień, nowa, czy też tylko będąca kontynuacją poprzedniej, rozpowieść młodszego flisaka...

Właśnie tych holowników ojciec nie mógł znieść. Przez całe życie wysiłkiem własnych ramion sam w przymierzu z prądem nadawał bieg płytom zbijanym z dłużyc. Tutaj musiał się sprzymierzać z siłą motoru, stawać posłusznym pomocnikiem, nie zaś samodzielny panem i władcą, jak na Wilii czy innych rzekach. Nie zrezygnował z zawodu, każdej zimy wraz z drwalami właśnie przy bindugach ciął drzewo, a ledwie lody ustępowały, wracał na jeziorne szlaki. Nie wyżyłby bez flisackich nocy i dni, bez ryby pieczonej w glinie i kipiącego nad

ogniem kociołka z nawarem borówczanej herbaty. Ale zarazem tęsknił, w każdym odbłasku płomienia jawiło mu się tamto, minione życie, dla którego punktem głównym był kolejowy most obok Santoki. Przy ogniu, zazwyczaj gadatliwy, teraz milczał, pozwalał wywnętrzać się innym. Czasem jednak napór wspomnień stawał się za silny, by można było tłamsić go w sobie. Wtedy snuł godzinami rozprawę o Serweczu i znad tej rzeki spławianych brzozech, roślejszych i prostszych aniżeli gdziekolwiek indziej, o sosnach masztowych znad Naroczanki czy dębinie z nadbrzeży Wilii. Odżywała każda mielizna, długie dni przetrzymująca tratwę na sobie, każde zakole prądu, groźne, dające się pokonać jedynie zwariowanym wysiłkiem ramion i obliczeniem każdego ruchu, każda bystrzyna, z poświstem przewalająca zwały wodne po kamienistym dnie, niebezpieczna dla tratw. Szczupaki tam były jego zdaniem smaczniejsze, nigdzie nie łapie się tak olbrzymich okazów suma, przy wirowiskach nigdzie nie napotyka się podobnej masy boleni...

Pragnął bardzo zaaklimatyzować się na wodach mazurskich, poznał je nie gorzej od miejscowych bywalców, wiedział, z których puszczańskich kątów i na co drzewo najsposobniejsze, a jednak nie potrafił zagasić w sobie tęsknoty. Gwizd holownika rozbudzał ją od nowa, pogłębiał, utrudniał współżycie z otaczającym światem. Zżerała go tęsknota za Santoką, tracił siły, powoli cień tylko został z dawnego pierwszego płytnika, wdały się choroby. W przedwiosenne dni, gdy nieświadom jeszcze zbliżającego się końca, mówił już o nowym sezonie, zgasł spokojnie, cichutko, z otwartymi oczyma, wpatrzonymi w stronę, gdzie jego Santoka...

Na krótko jedynie zawisł głos mego rozmówcy, może zdławiło go na tę chwilę wspomnienie ojca. Ale już mówił dalej, zaniknął ton niepokoju w jego głosie, stał się on może nazbyt już teraz, przesadnie suchy...

Kto wie, czy niechęci ku wodzie, której nie niosą wyraźne prądy, nie potrafiłby jego ojciec przełamać, gdyby znalazł tu na jeziorach możliwość pełni walki, wykazania wszystkich swoich umiejętności. Pewnie, te pierwsze lata powojenne nie należały do spokojnych, ale był to chaos pogmatwanych ludzkich spraw, w których żywioł wodny nie miał swojego udziału. Tymczasem to właśnie było ojcu potrzebne. Taka nawałnica na środku Śniardw, gdy fala sięga dwakroć wyżej człowieka, gdy dłużyce sypią się i trzaskają pod jej uderzeniami jak mizerne zapalki. Kto wie, czy w walce z nią nie odnalazłby siebie...

W tym momencie Mazur poruszył się trochę niespokojniej przytaknął głową jakimś swym myśłom. Towarzysz mój spojrział ku jego oplątywanej płomykami ognia sylwetce, uśmiechnął się.

— Kunia był wtedy razem ze mną. Mało brakło, bylibyśmy zginęli. Chce, żebym to panu opowiedział.

Mazur uśmiechnął się przeproszająco, bliżej przysunął się w naszą stronę.

Pogoda od kilku dni była nienadzwyczajna. Sam środek letniego sezonu, przedtem upały, nieprzytomna spiekota, aż wreszcie w atmosferze obezwładniającej parnością ciąg krótko po sobie następujących burz, deszcze ulewne, choć krótkie, znów ta sama parność, znów burza i tak bez końca. Składy tratw, przygotowane u bindug już wcześniej, spławiali wtedy nieomal każdego dnia. Holownik, niezgrabny, choć silny, z trudem pracował starymi tłokami, dymiąc przegrzaną parą ze źle chłodzonych silników. Śniardwy kołysały się sporą falą. Przecinali jezioro w poprzek, dalekie brzegi przesuwwały się bardzo wolniutko, czas dłużył się najwyraźniej, zwłaszcza że wybryzgi rozbijanej o dłużyce wody moczyły ich do cna.

Chmury, zbałwanione na całym niebie, nie wyglądały szczególnie groźnie. Holownik pykał miarowo, ciągnąc dłuższy aniżeli zazwyczaj zestaw tratw. Czarci Ostrów i Wyspa Pajęcza daleko już pozostały za nimi. Niewiele, a zanurzą się w kicę Mikołajskiego Jeziora.

Niemal jednocześnie rąbnął solidny piorun, grzmot długi przetoczył się, olbrzymiejąc echami, i zakaszłał się motor holownika. Jeszcze zapykał urywanie, znów zakaszłał i umilkł, aż rozpędzone tratwy siłą bezwładu uderzyły o rufę statku. Obsługa holownika klnąc zniknęła w kajucie motoru, by szukać tam przyczyn awarii, nierzadkiej zresztą na tym gruchocie. Tratwy w tym czasie rozpoczęły szatański taniec. Spychane falą i wiatrem, umocowane do statku stalowymi linami, kotłowały się, nikły pod wodą, to znowu wyskakiwały z niej wysoko. Nie pomagały próby utrzymania ich w ryzach sterami, zaczęły pękać wiązania, odłączały się już pierwsze dłużyce, wznosząc się dziwacznie na grzbietach coraz to potężniejszej fali. Bo i wichura nadciągnęła znienacka, parła uderzeniami coraz gwałtowniejszymi, wzbijała masy wody, rzucała nimi, kłębiła. Trzask pękających następnych wiązań, dłużyce stają sztorcem, oni kurczowo wczepiają się wtedy pazurami w belki. Przesuwali się do przodu, by szukać ratunku w zlużowaniu lin łączących holownik z tratwami. Dziesiątki razy omal ich woda nie splukała, bierwiona, po których zazwyczaj stąpali pewniej niż po najgładszej podłodze, okazały się obecnie zdradliwe, groziły zmiążdżeniem, nie dawały stopom oparcia. Docierali jednak z wolna do statku, motorniczy przyzywał ich na pokład gwałtownym machaniem ramienia...

W tym momencie krzyk Kuni przebił siłą wichury. Wskazywał chybotający na otwartej płaszczyźnie wywrócony kajak, a na nim ostatkiem sił trzymającą się oślizłego dna dziewczynę w kostumie kąpielowym. Usta miała otwarte, zapewne wołała o pomoc, ale głos jej nie dobiegał do tratwy.

Mocny trzask, pękła jedna ze stalowych lin, łączących drzewo ze statkiem, druga też się obluźowała, pociągając za sobą wyszarpnięte ze składu dłużyce, do których była umocowana. Tratwa została teraz zdana sama na siebie, zaraz się poddała grzywaczom, unoszona przez nie w kierunku brzegu. Wszystko to widzieli przelotnie, przejęci pragnieniem przyjscia z pomocą dziewczynie. U końca składu tratw szarpała się na długim konopnym sznurze niewielka łódka. Do niej zdążali powrotną drogą, z przerażeniem widząc, jak fale miotają kajakiem. Dziewczyna zdawała się słabnąć, raz i drugi dłonie jej ześliznęły się z gładziny forniru, desperacko obejmowała go znowu, ale siły ją opuszczały... Jak dotarli do łódki, przeskakując tworzące się skutkiem pęknięcia wiązań potężne szpary pomiędzy dłużycami, do dziś nie potrafią sobie uświadomić. Fale napępniały łódkę wodą, ale i fale nowym uderzeniem uwalniały ją od tego balastu. Kunia usadowił się przy sterze, on się przypiął do wiosel. Dotarli do dziewczyny, w ostatni czas, nie miała już sił, by dalej kurczowo wczepiać się dłońmi w kajak. Łódź nabrała wody, gdy przeciągali topielicę przez burzę.

To był właściwie dopiero początek tych zwariowanych godzin. Zalana uderzeniem mocniejszej wichury łódź straciła stateczność, przechyliła się, zaczęła się zanurzać pod ich ciężarem. Mazur słabo pływał, był zatem w tej sytuacji bezsilny, tyle tylko, że złapał się steru i tak zamierzał wyczekiwać ratunku. Walka o siebie samego i o dziewczynę spadła na barki młodego flisaka. Były to straszne chwile. Rzucani falą, zanurzani pod wodę, znów się nad nią wyłaniający, bez możliwości utrzymania jakiegokolwiek kierunku, znoszeni ku niewidocznemu w tej mżawie brzegowi, walczyli już chyba nie o ocalenie, tylko o przedłużenie ostatnich chwil życia. Na domiar złego dziewczyna w pewnej chwili omdlała, stając się dodatkowym, trudnym do udźwignięcia ciężarem. Gdzieś od lewa mignął ciemną masą ciągle milczący holownik, a potem, w momencie gdy zachłyśnięty wodą flisak, czując, jak do reszty osłabły mu mięśnie, przyjmował za pewnik swoją przegraną, tuż przed oczyma zabielały dłużyce tratwy. Kilka bierwion trzymało się z sobą, chybotwały na wodzie, rzucane nią i 'wichurą. Skąd zdobył siły, by dotrzeć tam jeszcze ze swoim ciężarem, nie wie. Po długich godzinach dryfowania wylądowali na brzegu. Ze swoją wywróconą łódką dotarł tam również Kunia...

Zacichło, sąsiad mój przy ostatnich słowach pochylił się ku ogniovi, który wygasł przez czas tej opowieści i zaledwie migotał. Strzeliły mocne blaski. Wtedy usłyszałem jeszcze te słowa:

— Jesienią będzie nasz ślub...

Mazur zachichotał życzliwie. Dopiero teraz spostrzegłem, że brakuje mu przednich zębów. Spojrzenie moje pobiegło ku wodzie jeziora, jakbym spodziewał się ujrzeć ją

skołatana, rozbujaną falami. Nic, gładka, roziskrzona poświatą płaszczyzna trwała idealnie spokojna i gładka.

Nie wiem, kto zaproponował herbatę, zawisł zaraz nad ogniem czarny kociołek. W oczekiwaniu na gorący napój pograżyliśmy się każdy w swych myślach. Zastanawiały mnie u mych przypadkowych gospodarzy tej nocy dwie sprawy. Pierwsza — to świadome kierowanie przez Mazura rozmową, jakby podkreśleniem pewnych szczegółów pragnął wypowiedzieć czyimiś ustami rzecz bardzo ważną. Druga — to narracja młodszego z flisaków. Już przedtem zaskoczył mnie wtętem o „Flisie” Klonowicza, osądziłem wszakże, że w trakcie rozlicznych spotkań na trasach spływu mógł się z kimś zetknąć, kto mu o Klonowiczu powiedział. Teraz byłem pewien, że rozmawiam z inteligentem. Budowa zdań, zasób określeń i słów, jakieś parabole myślowe, tak prosty flisak nie mógłby mówić. Czyżby w tym człowieku tkwiła jakaś tajemnica, nie przeznaczona dla wszystkich? Nie śmiałem pytać, mogłaby taka nieoględna ciekawość spłoszyć nastrój osobliwego porozumienia, aureę serdecznych zwierzeń i wspomnień, zatraciłyby urok blaski ogniska płonącego pośrodku tratwy na darniowym podłożu.

Woda w saganku zakipiała. Mazur zdjął go ostrożnie z ognia, sypnął garść herbaty, rozszedł się mocny aromat. Blaszane kubki parzyły dłonie, rozkoszne były tym swoim ciepłem. Między jednym łykiem a drugim usłyszałem znowu głos mego sąsiada, zadzwieczał w jego słowach z trudem skrywany niepokój :

— Odmieni się moje życie z tym ślubem... Kto wie, może ostatni rok wypływam na tratwach...

Zawarło się w tych słowach tyle tęsknoty, tyle żalu i niepewności, że musiałem zapytać, czy te tratwy są dla niego aż tak niezmiernie ważne.

Były ważne, więcej — nieodzowne. Kiedyś nie pojmował Cyganów, ich pędu do corocznej włóczędzy, bez względu na warunki, w jakich się odbywała. Tratwy go w tym dopiero uświadomiły. Jest coś, co gna go na wodę, wzywa każdego roku zewem tak silnym, że nie można zdusić go w sobie, trzeba iść mu w pełni naprzeciw. Musi to chyba tkwić we krwi, narastać przez pokolenia, aż się przekształci wreszcie w trwałą, nieodłączną, cechę osobowości... Jeszcze za życia ojca poszedł na naukę do liceum pedagogicznego w Mrągowie. Gdy zdawał maturę, zmarł ojciec. Została siostra, trzeba się było nią zająć. Nakaz pracy kierował do Olsztyna, tam zaczęło się nowe życie... Ale już latem, tak samo jak w czasie szkolnych wakacji za życia ojca, wrócił na spływ. Musiał wrócić. Jeziora mazurskie zbyt go ciągnęły, praca na nich, niby zmuszona i jednostajna,

w rzeczywistości niosła z sobą wicie nie przeczuwanych nawet uroków. I tak się powtarza co roku. Dobiegają końca studia zaoczne, zamierza kształcić się dalej, ale na wodę zawsze przyjedzie... Żona nie będzie chyba stawiać sprzeciwu, dziewczyna z tych stron, ojciec rybakiem jest w Mikołajkach, powinna i ona czuć w sobie zew wody. Razem lepiej by się oporządziło szafas, Kunia towarzyszyłby im, on przecie w jakiś sposób skojarzył małżeństwo, pierwszy dostrzegł na fali wywrócony kajak z kurczowo trzymającą się go dziewczyną...

Mazur przytakiwał kiwaniem głowy, rechotał bezzębnymi wargami. Uśmiechnąłem się do starego człowieka, zaczynałem pojmować jego udział w tej nocnej rozmowie.

Z migocącej toni jeziora przeniosłem wzrok na mojego rozmówcę. Patrzył w kierunku bindugi, zwałowiskiem białych pni wyróżniającej się na tle mrocznej linii brzegowej. Może niezbyt delikatnie przerwałem jego zadumę, ale musiałem się jednego dowiedzieć, co było niezmiernie ważne:

— Pan mówił o wodach mazurskich, o swoim z nimi związaniu, o cygańskim zewie, co roku wyganiającym na jeziorne szlaki. A tamto? Santoka, inne...

Mazur poruszył się niespokojnie. Sąsiad mój oderwał spojrzenie od niedalekich pni bindugi.

— Przed trzema laty byłem w Santoce... Mam tam jeszcze dalszą rodzinę.

Księżyc znikł niespodziewanie z przybrudzonej w kolorze płaszczyzny nieba. Gwiazdy przybladły, straciły intensywność lśnienia. Gdzieś za lasem czaił się brzask. Od wody nadciągał coraz ostrzejszy przedranny chłód. Szczelniej się otuliłem kożuchem.

Tamto stanowiło jego dzieciństwo, wyobraźnia dziecięca tkąła także wspomnieniowy ornament. Kolory były ostrzejsze, dźwięki pełniejsze w harmonii, nurt rzeki o wiele szybszy, most żelazny olbrzymiał w tych wymiarach w kolosa... Nostalgia ojcowska jeszcze potęgowała warstwę wspomnień, konfrontacja stała się realną potrzebą. Było w tym nawet coś okrutnego, bo terażniejszość, mocno zakotwiczona w miejscu, które witało jego dojrzałość, była tu wszakże najmniej ważna, chodziło o sprawdzian prawdy dziecięcej wyobraźni, o zmierzenie się z ojcowskimi tęsknotami.

Małeńka osada, te same domki, bardziej już tylko zapadłe w ziemię, piaski z kwitnącą właśnie bielutką gryką, obok mizerne żyto. Wzrok, nawykły do szerokich powierzchni jezior, potykał się o stromizny parowu, otaczającego z dwu stron skromniutką wstążczynę rzeki. Spokojna bieda, beznamiętne dogorywanie starych, niezwyčajnych nowego czasu ludzi. Najświeższą zostawała sama nazwa Santoki, oddająca klimat, niepowtarzalną aurę chłopięcych przeżyć. Ta nazwa stała się po powrocie symbolem miłości do rodzinnego pejzażu, sentymentu do spraw i rzeczy, które bezpowrotnie minęły...

Jedne tylko bindugi się nie zmieniły, w tych samych miejscach zalegały pobraża rzeki, od nich odpływały tratwy niesione prądem. Na jedną turę się zdecydował, powieźli go starzy znajomkowie ojcowi. Bystrzyny, mielizny, miejscami wytoczony, uregulowany już szlak, ale rzeka tam znacznie smutniejsza, jak gdyby sztuczna...

W trakcie spływu ożyła tęsknota za jeziorami. Za poszarpaną, naturalną linią brzegową. Za falą zlewającą dłużycę, za nocną ciszą zastygłej w bezruchu wody, nawet za pykającym monotoniem holownikiem... Kraj dzieciństwa, choć równie drogi wspomnieniom, okazał się znacznie bliższy z oddali, z zamyśleń nad Nidzkim Jeziorem, z borykań ze sztormem na Śniardwach. Stamtąd był nawet piękniejszy, więcej grało w nim barw, bogatsza się stawała melodia dźwięków. I grób ojcowski w Giżycku przyciągał, i zarys gmaszyska w Mrągowie, i skromny lokal szkoły w Olsztynie — szkoły, to znaczy i ludzi, starszych i dzieci — i stromizna ulic miasta, i stukot jego wysłużonych tramwajów. Inaczej też brzmiał flisacki hejnał, co lata przywołujący nieodpartym zewem nad bindugi, do tratw, do znajomych dni i nocy nie przespanych, prześlęczanych przy ogniu...

Niebo zwieszało się nad nami wyblakłe, nijakie. Szarzyzna tej godziny przed brzaskiem, gdy noc się już przesyciła, ale i dzień nie przejął jeszcze po niej swoich uprawnień... Ogień przygasał, nikt nie podrzucał już więcej suszu. Z rzedniejącego półmroku wylaniały się nasze twarze. Mazur uśmiechał się pogodnie bezzębnymi wargami. Mój towarzysz wypatrywał czegoś od strony bindugi.

Nad bindugą zjaśniało, pierwsze pasemka brzasku nieśmiałym uśmiechem oplotły usypisko okorowanych dłużyc. Z bardzo daleka rozległ się gwizd syreny, to holownik przemierzał swą trasę.

Koniec